ZACHÓD SŁOŃCA NA SANTORINI

CIEMNIEJSZA STRONA GRECJI

Dionisios Sturis

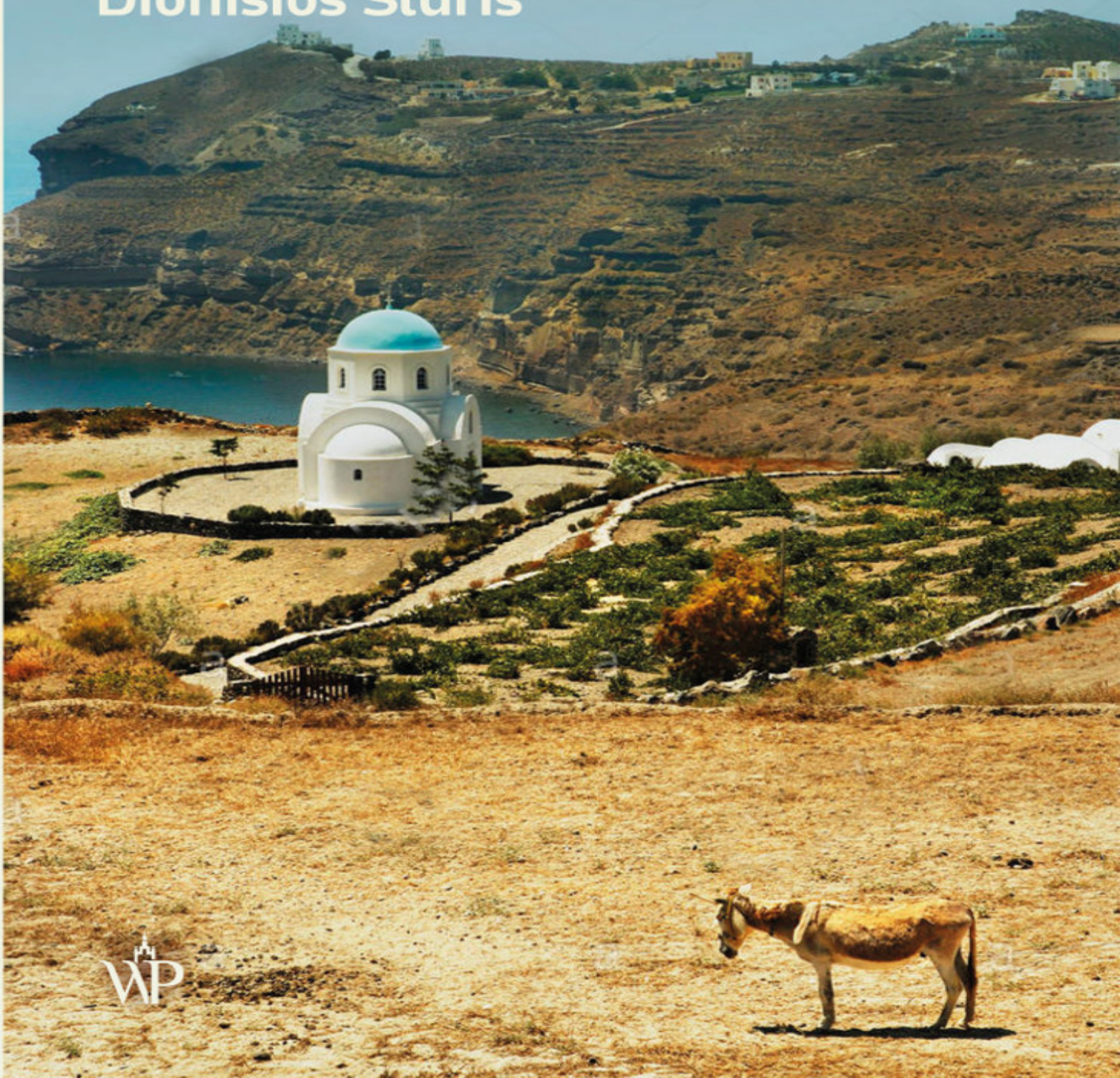

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

ZACHÓD SŁOŃCA NA SANTORINI

ZACHÓD SŁOŃCA NA SANTORINI

CIEMNIEJSZA STRONA GRECJI

Dionisios Sturis

WYDAWNICTWO POZNAŃSKIE

Copyright © Dionisios Sturis, 2021
Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2021

Redaktor inicjujący: Adrian Stachowski
Redaktor prowadzący: Bogumił Twardowski
Marketing i promocja: Agata Gać
Redakcja: Adrian Stachowski
Konsultacja merytoryczna: Dorota Jędraś
Korekta: Agnieszka Czapczyk, Justyna Techmańska
Łamanie: Grzegorz Kalisiak
Projekt okładki i stron tytułowych: Ula Pągowska
Fotografia na okładce: Alamy/Indigo
Mapa: Mariusz Mamet
Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz Nowacki

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie.

eISBN 978-83-66839-48-9

Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o.
ul. Fredry 8, 61-701 Poznań
tel.: 61 853-99-10
redakcja@wydawnictwopoznanskie.pl
www.wydawnictwopoznanskie.pl

Z Matki Z niepoznanego ojca Z opowiadania Z wojen Z dziadków przesiedleńców Z dziadków uchodźców Z poniemieckiej Osetnicy na Dolnym Śląsku Z wołoskiej wioski na północy Grecji Z poniemieckiego Chojnowa Z Salonik Z podstawówki imienia Kopernika Z liceum, które mieściło się w tym samym budynku Z kilku pisarek Z polskiego Z angielskiego Z greckiego Z siostry i braci Z przyjaciółek Z Wyspy Man Z Warszawy Z radia Z książek Z podróży Z przeprowadzek Z miłości do i miłości po Z żałoby i ze straty

Spis treści

* * *
Mapa

I.
Spacer śladami krwi
II.
Wielkie greckie urodziny
III.
Mały proces, wielki proces
IV.
Inwazja, której nie było
V.
Zachód słońca na Santorini
Sześć lat na bezdechu
Narodowe marmury
Pszczoły i wilki

VI.
Wyroki
VII. Skąd jesteśmy
Przypisy
Podziękowania
Zdjęcia

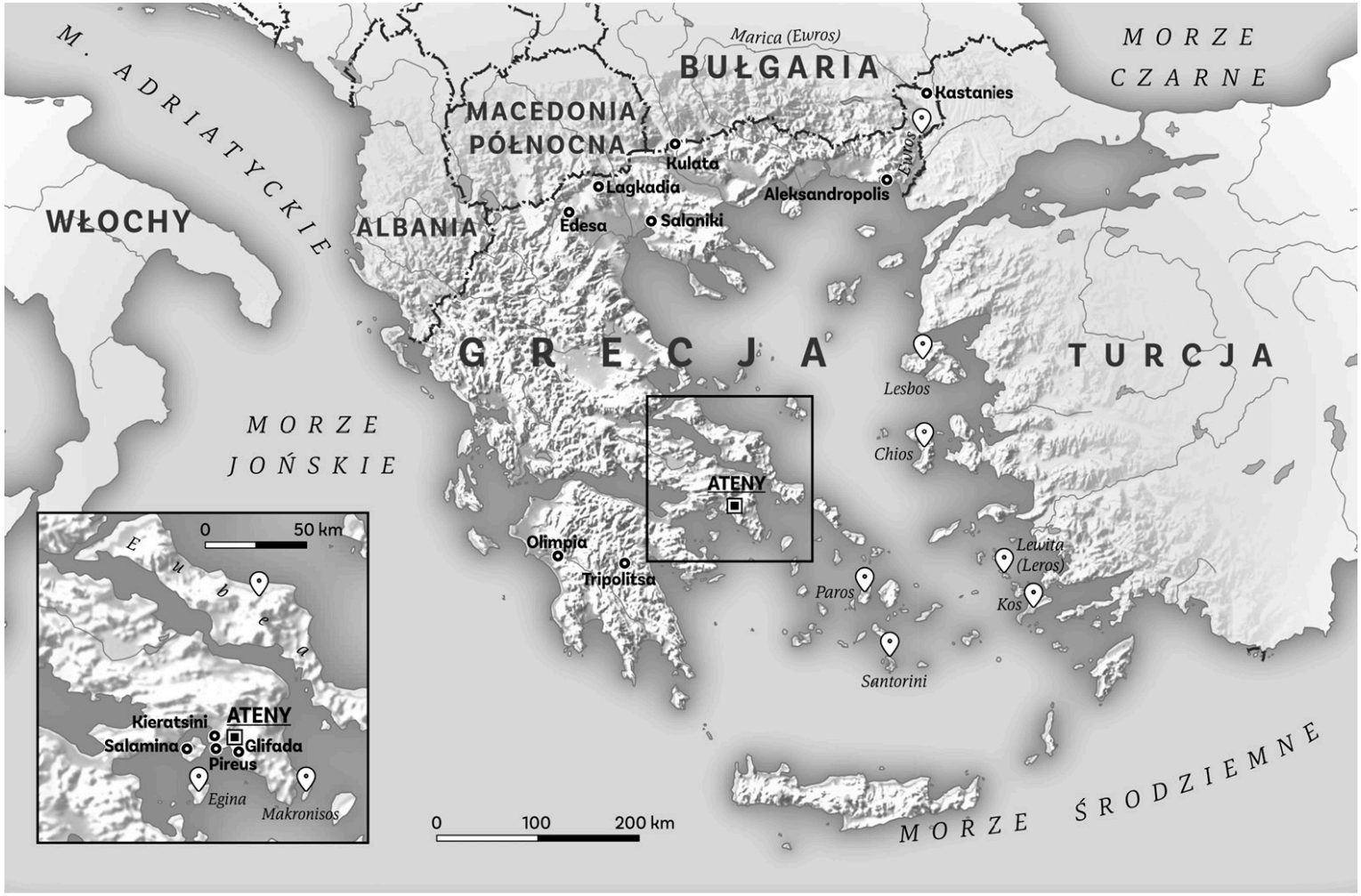
M. ADRIATYCKIE
MORZE CZARNE
Marica (Ewros)
BUŁGARIA
Kastanies
MACEDONIA PÓŁNOCNA
Kulata
Ewros
Lagkadia
Aleksandropolis
WŁOCHY
ALBANIA
Edesa
Saloniki
GRECJA
TURCJA
Lesbos
MORZE JOŃSKIE
Chios
ATENY
Olimpia
Tripolitsa
Lewita (Leros)
Paros
Kos
Santorini
MORZE ŚRODZIEMNE
0 50 km
Eubea
Kieratsini
ATENY
Salamina
Glifada
Pireus
Egina
Makronisos
0 100 200 km

– Pan jest uciekinierem – stwierdził grecki pogranicznik.

Młody, w mundurze i czapce, z gęstymi brwiami, czarnymi, jakby namalował je sobie węglem. Podnosił je i marszczył czoło, wgapiając się w monitor komputera. Wyglądał, jakby dochodziło do niego, że sprawa jest poważna, a on nie zaczął odpowiednio groźnie.

Był 2002 rok, miałem niecałe dziewiętnaście lat, trzydzieści godzin wcześniej wsiadłem do autokaru kursującego na trasie Wrocław–Saloniki. Ciotka z wujkiem mieli w Salonikach dom, zgodzili się mnie przechować przez lato i pomóc znaleźć robotę. Grecja dopiero co zamieniła drachmy na euro, fajnie będzie, myślałem, zarobić trochę euro kelnerowaniem lub parzeniem kawy.

– W systemie wyświetla się pan na czerwono – mówił dalej strażnik: głośno, zdecydowanie, poważnie. – Nie odbył pan służby wojskowej, nie stawił się pan na wezwanie. Dlaczego? – Jego brwi nawet nie drgnęły, oko nie mrugnęło, usta miał zaciśnięte. – Powinienem teraz zadzwonić na policję.

W tamtych czasach i w tamtych rejonach Europy granice wciąż bardziej się pokonywało niż przekraczało. Były jak twierdze do zdobycia, były polem walki. Sam paszport niewiele w tej batalii znaczył – bardziej liczyły się oczekiwania strażników, ich widzimisię, a w konsekwencji dolary i zapas alkoholu. Słowacy nie wybrzydzali,

brali co bądź – wiedzieli, że przed nami długa droga i jeszcze kilka granic do pokonania. Węgrzy targowali się, ale bez przekonania. Rumuni – ci byli chciwi, szło na skrzynki. Bezwstydni Bułgarzy stawki mieli kosmiczne. Dla Greków zostawały okruchy – nie mogli wymagać, ich pozycja była najsłabsza, bo ich kraj był docelowym.

Gdy wreszcie dobiliśmy do ponurej Kulaty na granicy bułgarsko-greckiej, czuć od nas było marynatą z potu, czerstwego chleba, żółtego sera, jajek, piwa i wódki. Byliśmy wymiętoleni, obolali, spoceni, wnerwieni, poważnie zniecierpliwieni.

Bułgarska strażniczka, wchodząc do autokaru, zaciągnęła się powietrzem zatrutym naszymi wyziewami i skrzywiona zebrała od nas paszporty. Nie było jej dobrą godzinę. Nasz kierowca zachodził do niej trzy razy, taką była twardą negocjatorką. Stawiała konieczne stemple, jakby uczestniczyła w strajku włoskim – oglądała paszporty z każdej strony, kartka po kartce, wczytywała się w wizy, lustrowała stare pieczątki. Jej kolega, jeszcze bardziej srogi, zarządził rozładunek bagaży. Bo tak! Zareagowaliśmy cichymi i głośnymi kurwami, ale karnie jęliśmy wyjmować walizki i torby. Otwieraliśmy je zawstydzeni, jakbyśmy własne flaki wystawiali na publiczny widok, a to tylko majtki były i skarpetki. Kierowca krzyczał, przeklinał, biegał co rusz z biura do bagażnika, chcąc przebłagać strażników kolejnymi flaszkami. Wreszcie sukces, zielone światło, zwycięstwo, mamy zamykać toboły, zszywać brzuchy i w drogę. Bułgarzy przekazują Grekom stertę paszportów, my podjeżdżamy pięćdziesiąt metrów i czekamy.

To tylko formalność, myślimy, zaraz ruszymy. Zaraz zwyciężymy, pokonamy ostatnią granicę, będziemy w Grecji.

Mija kwadrans, mija drugi. Nagle do autokaru wchodzi grecki strażnik. Rozgląda się groźnie i wyczytuje moje imię i nazwisko – z płynnością, która mnie szokuje, czyta je potoczyście i gładko. Zwykle jestem kaleczony, zniekształcany, dukany, a ten otwiera paszport i czyta „Dionisios Sturis", jakby samego siebie wyczytywał. Przez kilka sekund nawet nie wiem, że chodzi o mnie – ja się tak ładnie, tak płynnie nie nazywam, to nie ja. No więc powtarza: „Dionisios Sturis" – znów perfekcyjnie. Wyskakuję z fotela i idę za strażnikiem. Moi współpasażerowie-współrodacy od razu węszą aferę i wkurwieni, że znów ich czeka czekanie, szepczą: o co chodzi, o co chodzi? A skąd ja mam wiedzieć!

– *Apo pu ise?* – powiedział do mnie kolega strażnika, ten z brwiami jak konary dębu. Siedział za biurkiem, przed komputerem. Zrozumiałem tylko tyle, że: *pleple ple pleple?* Ale o co pytał, nie miałem pojęcia. W pokoiku było gorąco, w końcu to czerwiec, a my jesteśmy w Grecji. Prawie w Grecji. Pociłem się z tego gorąca i ze strachu. Przełączyłem się na angielski i powiedziałem, że nie znam greckiego. Strażnik też się przełączył, obaj dukaliśmy. Domyśliłem się, że chciał wiedzieć, skąd jestem.

– Skąd jestem?

Próbowałem mu jakoś wytłumaczyć, że matka Polka, ojciec Grek. Co prawda urodziłem się w Salonikach, czyli niedaleko stąd, ale starzy się rozwiedli, ojciec został w Grecji, a mama z dziećmi, w tym ze mną, wróciła do Polski, na Dolny Śląsk, blisko niemieckiej granicy, dokąd jej rodzice przyjechali ze wschodniej Polski tuż po wojnie. Gdy zamieszkaliśmy u dziadków, miałem niecałe dwa lata. Ojciec nas porzucił, więc jeśli znałem grecki, a ponoć trochę znałem, to zapomniałem.

– Ale skąd jesteś? – dopytywał, jakbym mu tego właśnie nie wyjaśnił.

– Przecież tłumaczę.

– Skąd jesteś, znaczy, że pytam cię o ojca: jego nazwisko, narodowość, jego rodzinną wioskę.

– O ojca? Ale ja go prawie nie znałem.

Ojciec się nami nie interesował, nie utrzymywał kontaktów. Na imię miał Petros, na nazwisko Stouris, choć myśmy wyrzucili „o", bo w polskim ono przeszkadzało, nasze pisze się więc Sturis. Rodzinna wioska? Nie mam pojęcia, gdzieś na północ od Salonik, nigdy w niej nie byłem. Narodowość? Chyba grecka, choć on długo mieszkał w Polsce, przyjechał jako dziecko po greckiej wojnie domowej. Był uchodźcą.

– W systemie wyświetla mi się, że z pana jest Grek, nie Polak, skoro ojciec Grek i miejsce urodzenia Grecja. Wiec pan jest Grekiem, a jakimś cudem nie odbył pan służby wojskowej. Na czerwono się wyświetla, że nie stawił się pan na wezwanie. Pan jest uciekinierem.

– Co? To znaczy, *can you repeat, please?* – Szok skrócił mi oddech, zacząłem się jeszcze bardziej pocić. – Ja miałem się stawić? Dlaczego? Nie wiedziałem, nikt mnie nie informował. To pomyłka. Niech pan sprawdzi raz jeszcze – poprosiłem go. Co z tego, że ojciec Grek, przecież matka Polka. – Jestem obywatelem Polski, dostałem wezwanie do polskiego wojska – rzuciłem, myśląc, że może to go przekona, bo przecież wiadomo, że służyć w dwóch armiach nie wolno. Kilka miesięcy wcześniej byłem w Legnicy na komisji wojskowej, ale z racji, że w październiku zaczynałem studia, dostałem odroczenie. I bardzo dobrze, bo ja nigdy nie chciałem iść do wojska, nigdy. Pewnie i tak bym zmyślił jakąś chorobę, żeby nie

musieć iść. Skoro do polskiego wojska nie muszę, to z jakiej racji miałbym iść do greckiego?

– Mnie polska armia nie interesuje. Mnie chodzi o grecką. Powinienem teraz zadzwonić na policję. Panu grozi więzienie – powiedział strażnik. Brzmiał przy tym groźnie, ale nie do końca przekonująco. Wrócił do mrugania i marszczenia czoła.

Pomyślałem wtedy, że to jego „powinienem" jest lepsze niż ewentualne „muszę". Gdyby musiał zadzwonić, już by dzwonił i byłoby po mnie. A tak, może jest nadzieja. Absurd sytuacji nie pozwolił mi się mocniej zezłościć lub wpaść w panikę. To pomyłka – myślałem. Błąd systemu, kolor czerwony zamiast jakiegoś mniej rzucającego się w oczy, jak przy nie-uciekinierach, nie ta rubryka, może błąd w nazwisku. Przecież nie mogę być w dwóch systemach jednocześnie. Że figuruję w polskim, to mnie nie dziwi. Nie protestowałem, stojąc w samych gaciach w rzędzie podobnych mi przyszłych poborowych przed komisją sprawdzającą liczbę jąder. Jeden, dwa, jeden, dwa, jeden, dwa. Ale żeby w greckim? Tak bezwiednie, bez zgody, bez sensu, niechętnie?! Ja nawet nie wiedziałem, jak do dwóch zliczyć po grecku!

Tyle znałem Grecję, co w niej byłem przez miesiąc wakacji cztery lata wcześniej. Ojciec i jego trzecia żona zgodzili się przyjąć mnie, mojego brata i siostrę na część wakacji – pierwszy raz w historii mego życia. Mama pożegnała nas we Wrocławiu, a oni odebrali z salonickiego dworca autobusowego blisko czterdzieści godzin później. Niezbyt się im spodobaliśmy. Oni nam też nic a nic. Jednego (jedynego!) razu zabrali nas nad morze – pewnie na Chalkidiki, choć nie pamiętam na pewno. Najpierw było całkiem miło. Mknęliśmy pustą, krętą autostradą między górami, które porastała dziwaczna

frygana – karłowate krzaki i zioła, częściowo spalone słońcem, wyschnięte na wiór, częściowo wciąż blado-zielone. Radio w czerwonej ładzie ojca grało folkowe przeboje. Coś mnie w tych nieznanych rytmach uwodziło, chciałem wdrapać się na dach prującego samochodu i tańczyć. Ale trzeciej żonie, Danusi, było za głośno, więc ściszyła.

Nie było o czym gadać, zatem milczeliśmy. Ojciec palił nerwowo jednego papierosa za drugim – może mu się ta cisza nie podobała. Na masce rozdzielczej miał osmaloną popielniczkę i za każdym razem, gdy chciał ją przez okno wypróżnić, popiołem trafiał w sam środek mojej twarzy. Nie celowo, przez ciąg powietrza – ale trafiał. Nie miałem śmiałości zwrócić mu uwagi.

Później, już na plaży, ojciec się na nas obraził, bo za mocno dokazywaliśmy. Od dawna umieliśmy pływać, nauczyliśmy się w rzece Skorej, gdy spędzaliśmy wakacje u dziadków w Osetnicy. Więc nurkowaliśmy, wywijaliśmy podwodne fikołki, wciągaliśmy się za nogi pod wodę, podtapialiśmy, ścigaliśmy, kto pierwszy dopłynie do boi. A wszystko to bez niego, nie zaprosiliśmy go do naszej zabawy. Poczuł się zbędny, pożalił Danusi, a ta przyszła do nas negocjować:

– Tato by się chciał z wami pobawić. Zawołajcie go.

No dobra. To nawet fajnie, że by chciał. Zaczęliśmy wołać: chodź, chodź, i machaliśmy wymownie rękami. Ale żadne z nas nie zawołało chodź, tato, tato, chodź, i to też go wkurwiło, że wołaliśmy tak bezosobowo. Nie przyszedł. Kilka dni później miał już nas totalnie dość i oddał na przechowanie swojej siostrze.

Ciotka Sułtana była miła, miała dla nas różne prezenty. Umieściła nas w swoim starym mieszkaniu w centrum Salonik – w tej samej

dzielnicy, w której mieszkaliśmy kiedyś, gdy rodzice jeszcze byli razem. Danusia też wtedy wynajmowała w pobliżu wygodną kawalerkę. Ciotka nawet nam to nasze stare, parterowe mieszkanie pokazała. Zabrała nas na spacer i powiedziała: patrzcie, to tu. Zobaczyliśmy wąski, długi balkon wychodzący bezpośrednio na ruchliwą ulicę i na wpół zamknięte drewniane okiennice w kolorze wyblakłego błękitu albo może szarości. Za nimi czarna dziura. Wiemy, co się tam w przeszłości wyprawiało – siostra z bratem nawet wciąż pamiętali kłótnie, bójki i mamę w siniakach. Ja byłem za mały, nie pamiętam, ale wtedy poczułem. Nie chcieliśmy stać przed tym mieszkaniem. Skończyliśmy spacer – wróciliśmy do starego mieszkania ciotki, a ona pojechała na budowę, właśnie kończyła z mężem stawianie domu na dalekich przedmieściach Salonik – miał być duży, dwupiętrowy, ale na razie gotowy był tylko dół. Pracy było od cholery, więc nocowali z wujkiem na rozkładanym łóżku, by nie tracić czasu na dojazdy z centrum. Ciotka nas za to przepraszała, chciałaby z nami spędzić więcej czasu, ale go zwyczajnie nie miała. I tak widzieliśmy, że się stara. Codziennie przywoziła nam jakieś smakołyki – a to pitę, którą upiekła w nocy, a to wielkiego arbuza, merendę, grecki odpowiednik nutelli, do chleba na śniadanie. Przekonywała, byśmy spróbowali słonej fety.

Zostawiła nas pod opieką swojej matki, czyli naszej babci Marii. Choć to może bardziej ona niż my wymagała opieki. Miała dziewięćdziesiąt kilka lat, nikt nie wiedział, ile dokładnie. Jak na wiek i generalne życiowe trudy, wciąż trzymała się świetnie, nawet na nic specjalnie nie chorowała, ale nie miała już sił. Jeszcze odgrzewała kotlety, *keftedes*, które przywiozła ciotka, jeszcze mogła pójść na rynek po pomidory i ser, jeszcze pamiętała wiele polskich słów, ale

mówiła coraz mniej. Krzątała się po zacienionym mieszkaniu, ubrana cała na czarno, jak to wieczne greckie wdowy, sunęła cicho z pokoju do pokoju, podpytywała, czy nie jesteśmy głodni. Dużo spała, a my wtedy graliśmy w karty, oglądaliśmy greckie bajki i seriale, z których nic nie rozumieliśmy, czytaliśmy na balkonie książki – polskie książki, które w Grecji zostawiła nasza mama, od lat nieczytane, niedotykane[1]. Poza tym my też dużo spaliśmy i odliczaliśmy dni do powrotu do domu.

Mimo tej wakacyjnej wtopy sprzed czterech lat i ostatecznego rozczarowania ojcem Grecja wciąż mnie kusiła i ciekawiła, onieśmielała, przestraszała i przyciągała. Była we mnie – co bardzo mnie dziwiło. Była jednocześnie tym dalekim nieznanym krajem, gdzie rosną skarlałe krzaki i gdzie gra dobra muzyka, i jakąś kulką ukrytą w moim brzuchu – albo w mózgu. Czułem ją czasami, jak się czuje przeszkodę w gardle. Była moim własnym ciałem obcym. Jeszcze nie wiedziałem, co z tą greckością zrobić – może połknę kulkę lub ją wypluję raz na zawsze? Na razie to był okres próbny, drugie podejście, relacja potencjalna, ewentualnie przyszłościowa, na tym etapie jednostronna. Z takim założeniem jechałem do ciotki: po cichu sobie tę Grecję poobserwuję i może podejmę jakąś decyzję.

A tu niespodzianka – Grecja czekała na mnie, na moje osiemnaste urodziny, by się o mnie upomnieć. Cały ten czas interesowała się mną, miała wobec mnie wymagania i oczekiwania. Chciała mnie wsadzić za kraty, albo przynajmniej wziąć w jasyr.

– OK – powiedział w końcu strażnik, znów podnosząc brwi i marszcząc czoło, czyli łagodniejąc. – Wpuszczę pana i niech pan sobie wyjaśnia, załatwia. Ale jak będzie pan chciał wracać do Polski, a nadal będzie pan w systemie na czerwono, wtedy areszt i sąd.

Musi pan się zmienić w systemie. Czy to jasne? My służbę w armii traktujemy poważnie.

– Jasne – odpowiedziałem. – Dziękuję. Będę to wyjaśniał, tę pomyłkę.

Nie musiał być miły, a był, nie kazał mnie aresztować. Pożegnałem się i pobiegłem do autokaru. Chwilę później byliśmy w Grecji, po dwóch godzinach – w Salonikach. Ciotka z wujkiem już czekali.

SPACER ŚLADAMI KRWI

Polubić ateńskie spacery to wyzwanie. Szczególnie jeśli omijać wytarte, turystyczne szlaki. Można ich nie omijać i do tego właśnie zachęcają lokalne władze. Latem zeszłego roku, a więc w środku pandemii, nowo wybrany burmistrz (siostrzeniec nowego premiera) postanowił, że tak urządzi centrum miasta, że turyści padną z wrażenia. Poprzez zwężenie fragmentów jezdni, wytyczenie ścieżek rowerowych i poszerzenie chodników burmistrz zamierzał zreorganizować blisko siedmiokilometrową drogę, która, pokonywana pieszo, będzie zahaczała o najważniejsze turystyczne atrakcje i połączy historyczne dzielnice: plac Syntagma, Omonię, Plakę, Monastiraki, okolice starożytnej Agory czy Akropolu. Nie przeprowadził konsultacji, nie słuchał krytyków, nie zamierzał tracić czasu na imposybilistów, oświadczył, co umyślił, i wysłał w miasto robotników. Kazał im pomalować deptaki na krwistą czerwień, ścieżki dla rowerzystów na kanarkową żółć, do tego postawić wzdłuż nowych szlaków donice z krzakami, kwiatami i minidrzewami oraz metalowe ławki. Gdy trasa była gotowa, burmistrz zakrzyknął: a teraz spacerujcie! Nie minęły dwa tygodnie, gdy się okazało, że rewolucyjna wizja zrodziła piękną katastrofę. Ludzie nie mogli siadać na ławkach, bo nagrzane słońcem, parzyły pośladki i uda. Nie cieszyli oczu zielenią, bo natychmiast zwiędła. Na deptaki bali się

wchodzić, bo czerwień odstrasza, w dodatku, odbijając promienie, oślepia. A co najważniejsze – ruch na zwężonych drogach wcale nie zmalał. Nie dla mnie „wielki ateński spacer” – przynajmniej nie ten, na który namawiał burmistrz.

Po skończonej rozmowie w dzielnicy Sepolia na północnym zachodzie miasta szedłem w kierunku centrum i miałem ochotę krzyczeć, kląć w głos. Na nietypowy wrześniowy gorąc i moje gruczoły potowe, nagle nadaktywne, na nieustający hałas motocyklowych i samochodowych silników, na smród spalin, na szkodliwe pyły, na to całe greckie życie. Dobrze, że miałem na twarzy antywirusową maseczkę. Dobrze i niedobrze – maseczka zatrzymywała szkodliwe pyły, ale jednocześnie kazała z powrotem połykać rozgrzane powietrze.

Prawdziwsi Grecy nie narzekają na upały. Nie żeby się nie pocili, nie żeby im nie przeszkadzały plamy z potu, ale zwyczajnie już do nich przywykli. Wiwi, moja bratowa, lubi westchnąć o poranku: „Ach, Dionis, dzisiaj to dopiero będzie gorąco. Chcę do Szkocji!”, po czym układa listę rzeczy do zrobienia i prawie wszystkie wiążą się z byciem poza klimatyzowanym domem i poza przyjemnym, chłodnym ogrodem: zakupy na *laika*, czyli warzywnym bazarku, odeskortowanie i odbiór siostrzeńców ze szkoły (siostra Wiwi Regina mieszka z rodziną na piętrze – na ateńskiej politechnice uczy fotografii i żeby zdążyć na poranne zajęcia, musi wyjechać z domu wcześniej niż inni), kilkukrotne wyjście z psem – uroczą terierką Bobicą, odprowadzenie matki nad morze i przywiezienie jej z powrotem do domu (Georgija ma siedemdziesiąt pięć lat i problemy z chodzeniem; mieszka w tylnym skrzydle. Ma krótkie, siwe włosy i piękną, mocno pobrużdżoną twarz, trwale spaloną

słońcem – jakby żyła na łódce, na morzu, na wyspie, a nie w nadmorskiej dzielnicy wielkiego miasta. Dzień bez kąpieli – także zimą – Georgija uznaje za stracony, dlatego jest na plaży codziennie i spotyka się ze znajomymi, emerycką *pareą*, czyli paczką przyjaciół. Razem pływają, grają w karty, dyskutują, podjadają i piją tsipuro. Georgija, gdy wchodzi do wody, zawsze ma ze sobą mały trójząb i poluje z jego użyciem na ośmiornice. Czasami jakaś przyssie się jej do ramienia, wtedy dziab i już po niej, a czasami aktywnie ich szuka pod wodą. Co upoluje, przynosi córce do oprawienia, wysuszenia i zgrillowania). Że się spoci, zgrzeje, upałem umęczy, to dla Wiwi normalka. Ostatnio zabrali mnie z Nikosem – moim przyrodnim bratem – na kolację. Siedzieliśmy na dachu restauracji, słońce już dawno zaszło, księżyc oświetlał Akropol, a powietrze wciąż prawie parzyło. Najpierw pomógł mi miniwiatrak na baterie, który Wiwi zawsze nosi w torebce, a później schłodzone wino.

●

Trasę spaceru wybrałem nieprzypadkowo. W przewodniku turystycznym można by ją nazwać: „Zagłębie biedy i marności – śladami greckich neofaszystów". Oczywiście taki rozdział w większości przewodników nie miałby prawa zaistnieć, bo kto z turystów chciałby czytać o przemocy, o krwi wsiąkającej w ateńskie chodniki, o bezkarnych nożownikach, o współczesnych pogromach, o ksenofobii? Nazbyt by się to kłóciło z turystycznym wyobrażeniem Aten. Śladami Meliny Mercouri, śladami otomańskiej przeszłości, śladami rewolucji, śladami niemieckich urbanistów, śladami neoklasycystów, śladami okupacji, starożytnymi śladami, olimpijskimi

śladami, poznając ateńskie wzgórza, poznając ateńskie pomniki, ateńskie place w pigułce, „wielki ateński spacer" – to wszystko owszem i jak najbardziej. Ale nie marność, nie neofaszyści.

„*Kalimera, where are you from?*" – pytają czasem turystów uśmiechnięci restauracyjni naganiacze. I gdy ci przystają i uprzejmie odpowiadają, sprytni Grecy zagarniającym gestem już ich prowadzą do stołów wyłożonych papierową ceratą. Mało ich obchodzi, skąd są ich goście, ważne, że przywieźli pieniądze. W końcu żołądki wszyscy mamy podobne. Ale gdy dokładnie o to samo imigrantów pytają neofaszyści z partii Złoty Świt, nie siląc się nawet na angielski, tylko wyrzucając w powietrze głośnym, zastraszającym tonem: *apo pu ise?*, skąd jesteś – stawka jest większa. Gra może toczyć się o życie.

Nie rozumiałem tego, gdy blisko dekadę temu zająłem się opisywaniem greckiego kryzysu. Uważałem Złoty Świt za margines, za społeczno-politycznego potworka, który nie będzie miał szansy pokazać, jak bardzo jest groźny, bo w krytycznym momencie zanihiluje go swą cudowną mocą demokracja, rozprawi się z nim prawo, wywiozą go na taczkach i utopią w morzu ludzie pamiętający dramat hitlerowskiej okupacji. Ale potwór rozdymał się, utył na niepamięci, historycznej niewiedzy, na głupocie, bezradności, nieprzenikliwości, na prostackim rozumieniu wolności słowa, zgroźniał, aż w końcu zaatakował.

Minąłem stację metra Attiki – właśnie tu, mniej więcej, jest granica „brunatnego zagłębia". Jeszcze sto lat temu zamożni stołeczni kupcy stawiali tu niezbyt wysokie, jedno- lub dwupiętrowe neoklasyczne kamienice i przy dobrej pogodzie z dachów oglądali odległe o kilka kilometrów morze. Dziś po ich bogactwie nie ma śladu, a bajeczne widoki zasłonił gęsty, betonowy las. Stąd, do okolic placu Wiktorii,

kilka przecznic w tę lub tamtą – cała ta okolica uchodzi za niebezpieczną i „podupadłą".

„Podupadanie" zaczęło się od bogacenia. Na kilkanaście lat przed kryzysem z 2010 roku miejscowa klasa średnia zaczęła realizować marzenie o życiu na przedmieściach – na bardziej zielonym, mniej betonowym wschodzie Aten lub na zachodzie, bliżej wody, w każdym razie dalej od smogu, który był wtedy ateńskim problemem, ale najbardziej dławił przemysłowe centrum. Exodus był masowy – szczególnie wśród młodych, których męczył też wielkomiejski pęd. Na miejscu zostali starzy i mniej zamożni. Oraz dużo, bardzo dużo pustych mieszkań. W sam raz na tani wynajem dla coraz liczniejszych imigrantów, którzy zjawiali się w Grecji – byli wśród nich Polacy, Ukraińcy, Rosjanie, Gruzini, Albańczycy, mnóstwo Albańczyków. Właśnie tu zaczynali śnić swój grecki sen. Zapisywali dzieci do miejscowych szkół i wkrótce greccy uczniowie byli w nich mniejszością. Otwierały się jedna po drugiej gruzińskie piekarnie, polskie cukiernie i wyroby garmażeryjne, a nawet polska księgarnia i katolicki kościół. Niedługo później także kafejki internetowe prowadzone przez kolejnych przybyszów: Afgańczyków i Pakistańczyków; minimarkety, w których specjalizowali się Banglijczycy, pokoiki z „money transferem", żeby sprawnie słać euro do rodzin na Bliskim Wschodzie i w dalekiej Azji, zakłady fryzjerskie z unikalnym know-how w dziedzinie ujarzmiania afro – dla klientów z Konga, Nigerii, Sudanu, Senegalu czy Tanzanii. Opustoszałe kamienice znów tętniły życiem – a raczej dudniły, bo życia było w nich aż za dużo. Na wyższych piętrach na jedno mieszkanie przypadała jedna grecka, albańska lub polska rodzina, na parterach i w piwnicach w jednym pokoju, jednym pomieszczeniu tłoczyło się

i piętnaście osób. Bez łóżek, bez materacy nawet – spało się na dywanie, w kocu albo w śpiworze, jeden obok drugiego. Płaciło się od głowy, pięć euro za nockę. Dziesięć, jeśli warunki były nieco bardziej ludzkie. Zero, jeśli zupełnie nie miało się forsy – wtedy musiała wystarczyć ławka na placu przy kościele Ajios Pandelejmonas[2] albo kawałek trawnika. Lokalni rentierzy mieli całoroczne żniwa i jednocześnie powody do zmartwień, bo ceny nieruchomości spadały popisowo. Gdy przyszedł kryzys, spadały w całym kraju, ale tam najbardziej. Zdarzały się i takie okazje – trzy tysiące euro za osiemdziesięciometrowe mieszkanie! Głównym powodem była zła sława. Po Atenach szybko rozeszła się opinia, że lepiej omijać platiję Attikis, ulice Acharnon i Michail Woda, a już przede wszystkim Ajios Pandelejmonas – plac z dużym kościołem i ogródkiem zabaw dla dzieci: centrum zagłębia marności. Bo nie dość, że imigranci, to jeszcze narkotyki, alkohol, rozboje i kradzieże – stała litania wyobrażeń o biedzie.

Ale była też grupa, dla której ta litania brzmiała słodko, jak hymn o nadziei, jak zapowiedź szczęścia – neofaszyści, po grecku *chrysawgites*, czyli z braku lepszego odpowiednika: złociści. Okolica Ajios Pandelejmonas była dla nich jak pole z najżyźniejszą glebą, której niewiele potrzeba, by wydała obfity plon. Dlatego Złoty Świt otworzył w pobliżu partyjne biuro i rozpoczął orkę.

●

Był rok 2010. Janis Papadopulos chwilę wcześniej wrócił z USA – studiował tam i pracował jako korespondent gazety „Ta Nea”. Jest o rok młodszy ode mnie, podobnego wzrostu, za to lżejszy o jakieś

dwadzieścia kilogramów. We wczesnej młodości biegał zawodowo i teraz też lubi się pościgać w maratonach i półmaratonach. Spotykamy się w jego dzielnicy, Ambelokipi, gdzie nie ma parków – biegaczom zostają do dyspozycji wąskie chodniki, wyasfaltowane pagórki i zatłoczone ulice, pustoszejące jedynie bladym świtem lub późną nocą. Dziennikarz pochodzi z Kilkis, całkiem sporego miasta na północy, studiował w Salonikach, a Ateny zaczął poznawać dopiero, gdy wrócił z Ameryki. Akurat trwała kampania wyborcza do wyborów samorządowych i w sondażach nagle zaczął się pojawiać Złoty Świt – szef partii Nikos Michaloliakos kandydował na radnego. W tym samym czasie w mediach zaczęło być głośno o „zaniepokojonych mieszkańcach" okolic kościoła Ajios Pandelejmonas. Mówili, że nie czują się w tej dzielnicy bezpiecznie, że imigranci uprzykrzają im życie, że nikt im nie pomaga. Nikt poza Złotym Świtem.

– Ich nieformalną rzeczniczką została Temida Skordeli. Przedstawiała się jako żona i gospodyni domowa, rzekomo niezaangażowana politycznie, bezrobotna i uboga. Kojarzysz? – zapytał mnie Papadopulos.

Kojarzę. Widywałem ją w programach telewizyjnych. Miała wtedy jakieś czterdzieści lat, farbowane blond włosy do ramion, wąskie, zaciśnięte wargi, jakby wiecznie była zła, i donośny zachrypnięty głos, charakterystyczny dla wieloletnich palaczy.

Papadopulos zaczął spędzać na placu wokół kościoła długie godziny. Czasami tylko obserwował, innymi razy rozmawiał z „zaniepokojonymi mieszkańcami". Skordeli, którą tam widywał, nie wyglądała na przestraszoną, nie przypominała samej siebie

z telewizyjnych wywiadów. Była prowokująca, zadziorna, krzykliwa. Obecna przy każdym jednym spięciu z imigrantami.

Bywało surrealistycznie. Na przykład Albańczycy, których obserwował Papadopulos, którzy żyli w Grecji od blisko dwudziestu lat. Musieli pamiętać własne początki, gdy Grecy nie witali ich chlebem i solą, wręcz przeciwnie – oskarżali ich o wszelkie zło i poniżali. Teraz oni, opierając się o ściany wymazane rasistowskimi hasłami Złotego Świtu, popijając wieczorne piwko, mówili: my jesteśmy lepsi, jesteśmy biali, nie jak ta nowa hołota.

– Albo lokalna młodzież – opowiadał mi Papadopulos. – Zidentyfikowałem grupę kilkunastu chłopaków, w wieku między piętnaście a dwadzieścia lat, którzy bez powodu atakowali imigrantów z Azji i Afryki. Wyzywali ich, gdy ci przechodzili przez plac, prowokowali, kopali, grozili im i rzucali się za nimi w pogoń. Pytałem, dlaczego tak się zachowują, wzruszali ramionami. Pytałem, czy należą może do Złotego Świtu, zaprzeczali. Podczas jednej takiej zawieruchy uciekający imigrant złamał niechcący boczne lusterko samochodu zaparkowanego przed barem o nazwie Portes. Kierowca wyskoczył z auta i zaczął przeklinać greckich napastników. Wtedy z baru wyszedł postawny facet – jeszcze nie wiedziałem, kim jest – i kierowca mówi do niego: zrób coś, żeby przestali, wiem, że to ty nimi dowodzisz.

Reporter nie miał powodu, by znać postawnego gościa, który rzekomo dowodził młodzieżową bandą i codziennie przesiadywał w Portes. Nie bywał w jego sklepie z paramilitarnym osprzętem i pseudowojskową odzieżą w dzielnicy Monastiraki, u stóp Akropolu. Sklep nazywał się Falanga i można w nim było kupić neonazistowskie memorabilia i artefakty.

Jednego razu podszedł do Papadopulosa i jego kolegi fotoreportera, gdy lokalsi wdali się z nimi w dyskusję, twierdzili, że bez pozwolenia nie mogą robić im zdjęć. Widząc ich dziennikarskie legitymacje, rosły mężczyzna postanowił wygłosić wykład. O tym, że imigranci to zło, że tylko Rosjanie i Serbowie to dla Greków bracia – Polaków ani Albańczyków nie wymienił. Że łączy ich wspólna religia. Że jego partia startuje w wyborach i jeśli odniesie sukces, zrobią w dzielnicy taki porządek, że będzie błyszczeć, że znikną wszyscy ciapaci, a jeśli ich lider dostanie miejsce w radzie Aten – zaczną się pogromy!

– Tak powiedział: pogromy. Nie użył tego słowa przez przypadek czy przez pomyłkę. Wiedział, co mówi.

Papadopulosa zmroziła zapowiedź otwartej przemocy. Ku przestrodze napisał tekst – przekonywał, że nie należy lekceważyć tego faceta ani jego formacji, że trzeba trzymać rękę na pulsie. Przypomniał sobie tę rozmowę rok później, gdy złociści urządzili imigrantom faktyczne pogromowe piekło.

Postawny facet z jego opowieści – wysoki, ogolony na łyso, całkiem przystojny, z zadbaną brodą i tubalnym głosem – to Ilijas Panajotaros, wieloletni członek Złotego Świtu, bliski współpracownik lidera, partyjna szycha. W przeszłości przewodził kibicowskiej organizacji Galazia Stratia, Niebieskiej Armii, która w 2004 roku zasłynęła pobiciem albańskich imigrantów w odwecie za porażkę greckiej reprezentacji w piłce nożnej.

– Wiesz, co wtedy powiedział do kamer? „Nienawiść i przemoc są usprawiedliwione, jeśli kierować je przeciwko podludziom”.

●

Dziesiątego maja 2011 roku Manolis Kantaris – biznesmen, czterdzieści cztery lata – poszedł po samochód zaparkowany kilka ulic od domu. W domu na terenie zagłębia czekała na niego żona. Miał po nią przyjechać i zabrać do szpitala, bo synek już pchał się na świat, poród powinien się zacząć lada moment. Mężczyzna miał na ramieniu aparat fotograficzny. Zabrał go zawczasu, żeby nie zapomnieć i móc pstrykać ostatnie ciążowe foty. Minął market Persepolis, przeciął głośną ulicę Acharnon, zostawił za sobą syryjską kafejkę internetową i kilka zakładów fryzjerskich. Był już przy samochodzie, gdy podeszło do niego trzech młodych nie-Greków, imigrantów. „Dawaj aparat" – syknął jeden z drugim. „*Camera, now, give!*"

Kantaris myślał pewnie, że ma przeciwko nim jakąś szansę, że jak odmówi, to może sobie pójdą. Przecież wokół było pełno ludzi. Odmówił, ale oni zamiast uciec, wyjęli nóż. Dźgali go w plecy, ramię i szyję. Wyrwali aparat i w długą.

„Gdzie on się podziewa?" – pomyślała żona i poczłapała sprawdzić, co się dzieje. Zobaczyła męża leżącego w kałuży krwi. W wywiadzie po latach powie, że nie spanikowała, jest lekarką, wiedziała, że musi zachować spokój. Próbowała zaciskać rany, razem z ratownikami i umierającym mężem wsiadła do karetki. Wysiadła wdową. Kilka godzin później urodziła syna.

Dziennikarze popędzili na miejsce zbrodni, gdzie już zgromadzili się przechodnie i dokąd z pobliskiego Ajios Pandelejmonas zdążyli dobiec sąsiedzi, „zaniepokojeni mieszkańcy" – wtedy już powszechnie kojarzeni ze Złotym Świtem, zdemaskowani jako partyjni działacze. Ich „zaniepokojenie", jak się okazało, było na

pokaz, było narzędziem w propagandowej walce, która przebiegała według znanego schematu: udajemy, że jesteśmy zwykłymi obywatelami i boimy się groźnych imigrantów, że państwo nas olewa i że tylko złociści idą nam z odsieczą, kopniakami przeganiając barbarzyńców z naszej dzielnicy. Jesteśmy im nieskończenie wdzięczni. I wy, rodacy w całej Grecji, też powinniście, bo gdy przyjdzie wasza kolej, gdy was zaleje imigrancka fala, tylko złociści zjawią się z pomocą. Złociści, z którymi my współtworzymy partię!

Jeden z „zaniepokojonych" najpierw opowiadał do kamer, że nie widział samego morderstwa, ale był w pobliżu, usłyszał hałas i poszedł sprawdzić, co się dzieje. Nazajutrz przypomniał sobie, że jednak widział zajście – na własne oczy widział imigrantów dźgających Kantarisa. „– Było ich trzech, wszyscy śniadzi: z Maroka, Tunezji, może z Algierii, w każdym razie z Afryki Północnej – powiedział do kamer. – Tylu ich się tu kręci, odkąd wybuchła arabska wiosna, że nie mamy przez nich życia"[3].

Wieczorem 10 maja doszło do pierwszych ataków odwetowych. Oberwało kilkoro przypadkowych imigrantów – od zakapturzonych, ubranych na czarno facetów na motorach. Nie patyczkowali się. Podjeżdżali, krzyczeli *apo pu ise* i nie czekając na odpowiedź, walili pałami po nogach, po głowie, gdzie popadło. Ofiary nie wzywały karetek, nie zgłaszały się na policję – bały się, że zamiast pomocy dostaną areszt i nakaz deportacji.

Jedenastego maja cała Grecja żyła brutalnym morderstwem. Złoty Świt zwierał szeregi, zapowiadał na następny dzień wielki marsz protestacyjny. A kolejni przypadkowi imigranci dostawali po żebrach.

Pół godziny po północy z 11 na 12 maja Alim Abdul Manan – dwudziestojednolatek z Bangladeszu – wracał do domu. Na

skrzyżowaniu podjechał do niego motocykl. Kierowca zgasił silnik, pasażer zeskoczył z siedzenia, podbiegł do Alima i wyciągnął nóż. Dźgnął mężczyznę pięć razy, po czym wskoczył z powrotem na motor, krzycząc: „Zarżniemy wszystkich, których spotkamy na drodze!”[4]. Odjechali. Alim umarł, zanim karetka dojechała do szpitala. Za jego śmierć nikt nie odpowiedział, bo policja nie znalazła sprawców.

Kilkanaście godzin po zabiciu Banglijczyka, w miejscu, gdzie zginął Manolis Kantaris, gromadzili się już złociści, ich sympatycy, „zaniepokojeni mieszkańcy”, członkowie innych prawicowych organizacji oraz policjanci. Za chwilę miał stąd ruszyć antyimigrancki marsz, procesja krwawej zemsty. Ale najpierw przemowy. „Kochani patrioci” – zaczął jeden ze złocistych. „Według konstytucji władza ma działać dla dobra obywateli i narodu. W ostatnich latach władze działają przeciwko nam, przeciwko narodowi. Jako patrioci musimy bronić konstytucji, podobnie jak nasi bracia policjanci. Musimy działać razem z nimi, zjednoczeni. Nie możemy akceptować przemocy – musimy na przemoc odpowiadać. Nie może być tak, że obcy wchodzi bez pozwolenia do mojego domu, robi, co chce i włos mu z głowy nie spadnie. Nie! Ja takiego obcego zabiję! (Tłum skanduje: Przemocą we wrogów ojczyzny!, Grecja dla Greków, dla chrześcijan!). Jesteśmy tu wszyscy, przyjaciele zabitego Manolisa, żeby powiedzieć jego dzieciom, że miarka się przebrała. Koniec! Grecja musi pozostać Grecją! Nie chcemy tu żadnych imigrantów. Nie pozwolimy, by nas mordowali!”

Mówca zakończył słowami: „Po stronie Greków stoi Złoty Świt!”.

Brawa!

Mikrofon przejął rzecznik Złotego Świtu Ilijas Kasidiaris, który próbował przekonywać, że wiec jest obywatelski, ponadpartyjny – choć to on, twarz partii, jeden z partyjnych wiceliderów, zapraszał do udziału, dawał głos kolejnym mówcom, choć to on określił trasę marszu i szedł na jego czele. Nie lubi odmawiać sobie splendoru, ale tym razem wiedział, że za kilka godzin, gdy poleje się krew, przyznanie się do organizacji wiecu może okazać się kłopotliwe. „Jest nas dużo, przyjechaliśmy z całej okolicy. Nie zasłaniamy twarzy, bo to dla nas duma i honor, że możemy trzymać w dłoni grecką flagę, a nie jakąś szmatę". Chwilę później: „Stoję przed wami jako obywatel. Owszem, reprezentuję Złoty Świt, ale dziś nie ma powodu, by bawić się w politykę. Dziś wszyscy jesteśmy Grekami".

Przekazał mikrofon koledze: „Nie przyszliśmy tu płakać. Przyszliśmy, by odzyskać kontrolę nad naszym terenem, nad naszymi dzielnicami. Jeśli musi się w tym celu polać krew, niech się leje!".

Zebrani zaczęli skandować tradycyjny partyjny okrzyk: „Krew, honor, Złoty Świt!".

Natychmiast włączył się rzecznik Kasidiaris i zaproponował inny okrzyk: „Obcy won z Grecji!".

„Obcy won!"[5].

Gdy pochód ruszył, mobilizowanie do okrzyków wziął na siebie kolega rzecznika partii, właściciel sklepu Falanga, Iljas Panajotaros. Ten sam, który rok wcześniej zapowiadał pogromy.

Z marszu co rusz odłączały się grupki złocistych uzbrojonych w noże, kije bejsbolowe, kastety, a nawet śrubokręty. Gdy tylko wypatrzyli kogoś o ciemniejszym kolorze skóry, od razu atakowali. Znów rzucali w powietrze: *apo pu ise*, i znów nie czekali na odpowiedź. Bili i szli dalej. Tłukli szyby w imigranckich sklepach,

restauracjach, kafejkach internetowych. Tłukli i szli dalej. Bili, tłukli, szli dalej. A ich koledzy na motorach, jak sępy, krążyli po sąsiednich ulicach. I jeb kogoś po plecach! Jeb po nogach!

W szpitalnych dyżurkach rozdzwoniły się telefony – dyspozytorzy słali w miasto karetki.

Raez, Pakistańczyk, wtedy w Grecji od jedenastu lat: „Rzuciło się na mnie pięciu kolesi w czarnych kapturach i zaczęli mnie kopać. Upadłem na ulicę, ale oni nie przestawali. Okładali mnie jakimiś pałami – po głowie, twarzy, po plecach. Jakimś cudem udało mi się uciec. Gonili mnie i walili w drzwi mojego bloku, gdy schowałem się w środku”[6].

Badara Gueye, dwadzieścia osiem lat, Senegalczyk: „Jak zobaczyliśmy, co się dzieje na ulicach, zamknęliśmy się w domu i zostaliśmy tam przez dwa dni. Słyszeliśmy krzyki: wychodźcie, zabijemy was!”[7].

Mohammed, trzydzieści trzy lata, Sudańczyk: „W przeszłości byłem zawodowym sportowcem. Biegam maratony, mam szybkie nogi. Ci kolesie trzy razy próbowali mnie złapać, ale im się nie udało. Nie mogli mnie dogonić”[8].

Youseff, dwadzieścia sześć lat, Afgańczyk: „Było ich około dwudziestu. Zatrzymali autobus miejski, pięciu z nich weszło do środka i zaczęli krzyczeć do imigrantów: na ziemię, na ziemię! Przeżyłem to samo w Iranie – tam do autobusów wchodziła policja i wyłapywała Afgańczyków. Ale tu jest Europa – pomyślałem! Takie rzeczy w Europie?! W dodatku to nie policja, tylko zwykli ludzie. Kazali nam wysiąść. Wysiadłem, dostając parę kuksańców. Znam grecki, ale uznałem, że jak się odezwę po grecku, wezmą to za prowokację. Więc zacząłem mówić po niemiecku. W końcu

odepchnąłem jednego z nich i uciekłem. Prawie wpadłem pod samochód. Odwróciłem się i widziałem, jak ci kolesie rzucają się w pogoń za innymi, którym udało się uciec”[9].

Rauf Malik, Pakistańczyk, wtedy w Grecji od szesnastu lat: „Przechodziłem obok grupy około czterdziestu osób. Usłyszałem: *apo pu ise*, skąd jesteś? Z Pakistanu – odpowiedziałem i wtedy natychmiast się na mnie rzucili. Bili mnie po głowie, po twarzy. Krzyczeli: zabijemy cię, bo wy zabiliście Kantarisa. Jakiś Grek chciał mi pomóc, ale za karę także i on oberwał. Krzyczał, żebym uciekał. Zostawiłem motor i pobiegłem do policjanta, opowiedziałem mu, co się stało, a on na to: wynocha, nic nie mogę poradzić”[10].

Iftichar Malik, Pakistańczyk, właściciel sklepu: „Widziałem, jak pałami wybijają witryny, co najmniej dziesięć sklepów zniszczyli. Pobili pięciu Chińczyków, którzy w nich pracowali, rozwalili im głowy, więc karetki zabrały ich do szpitala. Oberwały także dzieci, które bawiły się na podwórku. Wszystko to działo się na oczach policjantów – stali i nie reagowali”[11].

W ciągu kilku godzin do dwóch ateńskich szpitali trafiło około czterdziestu osób, z czego blisko połowa w stanie ciężkim. Dominowały rany kłute, złamane kończyny, żebra, nosy i szczęki.

Ataki trwały nieprzerwanie jeszcze dwa dni. W sumie pobitych zostało ponad sto osób, a według nieoficjalnych danych – raczej bliżej dwustu, w tym kilku sprawiedliwych Greków, którzy stanęli w obronie Azjatów i Afrykańczyków. Imigranci, zbyt przestraszeni, by zgłosić atak, szukali pomocy u Lekarzy bez Granic lub czekali w domach, aż krwiaki same się wchłoną, siniaki wyblakną, rany zasklepią.

Dziennikarze pisali o „orgii przemocy” na niespotykaną skalę, o „czystym rasizmie”, o „kryształowych nocach”. W dokumentach sądowych wprost pisano o pogromach.

– To był straszny czas. Jak z horroru – mówi mi Javed Aslam, przewodniczący Związku Pakistańczyków w Grecji i Pracowniczej Unii Imigrantów, pięćdziesięciolatek z gęstą, siwą brodą, który ponad połowę życia przeżył w Atenach. Spotykamy się w jego biurze w centrum, obok gmachu urzędu miasta. – Mniej więcej wtedy zacząłem prowadzić listę z nazwiskami wszystkich pobitych imigrantów, którzy zgłaszali się do mnie po pomoc. Jest na niej ponad pięćset nazwisk – ale ofiar było o wiele więcej. Ile ja spędziłem wieczorów w szpitalnych izbach przyjęć! Nie zliczę. Pęknięcia czaszki, połamane nogi i ręce, wybite oczy, odcięte palce. Złociści bili, jakby ich nie obchodziło, czy zabiją.

Do siedziby Związku złociści też przyszli, ale jak mówi Aslam, na szczęście nikogo nie zastali. Próbowali podpalić drzwi i napisali na nich, że Pakistańczycy mają się wynosić.

– Policja? Praktycznie nie reagowała. Nawet wtedy, gdy zginął Alim z Bangladeszu. Na serio zaczęła reagować o wiele później, kiedy doszło do kolejnego morderstwa.

Po trwających kilka dni pogromach policja zatrzymała jednego napastnika – Ilijasa Koliopulosa, bezrobotnego kelnera, ojca trójki dzieci. Twierdził, że w dniu marszu był w okolicy Ajios Pandelejmonas przypadkowo – szukał pracy i tam go zawiało. Chodząc od knajpy do knajpy, zobaczył zgromadzenie i niewiele myśląc, przyłączył się. Kamery przemysłowe uwieczniły, jak razem z innymi napastnikami tłucze szyby imigranckich sklepów i demoluje ich wnętrza. Mówił, że żałuje, że chciał pokryć straty, jakie

spowodował, ale nie doprosił się o wycenę. Podczas przesłuchania nie wspomniał jednak, że jest członkiem Złotego Świtu i że partia dwa lata wcześniej dała mu miejsce na listach w wyborach parlamentarnych. Sąd skazał go na rok więzienia. Tylko jego jednego. Nie ucierpiała partia ani żaden z prowodyrów, reżyserów i wykonawców pogromu, których widać na dziesiątkach zdjęć i filmów: Kasidiaris dowodzący zgromadzeniem, Panajotaros podgrzewający pogromową atmosferę okrzykami, obecni w tłumie i aktywni Janis Lagos, Panajotis Iliopulos, Efstatios Bukuras. Złoty Świt nie odżegnywał się od organizacji pogromu. Wręcz przeciwnie, był dumny z tego, jak skutecznie udało się go przeprowadzić. Słychać to na nagraniach z partyjnego spotkania, jakie odbyło się zaledwie kilka dni później[12].

NGO-sy, aktywiści, antyfaszyści, dziennikarze i prawnicy zdobyli tony dowodów na udział złocistych w pogromie. Składali pisma, słali listy otwarte, przypominali, apelowali nawet do Sądu Najwyższego. Na próżno. Po pięciu latach dochodzenia, prowadzonego przez wydział prokuratury do walki z rasizmem, sprawa się przedawniła. „Ten pogrom był najbardziej jaskrawym przykładem rasistowskiej przemocy w ostatnich dekadach – odbywał się w biały dzień, w centrum stolicy, przy udziale wielu osób, w obecności policji, kosztem życia i zdrowia cudzoziemców. Powodem do bicia był kolor skóry, nic więcej. Sprawcy przemocy mogą dziś czuć ulgę – nie będą ścigani za swoje czyny. […] Przemoc na tle rasowym, jeśli nie jest karana, lubi się powtarzać. Pełną odpowiedzialność za przyszłe ataki będzie ponosiło greckie państwo” – napisali prawnicy i aktywiści antyfaszystowscy Tanasis Kambajanis i Kostas Skarmeas[13].

Policja potrzebowała nieco ponad tygodnia, by namierzyć morderców Manolisa Kantarisa. Ujęła dwóch młodych Afgańczyków – trzeci napastnik zniknął. Zanim trafili do aresztu, mordercy zdążyli sprzedać aparat fotograficzny, który ukradli ofierze – zarobili na nim sto dwadzieścia euro. Sąd skazał ich na dożywocie.

Wdowa po Kantarisie odesłała bukiet kwiatów, jaki przysłał jej z kondolencjami lider Złotego Świtu Nikos Michaloliakos. Oświadczyła, że nie chce mieć z nim i jego ludźmi nic wspólnego.

●

Mijam hotel New Dream przy placu Attiki. Dwie gwiazdki, w porywach trzy. Tanio, czysto, miła obsługa – czytam w internetowych opiniach. Na zdjęciach widzę ściany pokoi pomalowane na bordowo i wytarte różowe dywany. Firma, która prowadzi interes, wynajmuje czteropiętrowy, narożny budynek z wielkim szyldem na dachu od Eleni Zaruli, żony Nikosa Michaloliakosa. Małżonkowie wspólnie rozliczają się z podatków i w zeznaniu za rok 2011 wykazali dochód z wynajmu w wysokości zero euro – choć interes ma się świetnie, generuje spory zysk. Wśród klientów dominują „ekspresowi": wchodzą z ulicy w towarzystwie prostytutki, proszą o klucz do pokoju, a po godzinie są z powrotem na dole i robią check out. Koszt – dwadzieścia pięć euro. Dociekliwi dziennikarze oskarżyli właścicieli budynku o kreatywną księgowość, bo brak dochodu z wynajmu musiałby oznaczać, że są filantropami lub biznesowymi nieudacznikami. W całej historii pojawili się też podejrzani pośrednicy i firmy krzaki należące do Albańczyków. „To atak na nasze dobre imię, na naszą

uczciwość, próba szkalowania nas i pogrążenia naszych politycznych karier" – oburzali się małżonkowie, pozywając dziennikarzy do sądu[14]. W oświadczeniu nie odnieśli się do informacji, jakoby hotel New Dream zarabiał na zagranicznych prostytutkach i zatrudniał niemal wyłącznie zagranicznych pracowników. „Opuszczając hotel, zrozumieliśmy, że w Grecji tolerowani są tylko ci imigranci, którzy pracują dla rodziny Michaloliakosa i że lider partii bierze w obronę zarówno przestraszonych staruszków z Ajios Pandelejmonas, jak i hotelowych oszustów podatkowych" – napisali autorzy głośnego reportażu[15].

Skręcam w ulicę Aristomenus, wąską, jednokierunkową, mniej więcej w połowie drogi między placem Attiki a kościołem Ajios Pandelejmonas. Mijam salon fryzjerski Magda i kilka od dawna nieczynnych sklepów. Tu się przede wszystkim mieszka – w złączonych ze sobą, całkiem przyjemnych blokach. Większość z nich posiada sutereny, do których wchodzi się prosto z ulicy, nie przez klatkę schodową. Ich okna są okratowane. Teraz te półpiwnice stoją puste, ale dekadę temu wynajmowali je imigranci – na sypialnie albo na improwizowane meczety. Bo Ateny, jako jedyna europejska stolica, nie miały meczetu z prawdziwego zdarzenia przez blisko dwa wieki. Odkąd w 1833 roku wynieśli się stąd Turcy, istniejące meczety sukcesywnie się zamykały, a na nowe nie było politycznej zgody. Wypracowano ją w parlamencie dopiero w 1890 roku. Od tamtego momentu potrzeba było zaledwie stu trzydziestu lat, by meczet mógł przyjąć pierwszych wiernych – uroczyste otwarcie świątyni nastąpiło w listopadzie 2020 roku, w środku pandemii koronawirusa. Kilka dni po otwarciu i automatycznym ograniczeniu liczby modlących się z trzystu

pięćdziesięciu do trzynastu – rząd wprowadził drugi lockdown i meczet został zamknięty do odwołania. W 2010 roku nowy meczet istniał jedynie na papierze, więc ateńscy muzułmanie modlili się w piwnicach, garażach, starych fabrykach. Działało ich około siedemdziesięciu, a jeden znajdował się właśnie przy Aristomenus. Niełatwo go dziś odnaleźć. Chodzę po ulicy z wydrukowanym zdjęciem z gazety, porównuję wejścia do kolejnych suteren, kolor ścian, kolor krat, rodzaj płyt chodnikowych, stopień ich popękania. Pytam przechodniów, ale nie pamiętają, mieszkają tu od niedawna. Wreszcie – jest!

Stoję przed miejscem, gdzie w październiku 2010 roku złociści i ich sympatycy, w tym Temida Skordeli, chcieli żywcem spalić czterdziestu modlących się Banglijczyków.

– Nazywam ją panią Skordeli, chociaż żadna z niej wielka pani – mówi Naim Elgantour, przewodniczący Unii Muzułmanów Grecji. – Poznałem ją osobiście, kilka razy rozmawialiśmy i nie były to miłe rozmowy. Kiedyś starliśmy się w telewizyjnym studiu. Zaprosiłem ją wtedy na kawę: pójdźmy, zobaczmy, może bez kamer uda się nam rozwiązać problemy, które wymieniała. Zgodziła się. Umówiliśmy się przy placu Wiktorii. Siedzimy, rozmawiamy, szybko pojąłem, że jej nie zależy na rozwiązaniu problemów. Gdyby nie te rzekome problemy z imigrantami, Złoty Świt nie miałby politycznej agendy, a ją samą przestałyby zapraszać telewizje. Zapytałem, czy ma dzieci. Czy nie jest jej wstyd, że gdy Złoty Świt organizuje swoje ataki przeciwko imigrantom, zawsze ustawia dzieci i młodzież w pierwszej linii. Co z nich wyrośnie, jak od małego uczą ich nienawiści? Odrzekła, że nie ma dzieci, ale gdyby miała, wywiozłaby je. Nie jest głupia, by je tu wychowywać, tak powiedziała.

Naim ma sześćdziesiąt pięć lat i pochodzi z Egiptu. Do Grecji przybył w innej epoce, prawie pół wieku temu. Samolotem, po prostu. Wystąpił o wizę, dostał ją bez problemu i przyleciał. W jego okolicy mieszkało dużo Greków, potomków budowniczych Kanału Sueskiego. Przyjaźnił się z nimi, słuchał ich opowieści o Grecji, przyleciał i został. – Łączy nas Morze Śródziemne, a to oznacza, że z grubsza jesteśmy do siebie podobni – mówi.

Naim niemal od ręki dostał greckie obywatelstwo, po czym odbył roczną, obowiązkową służbę w armii. Nie dali mu dotknąć karabinu ani żadnej innej broni, takie były wtedy zasady: muzułmanin mógł służyć w armii, ale od broni miał się trzymać z daleka. Nie wolno było mu ślepo ufać.

Nauczył się języka, zaprzyjaźnił z ateńskimi Grekami i razem z nimi pracował. Ożenił się z Greczynką – Anną, która dla niego przeszła na islam i teraz jest rzeczniczką prasową Unii Muzułmanów Grecji. Oboje są aktywistami, walczą o równe traktowanie muzułmanów, pomagają prześladowanym. Siedzimy w ogrodzie rodzinnego domu Anny w dzielnicy Iliupoli, u stóp góry Imitos (Wiwi mówiła mi, że bywa, że zimą pada tu śnieg, a ulice zajmuje gołoledź, gdy u niej, czyli w sąsiedniej Glyfadzie, nieco niżej, ludzie wciąż paradują ubrani na krótki rękaw). Ich dzieci chodzą do lokalnych szkół i czują się Grekami. Po prostu – Grekami, za to Naim o sobie mówi, że też jest Grekiem, ale trzeciej kategorii. Tłumaczy: pierwsza kategoria to prawosławni Grecy, druga, gorsza kategoria to katolicy i żydzi. Trzecia to oni, muzułmanie.

– O nic nie możemy się w tym kraju doprosić, państwo nie uznaje naszych świąt ani obrzędów, nie zgadza się, byśmy mieli własny cmentarz, przez co chowamy naszych bliskich na cmentarzach

komunalnych i po trzech latach, zgodnie z grecką praktyką, a wbrew naszej religii, musimy wykopywać ich kości. Wreszcie, nie mamy meczetu z prawdziwego zdarzenia. Ten nowy to żart: budynek wygląda jak fabryka, nie ma ani jednego minaretu i może pomieścić garstkę ludzi, a nas jest w Atenach ponad pół miliona! Jego otwarcie to też wygodny pretekst, by zamykać nieoficjalne meczety, jak ten, w którym myśmy się modlili, Al Andalus w Pireusie. Trzydzieści dwa lata działał! Owszem, w piwnicy, ale spełniał swoją rolę. Teraz kazali nam się wynosić, bo niby nie mamy pozwolenia. Nie mamy, nie mieliśmy przez trzydzieści dwa lata i jakoś nikomu to nie przeszkadzało.

Anna woła mnie na bok, otwiera drzwi garażu.

– Zobacz, wszystkie te dywany, poduszki, książki, kasety, wszystkie naczynia, wszystko, co tu widzisz, pochodzi z Al Andalus. Przenieśliśmy to do nas, bo nie mogliśmy tego tak zwyczajnie wyrzucić.

Meczet przy ulicy Aristomenus, dekadę temu podpalony przez złocistych, też trzeba było zamknąć. Oboje, Naim i Anna, pamiętają aż za dobrze tamten dzień i kilkanaście kolejnych, gdy w odpowiedzi na próbę masowego morderstwa i zastraszenia wypowiedzieli neofaszystom wojnę.

Był 31 października 2010 roku. Gdy Banglijczycy zeszli do meczetu na popołudniowe modły, zbiegli się złociści. Było ich około siedemdziesięciu. Założyli na drzwi kłódkę i przekręcili klucz. Następnie stłukli szybę, wlali do środka benzynę i wrzucili koktajle mołotowa. Ogień szybko zajął zasłony, dywany i meble. W meczecie wybuchła panika. Czterdziestu mężczyzn zdzierało gardła, błagając o ratunek. Któryś zadzwonił po policję, któryś po straż pożarną, inny

po Naima. Szarpali za klamkę, ale ciężkie, metalowe drzwi były zamknięte, zablokowane kłódką. Przez okna nie dało się uciec, bo po pierwsze były okratowane, a po drugie wyjście zablokowaliby Skordeli i spółka, stojący na ulicy, obserwujący, uradowani. Ogień szedł też wzdłuż ściany na zewnątrz, ciemny dym osmalił elewację i balkon staruszki z parteru, z mieszkania bezpośrednio nad meczetem. Banglijczycy próbowali rzucać na płonące przedmioty własne koszule i T-shirty, dławili ogień butami. Mieli do dyspozycji tylko jeden mały kran, z którego woda ciekła wąską stróżką – uzbierać w dłoniach parę naście kropli, by przed modlitwą obmyć twarz i ręce, proszę bardzo, ale ugasić pożar przy tak marnym ciśnieniu – niepodobna.

– Spaliliby się, gdyby strażacy przyjechali spóźnieni – wspomina Naim. – Na szczęście szybko się zjawili i nie zważając na złocistych, pryskając wodą przez wybite okna, ugasili ogień. Ja też pędziłem na złamanie karku. Na miejscu zobaczyłem taką scenę: odjeżdżający strażacy, kilku policjantów i wielka grupa złocistych, czyli podpalaczy, z panią Skordeli na czele. Banglijczycy wciąż byli w meczecie, oszołomieni, przestraszeni, przemoczeni. Jeden przez drugiego krzyczeli: wypuśćcie nas, *open*, *open*, a ci, co znali już grecki, wołali *anikste*, *anikste*. Ale policjanci nie reagowali.

– Bali się – dodaje Anna – że jak wypuszczą mężczyzn z meczetu, złociści ich zlinczują. Zamiast rozpędzić podpalaczy pałami, policjanci zaczęli ich prosić, by się rozeszli. Tyle uprzejmie, co nieskutecznie. Oni byli z posterunku na Ajios Pandelejmonas, a tamtejszy komendant przyjaźnił się ze Złotym Świtem, dzięki niemu złociści mogli liczyć na taryfę ulgową. Przymykał oko na rozboje, antyimigranckie ataki, gwarantował im bezkarność.

Policjanci wreszcie wyprosili u Skordeli zgodę na bezpieczny korytarz dla Banglijczyków. Zaczekali, aż złociści rozejdą się po sąsiedztwie – oblepiwszy wcześniej ścianę wyborczymi ulotkami lidera partii Nikosa Michaloliakosa – po czym zdjęli kłódkę, otworzyli drzwi i wypuścili mężczyzn, mówiąc, że muszą biec tak szybko, jak tylko potrafią, żeby tamci ich nie złapali.

Naim nie wierzył własnym uszom.

– „Uciekajcie, żeby was nie złapali”? To jest kpina, to jest zgoda na to, by Grecją rządzili neofaszyści.

O próbie spalenia żywcem czterdziestu osób, zaplanowanej, motywowanej nienawiścią, przeprowadzonej w centrum wielkiego europejskiego miasta, napisały tylko dwa dzienniki, a i to po prośbie ze strony Naima. Nie było porażających zdjęć, wywiadów z pogorzelcami, relacji przerażonych sąsiadów i świadków zdarzenia. Nie było aktu oskarżenia. Temida Skordeli nie została zatrzymana, przesłuchana, pouczona. Prokuratura nikomu nie postawiła zarzutów.

– A gdyby ktoś chciał podpalić kościół w trakcie mszy? – pyta Anna. – Gdyby, dajmy na to, imigranci zamknęli w katedrze Ajios Pandelejmonas modlących się w niedzielę Greków? Co by się działo?! O waszym Jedwabnem powstały filmy, książki. Ludzie pamiętają. A tu nic – cisza. Greccy dziennikarze nie są zainteresowani, ale jak zaprowadziliśmy tam młodą reporterkę z Norwegii, to się biedna popłakała.

Jeszcze tego samego wieczora złociści ranili trzydziestoześcioletniego Egipcjanina. Ibrahim Hani był w okolicy, zobaczył przepychanki przy meczecie. Zapytał policjanta, o co chodzi, ale ten kazał mu się wynosić. Dwaj mężczyźni rzucili się za

nim w pogoń. Gdy go dopadli, dźgnęli go trzy razy nożem – w plecy i rękę. Hani trafił do szpitala.

Przez kolejne dwa tygodnie Naim z wybranymi przyjaciółmi – głównie Palestyńczykami i Egipcjanami, postawnymi, silnymi, skorymi do bijatyki, jeśli zajdzie potrzeba – chodzili modlić się do osmalonego meczetu.

– Nie było nam po drodze, zwykle modliliśmy się w Al Andalus, ale uznaliśmy, że nie damy się zastraszyć, nie pozwolimy, by złociści osiągnęli swój cel. Więc chodziliśmy tam codziennie, a oni codziennie na nas czekali, obserwowali nas z drugiego końca ulicy. Jak dwie wrogie armie. Bali się do nas zbliżyć, nie chcieli się bić, bo wiedzieli, że my nie jesteśmy strachliwi jak nasi bracia z Bangladeszu czy Pakistanu. Oni są niscy, chudzi, niezbyt silni, nie potrafią się bronić. Co innego Palestyńczycy.

Wojna podjazdowa trwała do połowy listopada.

– Złocistym udało się przekupić jednego Banglijczyka. W zamian za łapówkę okrzyknął się prezesem banglijskiego komitetu i udając że ma szerokie poparcie wśród muzułmanów, wystąpił do władz miasta z wnioskiem o zamknięcie meczetu. Rzekomo dlatego, że pomieszczenie nie nadaje się do użytku i budzi złe wspomnienia. Gdy się o tym dowiedziałem, było za późno. Pan „prezes” wkrótce otworzył w suterenie biuro podróży, a gdy pobrał zaliczki na poczet biletów, ulotnił się i tyle go widzieli.

●

Kolejny przystanek: plac Wiktorii, nazwany na cześć dawnej brytyjskiej królowej. Uchodźcy drzemią w popołudniowym słońcu.

Wymęczeni upałem, pragnieniem, życiową beznadzieją, czekaniem bez końca, bezradnością, nudą, żalem i strachem, leżą na kocach, którymi przykryli marmurową posadzkę, pod drzewkami, na których rozwiesili płachty kolorowego materiału – próbują w ten sposób zatrzymać słońce. Dobrze ponad sto osób, głównie Afgańczycy. Jeden młody chłopak, siedzący na murku przed wejściem do stacji kolejki, powiedział mi, że jest tu z całą rodziną od dwóch tygodni.

– O, tam są. – Pokazuje ręką na drugi koniec placu. – Rodzice i dwie małe siostry.

Pół roku byli w obozie w Morii, aż dostali nakaz eksmisji. Usłyszeli, że w ich sprawie na Lesbos niczego już nie załatwią, muszą płynąć do Aten. Nie wiedzą, co dalej. Czekają.

Uchodźcy nie mają na twarzach masek przeciwko wirusowi. Nawet najstarsi z nich, nawet wiekowe babcie, najbardziej narażone. Co im po maseczkach, jak nie mają wody do mycia rąk, jak nie dla nich dystans społeczny, jak ich bańkę każdego ranka przebijają tłumy nieznajomych idących do metra?

Są tutaj, bo rząd premiera Mitsotakisa postanowił w środku pandemii wyeksmitować z obozów na wyspach kogo tylko się da. I niech sobie radzą. Mają pozwolenie na tymczasowy pobyt, mogą się gdzieś zatrudnić. Ale żeby dostać legalną pracę, muszą pokazać numer identyfikacji podatkowej, a żeby zdobyć numer, muszą zadeklarować adres zamieszkania – tego jednak zrobić nie mogą, bo mieszkają na placu. Żeby wynająć mieszkanie i zdobyć adres, muszą mieć pieniądze, ale nie mogą ich zarobić, bo nie mają pracy. A żeby dostać pracę…

Gdyby rząd nie wyeksmitował ich z Morii, wkrótce i tak byliby bezdomni, bo tydzień po mojej wizycie na placu Wiktorii obóz na

Lesbos doszczętnie spłonął. Pożar wybuchł nocą 9 września 2020 roku. Ogień szybko zajmował kolejne baraki, namioty i szałasy, ludzie wybiegali z obozu i gromadzili się na drodze – trzynaście tysięcy osób. Nikt nie ucierpiał, ale Moria poszła z dymem, zostało po niej pogorzelisko. Grecka policja przeprowadziła ekspresowe śledztwo i oświadczyła, że ogień podłożyli czterej Afgańczycy, po tym, jak się dowiedzieli, że wśród imigrantów stwierdzono trzydzieści pięć przypadków koronawirusa. Wiele osób nie wierzyło w oficjalne dane i obawiało się, że faktyczna liczba zakażonych była dużo wyższa, biorąc pod uwagę przeludnienie i nieludzkie warunki panujące w obozie. Według innej hipotezy podpalaczami mieli być lokalni neofaszyści. Po kilku dniach rząd z pomocą wojska uruchomił nowy obóz w nieodległej Kara Tepe – uruchomił, czyli na gołej ziemi rozbił wielkie, wieloosobowe namioty. Wystarczyły pierwsze jesienne ulewy i cały obóz stał po kolana w wodzie, a gazety pisały o szczurach, które nocami podgryzają uchodźczym dzieciom nóżki.

Mieszkańcy z okolic placu Wiktorii przynoszą uchodźcom bułki, wodę mineralną, mleko dla najmłodszych. Organizacje pomocowe przywożą ciepłe posiłki. Paru knajpiarzy pozwala korzystać z toalet i podładować telefony. Wieczorami kręcą się tu starzy faceci, którzy oferują młodym chłopakom i dziewczynom darmowy prysznic w swoich domach, a po prysznicu kolację. Za seks płacą piętnaście euro.

Mijam tych śpiących Afgańczyków, niewiele sobie robiących z ulicznego hałasu i upału. Mam wrażenie, że to leżą atrapy człowieka, ciała puste jak wydmuszki, lekkie, nieruchome życie z nich uleciało.

●

Idę w kierunku kolejnej stacji metra – Metaxurgio. Niedaleko stamtąd, na placu Awdi, jestem umówiony z Tanasisem Kurkulasem, który też miał do czynienia z panią Skordeli. Obrzuciła go jajkami i pomidorami. Nie podarował jej, skierował sprawę do sądu i wygrał.

To już prawdziwe centrum Aten. Coraz szersze, coraz bardziej zatłoczone, coraz głośniejsze ulice, hotel na hotelu, szklane i betonowe biurowce. Jeszcze parę kroków i zza zakrętu wyłoni się plac Omonia ze swoim polem siłowym. Kiedyś rosły tam wysokie, rozłożyste palmy, można było się w ich cieniu schłodzić. Później palmy ścięto i na placu ograniczonym wielkim rondem rozprysła fontanna i wybiło jeziorko, ale gdy woda zaczęła ściekać i zawilgacać sufit metra, fontannę usunięto, jeziorko osuszono, plac zabetonowano. Minęło niespełna trzydzieści lat i na Omonii znów trysnęła woda. Nowa fontanna na rondzie, uruchomiona dwa tygodnie przed początkiem pandemii, wieczorami świeci na fioletowo, niebiesko lub zielono. Miało być nowocześnie, wyszło kiczowato (kolejny niekonsultowany społecznie projekt nowego burmistrza). Ale sedno Omonii to co innego. Z fontanną czy bez, Omonia jest sercem miasta – sercem po zawale, albo i kilku, zmęczonym, schorowanym, z arytmią, ale wciąż tętniącym. Na plac prowadzi sześć wielkich ulic, jak sześć potężnych rzek, jak sześć zdrowych, drożnych aort. Wyobraźcie sobie, co się z nich wylewa i co zabierają z powrotem. Każdy obraz, który podpowie wam wyobraźnia, będzie prawdziwy.

Wystarczy chwila nieuwagi, kilka fałszywych kroków i człowiek wchodzi w strefę zasysania Omonii, wpada w nurt. Dlatego ja się

pilnuję, skręcam, gdzie trzeba, i zamiast na Omonię, idę na sąsiednie Metaxurgio.

Jest mi gorąco, bolą mnie plecy, dudni mi w głowie od tego całego spacerowania. Ratuje mnie kawa na zimno, kawałek słodkiej bugatsy i drzewa wyrastające pośrodku chodnika – na cienkich nóżkach *nerantzia* rodzące gorzkie pomarańcze, rozłożyste oleandry, ale przede wszystkim stare, wysokie akacje. Jakim cudem żyją w tym diabelskim mieście, skąd czerpią siły, skąd wodę? Wystarcza im tych parę grudek ziemi pod chodnikowymi płytami? Gałęzie pukają w okna lokatorów z pierwszych i drugich pięter bloko-kamienic, opierają się na brudnych, zakurzonych markizach. Korony sięgają jeszcze ciut wyżej i z tej wysokości rzucają na drogę błogosławiony cień. Ciężko te drzewa wyminąć, łatwo w nie przywalić, wyrżnąć przez ich wystające korzenie, łatwo się na nie zirytować. Ale nie wolno ich nie docenić. Bez nich Ateny byłyby betonową pustynią, byłyby nie do życia. Są naturalnym miejskim klimatyzatorem, dają wytchnienie.

Nazwa dzielnicy pochodzi od nieczynnej już dziwiętnastowiecznej fabryki jedwabiu (gr. *metaxi*). Później okolica słynęła z teatrów i kawiarni, ale dziś Metaxurgio kojarzy się głównie z burdelami i zapadłymi kamienicami, lub burdelami, które mieszczą się w zapadłych kamienicach.

●

Z jednej strony placu Awdi grupa około dwudziestu osób ćwiczy tai-chi, z drugiej rodziny z dziećmi jedzą w restauracyjnych ogródkach wczesną kolację. A pośrodku placu trwa dyskusja w ramach

antyfaszystowskiej kampanii „Nie są niewinni”. To, rzecz jasna, o złocistych i toczącym się przeciwko nim procesie.

Tanasis siedzi w ostatnim rzędzie. Ma czterdzieści kilka lat, siwiejące włosy i okulary w cienkich oprawkach. Jest nauczycielem informatyki w jednym z ateńskich liceów, a popołudniami i w weekendy wypracowuje pensum aktywistyczne – pomagał formować ruch Wykopać Rasizm i współtworzył niedzielną szkołę dla imigrantów. Szkoła mieści się w pobliżu – Tanasis ma klucze, idziemy tam, by móc porozmawiać w ciszy. Po drodze pytam go o pierwszą chryję ze Złotym Świtem.

To było w 2009 roku, niedaleko stąd, na Omonii – opowiada. Złociści próbowali zastraszyć mieszkańców jednego ze squatów. Najpierw pobili imigrantów, których znaleźli na placu, a później ruszyli do kolejnego ataku. Na czele pochodu szedł sam Michaloliakos i jako jedyny miał na sobie garnitur. Obok niego i za nim ciągnęli jego pretorianie w liczbie około pięćdziesięciu: ubrani w stroje bojowe, w ciężkich glanach i kaskach, uzbrojeni w kije do bejsbola, pałki i granaty hukowe. Kolesie od brudnej roboty. Ale rozkaz do rozpoczęcia zadymy, jak zawsze, wydał lider. Taką mieli zasadę, że o wszystkim decyduje *archigos*, wódz.

Tanasis pamięta, że zadyma była na całego. Zaatakowani imigranci, którzy mieszkali na squacie, postanowili walczyć. Pomagali im anarchiści. Obtłukiwali posadzkę i rzucali w neofaszystów kawałkami marmuru z taką zaciętością, że złociści musieli się wycofać. Wśród walczących byli też uczniowie niedzielnej szkoły.

– Działamy już szesnaście lat – mówi Tanasis, gdy wjeżdżamy windą na drugie piętro niezbyt wysokiego bloku. – Szkoła jest darmowa. Zapisać może się każdy, niezależnie skąd pochodzi,

w jakim jest wieku i jaki ma status prawny; imigrantów bez papierów traktujemy identycznie jak uchodźców. Zajęcia odbywają się w niedziele od rana do nocy. Uczniów mamy ponad dwusetkę i w zależności od tego, co już umieją, dzielimy ich na cztery grupy zaawansowania. Ja uczę poczatkujących. Pomagamy im też wypełniać dokumenty, pisać podania, zażalenia, przygotowujemy ich do egzaminu, który trzeba zdać, ubiegając się o naturalizację.

Na ścianach największego pokoju, największej klasy, wiszą tablice ze zdjęciami absolwentów, plakatami, ulotkami lewicowych partii. Do kątów pomieszczenia poznoszono rozkładane kolorowe krzesła i flipcharty, a na podłodze schnie kilka świeżo namalowanych transparentów – bo siedziba szkoły to także miejsce spotkań kolegów i koleżanek z inicjatywy Wykopać Rasizm.

Co roku organizują w Atenach wielki Festiwal Antyfaszystowski. Tylko w tym roku im się nie udało – z powodu koronawirusa. Są też na wszystkich demonstracjach i kontr-protestach, gdy przez miasto próbują paradować neofaszyści. Kilka dni temu na przykład byli na placu Wiktorii, by zablokować protest Ilijasa Kasidiarisa, który chciał się polansować na tle uchodźców.

– Faszoli było może z pięćdziesięciu, nas tysiąc pięćset – mówi.

Ale dekadę wcześniej zdarzało się, że proporcje były niemal odwrotne. Szczególnie na Ajios Pandelejmonas. Tanasis bywał tam niemal codziennie, bo tego wymagała sytuacja – trzeba na przykład było iść z pobitymi imigrantami na posterunek, bez Greka u boku nie mieli czego tam szukać. A drugi powód był taki, że antyfaszyści z Wykopać Rasizm spotykali się wtedy nie w szkole, a w biurze, które wynajmowali obok komendy.

– Próbowaliśmy wtedy na różne sposoby integrować mieszkańców, także tych, którzy podawali się za „zaniepokojonych”, z imigrantami, przekonywać, że mogą zgodnie żyć obok siebie i wzajemnie sobie pomagać. Jednego razu zaprosiliśmy na plac Ajios Pandelejmonas znanego pisarza, który pochodzi z Albanii i kiedyś też był w Grecji imigrantem. Nazywa się Gazmend Kaplani, a jego książka to *Krótki podręcznik przekraczania granic*[16].

To było na wiosnę 2009 roku. Rozstawili już stoliki i krzesła, ludzie się powoli schodzili, aktorzy z zaprzyjaźnionego teatru w ciszy czytali fragmenty książki, które później mieli odczytać na głos. Kaplani też już był na miejscu. Nagle wpadli złociści. Z Tanasisem było ze czterdzieści osób, złocistych prawie dwa razy tyle. I z mordą – że mają się wynosić, że to ich teren. Zaczęli kopać, przewracać stoliki. Paru policjantów stało obok i nie reagowali.

– Podszedłem do nich i mówię, hej, pomóżcie nam. A oni do mnie: spierdalaj! Była tam też Temida Skordeli, stała z boku i wszystko filmowała. Te jej nagrania trafiały później na stronę internetową Złotego Świtu. Taka z niej była „zaniepokojona mieszkanka”.

Czasami Skordeli tylko filmowała ataki, a podczas innych wcielała się w rolę rozkazującej krzykaczki i głównodowodzącej. Prowokowała imigrantów, wyzywała ich od najgorszych, nie pozwalała, by siadali na publicznych ławkach, matkom z dziećmi blokowała wstęp na plac zabaw przy kościele.

– Imigranci często przychodzili do naszego biura z prośbą o pomoc. Gdy złociści ich pobili lub okradli, bo okradali bez przerwy, szliśmy z nimi na komendę, dzwoniliśmy po zaprzyjaźnionych prawników. Policjanci oczywiście bardzo niechętnie przyjmowali zgłoszenia, kazali

nam czekać godzinami, musieliśmy się wykłócać o ludzkie traktowanie.

Tanasis pamięta próbę podpalenia meczetu przy Aristomenus. Zadzwonili do niego znajomi i przyjechał tak szybko, jak mógł. Pamięta osmaloną ścianę, którą złociści ze Skordeli na czele oblepili ulotkami wyborczymi Michaloliakosa. „Zaniepokojona mieszkanka" przypomniała o sobie kilka dni później. Była jesień 2010 roku, zbliżały się wybory samorządowe, w których Kurkulas też był kandydatem. W kampanii pomagał mu znany lewicowy polityk Alekos Alawanos. Chodzili razem po dzielnicy, rozmawiali z ludźmi, rozdawali ulotki. Wypatrzyli Skordeli w tłumie na placu Wiktorii. Była na skuterze z jedną ze swoich koleżanek. Obserwowały polityków z odległości kilkunastu metrów. Oni krok do przodu, one podjeżdżają, oni krok w prawo, one są tam chwilę później. Kurkulas widział je przez całą trasę spaceru, na każdym przystanku. Wreszcie wyminęły ich, gdy zbliżali się do Ajios Pandelejmonas.

– Okazało się, że czekają na nas na placu razem z resztą brygady. Zaplanowali sobie ten atak. Jeszcze się dobrze nie odezwaliśmy, a już leciały w naszym kierunku jajka, pomidory, jogurty, zapalniczki. Nie chcieli nas fizycznie zranić, tylko upokorzyć i zastraszyć. Wyzywali nas, szturchali. Oczywiście, poszliśmy z tym do prokuratury.

Sprawa ciągnęła się prawie siedem lat – w tym czasie część zarzutów zdążyła się przedawnić, a Skordeli zdążyła popełnić kolejne przestępstwa. Mimo to, gdy przyszło do ogłaszania wyroku, prosiła o ulgowe traktowanie, bo rzekomo miała czystą kartotekę. Za niesprowokowany atak „zaniepokojona mieszkanka" i troje pozostałych oskarżonych dostali karę czternastu miesięcy więzienia w zawieszeniu.

Kurkulas nie wszedł do rady Aten, ale Nikos Michaloliakos – owszem. W ten sposób lider złocistych uzyskał swój pierwszy polityczny mandat. Zdobył ponad dziesięć tysięcy głosów, z czego jedna czwarta pochodziła od wyborców z Ajios Pandelejmonas. Opłaciło się inwestować w „zaniepokojonych mieszkańców", opłaciło się fabrykować strach przed imigrantami i pozować na jedynego odważnego obrońcę „greckości". Przemocowa taktyka działała. Złoty Świt wyrwał się z wieloletniego politycznego niebytu i wywindował do politycznego mainstreamu.

Wódz Michaloliakos zaprosił wierną wojowniczkę na jedno z pierwszych posiedzeń rady miasta. Skordeli opowiedziała o imigranckim smrodzie, który spowija jej dzielnicę: „Są jak karaluchy. Jak widzisz w domu karalucha, musisz go rozgnieść podeszwą buta"[17]. Kilka lat później, zeznając w sądzie, powie, że nie miała nic złego na myśli i przeprasza.

Nigdy nie przeprosiła jednak Aliego Rahimiego za to, że razem z grupą złocistych prawie go zabiła. Był wrzesień 2011 roku, Rahimi, afgański uchodźca, najemca kawałka piwnicznej podłogi przy Ajios Pandelejmonas, czekał na kolegów, z którymi umówił się na piłkarski trening.

„*Apo pu ise?*" – warknęła Skordeli w kierunku chłopaka, który ją zirytował, bo tak bezczynnie i bezwstydnie siedział na ławce. Jak zwykły człowiek. Jakby mu było wolno! W jej dzielnicy! Obok jej domu! W jej Grecji! „Śmierdzi od ciebie! *Apo pu ise?*"

„Z Afganistanu" – odpowiedział przestraszony chłopak, ale pierwsze uderzenia, w tym butelką po piwie, już lądowały na jego głowie. Nieważne, skąd był. Ważne, że nie był Grekiem. Rahimi dostał też dwa ciosy nożem – w podbrzusze i w okolice serca.

W rozmowie z organizacją Human Rights Watch opowiadał, że gdy zobaczył tę drugą ranę i tryskającą z niej krew, był pewien, że umiera[18]. Pamięta, że dał sobie kilka minut, czekał na śmierć. Przeżył cudem. Proces ciągnął się sześć lat, bo psychiatra sympatyzujący ze Złotym Świtem wystawiał oskarżonej lewe zwolnienia lekarskie. Prokurator postawił Skordeli dość błahy zarzut współudziału w niebezpiecznym uszkodzeniu ciała – o próbie zabójstwa, ku oburzeniu prawniczki Rahimiego, nie było nawet mowy. Oskarżona znów prosiła o łagodny wyrok i zarzekała się, że jest wzorową obywatelką – mimo tego, że próbowała spalić żywcem czterdziestu mężczyzn i mimo wyroku w sprawie Kurkulasa. Sędzia przychylił się do jej prośby. Wyrok: trzy lata więzienia w zawieszeniu.

Wkrótce po ataku na Rahimiego ruszyła kampania wyborcza. W uznaniu zasług Skordeli dostała miejsce na liście Złotego Świtu – marzył jej się poselski mandat. Kandydatka na swoich ulotkach wspominała karierę w bankowości i przyrzekała, że tak jak mieczem walczyła o dzielnicę, mieczem zawalczy o całą Grecję. Jeśli zostanie posłanką, „poszatkuje zdrajców narodu”[19] – obiecywała. Nie przekonała wyborców.

W maju 2012 roku na Złoty Świt zagłosowało czterysta czterdzieści tysięcy osób, czyli siedem i pół procenta uprawnionych. Partia odniosła sukces, o jakim jej lider nawet nie śnił, zdobyła dwadzieścia jeden mandatów na trzysta możliwych. Utrudniło to zbudowanie koalicji rządowej, przez co wybory trzeba było powtórzyć miesiąc później. Między jednym głosowaniem a drugim złociści postanowili dokręcić śrubę. O dodatkowe głosy chcieli zawalczyć między innymi w portowym mieście Perama niedaleko Pireusu.

Perama, Kieratsini, Nikea, Pireus – przylegające do siebie miejscowości na zachodnich obrzeżach Aten – to miało być ich drugie zagłębie. Neofaszyści otworzyli tam partyjne biuro i liczyli, że uda im się powtórzyć eksperyment zakończony sukcesem na Ajios Pandelejmonas. W okolicy było wystarczająco wielu imigrantów i wystarczająco dużo biedy – ale były też różnice i wyzwania. Ta część Attyki zawsze uchodziła za bastion lewicy, bo zamieszkiwała ją przede wszystkim klasa robotnicza: pracownicy portów, stoczniowcy, mechanicy, marynarze, rybacy, niezbyt zamożni, ale dumni ze swego etosu. Miejscowi imigranci integrowali się szybciej niż gdzie indziej, uczyli języka, mieszkali nieco wygodniej, pracowali razem z Grekami, dla Greków albo zamiast nich – w sektorach, które stały się mniej dochodowe, jak choćby rybołówstwo. Przybysze z Afryki Północnej, a w szczególności z Egiptu, dominowali w rybnym biznesie i nikomu to nie przeszkadzało. Nikomu poza złocistymi.

Na pięć dni przed czerwcową powtórką wyborczą kandydat Złotego Świtu, urodzony w Peramie Janis Lagos, poinformował na wiecu, że wkrótce skutecznie zajmie się egipskimi rybakami, którym wydaje się, że mogą się bezkarnie panoszyć. Polityk powiedział, że dostaje od „zaniepokojonych mieszkańców" i przedsiębiorców liczne prośby w tej sprawie – więc czas zrobić z Egipcjanami porządek.

Jeśli łysy i brodaty Panajotaros uchodzi za postawnego, to Lagos jest po prostu wielki – widziałem go z bliska w 2020 roku na grecko-tureckim pograniczu – nie postarzał się, nie skurczył. Wysoki, zwalisty, z dłońmi jak bochny chleba. Zanim poszedł w politykę, był agentem ubezpieczeniowym, ogrodnikiem, a gdy przybyło mu mięśni, został bramkarzem w nocnych klubach, prywatnym ochroniarzem, stręczycielem i szantażystą[20]. Pływał też na statkach

na niebezpiecznych wodach wokół Rogu Afryki i uzbrojony w karabin strzegł ich przed somalijskimi piratami. Gdy wstąpił do Złotego Świtu, zwrócił uwagę samego lidera i został jego prywatnym ochroniarzem, a niedługo później awansował na członka ścisłej partyjnej wierchuszki, czyli pięcioosobowej Rady Politycznej (razem z Panajotarosem, rzecznikiem Kasidiarisem, szefem partyjnej młodzieżówki Jorgosem Jermenisem oraz samym liderem Michaloliakosem). Był też szefem zbrojnego skrzydła partii, czyli lokalnej brygady uderzeniowej dzielnicy Nikea, uważanej za wzorcową i szczególnie okrutną. Jej członkowie jeździli w góry na tajne szkolenia z obsługi broni czy sztuk walki, prowadzone przez byłych wojskowych lub policjantów na emeryturze. Na rozkaz Lagosa wsiadali na motocykle, zakładali kaski i bez oporu pałowali imigrantów.

Jeden z rozkazów dotyczył rybaków z Peramy – czterech kolegów, którzy razem mieszkali i codziennie rano wyprawiali się łódką na połów. Złociści znali ich dokładny adres. Zjawili się przed ich domem o trzeciej nad ranem. Przyjechali w dwudziestu, po dwóch na motorze. Akcją dowodził Anastasios Pantazis, właściciel sklepu z dekoracjami ślubnymi i ubrankami na chrzest. Mężczyźni zdjęli kaski i ruszyli do ataku. Świadkowie powiedzą, że napastnicy byli ubrani w czarne T-shirty z meandrem – symbolem partii. Abuzeid Embarak – dwadzieścia osiem lat, ojciec trzech małych córek – spał tamtej nocy na tarasie, bo w środku było mu zbyt gorąco. Usłyszał krzyki, otworzył oczy i zobaczył, że jest otoczony przez bandę nieznanych mężczyzn. Bili go metalowymi prętami i kijami bejsbolowymi, krzycząc przy tym: „Teraz zrozumiesz, co znaczy Złoty Świt!”. Abuzeid miał złamaną szczękę i nos, obrzęk mózgu

i zapadnięte płuco. Stracił mnóstwo krwi. Gdy złociści uznali, że nie żyje, próbowali z tarasu dostać się do wnętrza domu. Nie dali rady wyważyć drzwi, za to wybili okna i wrzucili przez nie gaśnice, celując w pozostałych lokatorów. Zdemolowali dwa samochody należące do rybaków i odjechali. Abuzeid spędził w szpitalu ponad dwa tygodnie i przeszedł kilka operacji. Nie wydobrzał – zostały mu problemy z koncentracją i chroniczne bóle kręgosłupa.

W czerwcowych, powtórzonych wyborach Złoty Świt stracił ledwie kilkanaście tysięcy głosów, ale osiemnaścioro posłów w parlamencie to i tak wielki sukces. Mandaty zdobyli między innymi Lagos, Panajotaros, Kasidiaris, sam Michaloliakos oraz Eleni Zarulia, jego żona.

Wieczór wyborczy dobrze zapamiętał mój rozmówca Janis Papadopulos, dziennikarz i szczupły maratończyk. Redaktor naczelny wysłał go do sztabu Złotego Świtu, żeby opisał reakcje na pierwsze, sondażowe wyniki. Biuro złocistych mieściło się niedaleko Ajios Pandelejmonas – przy dworcu głównym, zwanym Laryskim. Dziennikarz był jedną z pierwszych osób na miejscu. Przedstawił się, powiedział, w czym rzecz, zapytał, czy może wejść i zaczekać w środku. Usłyszał, że nie ma mowy.

– Mówili, że mam się oddalić, a de facto spierdalać, oni wiedzą, kim jestem, że Ta Nea to szmatławiec. Znają moje artykuły. Odpowiedziałem, że stoję na chodniku i będę tu sobie stał, ile zechcę. Nie mogą mi rozkazywać. Wtedy do mnie podeszli, wzięli pod ręce, podnieśli do góry i przenieśli kilkadziesiąt metrów w stronę skrzyżowania. Dasz wiarę? Gdy mnie tak nieśli, mówiłem: natychmiast mnie postawcie, nie macie prawa, chodniki nie są waszą

własnością. Jeden z nich odpowiedział: „Ty wciąż nie rozumiesz. Teraz nawet chodniki należą do nas”.

Temida Skordeli nie miała szczęścia w wyborach, ale dostała obietnicę, że partia poprze jej kandydaturę następnym razem, w kolejnych wyborach samorządowych. Usłyszała, że nadal ma działać w dzielnicy i walczyć o przyszłe głosy. Okazja nadarzyła się już kilka miesięcy później. Wczesną jesienią złociści zorganizowali na Ajios Pandelejmonas zbiórkę krwi – od Greków dla Greków. Promując wydarzenie, zapewniali potencjalnych dawców, że żaden imigrant nie załapie się na choćby kroplę ich krwi. To czysty rasizm – zawołali ateńscy lekarze w proteście i oświadczyli, że nie będą sprawdzać papierów potrzebującym. Przy kościele stanął krwiobus, do którego ustawiła się długa kolejka, stanęli w niej między innymi Panajotaros i Kasidiaris. Obok trwała akcja rozdawania żywności ubogim – ubogim Grekom. Finansowana rzekomo z budżetowych dotacji, jakie partia otrzymała, wchodząc do parlamentu. Żeby dostać oliwę, pomidory, ryż, ziemniaki czy kilogram małych rybek do smażenia, trzeba było się wylegitymować greckim dowodem. Dane spisywały wolontariuszki ubrane w czarne koszulki z napisem Złoty Świt – wśród nich pani Skordeli. Dzień był ciepły, atmosfera piknikowa. Dzieci dostały niebieską kredę i wyrysowały nią u schodów kościoła wielki napis: „Obcy, won z Grecji”.

To samo hasło złociści wielokrotnie wykrzykiwali w kolejnych miesiącach. Podzielili się na liczące maksymalnie pięć osób brygady uderzeniowe, piesze lub motorowe, i „patrolowali” teren zagłębia. Codziennie między dziewiętnastą a czwartą rano spacerowali między placem Attyki, Ajios Pandelejmonas a placem Wiktorii. Przechadzali się i a to włamali się do siedziby związku Tanzańczyków, a to

podpalili bar prowadzony przez imigranta z Kamerunu, a to wybili wszystkie okna w banglijskim markecie.

W trakcie jednego z takich „obywatelskich patroli" – 17 stycznia 2013 roku – zginął Shahzed Luqman. Pakistańczyk, który mieszkał w Grecji blisko cztery lata. Dzielił pokój ze swoim szwagrem. Co miesiąc wysyłał rodzicom dwadzieścia euro „money transferem".

Javed Aslam, przewodniczący Związku Pakistańczyków w Grecji, znał go osobiście, widywał na imprezach integracyjnych, które organizował. To on wyciął z jego paszportu zdjęcie, które później ilustrowało artykuły na temat brutalnego morderstwa. Dwadzieścia siedem lat, piękne, gęste, czarne włosy, łagodna twarz. Przystojny jak bollywoodzki amant. Aslam powiedział mi, że jego rodaka zabili, gdy nad ranem jechał rowerem na targ w pobliżu Akropolu, gdzie pracował przy rozładowywaniu ciężarówek z pomarańczami. Dostał siedem ciosów nożem. Było ich dwóch. Zadźgali go, wsiedli na motor i odjechali. To nie był przypadek – twierdzi Aslam. Upatrzyli go sobie. Shahzed skarżył się szwagrowi tydzień wcześniej, że musiał uciekać przed facetami na motorze. Za drugim razem nie dał rady uciec.

Aslam wysłał trumnę z ciałem Luqmana do Pakistanu i przez telefon pocieszał jego rodziców. A później organizował marsze i demonstracje przeciwko przemocy ze strony Złotego Świtu. Tym razem greckie media przejęły się martwym imigrantem – bo byli świadkowie, którzy nie bali się pójść na policję i opowiedzieć, co widzieli, oraz dlatego, że Aslam narobił szumu. Politycy wyrażali oburzenie, a policja wszczęła dochodzenie i szybko zatrzymała obu morderców. W ich domach znaleziono ulotki wyborcze złocistych w ilościach hurtowych oraz broń w postaci noży, kastetów, metalowych i drewnianych pałek. W pierwszej instancji zostali

skazani na dożywocie. Sąd apelacyjny zmniejszył im wymiar kary do dwudziestu jeden lat więzienia.

Pewnego dnia Aslam odebrał telefon od nieznajomego starszego pana z Salonik. Powiedział, że jest mu przykro i wstyd, i chciałby coś zrobić. W wiadomościach usłyszał, że Shahzed pomagał finansowo rodzicom i on też chce w ten sposób pomóc. Zastrzegł, że warunkiem jest jego anonimowość.

– Matka Shahzeda musiała sobie założyć konto bankowe, bo pieniądze poszły przelewem. Było ich tyle, że wystarczyło na kupno małego sklepu. Cała rodzina teraz z niego żyje.

●

Dzielnica Ajios Pandelejmonas już kilka lat temu przestała być rentierskim eldorado. Piwnice i sutereny znów służą za składziki na miotły, a nie za sypialnie dla imigranckich biedaków i pseudomeczety. Imigrantów ubyło, ale nie zniknęli. Niektórzy żyją tam już dobrą dekadę, zadomowili się, zakorzenili, pracują i wynajmują całe mieszkania.

W jednej z kawiarni przy placu zamawiam kolejną mrożoną kawę. Jest wczesny wieczór, zrobiło się chłodniej, a przez to znośniej. Myślę o tym, czy dekadę temu jako zagraniczny reporter, kaleczący grecki w co drugim zdaniu, byłbym tak samo nieinteresujący dla kelnera i sąsiadów ze stolika obok. Czy z sąsiedniej knajpy Portes nie wyszedłby nagle zaalarmowany Panajotaros? A co by było, gdyby wyszedł teraz? Mój grecki jest całkiem niezły – po uniwersyteckim kursie w Warszawie i ośmiomiesięcznym stypendium językowym w Joaninie kilka lat temu, po zakodowaniu w pamięci tekstów

kilkudziesięciu piosenek. Czytam, piszę, śpiewam, rozmawiam, potrafiłbym się nawet po grecku pokłócić, czasami po grecku myślę. Umiałbym i z Panajotarosem porozmawiać, choć dziś, wiedząc, co wyprawiał razem ze złocistymi przez ostatnie lata, wolałbym tego nie robić. Nie mam do niego już żadnych pytań. Żadnych złudzeń.

Skwer przed kościołem został sprzątnięty, wyremontowany, na placu zabaw dokazują dzieciaki – greckie i imigranckie, pół na pół. Jednak na ścianach okolicznych budynków tu i tam straszą jeszcze wyblakłe swastyki albo meander, niektóre zamalowane tak, by przypominały anarchistyczny symbol. Gdy pytam mieszkańców o Skordeli, gdzie mogę ją znaleźć, co u niej słychać, wzruszają ramionami i twierdzą, że ostatnio jakoś rzadziej ją widują.

●

Koniec spaceru, koniec tej wspaniałej miejskiej udręki. Wsiadam w trolejbus i dojeżdżam na plac Syntagma. Tuż obok Nikos, mój brat, prowadzi sklep z osprzętem do smartfonów i jednocześnie elegancki warsztat, gdzie wyszkoleni technicy – wśród nich pracująca dorywczo Anastasia, moja bratanica, córka Nikosa i Wiwi, studentka dziennikarstwa – na oczach klientów wymieniają stłuczone szybki, oliwią, co zardzewiało, wymieniają karty pamięci, wskrzeszają zdechłe laptopy, czyszczą, lutują, rozkręcają i składają. Nikos prowadzi sześć takich salonów w całej Grecji, Wiwi pomaga mu w księgowości. Idealny biznes na kryzysowe czasy. Jest wieczór, a ja tym razem zatrzymałem się u brata. Razem jedziemy do Glifady.

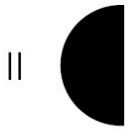

Fakt, że mają w samochodzie uciekiniera, który rozświetla na czerwono komputerowe systemy greckiej armii, zaniepokoił ciotkę Sułtanę i wujka Janisa. W drodze z dworca autobusowego do ich świeżo wykończonego domu na przedmieściach Salonik, zamiast sobie opowiadać o stanie rodziny, kto zachorował, kto wyzdrowiał, kto od ostatniego razu umarł, intensywnie milczeliśmy – ciszą niespokojną i niewygodną.

Było mi głupio, że zwalam się na nich z kłopotem i komplikuję plany. Miałem całymi dniami pracować, wychodzić z domu rano, wracać wieczorem, nikomu nie zawracać sobą głowy – ale kto by zatrudnił uciekiniera? To wbrew prawu. Za ukrywanie zbiega też pewnie groził jakiś paragraf. Miałem wrażenie, że nie tyle serwuję ciotce i wujkowi zmartwienie, co sam nim jestem. Pewnie poczułbym się lepiej, gdybym usłyszał, że wina jednak nie jest moja, że przecież nie wiedziałem, co czeka mnie na granicy, że jest lepszy kandydat na winowajcę – brat ciotki, a mój ojciec. On przecież musiał wiedzieć, to był jego obowiązek, żeby wiedzieć i żeby zawczasu się tą sprawą zająć. To jedno mógł zrobić! Pewnie dostawał pisma, wezwania, telefony. Tak bez niczego nie zacząłbym się wyświetlać w systemie na czerwono. Wyglądało na to, że byłem gdzieś zarejestrowany, zameldowany. Przy nim? Ja nawet przecież nie znałem jego adresu

w Salonikach. Czy ktoś jeszcze do mnie na ten adres pisał? W każdym razie do Chojnowa – na ulicę Samorządową – żadne ponaglenia nie przychodziły. Żaden grecki żołnierz się tam po mnie nie wyprawił. Dlaczego stary nie reagował? Dlaczego nikogo z nas nie informował? To on zawalił i uprzykrzył nam wszystkim życie. Przez niego grozi mi sąd i więzienie! Przez niego nie zarobię ani euro. Przez niego! – myślałem. Ale Petros – jego imię – nie przerwało naszej samochodowej ciszy. Majestat ojca pozostał nieskalany.

Ciotka z wujkiem byli wkurzeni – i mieli prawo. Ale niechby swoje nerwy skierowali tam, gdzie trzeba. Akurat oni dobrze wiedzieli, gdzie ojciec mieszkał. Był już wtedy trochę chory: alzheimer w początkowej fazie. Można było się nad nim pożalać, no problem, ale wciąż można było mu też jeszcze wygarnąć przewiny. Jeszcze nie umierał.

Minie sporo czasu, zanim zrozumiem, dlaczego tej sprawy nie załatwił. I ja, i moje rodzeństwo, byliśmy zameldowani pod jego adresem, co dawało mu prawo do pobierania za nas zasiłku, jakiegoś rodzinnego dodatku. Gdyby ojciec nas wymeldował, gdyby uporządkował naszą nieobecność w Grecji, gdyby nas z Grecji wypisał, straciłby finansowo. Straciłby – jeśli zsumować forsę, którą dostawał za nas (na nas!) od momentu naszego wyjazdu do Polski, a więc przez z górą piętnaście lat – sumę całkiem pokaźną. Jeszcze gdyby oszukiwał greckie państwo dla naszego dobra, gdyby nam to nasze greckie „500+” regularnie przysyłał (albo nawet nieregularnie, od czasu do czasu, raz na rok, raz na dekadę!), miałbym może dla niego więcej zrozumienia. Poza tym w ósmej klasie miałbym zimą

cieplejszą kurtkę, mógłbym pójść do dentysty na prywatną wizytę, nie musiałbym wypożyczać z biblioteki szkolnych podręczników.

– Jesteś głodny? – zapytała w końcu ciotka Sułtana. – Zrobiłam nadziewaną cukinię.

●

Czy Nikosa, swojego najstarszego syna – dziecko z pierwszego małżeństwa – ojciec też zameldował u siebie? Co czworo dzieci, to nie troje, zawsze parę stówek więcej. Nie wiem i Nikos też nie wie. Wie za to, że tak jak do nas nie dochodziły żadne alimenty od ojca, tak i do niego też – ani drachmy nie dostał.

Mama Nikosa, Elefterija Stawrakaki, razem z matką przyjechała do Polski w połowie lat pięćdziesiątych do swojego ojca, który trafił tam już kilka lat wcześniej jako wojenny uchodźca. Wśród czternastu tysięcy przybyszów z Grecji była i rodzina Sturisów z wioski Lagkadia na północ od Salonik, przy granicy z Macedonią Północną, i Stawrakakisów z Karoti pięćset kilometrów na wschód – znad rzeki Ewros przy granicy z Turcją. Sturisowie zameldowali się w Chojnowie, Stawrakakisowie w Legnicy. W Grecji by się raczej nie spotkali, w Polsce dzieliło ich tylko czternaście kilometrów. W obu miastach, a także w Zgorzelcu, Wrocławiu, Szczecinie, Łodzi, Warszawie, Nowej Hucie i Krościenku, uchodźcy prowadzili greckie świetlice – mężczyźni spotykali się tam po pracy, dyskutowali o polityce, planowali przyszły powrót do Grecji, czytali greckie gazety. Ich dzieci grały w ping-ponga, uczyły się greckiego i greckich tańców, wystawiały greckie przedstawienia. Ich żony zjawiały się rzadziej – gdy trzeba było przygotować grecką imprezę sylwestrową,

czyjeś imieniny, urodziny, wesele. Grecy chojnowscy mieszali się z legnickimi, wrocławskimi, zgorzeleckimi i vice versa. Bo razem raźniej, bo łatwiej znaleźć córce greckiego męża, synowi grecką żonę. Małżeństwa grecko-polskie nie były zakazane, zdarzały się dość często, ale lepiej widziane były te grecko-greckie – nie przez niechęć do Polaków, a z powodu wyobrażonych problemów logistycznych, które miały się pojawić, gdy wygnanie się zakończy i przyjdzie wracać do Grecji.

Petros Stouris i Elefterija Stawrakaki pobrali się na początku lat siedemdziesiątych. Zamieszkali w Chojnowie z jego rodzicami, moimi dziadkami. Ojciec pracował w Dolzamecie jako tokarz, a po pracy imprezował. Po jednym z takich całonocnych dansingów złamał żonie nos, nabił kilka guzów, narobił siniaków. Elefterija była wtedy w ciąży z Nikosem. Wylądowała na kilka dni w szpitalu i zanim wyszła, postanowiła, że wniesie o rozwód.

Opowiedziała mi o tym z górą czterdzieści lat później, gdy dziwnym zrządzeniem losu poznaliśmy się podczas zjazdu „polskich Greków" w mieście Trikala w środkowej Grecji. Elefterija usłyszała, jak się przedstawiłem, jak ktoś pytał: „Skąd jesteś, z Chojnowa? Skąd był ojciec?", a ja odpowiedziałem: „Sturis, Chojnów, Saloniki, Lagkadia". Wszystko jej się nagle ułożyło, wszystko do niej wróciło. Ucięliśmy sobie na tym wyjeździe kilka płaczliwych pogawędek[21].

– Przepraszał – tłumaczyła mi wtedy Elefterija. – Obiecywał, że nigdy więcej. Wysyłał do mnie Sułtanę, wysyłał matkę, żeby za niego ręczyły, ale ja nie wierzyłam ani jemu, ani im.

Nikos urodził się w 1972 roku. Cztery lata później – już po tym, jak w Grecji upadła junta czarnych pułkowników i nowy, demokratyczny rząd pozwolił dawnym uchodźcom na powrót do ojczyzny – chłopiec

razem z matką i jej rodzicami opuścił Polskę na dobre. Państwo Stawrakakisowie wrócili do Karoti, a Elefterija z synem została w Atenach, bo uznała, że w stolicy będzie mieć szansę na lepszą pracę i lepsze życie. Zatrudniła się jako kasjerka w domu towarowym przy ulicy Ermu, odchodzącej od placu Syntagma i ciągnącej się do stacji metra Monastiraki. Wieczorami i w weekendy dorywczo pracowała w tawernach – nie miała wyjścia wobec braku alimentów od byłego męża. Z pomocą rodziców i banku udało jej się wkrótce kupić mieszkanie w dzielnicy Kukaki – kilkaset metrów od Akropolu. Do dziś spędza w nim zimy, bo na wiosnę, lato i jesień migruje do Karoti, do rodzinnego domu z wielkim ogrodem.

Elefterija nigdy nie poznała mojej mamy – pierwsza żona nie poznała drugiej. Być może mijały się w Chojnowie albo w Legnicy, albo może nawet minęły się w Atenach. Ojciec zabrał raz mamę do Aten na wycieczkę. Spędzili w stolicy kilka dni i zwiedzali. Na Akropol mama wybrała się sama. Wspominała później w żartach, że jak typowa turystka źle dobrała buty i ślizgała się w czerwonych szpilkach po wytartych marmurach.

●

Po kolacji zadzwoniliśmy z newsami do mojej mamy – że nareszcie dojechałem. I niech przyjedzie na przysięgę, jak już mnie wezmą Grecy w kamasze, albo w odwiedziny, jak zaaresztują. Mama była stoiczką, nie miała w zwyczaju panikować. Ale czułem, że i ona się zmartwiła. Była zaskoczona, że ojciec – jej były mąż – dopuścił się takiego zaniedbania.

– Petros nie wiedział? – spytała ciotkę. – Musiał wiedzieć. Przecież wojsko wysyła wezwania. Nie mógł się zająć nawet tą jedną sprawą?

Ciotka była w niezręcznym położeniu. Kolejny raz – już nie wiem który – musiała się wstydzić za starszego brata. To znaczy: nie musiała, a mimo to się wstydziła. Tak ją wychowała babcia: że siostra, choćby młodsza, odpowiada za brata, matka za syna, żona za męża, generalnie kobieta za mężczyznę. Odpowiada, czyli bierze na siebie winę, czyli naprawia, co brat, mąż, syn, facet popsuje. Bo jemu wolno więcej, prawie wszystko.

Gdy mama uciekła od ojca siedemnaście lat wcześniej, ciotka też się pewnie wstydziła. Ojciec szalał – bo mu zupełnie nie pasowała nagła decyzyjność i sprawczość nieposłusznej żony, a ciotka pewnie czuła wstyd.

– Nie martw się, Zosiu. Coś wymyślimy – odpowiedziała.

Ich nowy dom był imponująco wysoki, z małym ogrodem od ulicy, z poletkiem na zioła, z dziką winoroślą pnącą się po drewnianym rusztowaniu, z którego zwisały klatki z rozśpiewanymi kanarkami. Parter zajmował wujek z ciotką, pierwsze piętro ich syn (mój kuzyn oraz imiennik) z żoną – mieli własną kuchnię, łazienkę, dwie czy trzy sypialnie i osobne wejście z ogrodu; drugie piętro, równie obszerne, przeznaczone było dla córki, mojej kuzynki Elektry, choć ona wolała stare mieszkanie w centrum Salonik i w nowym domu rzadko nocowała. Wpadała na obiady i pogaduszki, a wieczorami wracała do siebie. Nie miała jeszcze wtedy prawa jazdy, ale miała skuter. Wszędzie na nim jeździła. Była większa i od filigranowej matki, i od niskiego ojca, i gdy kolejny raz próbowali jej tłumaczyć, że ryzykuje – pacyfikowała ich srogą miną albo puszczała im wiązankę. Głośną, ale chyba niezbyt groźną, bo nikt się nie obrażał. Bywało, że

wrzeszcząc, puszczała do mnie oko i uśmiechała się, jakby mówiła: ty jesteś młody, ty mnie rozumiesz, nie to, co te stare grzyby. Nie miała nic przeciwko, gdy ciotka zainstalowała mnie w jej sypialni.

Filiro to małe miasteczko lub duża wieś na północno-zachodnich, górzystych przedmieściach Salonik. Niezbyt urokliwe. Jedynie wzdłuż krętej, ciągnącej się w górę drogi zdarzają się robiące wrażenie panoramiczne obrazki wielkiego portowego miasta. Po Turkach, którzy zajmowali ten teren do 1912 roku, nie ma ani śladu. Kiedyś ponoć zjeżdżali się tam gruźlicy, bo służył im mikroklimat. Wynajmowali pokoje od miejscowych i wdychali chłodne powietrze. Centrum Filiro to *platija*, plac, z przystankiem autobusowym, kilkoma tawernami, z cukiernią, piekarnią i warzywniakiem. Żeby dojechać do domu ciotki i wujka, trzeba się wspiąć jeszcze wyżej – na sam szczyt filirskiego wzgórza.

Taki spacer latem to mordęga, ale z nudów spacerowałem chętnie. Nic innego nie miałem do roboty. Nic poza czekaniem. Ciotka nauczyła mnie, jak poprosić w kiosku o papierosy, więc zostałem jej dostawcą tytoniu. Potrafiłem też kupić chleb i arbuza. Wieczorami chodziłem na boisko do pobliskiego gimnazjum, ćwiczyłem dwutakt i rzuty za trzy punkty. Albo na cmentarz, na grób babci. Nie żyła od trzech lat. Zmarła nagle – chociaż miała już dziewięćdziesiąt kilka lat (nikt dokładnie nie wie ile) i trudno powiedzieć, by jej śmierć była szokiem, ale przyszła praktycznie niepoprzedzona chorobą, pogorszeniem stanu zdrowia czy samopoczucia. Zmarła, jedząc zupę. Miałem z nią tylko pojedyncze wspomnienia. To za mało, by podtrzymać więź, która teraz mogłaby owocować smutkiem, choćby miniżałobą. Z tych kilku rozmów z nią i z opowieści jej córek wiedziałem, że życie miała dość podłe: musiała uciekać z Grecji

w czasie wojny domowej (jej rodzina aktywnie wspierała lewicową partyzantkę), zaczynać od nowa jako uchodźczyni w Czechosłowacji, później raz jeszcze w Polsce i jeszcze raz, gdy ćwierć wieku później wróciła do Grecji. Musiała być odważna i sprytna, skoro dała radę ochronić i utrzymać siebie i całą rodzinę. Przeżyła kilkuletnie rozstanie z dwójką dzieci (które z kontyngentem innych małych uchodźców trafiły do ośrodka wychowawczego w Policach, niedaleko Szczecina), co było dla niej może najtrudniejsze ze wszystkiego. W Chojnowie pochowała drugiego męża, mojego dziadka (pierwszy zginął jeszcze przed wojną, wracając z innej wojny, jednej z tych, o której nikt już dziś nie pamięta, o której nie pisze się książek), i nosiła się na czarno przez kilka kolejnych dekad, aż do własnej śmierci. Ciotka Sułtana przekonała resztę rodzeństwa, że najlepiej będzie, jeśli pochowają matkę właśnie w Filiro. Ma blisko na cmentarz, będzie opiekować się grobem. Razem wybrali zdjęcie, które zdobi teraz marmurowy, biało-szary nagrobek. Cztery lata później na tym samym cmentarzu odbędzie się pogrzeb mojego ojca. Przypadnie mu kwatera dwa rzędy za grobem matki.

Jeśli nie kupowałem papierosów, nie spacerowałem i nie grałem w koszykówkę, to albo oglądałem grecką telewizję, z której nic nie rozumiałem, albo przypatrywałem się gotującej ciotce. Polskie zupy lub warzywna sałatka nie robiły na mnie wrażenia – dla ciotki i wujka były za to jak zaświadczenie wystawione przez Urząd do spraw Skomplikowanej Tożsamości Powojennej i Uchodźczej, Pokręconych Gustów Kulinarnych i Językowego Misz-maszu. Były łącznikiem z przeszłością, z młodością spędzoną w Polsce oraz dowodem na pogodzenie się z kulturowym niedopasowaniem, z odstawaniem od reszty, z „greckością-nie-do-końca-polskością”. W poniedziałek mogli

jeść krupnik, „prawdziwym” Grekom nieznany, we wtorek musakę, a we środę schabowego z ziemniakami i tzatzikami. Ciotka jest porządną kucharką – „kucharką na oko”, z przepisami w głowie, z kolejnością czynności w małym palcu. Z cienkim długim wałkiem do „otwierania” ciasta filo. Po polsku ciasto się rozwałkowuje, po grecku otwiera. Więc patrzyłem, jak na blacie kuchennego stołu ciotka otwiera kolejne kawały ciasta i jak z małej kulki robi się cienki, prześwitujący, sprężysty placek, obły lub prostokątny, w zależności od formy, jakiej zamierzała użyć. Do prasopity – ciasta z porem i serem feta, używała największej prostokątnej formy, jaką miała.

Gdyby mi Grecy dali za moją dezercję z wojska dożywocie, ale obiecali zaserwować czasami prasopitę ciotki Sułtany – mój dramat byłby mniej dotkliwy. Tamtego lata ciotka piekła ją co najmniej raz na tydzień. Kroiła na kilkanaście kwadratowych kawałków, przechowywała pod płócienną ścierką i proponowała jako śniadanie lub kolację. Dwa kawałki to porcja szczodra, trzy to rozpusta. Zwykle prosiłem o trzy.

Złoto-brązowe ciasto jest tłuste, wilgotne, chrupiące, delikatne. Usmażony, słodkawy por i słona feta to piekielnie smaczny duet. Filo, którego cienkimi jak papier warstwami przekłada się farsz, musi być własnej roboty. Kupne jest niezłe, ale daje zupełnie inny efekt. Oliwa z oliwek, woda, mąka, łyżeczka octu – wymieszać, zagnieść, odstawić, by odpoczęło, otworzyć.

Patrzyłem i patrzyłem, wzrokiem notowałem, co i jak – aż w końcu skutecznie wszystko zapamiętałem i mam wyryte w pamięci do dziś. Przyznaję, zdarzały mi się czasami transgresje – a to zmieniłem proporcje, a to dodałem do fety innego sera, a to zaszalałem z jakąś przyprawą. Jednak w końcu zrozumiałem, że nie warto. Przepis,

którego ciotka Sułtana nauczyła się od swojej mamy i którego nauczyła mnie, jest idealny. Schodzi mi na tej picie prawie pół dnia. To nic.

WIELKIE GRECKIE URODZINY

Płynę na Eginę. Umówiłem się tam z pewną polityczką i jednocześnie archeolożką, która prowadzi na wyspie wykopaliska. Chcę ją zapytać o to, skąd są dzisiejsi Grecy – jak bardzo ze starożytności, jak bardzo z XIX wieku. Oraz o to, co z ideą greckości uczynił jeden nieżyjący brytyjski lord.

To krótka wycieczka, kilkugodzinna – mamy się spotkać o siedemnastej, a prom powrotny odpływa dwie godziny później – ale ponieważ męczą mnie hałaśliwe, rozpalone Ateny, ruszam w nią jak po oddech. Jakbym gnał do apteki po pilnie potrzebne lekarstwo utarte z morza, wiatru i ciszy, podane w formie zielonej, słodkiej pasty pistacjowej. W całej Grecji nie ma lepszych pistacji ani lepszych pistacjowych przetworów.

Wypływając z Pireusu, mijamy stare portowe baraki – na ścianie jednego z nich zawisła niedawno kolorowa płachta przypominająca o wielkiej bitwie morskiej pod Salaminą, długa na sześćdziesiąt metrów, szeroka na dwadzieścia. Musiała kosztować dobrych kilka euro. Chwilę później mijamy samą Salaminę. Człowiek ma myśleć: tłukli się tu już starożytni! W tym samym miejscu, na tym samym morzu, pod tym samym niebem. Tu! Dwa i pół tysiąca lat temu Grecy pokonali tu flotę groźnych Persów. Co prawda nie Grecy, a Ateńczycy, Spartanie, Chalcydyjczycy, Koryntczycy, Egińczycy

i wojownicy z innych polis – ale i tak duma. Nasi – myślą o nich współcześni Grecy. Nasi przodkowie, a więc: my. Stawiają im pomniki, uczą o nich w szkołach, rozwieszają na cześć dzielnych bohaterów olbrzymie płachty. Co bardziej niedouczeni mówią o cywilizacyjnym przedmurzu, pozwalają sobie na uwagi typu: gdybyśmy perskich barbarzyńców nie zatrzymali u brzegów Salaminy, nie byłoby Europy, jaką znamy. Rzadziej za to wspominają i mniej chętnie o tym, że chwilę wcześniej ze strachu przed nadciągającym wrogiem – perskim szachinszachem – dzielni ateńczycy swoje miasto porzucili i uciekli na pobliską wyspę; że Kserkses I kazał wyludnione Ateny zrównać z ziemią, że z dymem puścił Akropol i zburzył stojące na nim świątynie, w tym także bogato zdobiony Pre-Partenon (zostały po tej budowli tylko fundamenty i fragmenty kolumn, którymi umocniono północne zbocze wzgórza; do dziś je widać, ustawione w rzędzie, jeśli wiedzieć, z której strony spojrzeć). Trzydzieści lat później, w ramach wielkiego programu odnowienia Akropolu, w miejscu starej świątyni zburzonej przez Persów, a dziś kompletnie zapomnianej, stanęła nowa, świątynia świątyń – właściwy Partenon. I znów: nasz Partenon! Nasi go zbudowali – nasz Perykles, nasz Fidiasz! I dalej siłą rozpędu: nasz dramat, nasza demokracja, nasza filozofia, nasz złoty wiek. Kolebka, fundament, cywilizacja. Wszystko to my! Wszystko to nam zawdzięczacie dziś wy – nie-Grecy. Pamiętajcie o tym. Możecie zapomnieć, że w VI wieku Partenon przerobiono na chrześcijański kościół, że tysiąc lat później, gdy Osmanie zdobyli Ateny, kościół zamieniono w meczet – my też wolimy o tym nie myśleć. Zaakceptujcie te dziury w narracji, tę niewygodną wielowiekową ciszę. Wszystko, co najważniejsze na Akropolu – na

naszej „Świętej Skale”, a więc wszystko, co składa się na naszą grecką duszę, działo się wcześniej, powiedzmy, do V wieku przed Chrystusem, i później – od wieku XIX. To wtedy brytyjski hrabia ograbił Partenon z najcenniejszych dzieł, wywiózł do Londynu połowę świątynnych marmurów. Nam ukradł! Nam! Nasze!

Rejs trwa godzinę. Idealnie, by rozsiąść się w zacienionym miejscu z kawą na zimno, a później chwilę zdrzemnąć. Ryk silnika, śpiew mew i odgłos fal całkiem nieźle się dopełniają. Prom widmo – myślę, rozglądając się po pokładzie. Jest nas garstka, może trzydzieści osób. A dostępnych miejsc pewnie z pół tysiąca. Wyspiarze wracający do domów i paru zagranicznych turystów, którym niestraszna pandemia. Jadą po pistacje, po doświadczenie wyspy, żeby popatrzeć na ruiny świątyni Afai na wschodnim wybrzeżu. Przewodniki w rozdziałach o Eginie rzadko kiedy wymieniają inne atrakcje, nie rozpisują się też o tym, co miejscowi uważają za kwestię fundamentalną i powód do nieskończonej dumy – że oto Egina, nie Nafplio, jak chce Wikipedia i niedouczeni historycy, była pierwszą stolicą nowożytnej Grecji. Właśnie tak! Egińczyków wkurzają te przekłamania i ludzka niepamięć, bo przecież działy się na ich wyspie rzeczy ważne i przełomowe.

Na szczęście nadarza się okazja do koniecznych historycznych sprostowań. I to okazja nie byle jaka: dwusetlecie rewolucji, która doprowadziła do powstania nowożytnej Grecji. 1821–2021. Nieważna pandemia, kryzys gospodarczy, nieważne polityczne napięcia z tureckim sąsiadem o wpływy na morzu – rocznica ma przebiegać z pompą, jakiej w Grecji nie było co najmniej od Igrzysk Olimpijskich w 2004 roku. O Grecji znów ma być głośno, świat ma o Grecji usłyszeć i się nią zachwycić. Rządy nie przepuszczają dziś podobnych

okazji do ugrania na patriotyzmie i etnocentryzmie kilku sondażowych punktów. Politycy ględzą o pojednaniu, umacnianiu narodowej zgody, o dumie! Dumie, która ma nas przepełniać, którą jako „dumni Polacy" czy „dumni Grecy" winniśmy otwarcie manifestować. Stulecie niepodległości, dwusetlecie rewolucji, ćwierćwiecze takiej a takiej bitwy, powstania czy wojny – im dalej w przeszłość, tym łatwiej o tanie mitologizowanie, „wielkie" słowa i ścieranie kantów historii, bo uczestnicy historycznych wydarzeń od dawna nie żyją, nie mogą świadczyć, prostować, niuansować, przedstawiać równoległych i równoprawnych perspektyw. Z rocznicowego obrazka znikają pojedyncze ofiary, niegodziwości i nieludzkość, blednie przelana krew. Zostają „bohaterowie" na pomnikach. Wystarczy stanąć obok pomnika, wygłosić bombastyczne przemówienie i już – paru wyborców przekabaconych.

Premier Mitsotakis, cały rząd i partia, prezydentka Sakelaropulu, posłowie całej opozycji, samorządowcy, liderzy diaspory i grecki Kościół – wszyscy angażują się w obchody i liczą na kawałek rocznicowego tortu. Powstaje specjalny, napakowany ekspertami i wolontariuszami komitet, który ma się zająć tą superrocznicą. Kierowanie nim rząd zawierza zaprawionej w organizacyjnym boju Janie Angelopulu-Daskalaki – tej samej, która odpowiadała za „sukces" ateńskich Igrzysk. Z pochodzenia Kretenka, ale od lat mieszkająca w Londynie. Mówi się o niej: bogaczka (żona jednego z greckich armatorów i machera w przemyśle paliwowym) z niebotycznym ego, ekscentryczka, lubiąca zakurzyć kubańskie cygaro. Chętnie świeci światłem odbitym – jej autobiografia, podobno bestseller „New York Timesa", pełna jest zdjęć z Clintonami, Putinem, Mandelą, Sorosem, brytyjskimi royalsami. Za treść książki

służą opowieści o prywatnym samolocie, markowych ciuchach, butach, drogiej biżuterii, dywanie, który należał do Grety Garbo, a teraz głaszcze delikatne stopy Jany w luksusowym domu w Chelsea, niegdyś probostwie, gdzie ślub brał Karol Dickens i którego obsadzony wiśniami i magnoliami ogród rozmiarem ustępuje jedynie ogrodom Pałacu Buckingham – to sprawdzone info, podzielił się nim podczas pierwszej proszonej kolacji sam książę Karol, znany miłośnik ogrodów i przyjaciel rodziny. Mówi się: apodyktyczna, nieustępliwa, pamiętliwa pozerka, ale też odważna, konkretna, skuteczna w działaniu, kreatywna, z energią, jakby bez przerwy jechała na dopalaczach. Zaczynała jako skromna prawniczka, specjalistka od prawa karnego, później poszła w politykę – podczas pierwszej kampanii w wyborach do rady miejskiej w Atenach rozesłała wyborcom ziarna bazylii. Ci je zasadzili, wystawili doniczki na balkony i nagle – czytam dalej w autobiografii – grecka stolica, nękana od lat koszmarnym smogiem, wypełniła się powietrzem czystym, rześkim i pachnącym… Jana dostała mandat, a następnie, startując z ramienia konserwatywnej Nowej Demokracji, dwukrotnie wywalczyła miejsce w parlamencie. Wycofała się z polityki po zamążpójściu. Kilka lat później o pomoc w staraniach olimpijskich poprosił ją premier i lider lewicowego Pasoku. Zgodziła się. Pomogła wywalczyć Atenom prawo do organizacji Igrzysk i wróciła do Londynu. Ponieważ przygotowania się ślimaczyły, szef rządu znów wezwał ją na pomoc. Przyleciała, została prezydentką komitetu organizacyjnego (pierwszą w historii igrzysk kobietą na tym stanowisku!) i ku powszechnemu zdziwieniu dała radę nadgonić stracone lata. Nazywano ją „żelazną Janą”, albo „Jana, the bitch”, suką, bo taka była wymagająca – jak sama pisze.

Igrzyska okazały się sukcesem sportowym i organizacyjnym, wstrzyknęły w greckie żyły sporą dawkę narodowej dumy i zadowolenia, pomogły na chwilę zakopać społeczne podziały i wywołały ogólnonarodowe *kefi* – trudny do opisania i wyjaśnienia stan uniesienia, zwykle przynależny jednostkom, gdy się przy muzyce najedzą, napiją i wytańczą. Taki, powiedzmy, grecki haj. Jednak wkrótce przyszedł gospodarczy megakryzys, a wraz z nim pytania o to, czy rozsądnie było wolną ręką wydawać pożyczone miliardy na imprezę trwającą siedemnaście dni. Nikt nie krytykował budowy nowego lotniska, autostrad, metra, linii tramwajowej, kupna nowych autobusów i trolejbusów, ale już opustoszałe hale sportowe i stadiony budziły wątpliwości, podobnie wioska olimpijska czy centrum medialne – stawiane w pocie czoła przez albańskich imigrantów harujących na trzy zmiany, na gwałt, na już, pod dyktando „żelaznej Jany", byle zdążyć, byle uniknąć kompromitacji. Czy Ateny aby na pewno potrzebowały sztucznego toru kajakowego, nowej hali do podnoszenia ciężarów, nowych boisk do siatkówki plażowej, softballu i hokeja na trawie – obiektów do uprawiania dyscyplin, których w Grecji nikt nie uprawia? Obiektów, które jeden raz zaledwie gościły zawody, a później zostały zamknięte i oddane na żer rdzy i wilgoci. Może tymczasowe instalacje lepiej by się sprawdziły? Czy na serio trzeba było budować ekstrawaganckie lekkoatletyczne i piłkarskie stadiony, zamiast wyremontować te już istniejące? Nikt nie wie, ile to wszystko kosztowało – sześć miliardów euro czy może dwadzieścia siedem[22]. A co z dodatkową forsą na utrzymanie obiektów? Zabrakło. „Ateny w ruchu", oficjalne hasło na czas przygotowań do Igrzysk, zastąpił lament: „Obiekty w ruinie". To, co w ekspresowym tempie zakwitło na placach budowy, równie

szybko zwiędło. Dziś aż smutno na te rudery patrzeć. Moja bratowa Wiwi, miłośniczka wodnego aerobiku, na zajęcia dojeżdża do pobliskiego olimpijskiego kompleksu Ajios Kosmas. Mówi, że na basenie nie działa ogrzewanie, więc zimą marzną – a jeśli pada deszcz, to na nich też pada, bo dach jest dziurawy.

Wkurzona Jana na zarzuty odpowiada: nie moja wina. I pewnie ma rację. Bardziej zawinił jakiś element greckiej duszy u wszystkich zaangażowanych, jakieś greckie „zastaw się, a postaw się", grecki odpowiednik „jakoś to będzie". Ona sama była tylko częścią systemu. W dodatku ma raport, z którego jasno wynika, że jako prezydentka komitetu organizacyjnego nie zrobiła długów, ba – skończyła pracę na plusie! Z puli, jaką dysponowała, oddała do budżetu ponad sto dwadzieścia trzy miliony euro! A że sama zleciła raport i zań zapłaciła? No cóż.

Teraz władze znów proszą ją o pomoc. Dwusetlecie rewolucji coraz bliżej, trzeba zorganizować imprezę. A ona najlepiej wie, jak wyreżyserować narodowe *kefi*.

Angelopulu zjawia się w Atenach i zabiera do roboty z taką samą werwą jak dwie dekady wcześniej. „– Dwieście lat – wzdycha na okolicznościowym filmie nagranym nieprzypadkowo w Muzeum Akropolu. – Ta rocznica to szansa, żebyśmy oderwali się od codzienności, żebyśmy świętowali i bawili się, jak tylko my, Grecy, potrafimy. Ale także żebyśmy sobie przypomnieli, skąd pochodzimy, żebyśmy zrozumieli, dokąd doszliśmy, i zdecydowali, dokąd pójdziemy w przyszłości. Owszem, nasze wspomnienia się różnią, mamy inne marzenia, inne życia, ale wszyscy tworzymy Grecję"[23].

Chodząc po telewizjach w świetnie skrojonych garniturach, udzielając wywiadów, Jana przekonuje, że rocznica rewolucji jest

nawet ważniejsza niż Igrzyska, bo dotyka bezpośrednio greckiej duszy, i trudniejsza w przygotowaniu, bo rząd nie przeznaczy na nią ani euro. Kasę wykładają banki, fundacje, zamożni filantropi, firmy i bogacze z diaspory. Honorowi członkowie komitetu – kilku historyków, ale także socjolodzy, lekarze, genetycy, informatycy, ekonomiści, specjaliści od filmu czy folkloru – jak i sama szefowa, zgadzają się pracować za darmo, ku chwale ojczyzny.

Projekty – tym razem nie faraońskie, zapewnia Jana – zgłaszają szkoły, uniwersytety i samorządy. Więc poza podniosłymi przemowami polityków i składaniem wieńców, szykują się konkursy plastyczne (narysuj Bubulinę lub oblężenie Akropolu[24]), konkursy historyczne (w trzystu słowach wyjaśnij znaczenie rewolucji dla Grecji i świata), wykłady („Rola Kolokotronisa w walce o niepodległość", „Filhellenizm a sprawa grecka"), konferencje („Tesalia w okresie rewolucji. Echa polityczne, kulturowe i społeczne", „Herosi 1821 roku"), wystawy (autentyczna broń z epoki; stroje z epoki; dziecięce zabawki z epoki; rewolucja oczami dzieci – rysunki, wyklejanki, kolaże), prezentacje okolicznościowych monet i znaczków, pokazy i kursy tradycyjnych tańców, koncerty (uliczny koncert na lutnie, skrzypce, bębny i dudy) oraz setki innych tego typu wydarzeń. Ma się w tym garze wygotować danie o nazwie „greckość" i albo będzie mdłe i nijakie, nudne jak tradycyjna bieda-zupa z soczewicy jedzona trzeci dzień z rzędu, albo intrygujące i zaskakująco smaczne jak wegetariańska musaka z pomidorami zamiast mięsa, doprawiona cynamonem.

Zatem lud dorzuca składniki, co kto uzna za stosowne i znaczące, swoje dodają politycy, a Jana miesza zawiesinę wielką gospodarską łychą. Miesza i wizytuje – wizyty, wizyty, wizyty: we wsiach, miastach

i miasteczkach, na wyspach, w kościołach, w parlamencie, u pani prezydent, w Banku Centralnym, mennicy, w siedzibach partii. Wszędzie. I wszędzie powtarza te same frazesy. „– Chodzi o naszą tożsamość – tłumaczy wielbicielka patosu w liście otwartym do rodaczek i rodaków na okolicznościowej stronie Greece2021.gr. – Ale przede wszystkim chodzi o nasze jutro. Jak wyobrażamy sobie Grecję w 2031 roku, w 2051, Grecję przyszłości? Dzięki tej symbolicznej rocznicy sami chcemy spojrzeć na nas i nasz kraj, a jednocześnie chcemy pokazać się światu jako państwo nowoczesne, demokratyczne, wolne od dyskryminacji i uprzedzeń, jako integralna część Europy, którą od zawsze oświecaliśmy i która zawsze oświecała nas”[25].

Na Eginę Angelopulu przypłynie dokładnie tydzień po mnie. Na okoliczność jej wizyty władze wyspy na pewno każą uprzątnąć teren wokół pomnika Kapodistriasa. Przynajmniej ten stary fotel biurowy na kółkach niech tak obok nie leży rozkraczony, niech znikną opakowania po czipsach. Bo wstyd. W końcu Kapodistrias to jeden z „ojców założycieli” nowożytnej Grecji i jedyny, jak dotąd, grecki „gubernator”.

●

Od morza wieje lekki wiatr, chmury czasami zasłaniają słońce, gdzieniegdzie jeszcze kwitną bugenwille. Do spotkania z archeolożką mam kilka godzin. Sprzed pomnika Kapodistriasa w pobliżu portu idę do katedry – to tylko parę kroków, bo wyspiarska *hora* – stolica – jest kompaktowa, zwarta, dominują w niej wąskie uliczki, jakby pomyślana była dla pieszych, rowerzystów, ewentualnie

skuterowców. Janis Kapodistrias znalazł się w tym ładnym kościele z trzema czerwonymi kopułami zaraz po tym, jak zszedł na ląd z pokładu brytyjskiego okrętu wojennego. Był styczeń 1828 roku (rewolucyjne walki trwały już prawie siedem lat). Drogę do świątyni wyspiarze przystroili gałązkami wawrzynu i mirtu, wiwatowali na widok nowego wodza, który obiecywał, że zakończy wojnę z Osmanami i postawi na nogi rodzące się państwo. Nigdy wcześniej nie był w Grecji, urodził się na weneckim wówczas Korfu. Studiował w Padwie medycynę, filozofię i prawo, ale to polityka okazała się jego żywiołem. Nie miał nawet trzydziestu lat, gdy stanął na czele nowo powstałej, seminiepodległej Republiki Siedmiu Wysp – efemerycznego państewka na Morzu Jońskim (po siedmiu latach Francja wchłonęła wyspy, a republika zniknęła z map Europy). Później młody Grek wstąpił do rosyjskiej służby dyplomatycznej i jako wysłannik Aleksandra I do Zurychu pomagał Szwajcarom napisać nowoczesną konstytucję. Piął się po szczeblach kariery, aż doszedł na szczyt i został rosyjskim ministrem spraw zagranicznych. Wpływowy i doświadczony, dla członków Filiki Eterija, tajnej organizacji narodowowyzwoleńczej założonej w Odessie, był wymarzonym kandydatem na przywódcę nowego państwa. Przyjmując ofertę, Kapodistrias wiedział, że czeka go wyzwanie życia, prawdziwa orka na ugorze, bo nowo powstały kraj był w ruinie: bez instytucji, bez pieniędzy, z szalejącą biedą i co najważniejsze – wciąż w stanie wojny (sułtan uznał grecką państwowość dopiero trzy lata później).

W chłodnej, ciemnawej katedrze, w której Kapodistrias zaprzysiągł swój rząd, zemdlił mnie zapach kadzideł. Przez blisko dwieście lat niewiele się w niej zmieniło, poza oknami i dywanem. Kusiło mnie,

by usiąść na zabytkowym, ładnie zdobionym, drewnianym tronie gubernatora, ale gdy akurat zbierałem się na odwagę, do środka weszła pani sprzątająca i ksiądz.

Obok katedry, za zachwaszczonym ogrodem, marnieje budynek dawnej szkoły i akademii pedagogicznej (Kapodistrias miał hopla na punkcie edukacji i kształcenia nauczycieli). To wyjątkowe dzieło – pierwszy neoklasyczny gmach na terenie nowożytnej Grecji, z doryckimi kolumnami tworzącymi stoę i eleganckimi frontonami. Nie bardzo pasował do prowincjonalnej, rybackiej osady, za to zgadzał się z artystyczną wrażliwością gubernatora i grupy zagranicznych inżynierów, których ten przywiózł ze sobą na Eginę. Rosyjscy, francuscy i niemieccy architekci naczytali się na studiach Johanna Joachima Winckelmanna, nazachwycali jego koncepcjami „szlachetnej prostoty i spokojnej wielkości" w architekturze starożytnych, jego bombastycznym, a dziś mocno kontrowersyjnym przekonaniem, że w V wieku p.n.e. człowieczeństwo osiągnęło dzięki Grekom stan perfekcji, a sztuka, jaką Grecy tworzyli, jest nadrzędna wobec wytworów późniejszych epok. Choć słynny Niemiec, który na długie lata zaraził europejskie elity filhellenizmem, nigdy Grecji nie odwiedził, twierdził, że panuje w niej klimat idealny – sprzyjający geniuszowi oraz że cechą wyróżniającą starożytnych było bezgraniczne umiłowanie wolności. Jego wyznawcy szukali piękna w antycznych wzorach, a już pełnią szczęścia musiała ich napawać możliwość realizowania tych wzorów na pradawnej greckiej ziemi. Ich dzieła miały się wyróżniać, miały zachwycać i ozdabiać estetycznie ubogie sąsiedztwo, miały odwracać uwagę od domów, które zanadto kojarzyły się z Turkami. Koniec z wykuszowymi

balkonami *sachnisi!* – zarządził Kapodistrias. Wracamy do korzeni, do harmonii, symetrii, do kolumnad i portyków[26].

Za szkołę przy katedrze, w której później przez wiele lat mieściło się Muzeum Archeologiczne, zapłacił przyjaciel gubernatora z dawnych czasów, Jean-Gabriel Eynard. Szwajcarski bankier był dla odradzającej się Grecji aniołem stróżem, hojnym wujkiem, dobrodziejem. Jeszcze przed rewolucją przekonywał europejskich polityków do wsparcia greckiej sprawy, a w swoim domu organizował proszone progreckie kolacje. Założył filhelleńskie stowarzyszenie w Genewie, a później także w Bernie, Lozannie, Zurychu, Paryżu, Dreźnie, Monachium i Berlinie. Gdy wybuchły walki, zbierał dla Greków pieniądze, wysyłał walczącym broń, a głodującym w okupowanych miastach tony zboża. Z własnej kieszeni wyłożył fortunę na transporty leków, narzędzi do odbudowy oraz jedzenia – w tym ziemniaków, o które poprosił Kapodistrias, a które wcześniej były w Grecji kompletnie nieznane. Kiedy nie było innego wyjścia, pomagał spłacać Grekom zagraniczne pożyczki i współfinansował utworzenie Greckiego Banku Narodowego. Podobnie jak Winckelmann, Eynard nie zdążył odwiedzić Grecji, został za to jej honorowym obywatelem. A szkoła na Eginie – choć odrapana i wymagająca pilnego remontu – do dziś nosi jego imię.

●

Niezmierzona hojność Szwajcara wobec Grecji nie wzięła się znikąd. Przyjaźń z Kapodistriasem odegrała pewnie jakąś rolę, ale chodziło o coś więcej. O dług. Nie osobisty dług Eynarda, a symboliczny, niespłacalny dług wdzięczności wszystkich Europejczyków wobec

tych, którzy dwadzieścia kilka stuleci wcześniej wylali fundamenty pod europejską cywilizację i wobec ich bezpośrednich potomków, którzy niezasłużenie cierpią pod tureckim jarzmem. Taki był duch epoki, taki klimat panował wśród elit.

A zaczęło się od piszących podróżników w XVII i XVIII wieku, czyli od protoreporterów. Gdy handel między Europą a Imperium sułtana na dobre się rozhulał, oprócz kupców w drogę na południe i wschód ruszyli także francuscy, angielscy, szkoccy i niemieccy autorzy. Bywało, że zabierali ze sobą zaprzyjaźnionych malarzy czy rysowników. Po powrocie publikowali przewodniki i kompendia, często bogato ilustrowane, pełne zachwytów nad Akropolem, świątyniami na wyspach, nad mnogością ruin, nad starożytnością, która była jednocześnie zauważalną częścią teraźniejszości. Teraźniejszości okrutnej i bezwzględnej, bo oto synowie i córki dawnych Greków, których autorzy spotykali na szlaku, wiodą dziś żywot niewolników, zmuszeni służyć otomańskim opresorom.

„Cywilizowane kraje Europy powinny korzystać z każdej okazji, by informować się o ludziach, którym tak wiele zawdzięczają. To w nich znajdujemy nasze własne początki, źródło naszych manier, to oni zasilają fontannę naszej wiedzy" – pisał anonimowy tłumacz we wstępie do brytyjskiego wydania *Sentymentalnej podróży przez Grecję* francuskiego podróżnika Pierre-Augustina Guys'a w 1773 roku[27]. Czterdzieści lat później w swoim dzienniku z podróży słynny François-René de Chateaubriand prezentował styl jeszcze bardziej dramatyczny:

> Gdym zwiedzał Grecję, była posępna, lecz spokojna: na zburzonych pomnikach królowało milczenie niewoli; krzyk odradzającej się wolności jeszcze się nie rozlegał z głębi grobowca Harmodiosa i Aristogejtona; […] Zwaliska Sparty

> milczały; wysuszony skwarem letnim Eurotas sączył tylko trochę czystej wody; zdaje się, że chciał zostawić więcej miejsca dla krwi, która wkrótce miała napełnić jego koryto; […] Ateny były piękną osadą, a zielone drzewa jej ogrodów mieszały się z kolumnami Partenonu. Jeszcze nie zwalono ostatków rzeźb Fidiasza, aby służyły za mur ochronny dla narodu, który odzyskał dawną chwałę. […] Z niejaką pociechą spoglądałem na groby Turków; pomyślałem, że ci dzicy ujarzmiciele Grecji znaleźli także kres żywota na ziemi spustoszonej ich orężem[28].

Był na te książki ogromny popyt. Pisane w jednym języku, szybko ukazywały się w innych. Inspirowały rozmowy na salonach, modne, wielomiesięczne wyjazdy arystokratycznej młodzieży śladami starożytnych (zwane „Grand tour") i napędzały coś na kształt greko- czy może archeomanii. Były pożywką dla pisarzy i poetów. Voltaire, Goethe, Schiller, Shelley, w końcu najważniejszy w tym kontekście: Byron – wszyscy oni wzdychali nad Helladą, której wciąż nie było.

Byli za to Grecy – żywi, dotykalni, mówiący po grecku, ale też po francusku, włosku, rosyjsku, zwykle z greckim akcentem, egzotyczni, emanujący dziwną aurą. Synowie bogatych wyspiarskich kupców i wpływowych fanariotów z Konstantynopola, którzy studiowali na zachodnich uniwersytetach, a później podróżowali po Europie (byli to potomkowie możnych greckich rodzin, tradycyjnie pełniący ważne urzędnicze funkcje na dworze sułtana: dragomani, hospodarze, często z tytułem księcia), lub wysłannicy rosyjskiego cara (dyplomaci, żołnierze, z rodzin, które w przeszłości uciekały z Imperium Osmańskiego i osiadały w Odessie). Znajdywali drogę na europejskie salony, podobali się, z pasją przedstawiali „grecką sprawę". W drogę powrotną zabierali ze sobą wiedzę, książki do

tłumaczenia, nowe idee i koncepty, ale też przyjaźnie czy wspomnienia romansów – faktycznych i potencjalnych.

Taki na przykład Aleksander Mawrokordatos, po rewolucji wielokrotny premier Grecji, wcześniej członek Filiki Eterija, w czasie powstania lider frakcji modernizatorów, zwolennik konstytucjonalizmu; lord Byron nazywał go greckim Waszyngtonem[29]; poliglota; studiował w Pizie, gdzie zaprzyjaźnił się z brytyjskim poetą Percym Shelleyem i jego żoną Mary – autorką *Frankensteina*. Ona uczyła go angielskiego, on jej greki – razem czytali *Antygonę*[30]. Za pośrednictwem małżonków Mawrokordatos drukował w angielskiej prasie artykuły na temat walczącej Grecji. O zażyłości Mary Shelley i Mawrokordatosa pisze Charlotte Gordon, autorka *Buntowniczek*, biografii Shelley i jej matki Marry Wollstoncraft:

> Obojgu Shelleyom nic nie mogło się wydać bardziej pociągające niż walka o wyzwolenie kraju Platona i Homera, kolebki filozofii i poezji, Mary była jednak szczególnie poruszona. Mawrokordatos przypominał bohatera powieści romantycznej. Zawsze chciała spotkać kogoś takiego. […] W zimie 1821 roku odwiedzał Mary prawie codziennie. Zazwyczaj przyjmowała go w samotności, a w liście do Claire zakrzyknęła, że jest „zdecydowanie w moim typie, dobrze wychowany, wesoły, zdolny i przepełniony entuzjazmem dla Grecji". Mawrokordatos nie mógł się bardziej różnić od jej męża. Shelley był wychudzony, wrażliwy i niespokojny, Mawrokordatos promieniał zdrowiem i energią. Był żołnierzem, miał krepą budowę ciała, gęste włosy i zdrowy apetyt. Sytuacja nie zdążyła się jednak skomplikować, a uczucia rozwinąć, bo wezwano go w kwietniu do Grecji… On i Mary utrzymywali ze sobą kontakt, ale nigdy nie poczynili żadnych kroków w celu zacieśnienia znajomości[31].

Albo inny grecki bohater, Aleksanderos Ipsilantis – stojący na czele Filiki Eterija, a jednocześnie carski generał i dowódca brygady huzarów, pozbawiony ręki w walkach przeciwko Napoleonowi, dla Greków narodowy bohater. Niedługo przed wybuchem rewolucji przebywał w Kijowie, zbierał od polskiej szlachty datki na „wyprawy filoheleńskie”[32]. Podczas wystawnego przyjęcia na zabój zakochał się w Julii Wąsowiczównie, ubogiej krewnej szambelana Adama Wąsowicza. Oświadczył się jeszcze tej samej nocy. Szambelan był zachwycony:

> Wąsowiczówna pójdzie za ks. Ipsylantego, z cesarskiego rodu, przyszłego króla Grecyi. Wąsowiczów dom dojdzie do wielkiego znaczenia, królewskiego, cesarskiego nawet […] Tylko powiedz Waćpani Julce, żeby nie robiła żadnych zwodów, korowodów, bo to nie Podstarości ani Chorąży powiatowy, romanse zostawić na potem – a teraz broń sprezentować i powiedzieć – gotowam – jak za Sasów mówiono, *fertig*[33].

Bal zaręczynowy odbył się kilka dni później. Do ślubu jednak nie doszło, bo książę wyjechał szykować powstanie. Słał listy i obiecywał, że wróci, ale trafił do austriackiej niewoli i po siedmiu latach zmarł. Przed śmiercią wysłał Julii pukiel włosów i pierścień zaręczynowy.

Albo sam Kapodistrias. W 1826 roku poznał w Paryżu księżnę Piacenzy Sofię de Marbois-Lebrun, znaną w Europie filhellenkę. Wykształcony, szarmancki, był wówczas ministrem spraw zagranicznych Rosji i ucieleśnieniem szlachetnej idei, na rzecz której księżna od dawna nie żałowała grosza. Żeby wesprzeć rewolucję, sprzedała nawet część własnej biżuterii. Podczas pobytu w Paryżu Kapodistrias opowiadał kochance o toczących się walkach i uczył ją

greckiego. Trzy lata później sprowadził ją do Nafplio. Tam jednak miłość uwiędła, bo księżna wdała się w romans z jednym z Mawromichalisów – zaprzysięgłych wrogów gubernatora. Później przeniosła się do Aten, gdzie jej imię nosi dziś jedna ze stacji metra[34].

●

Wąskimi uliczkami Eginy, smutnymi, cichymi po sezonie, rozkosznie zacienionymi, dochodzę do Kiwernijo – dawnej siedziby rządu i domu gubernatora. Dwupiętrowy budynek z drewnianymi okiennicami od dawna jest w remoncie, otaczają go rusztowania obleczone zieloną siatką. Kapodistrias mieszkał tu i pracował przez ponad rok. Na parterze urządził drukarnię i pierwszą państwową mennicę – wybijano w niej nie drachmy (pojawiły się kilka lat później), a srebrne feniksy z symbolem mitycznego ptaka i krzyżem na rewersie. Do dziś zachowało się ich niewiele, ale pomysłowa Jana Angelopulu, we współpracy z narodową mennicą, wyprodukowała limitowaną serię feniksów – można je kupić w e-shopie i wesprzeć w ten sposób rocznicowe obchody.

Idę ulicą wzdłuż przystani, a później wzdłuż plaży, obok imponującego stadionu (zdarza się, że kopnięta na out piłka ląduje w morzu). Za nim znajduje się Fylakio – tak na ten niezwykły budynek mówią wyspiarze, nawiązując do jego niedawnego przeznaczenia. Fylakio znaczy więzienie. Wcześniej działał w nim szpital i szpital psychiatryczny. Zaprojektowany wokół wielkiego dziedzińca i zbudowany z piaskowca i marmuru, długi na sto czterdzieści metrów, szeroki na czterdzieści, choć mocno zaniedbany

i zamknięty na cztery spusty, wciąż robi wrażenie. Gdy powstał z inicjatywy gubernatora, mieścił szkołę, drukarnię, skromne zbiory Biblioteki Narodowej, ale przede wszystkim sierociniec dla sześciuset dzieci, które straciły rodziców w toczącej się wojnie. Były wśród nich sieroty z Chios, na której w 1822 roku Osmanie urządzili rzeź. Nie mieli litości dla wyspiarzy, którzy, jakkolwiek niechętnie, postanowili przyłączyć się do rewolucji. Bogata i gęsto zaludniona wyspa opustoszała – z ponad stu tysięcy chrześcijańskich mieszkańców została garstka. Siepacze sułtana na dowód swojej dzielności wysyłali do Konstantynopola beczki z zamarynowanymi uszami, które odcięli ofiarom. Obcinali też głowy – lokalnym politykom, żołnierzom, kupcom i księżom. Świadkowie mówili o rzece krwi. Kilkadziesiąt tysięcy kobiet i dzieci wysłano na targi niewolników w miastach Lewantu (Eynard, szwajcarski dobry wujek, wysłał pięćdziesiąt tysięcy franków, by ich wykupić). Część mieszkańców Chios zdołała uciec na wyspę Psara, jednak i tam dwa lata później Osmanie urządzili krwawą jatkę. Nieliczni, którzy uszli z życiem, trafili na Eginę.

Druga strona także popełniała zbrodnie. Do najgorszej doszło pół roku przed wydarzeniami na Chios i trzy miesiące po wybuchu rewolucji w marcu 1821 roku. Walczący o niepodległość Grecy nie mieli zawodowej armii ani choćby jednego dowódcy, który mówiłby oficerom – wy tu, wy tam, do ataku, do odwrotu. Mieli za to wielu samozwańczych liderów, a ci mieli własne armijki. Niezależni i krnąbrni, gdy usłyszeli, że idzie nowe, wsiedli na swoje pirackie statki, podkuli konie i ruszyli do walki. Niektórzy z nich wiedzieli co nieco o rewolucji francuskiej, obiły im się o uszy nowe pojęcia: „naród” i „narodowe odrodzenie”, łączył ich brak sympatii wobec

sułtana i wielka sympatia wobec tych, którzy przeciwko niemu spiskowali, zrzeszonych w Filiki Eterija. Ale inni – pewnie większość – węszyli okazję do zarobienia, do odpłacenia osmańskim wrogom, do umocnienia własnej pozycji pośród całej grupy watażków. Mieli gdzieś idee narodu i odrodzonego państwa – wolność chcieli wywalczyć dla siebie, swoich rodzin, swoich sprzymierzeńców. Wyspiarze nie ufali tym z lądu, właściciele statków – żeglarzom, posiadacze ziemscy – chłopskim wyrobnikom, wykształciuchy z Odessy przystrojeni w carskie mundury – niepiśmiennym kleftom i partyzantom w pończochach i spódnicach (*fustanellach*). Te głębokie podziały doprowadzą wkrótce – jeszcze przed zakończeniem rewolucji! – do dwóch wojen domowych, ale w początkowej fazie powstania działały na jego korzyść.

Sygnał do ataku dała Filiki Eterija. Aleksander Ipsilantis, narzeczony polskiej szlachcianki, zebrał kilka tysięcy ochotników, uzbroił ich, dał do rąk proporce z wizerunkiem Feniksa i hasłem o zmartwychwstaniu z popiołów. Ruszyli przeciwko Osmanom z terenu dzisiejszej Mołdawii i… zostali rozbici. Ale to nic – Grecja już się stawała, nie było odwrotu. Lokalni przywódcy, o których greckie dzieci w podstawówkach śpiewają dziś piosenki, szykowali się do ataku. Dzielna pięćdziesięciolatka Laskarina Bubulina i opłacani przez nią żołnierze na pokładzie jej ośmiu prywatnych statków wypłynęli już ze Spetses w kierunku obleganego przez Turków Nafplio, a jej rówieśnik, Teodoros Kolokotronis, nazywany starcem z Morii, jeden z najdzielniejszych greckich wojaków, z bujnym siwym wąsem i długimi siwymi włosami wystającymi spod słynnego czerwonego hełmu (prezent od przyjaciół Anglików), cwałując na południe

Peloponezu, zwoływał do ataku kolegów kleftów. Zaczęła się rewolucja!

Walka partyzancka okazała się skuteczna tym bardziej, że Mahmud II bardziej niż powstaniem Greków zajęty był akurat niewdzięcznym i buntującym się Alim Paszą w Joaninie. To tam, w ejalecie – regionie – zwanym Rumelią, sułtan skoncentrował większość wojsk, ejalet peloponeski, zwany wówczas Moreasem, zostawiając na pastwę rewolucjonistów. I właśnie tam, po krwawych bitwach, kolejne miasta z przewagą ludności chrześcijańskiej ogłaszały, że oto zrzuciły tureckie jarzmo. Miejscowi muzułmanie, nieliczni, których nie dosięgły noże i kule, uciekali w przerażeniu. Ich domy, zakłady rzemieślnicze, obory i pola puszczano z dymem, bezczeszczone meczety przerabiano na magazyny, wysadzano w powietrze minarety.

W środku lata 1821 roku rewolucja dotarła do Tripolitsy (dziś Tripoli) – jednego z ważniejszych centrów administracyjnych i politycznych. Oblężenie miasta trwało cztery miesiące. Za warownym murem – długim na trzy i pół kilometra i wysokim na cztery metry – chroniło się ponad trzydzieści tysięcy osób, głównie muzułmanie i Żydzi, ale także spora grupa Albańczyków. Najbogatsze rodziny łapówkami przekupiły greckich dowódców (w tym Kolokotronisa i Bubulinę) i cichaczem opuściły miasto. Z kolei Albańczycy – nieuważani za wrogów – zgodę na wymarsz wynegocjowali. Cała reszta czekała na cud. Ale zamiast niego nadeszły głód, pragnienie i śmiercionośne epidemie. O świcie 23 września kilku greckich bojowników wspięło się na mur. Przeskoczyli na drugą stronę i otworzyli bramy miasta. W ruch poszły noże i strzelby. Rzeź cywilów trwała trzy dni. „Na wspomnienie

odgłosu gruchotanych i łamanych kości do dziś przechodzą mnie ciarki. Błagałem ich, by się opamiętali, ale na próżno. Bałem się wręcz, że i mnie zaatakują. Tak wielkie było ich zatrucie nienawiścią do Turków i chęcią ich zabicia" – pisał po latach grecki partyzant Fotios Chrisantopulos[35], a William St. Clair, brytyjski filhellen i uczestnik walk, dodawał: „Więźniów, których podejrzewali o ukrycie majątku, Grecy brutalnie torturowali. Wyrywali im ręce i nogi, powoli dźgali ich nożami, przypalali. Otwierali brzuchy ciężarnym kobietom. Od piątku do niedzieli wiatr był pełen krzyków. Jeden Grek chwalił się, że własnoręcznie zamordował dziewięćdziesiąt osób. Inni w radosnym nastroju strzelali do wygłodniałych tureckich dzieci. Wrzucone do miejskich studni rozkładające się zwłoki zatruły wodę"[36].

Miasto i okolice zmieniły się w jedno wielkie trupowisko. Kolokotronis wspominał nawet, że musiał dyscyplinować swojego konia, który wierzgał przed stertą ciał i nie chciał iść dalej. Historycy szacują, że Grecy zabili w Tripolitsy około dwudziestu tysięcy muzułmanów i Żydów. Niektórzy mówią wprost o ludobójstwie albo czystce etnicznej. Nikt dziś nie wie na pewno, dlaczego Grecy zabijali: z chęci zemsty za wcześniejsze tureckie masakry, z nienawiści, ze złości, jaką niewolnik może czuć do pana, z przekonania o wyższości chrześcijaństwa nad innymi religiami, z antysemityzmu, z biedy?

Sułtan w walce przeciwko Grekom zarządził bezwzględną brutalność. Mówił o świętej wojnie przeciwko niewiernym, a patriarchę Konstantynopola Grzegorza V, choć ten był przeciwko powstaniu i Ipsilantisa ekskomunikował, kazał powiesić na bramie

jego własnej rezydencji. Trzy dni później jego ciało wrzucono do morza.

Rewolucja od początku była serią dwustronnych rzezi. Nowożytna Grecja rodziła się w bólu. Z popiołów, ale też z brutalnej przemocy.

Uspokojenie przyszło dopiero kilka lat później – po kolejnych niezliczonych bitwach i masakrach, po dwóch wojnach domowych, po trzykrotnym oblężeniu miasta Missolungi, po „wyczyszczeniu" Peloponezu i wielu wysp z muzułmanów i Żydów, po tym, jak w walkach zginął Panos, syn Kolokotronisa ożeniony z Eleni, córką Bubuliny, po odbiciu z rąk Osmanów Akropolu, po tym, jak wyschło morze krwi, a przede wszystkim po tym, jak do rewolucji nareszcie udało się włączyć zagranicę. Londyn, Paryż i Petersburg zgodziły się wziąć powstającą Grecję pod opiekę i naprzemiennie wysyłały do jej obrony statki i żołnierzy. Tym samym zapewniły sobie na jej terenie mocne wpływy – a Grecy szybko podzieli się na zwolenników któregoś z trzech stronnictw o wyszukanych nazwach: partii angielskiej, francuskiej lub rosyjskiej.

To pod eskortą trzech zagranicznych okrętów wojennych – sam będąc na pokładzie brytyjskiego – Janis Kapodistrias dobił do brzegów nowo powstającego państwa. Na urząd gubernatora w kwietniu 1827 roku wybrali go członkowie Trzeciego Zgromadzenia Narodowego w Trojzenie. Sami faceci, rzecz jasna – stu siedemdziesięciu trzech. Ani Bubulina, ani inne bohaterki rewolucji, jak Manto Mawrojenos, nie zostały zaproszone do obrad (ta ostatnia zgodziła się nieco później pokierować sierocińcem na Eginie). Zgromadzenie ustaliło, że stolicą nowego państwa będzie peloponeskie Nafplio, ale gdy Kapodistrias wreszcie do niego zawitał, miasto było w chaosie, w stanie małej wojny domowej – a to

z powodu dwóch skłóconych watażków (w dodatku kuzynów), którzy ostrzeliwali się i bombardowali zza murów dwóch zbrojnych twierdz[37]. Ich ludzie napadali na cywilów, grabili domy i podpalili stary, zasadzony przez Wenecjan gaj oliwny – z dymem poszło trzydzieści tysięcy drzew. Gubernator uznał, że w mieście jest zbyt niebezpiecznie i nazajutrz kazał się zawieźć na Eginę. Zamieszkał w Kiwernio, gdzie urządził sobie również biuro. Nie pobierał pensji i zrzekł się należnej mu rosyjskiej emerytury, ba – on do swojej pracy dopłacał: spieniężył osobisty majątek i dochodem zasilił budżet. Pracował ponoć od czwartej rano do późnego wieczora, podpisując dekrety powołujące służbę pocztową, bank centralny, armię, rejestr gruntów, administrację regionalną i sądy; zarządzając odbudowę zniszczonych miast, portów i latarni morskich; organizując szkoły, muzea, biblioteki; wysyłając za granicę listy z prośbami o pożyczki. Tak się rozpędził w tym państwotworzeniu, że nie chcąc zwalniać, nie chcąc tracić energii na daremne waśnie i debaty, ogłosił, że czasowo zawiesza konstytucję, a później zwlekał miesiącami ze zwołaniem Zgromadzenia Narodowego. Pytany, jak śmie i dlaczego, odpowiadał, że ma ważniejsze sprawy na głowie niż polityka – musi na przykład zatrudnić i przeszkolić nauczycieli do nowo otwieranych szkół.

Historycy nazywają go dziś wielkim reformatorem, ojcem założycielem, ale też oświeconym despotą, który chciał powielać wzorce, jakie obserwował na carskim dworze w Petersburgu. Owszem, postawił kraj na nogi, tchnął w rozchwianą Grecję ducha nowoczesności i praworządności, ale jednocześnie wydmuchał z niej zalążki demokracji, trójpodziału władzy, parlamentaryzmu. Czy z czasem skręciłby na te właśnie ścieżki – tego się nie dowiemy.

Kapodistrias nie dokończył siedmioletniej kadencji, na którą został powołany: 27 września 1831 roku, już po tym, jak zdążył opuścić Eginę na rzecz oficjalnej stolicy, został zabity na schodach kościoła w Nafplio. Zginął od strzału w głowę i ciosu nożem w brzuch. Zamachowcami byli brat i syn Petrobeja Mawromichalisa, jednego z najważniejszych rewolucyjnych liderów. Kapodistrias kazał go aresztować, bo jak wielu innych peloponeskich i wyspiarskich ludowych przywódców buntował się przeciwko reformie podatkowej. Większość z nich domagała się reparacji za rzekome straty poniesione w czasie rewolucji, a już najbardziej nie w smak im było, że oni sami zauważalnie słabli, tracili wpływy w zderzeniu z coraz silniejszym państwem, musieli dzielić się władzą z instytucjami, musieli przestrzegać nowych kodeksów, podczas gdy ich celem była niczym nieograniczona wolność. Po śmierci gubernatora wzięli się za bary. Raczkująca Grecja na ponad rok znów pogrążyła się w chaosie. Wtedy zagraniczne mocarstwa uznały, że Grekom potrzebna jest nie republika, a monarchia i król, który pogodzi zwaśnione strony. Wybór padł na młodego bawarskiego księcia. Gdy szesnastoletni Otton schodził na ląd w porcie w Nafplio, tłumy witały go tak entuzjastycznie, jak niedawno witały Kapodistriasa.

Krewni Petrobeja, zabójcy gubernatora, mieli działać w ramach rodowej zemsty. Ale historycy do dziś mają wątpliwości – tłumaczą, że gubernator na skutek swoich autokratycznych zapędów podpadł zarówno Grekom, Francuzom, którzy mu nie ufali i uważali za rusofila, jak i Brytyjczykom. Ci ostatni wciąż odmawiają otwarcia archiwów z dokumentami z dnia zamachu i okresu przed, kiedy być może zamach był planowany. Dyplomatyczne depesze słane do Londynu wciąż są tajne.

●

Gdy Kapodistrias konał na schodach kościoła, gdy jego ochroniarz strzelał do jednego z uciekających zamachowców (zabijając go), a drugi pukał w tym czasie do drzwi francuskiej ambasady i prosił o azyl (wkrótce został skazany na śmierć i rozstrzelany), kartografowie kreślili już nowe mapy Europy i świata. Wpisywali na nie nową nazwę: Grecja. Już była, już się odrodziła, zaistniała (oficjalnie potwierdził to protokół z 3 lutego 1830 roku podpisany w Londynie na życzenie zagranicznych mocarstw, ku złości i bezradności sułtana). Tak kończyła się krwawa, brutalna, trwająca blisko dekadę rewolucja: narodzinami.

Można było już krzyczeć: Ζήτω η Ελλάδα!, *Zito i Ellada*, Niech żyje Grecja!

Była już *Oda do wolności* Dionisiosa Solomosa, którą recytowano. Długa na sto pięćdziesiąt osiem strof, opowiadająca o rzezi na Chios, masakrze w Tripolitsy i innych akordach rewolucji, popularna, chętnie czytana, szybko przełożona na wiele języków, drukowana w europejskiej prasie. Później stała się narodowym hymnem.

Było państwo. Flaga w kolorach niebieskim i białym. Pieczęć państwowa z wizerunkiem bogini Ateny.

Były oficjalne nazwy: *Ellada* dla kraju i *Ellines* dla mieszkańców.

Była zgoda co do pochodzenia, czyli wspólnych przodków. Poczucie więzi wynikające ze współdzielenia kultury, języka, terytorium, religii. Poczucie narodowej samoświadomości, a więc i odrębności. *Jenos*, czyli wspólnota kulturowa, zamienił się w *etnos*, albo może został w *etnos* wchłonięty.

Był artykuł 2 Tymczasowej Konstytucji z Epidawros z 1822 roku: „Wszyscy rdzenni mieszkańcy Greckiej Ziemi wierzący w Chrystusa są Hellenami i mają prawo do równego korzystania ze wszystkich praw". Oraz artykuł 5, może najważniejszy: „Rząd wkrótce zajmie się ustawą o naturalizacji dla wszystkich obcokrajowców, którzy chcą zostać Grekami".

Słowo się rzekło. Według kolejnych konstytucji z 1823 i 1827 roku Grekiem nie trzeba się było urodzić, można było nim zostać. Jeśli przybywa się z zagranicy i wierzy w Chrystusa, wykazuje postawę patriotyczną, mieszka się na terenie Grecji co najmniej pięć lat, jest się niekaranym i ma się nieruchomość, albo jeśli dokonało się na rzecz Grecji czynów wielkich i chwalebnych, jeśli się za nią walczyło, jeśli złożyło się przysięgę na wierność Grecji. Albo… jeśli, jak ja, ma się ojca Greka.

Gdy umierał Kapodistrias, w powietrzu nad Grecją fruwała już także abstrakcyjna idea: „greckość" – w swej pierwszej nowożytnej odsłonie, zbiorowe trzecie oko skierowane do wewnątrz. „Greckość" – która ciągle będzie się zmieniać, będzie wyzwaniem, będzie sprawiać problemy, będzie się upominać, jak o mnie wtedy, gdy w drodze do Salonik wysiadłem z autokaru na bułgarsko-greckiej granicy.

●

Egina krótko była stolicą. Nafplio zresztą też – bawarski król wkrótce po przybyciu do Grecji na siedzibę dworu i nową, permanentną stolicę wybrał Ateny. Podobnie jak jego ojciec, młody Otton był filhellenem, choć przed oczami miał niezbyt imponującą mieścinę,

choć bywało, że jego powóz zamiast sunąć brukowanymi ulicami, grzązł w błocie po byle deszczu, król elekt wolał widzieć to, co podpowiadała mu wyobraźnia, co wyczytał w książkach: potężne niegdyś państwo-miasto i żywych wciąż jego najsłynniejszych mieszkańców. Bawarczyk roił nawet, że każe sobie zbudować pałac na Akropolu.

Po tym, jak z wyspy wyniósł się gubernator i jego ludzie, Egina w krótkim czasie z prowizorycznej stolicy znów stała się grajdołem. Ale zachowała dumę, którą do dziś stara się dyskontować. Jej władze walczą o uznanie dawnego nieformalnego statusu na każdy możliwy sposób. U mera Aten próbowały wynegocjować, by wspólnie – pierwsza stolica i finalna – zorganizować rocznicowe obchody. Bez powodzenia. A gdy na stronie Greece2021.gr ukazał się kalendarz rocznicowych wizyt, oburzeni Egińczycy wysłali do Jany Angelopulu list z pytaniem, jak śmie w pierwszej kolejności jechać do Nafplio. Gdy wreszcie przypłynęła – tydzień po mnie – witana była dość serdecznie. Jej spacer pokrył się z moim, nie odwiedziła jedynie sierocińca. Słowo „stolica" nie padło z jej ust, ale towarzyszący jej szef lokalnego minikomitetu organizującego obchody stwierdził, że to dzięki boskiemu przeznaczeniu Grecja odrodziła się właśnie na jego wyspie[38]. „Wszystko zaczęło się na Eginie" – powiedział[39]. Twarz Jany pozostała niewzruszona.

●

Archeolożka, z którą umówiłem się na rozmowę, to Despina Kutsumba. Na Eginę przyjeżdża od dwóch lat, by dokładnie poznać dwa starożytne porty – wojskowy i komercyjny. Powstały przeszło

dwa i pół tysiąca lat temu, gdy wyspa była ważnym centrum handlu i polityki. Teraz porty znajdują się pod wodą, nigdy wcześniej nie były szczegółowo zbadane.

Kiedy przyjeżdża, Kutsumba mieszka na wyspie przez kilka tygodni. Co rano wkłada piankę, płetwy, maskę, doczepia butlę tlenową i nurkuje. Pod wodą ogląda, czyści, mierzy, fotografuje. Późne obiady, razem z całą archeoekipą, jada w tawernie przy plaży, tuż obok zatopionych portowych zabudowań – tam też się spotkamy. Jestem na miejscu kilka minut przed czasem. Rozsiadam się przy stoliku zasłanym papierowym obrusem. Zamawiam zimne piwo. Wzrokiem próbuję przyciągnąć góry na horyzoncie – wysokie, ciemnozielone, momentami ołowiane, niewyraźne, jakby za mgłą czy bryzą, jak wielkie kły wyrastające z morza. To pobliska wysepka Angistri i dalszy Peloponez, jego strome, groźne brzegi. To samo widziały oczy Kapodistriasa. Sto, dwieście, tysiąc, dwa i pół tysiąca lat temu zarządca portu czy gospodyni na wzgórzu zrywająca listki oregano patrzyli na te same góry i to samo morze. Może nawet czuli podobne zapachy. A jeśli było im zbyt gorąco, robili to, co ja – zsuwali sandały i brodzili w płytkiej, falującej wodzie.

Despina Kutsumba pochodzi z Krety, podwodną archeologię studiowała w Atenach, na uniwersytecie imienia Kapodistriasa. Jest lewicową polityczką, byłą i obecną szefową Stowarzyszenia Archeologów Greckich. W internecie pełno jest jej gniewnych wystąpień, krytycznych wobec wszystkich ostatnich rządów. Główny zarzut: rządzący nie cenią pracy archeologów, nie szanują kultury, nie chcą na nią łożyć nawet jeden procent PKB. Jeśli muszą ciąć wydatki, zawsze zaczynają od kultury. Tak było dekadę temu, gdy Grecję zmiażdżył gospodarczy kryzys. Budżet Ministerstwa Kultury

okrojono o trzydzieści pięć procent, zamrożono nowe etaty, zredukowano wiele istniejących. W całej Grecji pracę straciło tysiąc pięciuset muzealnych strażników[40]. Skutek był taki, że w Olimpii w lutym 2012 roku dwaj zamaskowani i uzbrojeni złodzieje napadli na strażniczkę Muzeum Historii Starożytnych Igrzysk Olimpijskich. Dwuosobowe dyżury zamieniono tam wcześniej na samotne zmiany. Kobieta nie miała jak się bronić. Złodzieje związali ją i zakneblowali jej usta. Ukradli kilkadziesiąt figurek z gliny i mosiądzu oraz starożytną biżuterię.

Łupienie starożytnych skarbów to w Grecji niemal tradycja. Ponad dwieście lat temu zapoczątkowali ją przybysze z zagranicy, uduchowieni filhelleni, europejscy arystokraci na „grand tourowych" wywczasach. Co by tu jeszcze ze sobą zabrać do domu? – zastanawiali się zamożni Francuzi, Brytyjczycy, Niemcy, Skandynawowie, podróżujący po tureckim imperium, zaczytani w popularnych przewodnikach. Nie dla nich wyrzucone na brzeg muszelki i dorodne kamienie. Oni woleli dzieła Fidiasza, a choćby i jego mniej zdolnych kolegów. Romejowie, bo tak przez setki lat mówili o sobie Grecy (jako poddani cesarza bizantyńskiego chcieli się odróżnić od pogańskich Hellenów), nie byli szczególnie do tych obiektów przywiązani, podziw względem starożytnych rzeźb, budowli czy ruin równał się bałwochwalstwu. Dlatego rozbijali je, by sprawdzić, czy wewnątrz nie kryje się skarb, używali do budowy domów lub umacniania murów obronnych, ale bywało także, że ze strachu przed mityczną klątwą lub plagą omijali je z daleka. Dopiero wyjazdy na Zachód i studia młodych Greków w Padwie, Paryżu, Monachium czy Londynie pomogły zmienić tę optykę. Grecka inteligencja zaczęła podzielać zachodnie wzory, nasiąkała zachodnimi

ideami, w tym gloryfikacją wszystkiego, co antyczne. Działo się to w latach bezpośrednio poprzedzających rewolucję, już po tym, jak zagraniczni amatorzy antycznych artefaktów zdążyli nakraść i sprzedać zagrabione łupy. Albo zniszczyć, jak Michel Fourmont, ksiądz i profesor, wysłannik francuskiego króla Ludwika XV. W 1729 roku Fourmont dostał od sułtana zgodę na poszukiwania starożytnych manuskryptów. Chciał nimi wzbogacić królewską bibliotekę. Szukał tyleż uparcie, co bezowocnie. W końcu przerzucił się na kopiowanie inskrypcji ze ścian świątyń i antycznych budynków. Kopiował, ile się dało, a co już skopiował, to burzył rękami zatrudnionych robotników, jakby owładnięty demonem destrukcji. Grasował po całym Peloponezie, miał w planach wycieczkę do Olimpii, ale najbardziej zuchwale poczynał sobie w Sparcie. Chwalił się w listach do przyjaciół:

> Nie został kamień na kamieniu. Od ponad miesiąca moja załoga, licząca trzydziestu, czasem czterdziestu, a nawet sześćdziesięciu chłopów niszczy i eksterminuje Spartę. Odgłosy upadających ścian i głazów niosą się przez Lakonię, całą Morię i jeszcze dalej. Turcy, Żydzi i Grecy przybywają z daleka. Jedyne, co widzą, to tysiące zapisanych kawałków marmuru rozrzuconych po okolicy. […] Wyobraź sobie moją radość, która z pewnością byłaby większa, gdybym miał więcej czasu do poświęcenia. Są jeszcze inne miasta, które warto by przetrzebić. Tym bardziej, że mam siły i potrzebny spryt[41].

Fourmont tłumaczył, że działa ku chwale Francji – rozumował, że dzięki niemu nigdzie poza Francją nie będzie można studiować pradawnych inskrypcji – i z zawiści wobec przyszłych podróżników. Ale historycy zastanawiają się, czy na wandalizm Francuza mógł mieć wpływ także udar słoneczny, który przydarzył mu się podczas

pobytu na Eginie[42]. Możliwe, że słońce zmogło go w okolicach świątyni Afai, która od dwóch i pół tysiąca lat stoi dumnie na szczycie wzgórza, jakieś sto sześćdziesiąt metrów nad poziomem morza i trzynaście kilometrów od egińskiego portu. Przy bezchmurnym niebie widać stamtąd i ateński Akropol, i przylądek Sunion ze świątynią Posejdona. Biedaczysko Fourmont się zagotował i nie zdążył zbezcześcić sanktuarium Afai, kojarzonej z Ateną – zrobił to za niego brytyjski podróżnik Charles Robert Cockerell.

Był rok 1811. Cockerell, który później zasłynął jako architekt wielu neoklasycznych budynków w Anglii i Szkocji, kończył kilkunastomiesięczną podróż po Grecji. Na Eginę popłynął bez wielkich oczekiwań, dlatego zachłysnął się bogactwem przypadkowo znalezionych skarbów – było to szesnaście marmurowych rzeźb przedstawiających sceny z wojny trojańskiej opisanej w *Iliadzie* Homera:

> Wszystko w jak najlepszym stanie, mniej niż trzy stopy pod powierzchnią ziemi. Wydaje się niewiarygodne, biorąc pod uwagę liczbę podróżnych, którzy odwiedzili świątynię, że rzeźby te nie zostały wcześniej odkryte. […] To oczywiste, że powaliło je trzęsienie ziemi, a przykrył fronton. Rzeźby popękały na skutek upadku, ale znaleźliśmy wszystkie części i złożyliśmy z nich szesnaście figur. […] Nie oczekiwaliśmy, że dostaniemy zgodę na wywiezienie naszego znaleziska. Ludzie często zaniedbują swój dobytek, ale gdy tylko zauważą, że jest pożądany przez innych, zaczynają go cenić. Włodarze wyspy zjawili się na miejscu i przeczytali nam oświadczenie rady, która błagała nas, byśmy zakończyli pracę, bo Bóg jeden wie, jakie nieszczęścia mogą w zamian spaść na wyspę. Te beznadziejne, zabobonne strachy były oczywiście wymówką – ci ludzie chcieli od nas wyłudzić pieniądze[43].

Cockerell zapłacił Egińczykom parę groszy, po czym potajemnie wywiózł rzeźby na Zakintos – wyspę wówczas będącą pod władaniem Brytyjczyków. Zorganizował aukcję i sprzedał dzieła Ludwikowi I, księciu bawarskiemu, wielkiemu filhellenowi, który marzył, by z Monachium zrobić drugie Ateny – po to między innymi zbudował w swoim mieście muzeum sztuki starożytnej, czyli działającą do dziś Gliptotekę (gr. *glipta* – marmury). Książę, a później król Bawarii, ojciec przyszłego króla Grecji Ottona, zapłacił za marmury majątek – sześć tysięcy funtów (dziś byłoby to dwa i pół miliona złotych), a następnie zlecił rekonstrukcję dzieł Bertelowi Thorvaldsenowi, najsłynniejszemu rzeźbiarzowi tamtych czasów (jego pomnik księcia Józefa Poniatowskiego stoi przed Pałacem Prezydenckim, a pomnik Mikołaja Kopernika przed siedzibą Polskiej Akademii Nauk przy Nowym Świecie w Warszawie). Duńczyk doklejał wojownikom marmurowe nosy, dopieszczał zdobienia hełmów, przytwierdzał łokcie i brakujące kończyny i tak przy tym namieszał, że sto kilkadziesiąt lat później wszystkie jego plomby wywiercono i wyrzucono: wojownik, który miał stać, leżał, łucznik strzelał w przeciwnym kierunku, postać ze wschodniego tympanonu zaplątała się wśród bohaterów zachodniego[44]. Marmury egineckie, przedstawiające między innymi Odyseusza, Achillesa czy Atenę, do dziś są największym skarbem monachijskiej gliptoteki. Cockerell nigdy nie odpowiedział za ogołocenie świątyni Afai z rzeźb i ich uprowadzenie. Przeciwnie – poważnie się dzięki nim wzbogacił.

Za to współcześni złodzieje, którzy zrabowali Muzeum Historii Starożytnych Igrzysk Olimpijskich, mieli mniej szczęścia. Z napadu zrobiła się wielka afera, tym większa, że trzy miesiące później właśnie w Olimpii, obok muzeum, miała się odbyć ceremonia

zapalenia znicza olimpijskiego przed letnimi Igrzyskami w Londynie. Rabusie wpadli w listopadzie, gdy podstawionemu klientowi – policjantowi w przebraniu – próbowali sprzedać złoty pierścień z XIV wieku p.n.e. znaleziony w grobie w Mykenach. Najpierw zawołali półtora miliona euro, później zeszli do trzystu tysięcy, wreszcie stanęło na zerze, bo policjant się zdekonspirował. Mózgiem złodziejskiej operacji był czterdziestojednolatek, który zarabiał na życie sprzedażą zapalniczek przy placu Monastiraki w Atenach.

Despina Kutsumba domagała się jako przewodnicząca Stowarzyszenia Archeologów Greckich zatrzymania kolejnych zwolnień w muzeach i galeriach i zmiany podejścia do finansowania kultury. Rok po wydarzeniach w Olimpii poleciała do Londynu w ramach kampanii społecznej wycelowanej w zagranicznych wierzycieli bankrutującej Grecji. „Nie mamy forsy, nie płacimy", „Chrońmy greckie dziedzictwo kulturowe przed cięciami MFW"[45] – z takimi hasłami na transparentach archeolożka z grupą aktywistów udali się do Muzeum Brytyjskiego. Odstali w kolejce, ile było trzeba, kupili bilety i udali się prosto do Galerii Duveena, gdzie wystawione są słynne rzeźby z Partenonu wywiezione z Aten z górą dwieście lat temu przez szkockiego żołnierza i dyplomatę lorda Elgina.

Elgin był brutalem, nie większym jednak niż Fourmont czy Cockerell, ale podczas gdy ci dwaj wyparowali ze zbiorowej greckiej pamięci bądź też nigdy w niej nie zaistnieli, szkocki lord zajmuje w niej honorowe miejsce. Mówisz Elgin, a Grecy słyszą: wyrachowany złodziej. Mówisz Elginia – taki przydomek zyskały dzieła, które zrabował – a ludzie jak na komendę wołają: oddawać, Brytole! Ich lament nie cichnie od pół wieku, więcej nawet – wzmaga się za każdym razem, gdy przychodzi nowy rząd, gdy nowa osoba

zasiada w ministerstwie kultury, gdy do Londynu przyjeżdża nowy ambasador, za każdym razem, gdy premier chce pobudzić patriotycznego ducha, gdy Grecja ma okazję zaistnieć, jak podczas Igrzysk w 2004 roku, pięć lat później, gdy otwierało się Muzeum Akropolu, czy jak teraz, na chwilę przed dwusetną rocznicą rewolucji. Pod gniewnymi petycjami domagającymi się zwrotu marmurów Grecy i Greczynki wypisali morze atramentu. Ja też – już dwa razy domagałem się i podpisywałem papiery. Właśnie o tym będę rozmawiał z Kutsumbą w tawernie przy plaży. O kradzieży, którą wpisano w narodowy mit.

– A gdyby to pani została ministrą kultury, też by pani słała do Londynu pisma? – zapytam archeolożkę.

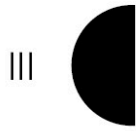

Ciotka Sułtana przez kilka dni od mojego przyjazdu dzwoniła po ludziach, by dowiedzieć się, co począć z uciekinierem, którego ukrywała w swoim domu, czyli ze mną. Wypytywała rodzinę i znajomych, spędziła dobrą godzinę na infolinii Ministerstwa Obrony, ale skrawki informacji i opinii, jakie zbierała, zamiast dopełniać się, wzajemnie się wykluczały. Nikt nie słyszał o podobnym przypadku. Za to wszyscy wzdychali i powtarzali, że sprawa jest poważna. Stanęło na tym, że pojedziemy do Edesy – niewielkiego miasta leżącego sto kilometrów na północny zachód od Salonik. To tam w 1983 roku trafił mój akt urodzenia – choć przyszedłem na świat w Salonikach – i tam wpisano mnie do rejestru, do księgi „greckości". Dlaczego tam? Dlatego, że w tej samej księdze figurowali wszyscy Sturisowie z Lagkadii, wioski przy granicy z Macedonią Północną.

Edesa dla mieszkańców maleńkiej, rolniczo-pasterskiej Lagkadii była stolicą ich małego świata. Wątpię, by prawie sto lat temu moi dziadkowie znali jakieś inne greckie miasto poza Edesą. Wyprawa do dalekich Aten byłaby dla nich nie do pomyślenia. Z Edesy przychodziły do nich czasem urzędowe listy, do Edesy musieli wysyłać sporządzane przez uprzejmych, piśmiennych sąsiadów odpowiedzi, w Edesie rejestrowali narodziny i rodzinne zgony. Załatwiali tam większe sprawunki, zgodę na budowę domu, a jeśli

było trzeba, odwiedzali tam lekarza. To w edeskich archiwach znajdowały się informacje, które po zakończeniu wojny domowej i ucieczce dziadków do Polski posłużyły któremuś z powojennych prawicowych rządów do tego, by pozbawić ich greckiego obywatelstwa. Ich, całą resztę Lagkadyjczyków, bo w obawie przed żołnierzami armii rządowej tamtej wrześniowej nocy 1946 roku ewakuowała się cała wieś, oraz wszystkich pozostałych uchodźców – ponad sto tysięcy osób, które budowały nowe, tymczasowe życie wygnańców w Polsce, Czechosłowacji, na Węgrzech czy w Związku Radzieckim. Urodzili się obywatelami Grecji, ale na mocy politycznej zemsty tracili na swą „greckość" najważniejszy oficjalny dowód. Zostawali bezpaństwowcami. Sytuacja zmieniła się na ich korzyść dopiero ćwierć wieku później – w połowie lat siedemdziesiątych. Po powrocie do ojczyzny babcia z resztą rodziny – poza dziadkiem, który zmarł w Chojnowie – musiała udać się do Edesy z wnioskiem o przywrócenie „greckości". „Nazywam się Maria Stouri, urodzona w Lagkadii" – powiedziała urzędnikowi.

Właśnie dlatego za każdym razem, gdy w Grecji nowo poznana osoba pyta mnie, skąd jestem, powinienem odpowiadać: Lagkadia. A pytają często. Spotykasz kogoś nowego, uściskacie sobie dłonie, wymieniacie uśmiechy i już: *apo pu ise?* W dosłownym tłumaczeniu: skąd jesteś? Ale w tym pytaniu nie chodzi o dosłowność. W nim się kryje potencjał znacznie większy niż chęć zaspokojenia geograficznej ciekawości.

„Skąd jesteś" to pytanie o ojca. Nie o matkę, ona nie odgrywa tu żadnej roli, nie o matczyznę – o ojca, ojczyznę i ojcowiznę. Ludzie pytają: skąd jesteś? – a myślą: kto jest twoim ojcem? Kim był twój dziadek, gdzie jest twoja wioska? W drugiej kolejności to także

pytanie o rodzinę, region, o sąsiadów, o wspólnotę, o korzenie. W trzeciej o to, czy ewentualnie można na ciebie liczyć. Jeśli twoje „skąd jesteś" jest w miarę blisko „skąd jesteś" osoby pytającej, to wiedz, że łączy was automatyczna, przyrodzona więź. Macie wspólnych znajomych, może wspólnych krewnych, wspólną historię, wspólne korzenie i wzajemny wobec siebie obowiązek: macie sobie pomagać.

Apo pu ise? zwykle nie powoduje negatywnych konsekwencji, jest pytaniem w miarę niewinnym. W odpowiedzi na naszą autoidentyfikację możemy usłyszeć: „Ach, witaj sąsiedzie, witaj krajanko" albo coś w stylu: „Moja przyjaciółka jest z tamtych okolic, znasz taką a taką?".

Sprawa się komplikuje, jeśli pytanie „skąd jesteś?" znaczy „kim jesteś?". Wtedy zaczyna się sprawdzian na „greckość", włącza się mechanizm podziału: swój kontra obcy. Mechanizm toporny, bo zawężający kwestię pochodzenia i tożsamości wyłącznie do geograficznych współrzędnych i DNA, połowy DNA. Jakbyśmy pytali nie człowieka, a tylko jego wybrane chromosomy.

Co, jeśli bardziej podoba nam się wioska mamy niż wioska ojca? Co, jeśli każde wakacje spędzamy u dziadków ze strony mamy, a nie u tych drugich, teoretycznie ważniejszych? Co, jeśli ojciec pokłócił się ze swoim ojcem, opuścił rodzinną wioskę i nie chce do niej wracać? Co, jeśli ojca nie ma? Jeśli nie żyje albo dał dyla? Co, jeśli ojciec, owszem, urodził się w Lagkadii, ale przez pierwsze pół życia był uchodźcą i żył nie tylko poza małą ojczyzną, ale i poza Grecją? Co, jeśli ja sam nigdy w Lagkadii nie byłem? Nadal mogę rościć sobie do niej prawo?

Dlatego kiedy słyszę *apo pu ise?*, albo odpowiadam krótko i ucinająco: z Polski, albo opisowo, zależy jaki mam humor.

●

Ciotka i wuj wciąż pracowali. Żeby pojechać do Edesy, musieli się wystarać o dzień wolnego. Ciotka sprzątała w państwowym przedszkolu w centrum Salonik, wujek sprzątał centrum Salonik, jeżdżąc na tyle śmieciarki. Lubili swoje posady – pewne, dobrze płatne, doemeryturalne.

Padło na któryś poniedziałek. Wyjechaliśmy wcześnie rano i byliśmy na miejscu półtorej godziny później. Miasto wciąż się budziło. Gdy się w końcu obudzi, zagłuszy rykiem samochodowych i motocyklowych silników szum rzeki – w tej chwili jeszcze dominujący i skutecznie wypełniający przestrzeń. To Edeseos[46], długi na niecałe trzydzieści kilometrów, tak przyjaźnie mruczy, płynąc między nowymi i starymi dzielnicami miasta, między domami pamiętającymi tureckich budowniczych i nowoczesnymi, modnymi blokami wielorodzinnymi, obok trzystuletniego meczetu i siedemsetletniego kościoła. Jego zadrzewione i ukwiecone brzegi spina kilkanaście mostów, niektóre wyjątkowo urokliwe – kamienne, liczące kilka wieków, charakterystycznie wybrzuszone.

Zaparkowaliśmy niedaleko ratusza. Obserwowaliśmy urzędników wchodzących do gmachu, daliśmy im chwilę na rozruch. Kwadrans po ósmej ruszyliśmy z operacją „uwolnić Dionisa”. To znaczy ruszyli wujek z ciotką. Ja ruszyłem na krótki spacer obejrzeć słynne wodospady.

Gdy Edeseos dociera do naturalnej granicy miasta, niebezpiecznego klifu, spływa w dół kilkoma wodospadami. Można je podziwiać z tarasów i punktów widokowych, ze ścieżki wytyczonej za taflą spadającej wody, wreszcie z wysokości konarów starych platanów w miejscowym parku – gęstym, wybujałym, intensywnie zielonym. Jedna z miejscowych kawiarni nie bez powodu nazywa się Amazonka. Najgłośniejszy i najbardziej imponujący wodospad to siedemdziesięciometrowy Karanos – dzięki niemu Edeseos wpada do rzeki Moglenitsas, która z kolei łączy się z Aliakmonasem, najdłuższą rzeką Grecji. W XIX wieku mocarny Karanos wyposażał w prąd fabrykę lin, przędzalnię i liczne zakłady rzemieślnicze stawiane w pobliżu (z tego powodu Edesę nazywano greckim Manchesterem). Po przemyśle nie ma tu dziś śladu, za to wodospady nadal zasilają miejski budżet – wabią turystów i każą im wydawać forsę. Zdarza się, że Edeseos czasem wylewa i powoduje zniszczenia, ale wraz z trzema mniejszymi rzekami jest dla Edesy skarbem. Jeszcze kilkadziesiąt lat temu żyli ludzie, którzy zamiast Edesa mówili Wodina – od wody. Być może należeli do nich moi dziadkowie z Lagkadii.

Kiedy po raz pierwszy zapytałem ciotkę Sułtanę, czy byśmy nie pojechali na wycieczkę do Lagkadii, odpowiedziała, że nie ma wolnego. Za drugim razem – że to byłby wyjazd z noclegiem, a tam nie ma gdzie spać. Za trzecim, gdy zaproponowałem, że sam pojadę pociągiem i autobusem, usłyszałem, że wioska leży w górach, na wysokości ponad sześciuset metrów, że nie ma połączeń. Faktycznie nie było. Za czwartym razem powiedziała, że mocno ostatnio padało i wyboista, gruntowa droga może być niebezpieczna. Kolejnych prób zaniechałem i do dziś nie wiem, jaki był prawdziwy powód, dla

którego ciotka nie chciała mnie zabrać do rodzinnej wioski. Bo w te powody, które przedstawiała, nie uwierzyłem.

W jej starym albumie znalazłem kilka zdjęć z Lagkadii. Miałem wrażenie, że od ewakuacji dziadków niewiele się tam zmieniło. Do starych, kamiennych, niskich domów z małymi oknami, niektórych stojących już tylko ostatkiem sił, doszły nowe, wygodniejsze i solidniejsze. Ale przyroda pozostała równie dzika. Nieprzebrane lasy, strome wzgórza porośnięte trawą i wysokimi krzakami, w oddali tak samo groźna, wysoka na ponad dwa tysiące metrów góra Tzena, na którą po drugiej stronie granicy Macedończycy mówią Kożuf, to samo szmaragdowe jezioro i wysokie wodospady kilka kilometrów na południe od wioski – idealne na krótki wypad w czasie letnich upałów, popularne i polecane w kolorowych magazynach turystycznych. Gdy moja babcia była młoda, pewnie nie było ich nawet na żadnych mapach i tylko miejscowi wiedzieli, że istnieją i jak do nich dojść. Miejscowi, czyli Wołosi.

Cała Lagkadia była wołoska – jej mieszkańcy należeli do mniejszości, transnacjonalnej zbiorowości[47] (bo nie narodu), która od wczesnego średniowiecza zamieszkuje kilkanaście niewielkich wysepek rozrzuconych po całych Bałkanach – między innymi w Grecji, Macedonii Północnej, Albanii, Serbii, Chorwacji, Bułgarii i Rumunii. Był to lud, który zajmował się handlem i pasterstwem transhumancyjnym (właściciele stad latem wypasali owce w górach, zimą przeganiali je w cieplejsze doliny i równiny) i miał własny język. Gdy moja babcia była młoda, mówiła głównie po wołosku. Grecki znała, ale używała go rzadziej, gdy wyjeżdżała poza wioskę, gdy zdarzało jej się jechać do Edesy, czyli Wodiny. W Polsce częściej mówiła po grecku, ale wołoskiego nie zapomniała do śmierci – sam

słyszałem raz czy dwa, jak zwracała się w tym miłym dla ucha języku, brzmiącym podobnie do włoskiego lub rumuńskiego, do ciotki Sułtany.

Lagkadyjczycy uważali się za Wołochów i Greków jednocześnie, po równo. Nigdy nie domagali się niczego szczególnego – w żadnym razie państwa, a choćby i autonomii. Ich wołoska tożsamość, poza językiem, brała się z zapatrzenia czy wsłuchania w przeszłość, w groby wołoskich przodków i rodzinne historie, ale poza tym nie była wzmacniana silnym poczuciem odrębności. Wołochom nie przeszkadzała stopniowa hellenizacja, nie prosili o osobne szkoły, o naukę dzieci w swoim języku, o tłumaczenia książek, mniejszościową prasę. Z pokolenia na pokolenie coraz silniej wrastali w „greckość". Do tego stopnia, że dziś nie uważają się nawet za mniejszość narodową – inaczej niż Wołosi żyjący w Macedonii Północnej (która jako jedyny kraj taki status im nadała).

●

Nie było ich trzy godziny. Zdążyłem obejrzeć wodospady, przejść się wąską jaskinią za jednym z nich, zdążyłem zasnąć na parkowej ławce, ukołysany miarowym szumem rzeki, obudzić się i zapomnieć, że drzemałem.

W końcu wyszli. Ciotka zła jak osa, szła szybko, cała aż się trzęsła. Ale na jej twarzy była zaciętość, nie rezygnacja – a więc jest jakaś ścieżka, jakaś procedura, którą ciotka poznała i jeszcze tylko musimy przez nią przejść. Zapaliła papierosa – nie kurzyła od trzech godzin.

– Ganiali nas w tę i z powrotem, w urzędzie miasta powiedzieli, że musimy iść do wojewódzkiego, w urzędzie wojewódzkim, że do

miasta. W końcu i tu, i tu powiedziałam, że nie wyjdę, póki mi ktoś nie pomoże, nie wytłumaczy, co mamy robić. W wojewódzkim się nie przejęli, ale w *dimarchio* owszem. Znalazła się jedna porządna urzędniczka, która mi wszystko wyłożyła i nawet zapisała na kartce. Teraz słuchaj. Tak, jesteś uciekinierem.

– Ale… przecież… – próbowałem protestować.

– Jesteś i już. Nieważne, jakim cudem ani kto zawinił. Żebyś mógł z Grecji wyjechać, musimy przyjąć, że nie stawiłeś się na wezwanie.

– Kiedy ja żadnego wezwania…

– Posłuchaj. Musimy udowodnić, że nie mieszkasz tu na stałe, że żyjesz za granicą.

– I wtedy dadzą mi spokój? No to dobrze. Przecież to da się łatwo wykazać. Niech spróbują ze mną po grecku porozmawiać. Wystarczy, że…

– Papierami musimy ich przekonać. I jeśli to się uda, dostaniesz odroczenie.

– Odroczenie? Jakie odroczenie?! Ja ani teraz, ani nigdy nie chcę iść do żadnego wojska, a już na pewno do greckiego. Zwolnienie, nie odroczenie!

– Dostaniesz odroczenie na czas studiów. To jedyne, na co możemy liczyć. Dzięki odroczeniu będziesz mógł wrócić do Polski i aż do zakończenia studiów będziesz mógł tu przyjeżdżać bez żadnych problemów.

– A po studiach?

– To się okaże. Po upływie odroczenia, jeśli nie stawisz się na wezwanie, znów będziesz uznany za uciekiniera.

– I co wtedy?

– Nie wiem. Może kolejne odroczenie, aż przekroczysz wiek poborowy, czyli aż będziesz miał czterdzieści pięć lat? Pani w urzędzie mówi, że też nie wie, ale wie, kto może wiedzieć. Grecki konsulat w Warszawie. Musisz do nich iść.

– A jak ich mamy przekonać teraz? Jakimi papierami? Skąd je weźmiemy?

– Zosia musi się o nie postarać. Zadzwonimy do niej, jak tylko wrócimy na Filiro. Ma dwa miesiące. Chodzi o twoje szkolne świadectwa z każdej kolejnej klasy, nie może być ani jednego roku bez świadectwa, o maturę, dowód, że dostałeś się na studia, zaświadczenie z ośrodka zdrowia, zaświadczenie o zameldowaniu, i co tam jeszcze da się wyprodukować. Zosia to musi pobrać, przetłumaczyć u tłumacza przysięgłego i wysłać do nas przed końcem wakacji.

Strasznie się wkurwiłem. Bo wiedziałem, co to oznacza dla mojej mamy – wysiłek, stres, zadłużenie. Wiedziałem, że stanie na głowie, żeby zdobyć konieczne papiery. Pół urlopu spędzi w urzędach i w szkole – latem przecież zamkniętej! Wychodzi, wyprosi, wyżąda wszystkie te idiotyczne dowody na moją polskość. Bo polskość matki to dla greckich szowinistów za mało, moja nieznajomość greckiego to za mało, nasze deklaracje nic ich nie obchodzą. Do tego pieniądze na tłumacza – pieniądze, których nie ma. Pan Cirmirakis, mieszkający na warszawskich Bielanach, grecki uchodźca, były partyzant, który nie wrócił do Grecji, ma stawki warszawskie, wielokrotnie przekraczające możliwości chojnowskiej kucharki. Za ekspresowe zlecenie doliczy pewnie kilka dodatkowych stów, które mama będzie musiała od kogoś pożyczyć.

A ojciec? Dlaczego miła pani z urzędu nie wzięła go pod uwagę i nie wyklarowała dla niego żadnej procedury? Niechby musiał udowodnić, że jego syn *nie* chodził do żadnej greckiej szkoły, ani przez rok, że *nie* dostał ani jednego świadectwa, *nie* podchodził do *panellinies*, czyli do greckiej matury, że *nie* figuruje w rejestrze żadnej greckiej przychodni zdrowia, *nie* mieszka tam, gdzie jest zameldowany, i dlaczego tam *nie* mieszka. Niechby wyczarował na to wszystko dokumenty albo niechby się przyznał, że to on zawinił, że z chciwości oszukiwał greckie państwo i metodą na synka wyłudzał zasiłki. Niech przyzna, że syn jest niewinny. Nie, tatuś, jak zwykle, pozostanie niezaangażowany. Nie będziemy go niepokoić, zawracać mu głowy. Przecież alzheimer. Zresztą, jak świat światem, a Grecja Grecją, od rozwiązywania problemów zaistniałych na skutek bezmyślności i beznadziejności mężczyzn są kobiety – żony, byłe żony, siostry, matki. Czy jakiś urząd nie mógłby mu wystawić „certyfikatu chujowego ojca”? Może taki jeden papier wystarczyłby za wszystkie inne?

Gdyby to ode mnie zależało, jako dowody na moją polskość wysłałbym Grekom wypracowania z polskiego, moją kartę biblioteczną, zaświadczenie podpisane przez Elę, że przyjaźni się ze mną od przedszkola, przez całą podstawówkę i liceum, bez ani jednego roku przerwy, że w klasie maturalnej dawała mi ściągać na sprawdzianie z matmy, a ja jej z historii. Do tego zapis moich marszów z Chojnowa do dziadków w Osetnicy, pięć kilometrów w jedną stronę, pięć z powrotem, łąkami, wzdłuż niemrawej rzeki Skory. Nie do wołosko-greckiej Lagkadii – do dolnośląskiej, poniemieckiej Osetnicy! Może zarejestrował tę powtarzalną aktywność jakiś satelita i wystarczy wydrukować. Albo, skoro jest

taka możliwość, satelitarny zapis spacerów po „lipówce” – polnej drodze z dwóch stron osłoniętej lipami, klonami, głogami, dzikimi gruszami, która zaczynała się tuż za naszym blokiem przy ulicy Samorządowej, na granicy miasta, i ciągnęła przez niecały kilometr, prowadząc do pobliskich Piotrowic. Z mamą chodziliśmy lipówką na wieczorne spacery, żeby wyostrzyć apetyt przed kolacją albo zebrać trochę gruszek do ciasta. Jeśli nie codziennie, to przynajmniej raz w tygodniu, bez ani miesiąca przerwy, bez ani roku niechodzenia. To jest dopiero dowód!

●

– Zosiu, oni mówią, że nie ma innej możliwości.
– Dobrze. Zabiorę się do tego od jutra.

MAŁY PROCES, WIELKI PROCES

Grudzień 2019 roku. Aleksis Lazaris siedzi na ławce, plecy opiera o marmurową ścianę. Jest dziwnie nieruchomy. Jeśli chce spojrzeć w bok, musi poruszyć całym tułowiem i ramionami – zesztywniałej szyi nie używa, bo czai się w niej rwący ból. Nawet najmniejszy ruch, mały skręt, momentalnie przypomina nerwom szyjnym, że są w stanie buntu, że był atak, więc musi być kontratak.

Ma dwadzieścia sześć lat, choć wygląda na maturzystę. Szczupły, średniego wzrostu, włosy czarne, proste, lśniące, założone za uszy, wielkie oczy na wpół przestraszone, na wpół nieobecne. Żeby nie czuć bólu, Aleksis patrzy głównie przed siebie – na drzwi do sądowej sali, do których strażnik przykleił wokandę. Jego sprawa jest czternasta z przewidzianych na dziś siedemnastu.

Ludzie ciągle przez te drzwi wchodzą i wychodzą: oskarżeni i ich krewni, świadkowie, prawnicy, policjanci. Na korytarzu jest tłoczno i duszno. Ktoś otworzył wielkie okna, ale to tylko pogorszyło sytuację, bo od razu zbiegli się do nich palacze. W teorii na terenie sądu obowiązuje zakaz palenia, ale w praktyce pali się na półpiętrach, w sądowych toaletach oraz przy otwartych oknach.

Nowa siedziba ateńskiego sądu apelacyjnego, Efetijo, ma ledwie sześć lat – olbrzymi, imponujący budynek z betonu, marmuru i szkła jest klimatyzowany, korytarze wewnątrz są szerokie i wysokie, a i tak

wszędzie czuć papierosy. Tylko tam, gdzie toczy się *megali diki*, czyli „wielki proces” sześćdziesięciu ośmiu neofaszystów ze Złotego Świtu, najważniejszy i pod każdym względem największy w najnowszej historii Grecji – akurat ich prawie nie czuć, bo do reprezentacyjnej, amfiteatralnej sali wchodzi się bezpośrednio z dziedzińca w innym skrzydle. Nazajutrz sąd zbierze się tam po raz kolejny. Ludzi na dziedzińcu będzie cała masa – dlatego, że po blisko pięciu latach proces wreszcie jest na finiszu, zostały już tylko mowy końcowe. Na pierwszy ogień pójdzie prokuratorka Adamantia Ikonomu. I mimo że w reakcji na jej słowa poruszeni i wkurzeni palacze wypalą setki papierosów, gdy wyjdę na dziedziniec, dymu nie wyczuję: zawsze wieje tam lekki wiatr, przyjemne, sądowe *meltemi*.

Za to przy salce numer D100B na drugim piętrze, gdzie w osobnym procesie członek Złotego Świtu sądzony jest za to, że prawie zabił Aleksisa, śmierdzącym, zatykającym dymem można się zaciągnąć w każdej chwili.

Podsądny nazywa się Christos Zerwas. Lat czterdzieści cztery. Wysoki, dość ociężały. Ma krótkie czarne włosy i twarz pooraną bliznami po ospie, mięsisty nochal, wielkie ręce, jakby napuchnięte. Nie ma za to kajdanek, bo choć został uznany za winnego przez sąd pierwszej instancji, do Efetijo przyjechał z domu, nie z aresztu – na prawomocny wyrok czeka na wolności. Jest pobudzony, głowa mu lata w tę i z powrotem, rozgląda się, nerwowo podciąga spodnie, strzepuje pyłek z zielonego swetra, poprawia czarną skurzaną kurtkę. Czyżby to strach się z niego wylewał? Koledzy dodają mu otuchy, rozśmieszają. To samo młoda prawniczka, która klepie go po ramieniu, uspokaja. W *megali diki* kobieta broni także dwóch innych złocistych.

Zerwas siedzi naprzeciwko Aleksisa – na ławce po drugiej stronie korytarza, tuż przy drzwiach do sali. Dzielą ich może cztery metry. Gdy ruch w korytarzu na chwilę ustaje, kat i ofiara mają na siebie dobre widzenie. Aleksis nawet nie musi ruszać głową, wystarczy, że każe oku skręcić w prawo o kilka milimetrów. O czym wtedy myśli? Powie mi wieczorem. Wyobrażał sobie, że kopie go w głowę. Raz, drugi, trzeci, czwarty, piąty, szósty, on leży na ziemi, zwija się z bólu, a Aleksis go kopie. Siódmy raz, ósmy, dziewiąty, dziesiąty. Każda godzina czekania, aż sędzia wywoła jego nazwisko, to kolejne kopniaki.

Gdyby mogła, parę kopów od siebie dorzuciłaby Zerwasowi też matka Aleksisa. Kobieta stoi z boku, rozmawia z różnymi ludźmi, bo na proces jej syna przyszli znani antyfaszyści i kilkoro dziennikarzy. Rozmawia z nimi, ale bez przerwy ma baczenie na Zerwasa – zerka, czy siedzi, a jak tylko się podniesie, ona też rusza, przecina mu drogę. Maria Kaskarika jest czujna jak kobra. Gdy do niej podchodzę, by się przywitać i zadać kilka pytań, nie traci skupienia, ustawia się tak, by wszystko widzieć i mieć sytuację pod kontrolą. Nie boi się go – mówi mi, ale jednocześnie aż za dobrze wie, z kim ma do czynienia:

– Jakim trzeba być człowiekiem, żeby chcieć zabić? Bo on chciał mojego syna zabić. Trzeba być głupim, ale głupota to mało. Trzeba nie mieć strachu i być naprawdę złym. Tak jak źli byli naziści, którzy uważali innych za podludzi. Albo jak płatni mordercy z filmów gangsterskich, którym jest wszystko jedno. Tylko że oni są zmyśleni, fikcyjni, a Zerwas jest prawdziwy.

Ma niecałe sześćdziesiąt lat, pracowała jako prawniczka, ale niedawno przeszła na wcześniejszą emeryturę i zapisała się na

podyplomowe studia z zarządzania w turystyce. Są z mężem zamożni, mogła sobie na to pozwolić. Po ataku na Aleksa musi ogarniać kolegia, egzaminy, prace zaliczeniowe, ale też lekarzy syna, recepty, psychoterapeutę, rehabilitację, masaże, spotkania z prawnikiem, sąd oraz antyfaszystowskie protesty i demonstracje. Nigdy wcześniej jej nie interesowały, działy się poza nią, choć bywało, że głośny marsz przechodził pod oknami jej mieszkania. Teraz rozumie, po co są. Chodzi na protesty z przekonaniem, często w pierwszej linii, bywa, że ramię w ramię z samą Magdą Fisa – kolejną matką skrzywdzoną przez Złoty Świt, słynną na całą Grecję. Złociści zabili jej syna i między innymi tego dotyczy *megali diki*.

Fisa jest o kilka lat starsza, nieco niższa, ma ciemne włosy. Przed emeryturą pracowała jako krawcowa w Keratisini, na robotniczych przedmieściach Aten, niedaleko Pireusu. Kaskarika mieszka w bogatej Kolonaki w centrum stolicy – wokół ma same ekskluzywne butiki i eleganckie restauracje. Włosy farbuje na ciemny blond, lubi kolorowe ubrania. Fisa może też lubi, ale od września 2013 roku nosi się tylko na czarno. Najważniejsza różnica między nimi jest taka: Fisa straciła syna, jej świat zastygł, a Kaskarika prawie straciła, jej świat tyko zwolnił. Pawlos Fisas został zamordowany, Aleksis Lazaris przeżył.

Gdy te dwie zbolałe matki idą obok siebie na demonstracji albo gdy witają się serdecznie na dziedzińcu sądu, połączone niewidzialną nicią uplecioną z bólu, wściekłości i bezradności, gdy stoją z boku i rozmawiają – fotoreporterzy od razu są przy nich i nie mogą oderwać od nich obiektywów. Dzieje się wtedy coś nadzwyczajnego, cicho wybucha bomba życiowych i nieżyciowych potencjałów.

Chodzi, być może, o to „prawie”, które je dzieli i łączy jednocześnie, o „stracić” albo „prawie stracić”, o los, który prawie się powtórzył.

●

Na śmierć Fisasa z bliska patrzyła Dimitra Zorzu. Młoda studentka widziała, jak z Pawlosa uchodzi życie. Teraz ma niecałe trzydzieści lat, nowe okulary w grubych, modnych oprawkach, dłuższe włosy, niewygolone po bokach, i kilka nowych tatuaży. Zaprasza mnie do kuchni, włącza wiatrak, proponuje kawę. Jej rodzice mają korzenie na wyspach Chios i Santorini, w Rosji i Azji Mniejszej. Pytana, skąd jest, lubi odpowiadać: stąd, z Kieratsini, a więc z jednej z tych dzielnic, które złociści chcieli opanować, włączyć w projekt drugiego „brunatnego zagłębia” – po sukcesie w Ajios Pandelejmonas, „zagłębiu” numer jeden – i wyrwać ze szponów znienawidzonej lewicy. Jeśli podskoczyć, widać stąd morze. Jeśli podskoczyć w bezchmurny dzień, widać też pobliską Salaminę.

Dimitra zgodziła się opowiedzieć mi o tamtej nocy. Odebrała mnie z przystanku przy głównym trakcie Kieratsini, kiedyś noszącym imię przedwojennego premiera Panagisa Tsaldarisa, jednak niedawno dzielnicowi radni przemianowali go na ulicę Pawlosa Fisasa. Przy tej ulicy zginął. Miał trzydzieści cztery lata, był raperem, znanym wśród fanów hip-hopu. Występował na antyfaszystowskich imprezach, na niebiletowanych, dzielnicowych koncertach, organizował Rap Monster Festival, na który zapraszał innych artystów. Pisał i rapował na wkurwie: przeciwko brutalności policji, skorumpowanym politykom, wywołującym wojny i zakłamującym historię, przeciwko kultowi pieniądza, przeciwko złocistym, którzy panoszyli się w jego

dzielnicy. Killah P. (*Killer of the past*) – to jego pseudonim. Oznacza tego, który zamachnął się na przeszłość i chce walczyć o lepszą, sprawiedliwszą, bardziej solidarną teraźniejszość. W utworze, który okazał się jego największym hitem, raper powtarzał frazę: *Luz, nie ma co płakać, nie trzeba się bać! (Siga, min klapso! Siga, min fowito!*).

W drodze do domu Dimitra objaśniała: na tej ławce siedziała, stąd nadjechał morderca Rupakias, biegł tędy, a tu, gdzie jest to graffiti na chodniku z napisem Killah P, Pawlos upadł i już się nie podniósł. Było niedzielne przedpołudnie, obok nas przejeżdżały samochody, ludzie zamawiali mrożoną kawę, spacerowali. Przecznicę od domu Dimitry minęliśmy też Café Korali – kawiarnia od niedawna ma nowy szyld i nowego właściciela. Stary bardzo się lubił ze złocistymi, chętnie ich u siebie gościł.

Nocą 17 września 2013 roku w Café Korali panował ścisk – fani piłki nożnej, w tym Pawlos, jego dziewczyna Chrysa i kilku kolegów, przyszli dopingować grecką drużynę w rozgrywkach fazy grupowej Ligi Mistrzów. Wkurzali się, bo Olimpiakos sromotnie przegrywał z francuskim klubem Paris Saint-Germain. O tym, co działo się później, opowiedzieli, składając zeznania w sądzie.

Michalis Ksipolitos, przyjaciel Fisasa:

– Po naszej lewej stronie siedziało czterech kolesi, jeden z nich na ramieniu miał wytatuowany meander, symbol Złotego Świtu. Tak wywinął rękaw koszuli, żeby dobrze było widać tatuaż. Wszyscy czterej ubrani byli po wojskowemu, w biało-czarne spodnie moro, i mieli krótko ostrzyżone włosy. Zrozumieliśmy, że to złociści. Bez przerwy gadali przez telefon i wysyłali mnóstwo esemesów. Nie słyszałem, co mówili, bo było za głośno. Gapiliśmy się na nich

z powodu ich stroju, wymienialiśmy spojrzenia, ale nikt nie miał złych zamiarów. Nie było żadnej prowokacji. Wcześniej tego samego dnia brałem udział w antyfaszystowskim marszu. Wystartowaliśmy z terenu stoczni w Peramie i doszliśmy do biura Złotego Świtu. To był protest po tym, jak kilka dni wcześniej złociści skatowali związkowców PAME[48].

Dimitris Melachrinopulos, przyjaciel Fisasa:

– Siedziałem obok Pawlosa, tuż przy ekranie telewizora. Zobaczyłem kilku facetów ubranych na czarno, którzy dziwnie nam się przyglądali i pisali esemesy. Zapytałem, czy coś się stało, a Pawlos odpowiedział, że tamci się gapią, bo może usłyszeli, jak żartował, że jeden z nich ma koszulkę ubraną na lewą stronę.

Janis Angos, mechanik zatrudniony w stoczni w Peramie, sympatyk Złotego Świtu, założył T-shirt na lewą stronę, bo wcześniej był na siłowni. O godzinie 23.19 zadzwonił do Janisa Kazandzoglu, pełniącego funkcję lidera brygady uderzeniowej dzielnicy Nikea. Powiedział, że jest w Café Korali i że przy sąsiednim stoliku siedzi Pawlos Fisas z kolegami. Tym telefonem Angos uruchomił reakcję łańcuchową – ciąg wydarzeń, które zakończą się morderstwem.

23.21 – Kazandzoglu dzwoni do Jorgosa Patelisa, szefa lokalnej partyjnej komórki, i powtarza, co przed chwilą usłyszał od Aggosa. Obaj z Patelisem są członkami partii i są przez nią zatrudnieni. Zarabiają osiemset euro miesięcznie.

23.26 – Patelis dzwoni do swojego przełożonego, posła Janisa Lagosa, szefa regionu, byłego pogromcy somalijskich piratów, niegdyś prywatnego ochroniarza samego partyjnego wodza.

23.28 – Patelis wysyła esemesa do wszystkich członków lokalnej brygady uderzeniowej z rozkazem mobilizacji: „Wszyscy do biura.

W tej chwili. Nie czekamy na tych, co są daleko!”.

Nikos Hatziefstratiu, przyjaciel Fisasa:

– Zauważyłem, że dwóch gości przy sąsiednim stoliku wcale nie ogląda meczu, tylko przypatrują się naszej paczce. Jeden z nich podniósł się i przechodząc obok nas, szturchnął moje krzesło. Przeprosił i poszedł dalej. Pawlos dziwił się, że tamci tak się nam przyglądają. Rzucił, że to trochę wkurzające. Powiedziałem mu: „Nie przejmuj się nimi, to złociści”. Gdy wyszedłem na zewnątrz, żeby zadzwonić do mojej dziewczyny, zobaczyłem, że kilku kolesi z tego sąsiedniego stolika stoi przy otwartym bagażniku samochodu. Jeden z nich wciągał na dłonie rękawiczki.

23.32 – Georgios Dimu, emerytowany wojskowy, w reakcji na esemesa dzwoni do partyjnego kolegi Jorgosa Rupakiasa, zapytać, o co chodzi. Rupakias odpowiada, że nie wie, ale się dowie.

23.35 – Rupakias dzwoni do Kazandzoglu, a minutę później oddzwania do Dimu.

Dimitris Chatzistamatis, strażnik więzienny, brat właściciela Café Korali:

– Przed kawiarnią jeden ze złocistych krzyczał do telefonu: oni tu są, oni tu są, spuścimy im wpierdol! Zrozumiałem, że może dojść do bójki. Podszedłem do Fisasa i mówię: „Wypiłeś piwo, obejrzałeś mecz, spędziłeś miło czas ze swoją dziewczyną”. A teraz idź już. Ci kolesie to złociści. Nie ma co z nimi zadzierać. A on na to: „Dopiję piwo jak wolny człowiek, tam, gdzie chcę”.

O 23.50, a więc w dwadzieścia minut od otrzymania esemesa, członkowie brygady uderzeniowej są już w partyjnym biurze. O nic nie pytali, nie kwestionowali późnej pory. Żaden nie miał wątpliwości – poza jednym Dimu. Zjawili się w biurze w siedemnastu. Wśród nich

był Jorgos Rupakias: średniego wzrostu, czarne, krótkie włosy, twarz pucołowata, z lekką nadwagą, nabity, właściciel srebrnego nissana almery. Od Patelisa usłyszeli, gdzie mają pojechać i co zrobić. Z pancernej szafy pobrali kaski, kije bejsbolowe i metalowe pręty. Rupakias miał też przy sobie nóż – własność siostry, handlującej owocami morza na pobliskim targowisku. Oto brygada uderzeniowa dzielnicy Nikea, zwarta i gotowa do działania. Złociści odpalili motory i samochody, i w konwoju ruszyli w kierunku Café Korali. Na światłach dogonił ich lekko spóźniony Dimu z jeszcze jednym kolegą. Gdy usłyszał, w czym rzecz, powiedział mu: „Spadamy, oni są jak gang, to wariaci”[49].

Michalis Ksipolitos:

– Wyszliśmy z kawiarni, gdy skończył się mecz. Ja akurat byłem pierwszy na zewnątrz, niczego nie zamawiałem, więc nie musiałem za nic płacić. Reszta dołączyła do mnie po chwili. Zobaczyłem około dziesięciu młodych mężczyzn, którzy stali nieopodal mojego samochodu. Wszyscy mieli na dłoniach motocyklowe rękawiczki. Jeden z nich trzymał w ręku kij bejsbolowy. Po chwili zobaczyłem, że wszyscy byli uzbrojeni, tylko chowali kije za samochodami. Ktoś do nas podszedł i mówi, żebyśmy uciekli tylną ulicą. Pawlos mu odpowiedział, że nie szukamy zaczepki, chcemy tylko móc spokojnie odjechać naszymi samochodami.

Dimitris Melachrinopulos:

– Jeden miał kij bejsbolowy, inny kastet, jeszcze inny trzonek od siekiery.

Michalis Ksipolitos:

– Zaczęliśmy iść w kierunku ulicy Tsaldarisa. Chcieliśmy przejść na drugą stronę jezdni, gdy minął nas samochód i sześć, może osiem

motorów. Samochód zahamował, kierowca zapytał Pawlosa o drogę – czy tędy do Korali. Dużo później się dowiedziałem, że to był Rupakias. Pawlos potwierdził. Motocykliści nie wyprzedzili samochodu, tylko czekali, aż odjedzie. Na miejsce przyjechała policja.

Nikos Hatziefstratiu:

– Nagle zobaczyłem, że od strony Korali idzie w naszym kierunku grupa trzydziestu, może czterdziestu osób. Usłyszeliśmy: „Chodźcie tu, kurczaki, zajebiemy was! Zabijemy was!". Ten, który krzyczał, kierował przekleństwa głównie pod adresem Pawlosa.

Dimitris Chatzistamatis:

– Gdy grupa maszerujących wyłoniła się zza rogu i zobaczyli Fisasa, krzyczeli: „Tam jest, tam jest, zajebiemy cię!".

Między 23.25 a 23.58 Patelis aż siedem razy dzwonił do Lagosa. Pozostali złociści szykujący się do ataku również ciągle dzwonili i esemesowali. Przerwali tuż przed północą, gdy dopadli przyjaciół Fisasa i jego samego. Telefony znów poszły w ruch sześć minut później.

Dimitris Melachrinopulos:

– Byli uzbrojeni w kije, ubrani na czarno, niektórzy mieli na głowach motocyklowe kaski. Gdy zaczęli nas wyzywać, Pawlos powiedział dziewczynom, by wróciły do domu, a nam, żebyśmy uciekali. Złociści dorwali jednego z naszych, Ilijasa, przyciskali go do ściany i okładali kaskami. Pobiegłem mu na pomoc, ale zaraz zobaczyłem, że mają też już Pawlosa. Było ich pięciu. Bili go na zmianę, najpierw jeden, później drugi, trzeci, wzajemnie się nakręcając. Dostałem parę ciosów w plecy i upadłem na ziemię.

23.58 – na miejsce przybywają cztery policyjne motocykle, ośmioro funkcjonariuszy.

Chryssa, dziewczyna Pawlosa:

– Odwróciłam się na pięcie i pobiegłam w stronę Korali, bo wiedziałam, że byli tam policjanci. Krzyczałam, że moi przyjaciele są w niebezpieczeństwie, błagałam, żeby mi pomogli. Jeden z nich odpowiedział: „Nie możemy ci pomóc, ich jest za dużo”[50].

Nikos Hatziefstratiu:

– Ostatni obraz, jaki mam z tamtych wydarzeń, to gdy już biegnę, odwracam się i widzę, jak Pawlos spokojnie idzie do tyłu, cofa się, a oni na niego nacierają. Zadzwoniłem po policję i schowałem się na parkingu – inni już też tam byli. Wyszliśmy, gdy zobaczyliśmy policyjny samochód. Pokazaliśmy im nasze dowody osobiste i powiedzieliśmy, że to my po nich dzwoniliśmy, ale nie chcieli nas słuchać. Zakuli nas w kajdanki i kazali wsiąść do samochodu.

Michalis Ksipolitos:

– We czterech wylądowaliśmy w policyjnym samochodzie, który nie chciał odpalić i musieliśmy czekać, aż przyjedzie następny. W końcu usłyszeliśmy w policyjnym radiu, że ktoś został ranny, dźgnięty nożem w serce. Ale nie wiedzieliśmy, o kogo chodzi.

Chryssa:

– Dwoje policjantów pobiegło ze mną na ulicę Tsaldarisa. Ale nie wiem, co się z nimi stało, bo nagle zobaczyłam, że Pawlos jest ranny. Jeszcze stał na własnych nogach, trzymał się za serce, a drugą ręką wskazywał na sprawcę.

Dimitris Melachrinopulos:

– Zobaczyłem nissana, który jechał na wstecznym. Kierowca zatrzymał samochód, wysiadł i od razu podszedł do grupki bijącej

Pawlosa. Faceci się rozstąpili, by morderca miał miejsce. Wyjął nóż i zaczął dźgać. Nic nie mogłem zrobić. Wszystko działo się tak szybko! Nagle zjawił się tam policjant i Pawlos krzyknął: „To on, on to zrobił!". Wszyscy złociści się rozpłynęli. Pawlos tracił przytomność. Podałem mu wodę. Chryssa próbowała go podtrzymywać. Był tak ciężki, że musieliśmy go dźwignąć w trzy osoby.

Paraskewi Karajanidu, przyjaciółka Dimitry Zorzu:

– Siedemnastego września 2013 roku spacerowałyśmy z Dimitrą i naszym kolegą promenadą Pasalimani w Pireusie. Kolega odwiózł nas do Kieratsini między 23.30 a 23.45. Uznałyśmy, że jeszcze sobie trochę pochodzimy. Przeszłyśmy się wzdłuż ulicy Tsaldarisa, w końcu usiadłyśmy na ławce. Po chwili usłyszałyśmy krzyki dochodzące z pobliskiego skrzyżowania. Zobaczyłyśmy grupę około siedmiu osób, a za nią kolejną grupę, o wiele liczniejszą. Było ich dwudziestu, może trzydziestu. To oni krzyczeli, rzucali wyzwiska i groźby. Wyglądali podobnie do siebie – wszyscy byli ubrani na czarno, w spodnie moro i wojskowe trepy. Na ich koszulkach widziałam białe znaki – nie byłam pewna, czy to litery, czy może jakiś symbol. Ktoś z siódemki zawołał: biegnijcie! Pięcioro z nich rzuciło się do ucieczki, ale dwóch zostało z tyłu. Jeden z piątki zawrócił i w sumie było ich trzech. Z tyłu podbiegli do nich krzykacze i zaczęli ich bić. Wszystko działo się bardzo szybko. Ci w czarnych koszulkach zagrzewali kolegów do walki, by jeszcze tamtym dołożyli, i jeszcze. A ci trzej bici jedynie próbowali się bronić. Widziałam, że kolejni napastnicy chowali się za drzewami i śmietnikami. W jednej sekundzie wybiegli i dołączyli do bijących. Później zobaczyłam samochód. Kierowca wysiadł i podszedł od razu do jednego z tych bitych. Napastnicy nie wyglądali na zaskoczonych jego przybyciem, jakby go znali, jakby byli z nim

umówieni. Kierowca objął bitego chłopaka i wykonał ruch ręką – jego łokieć powędrował do góry. A później zawrócił w kierunku samochodu.

Trzy ciosy. Jorgos Rupakias wbijał nóż w udo, a później w okolicę serca Pawlosa Fisasa. Wbijał i przekręcał, przez co z ran przypominających kwiat róży niemal nie ciekła krew. Była 00.03.

Dimitris Kuretzis, policjant:

– Trzy minuty po północy dostałem informacje o zajściu przy ulicy Tsaldarisa. Byliśmy z kolegą w samochodzie patrolowym na równoległej ulicy, osiemset metrów dalej. Dojechaliśmy na miejsce w minutę. Zobaczyliśmy zbiegowisko i od razu wiedzieliśmy, że coś się dzieje. Jeden z samochodów był ustawiony przeciwnie do kierunku jazdy, miał włączony silnik i światła. Mężczyzna siedział za kierownicą. Zaparkowaliśmy tak, żeby kierowca nie mógł odjechać. Wysiadłem i podszedłem do grupki osób, między nimi był ranny mężczyzna – leżał w objęciach dziewczyny. Miał ranę blisko serca i w okolicach pachy. Był w ciężkim stanie, czułem, że odchodzi. Zadzwoniłem po karetkę. Ktoś mi powiedział, że sprawcą jest kierowca srebrnego nissana. Siedział w środku, palił papierosa. Zapytałem go, co się stało, odpowiedział, że nie wie. Rozejrzałem się. Za lewym kołem leżał nóż. Podniosłem go i zabezpieczyłem. Poprosiłem kierowcę nissana, żeby wysiadł. Założyłem mu kajdanki i zaprowadziłem do samochodu patrolowego. Ponownie go zapytałem, co się stało. Odpowiedział: „Nic nikomu nie mów. Jestem jednym z was. Jestem ze Złotego Świtu”. Odjechaliśmy na komisariat.

Pawlos stracił przytomność. Zmarł między 00.03.23 a 00.04.06. Sekcja zwłok wykaże, że bezpośrednią przyczyną zgonu było

przecięcie wierzchołka serca. Półtora centymetra – tyle wynosiła długość rany.

Michalis Ksipolitos:

– Na komendzie zostaliśmy dokładnie przeszukani i wsadzono nas do celi, gdzie siedział już jakiś mężczyzna. Powiedział nam, żebyśmy się rozgościli. Najpierw myśleliśmy, że to policjant. Pytał nas, co się stało, czy jesteśmy zaangażowani w politykę. Powiedział, że policja złapała sprawcę, który przyznał się do winy. Wtedy jeszcze nie wiedzieliśmy, że rozmawiamy z Rupakiasem.

00.15 – Patelis dzwoni do Lagosa, rozmawiają 43 sekundy.

00.17 – Rupakias, choć już zatrzymany i odwieziony na komendę policji, nadal może swobodnie korzystać z telefonu. Dzwoni do Patelisa, rozmawiają 51 sekund.

00.22 – Patelis dzwoni do Rupakiasa. Rozmawiają 104 sekundy.

00.28 – Patelis znów dzwoni do Rupakiasa. Rozmawiają 66 sekund.

00.30 – Lagos dzwoni do Patelisa. Rozmawiają 139 sekund.

00.34 – Lagos dzwoni do Janisa Zografosa, jednego z prawników Złotego Świtu. Prosi o poradę prawną. Rozmawiają 157 sekund.

00.37 – Nikos Michaloliakos, lider Złotego Świtu, wysyła esemesa do szefa regionu Janisa Lagosa.

00.37 – Lagos natychmiast dzwoni do *archigosa*. Rozmawiają 45 sekund.

W ten sposób dopełnia się komunikacja „dół–góra”, od najniższych rangą złocistych do samego lidera. Od teraz słowa zaczynają biec w przeciwnym kierunku – ku dołom. Decyzje zostały podjęte, instrukcje wydane.

00.38 – Lagos dzwoni do Patelisa. Z instrukcjami od Michaloliakosa. Rozmawiają 58 sekund.

00.39 – Rupakias dzwoni do Patelisa. Rozmawiają 110 sekund.

00.42 – Rupakias ponownie dzwoni do Patelisa. Rozmawiają 7 sekund.

01.10 – Anastasios Pantazis dzwoni do Lagosa. Rozmawiają 98 sekund.

01.17 – Rupakias raz jeszcze dzwoni do Patelisa. Rozmawiają 27 sekund.

Między 01.12 a 02.44 Lagos i Patelis rozmawiają osiem razy.

Między 01.26 a 2.56 Pantazis trzy razy dzwoni do Patelisa.

●

Dimitra zaczyna naszą rozmowę od szczerego wyznania: cierpi na silną depresję. Ma dwadzieścia osiem lat, jest inżynierem chemii i nie ma pracy. Nie pracowała od skończenia studiów. Brak pracy oznacza brak kasy. Do tego tamta noc. Wszystko się składa. Choć teraz jest, jak mówi, nie najgorzej. Chodzi na terapię, bierze leki. Bywa znośnie. Wczoraj na przykład całą noc spędziła u przyjaciółki. Gdy pytam ją o wymarzoną pracę, odpowiada:

– Najbardziej pasowałoby mi ciche laboratorium, gdzie mogłabym sobie siedzieć z moimi próbówkami, odczynnikami. Żeby wokół nikt się nie kręcił i żeby mi płacili. Jestem introwertyczką, nie przepadam za ludźmi. A teraz jeszcze ta choroba.

Diagnozę usłyszała rok temu, ale depresja zaczęła się lata wcześniej. Długo nie rozumiała, że jest chora. Nie wiedziała, co się z nią dzieje, ale też nie chciała prosić nikogo o pomoc, bo uważała, że to by znaczyło, że jest egoistką. Milczała i znosiła w samotności ataki paniki, nagłe drgawki, bezdech, gardło tak ściśnięte, że nie

potrafiła wydusić słowa, nie mogła ustać na nogach, na zmianę płacz i śmiech. Taki atak przytrafił się jej na przykład w Efetijo, gdy składała zeznania. Sędzia musiała ogłosić przerwę, a ona próbowała się uspokoić na korytarzu.

– Ale mimo wszystko uważam, że jestem teraz silniejsza. Nigdy ani przez chwilę nie żałowałam, że zachowałam się tak, a nie inaczej. Pójście na policję, identyfikacja mordercy, złożenie zeznań w sądzie to jest najważniejsze, co zrobiłam w życiu.

– Nie wahałaś się?

– Ani sekundy. Wiedziałam, co muszę zrobić. Siedziałam na ławce bez ruchu, jak zamrożona, sparaliżowana. Obok mnie Paraskewi, przyjaciółka ze studiów, z którą wcześniej byłyśmy na spacerze. Bałam się, ale jednocześnie byłam bardzo skupiona. Czułam, że za chwilę wydarzy się coś potwornego i muszę zapamiętać jak najwięcej szczegółów. Siedziałam nieruchomo i patrzyłam. Widzieć, jak ginie człowiek – straszne, nikomu nie życzę.

Dimitra wypatrzyła pseudowojskowy strój u tych, którzy przeklinali, a później rzucili się na Pawlosa. Widziała ich krótkie włosy i od razu rozpoznała w nich złocistych. Wiedziała, kim są. Wiedziała, że kilka lat wcześniej otworzyli w jej dzielnicy partyjne biuro, pamiętała, że przyszli na jej uczelnię i rozdawali ulotki. Zakodowała, że srebrny nissan jechał pod prąd. Przez chwilę myślała, że to policyjne auto, tylko nieoznakowane. Gdy wysiadł, kierowca przeszedł dokładnie trzy kroki, objął Pawlosa i wykonał ręką trzy zamaszyste ruchy. Bez zbędnej zwłoki, bez słowa, bez kłótni, bez niczego. Trzy kroki w milczeniu i atak. Następnie kierowca odwrócił się i z powrotem wsiadł do samochodu. Dopiero wtedy Dimitra zobaczyła dwoje policjantów. Pawlos krzyczał do nich: łapcie go, on mnie dźgnął.

Dimitra zanotowała w pamięci, że z miejsca dla pasażera w nissanie wysiadł mężczyzna. Próbował uwolnić kierowcę, któremu policjanci zakładali kajdanki. Po krótkiej szarpaninie mężczyzna uciekł. Był średniego wzrostu, miał wąskie ramiona, krótkie włosy i ubrany był na czarno. To wspólnik mordercy Rupakiasa – Janis Kazandzoglu.

– To on mi zaserwował w sądzie atak paniki. Gdy wskazałam go na prośbę sędzi, krzyknął: „Chodź na zewnątrz, pokażę ci, co naprawdę pamiętasz z tamtej nocy!".

– Co się stało później, gdy policja aresztowała już Rupakiasa?

– Siedziałyśmy wciąż na ławce. Pawlos leżał kilka metrów od nas. Karetka bardzo długo nie przyjeżdżała, dobre pół godziny. W pewnym momencie zaczęłam się trząść i zbierało mi się na płacz. Wtedy Paraskewi powiedziała do mnie: „Ani mi się waż!". Później przyszli policjanci i pytali, czy ktoś coś widział, szukali świadków. Paraskewi powtarzała: siedź cicho, siedź cicho, nigdzie nie idziemy, nie będziemy składać żadnych zeznań. „Właśnie, że złożymy" – powiedziałam, wstałam z ławki i zawołałam policjanta.

Gdy jechały na komendę, do Dimitry zadzwoniła matka.

– Martwiła się, bo było późno, a ja się nie odzywałam. Pytała, gdzie jestem, mówiłam, że w radiowozie, widziałam, jak zabili człowieka i jadę zidentyfikować mordercę. Powiedziała: „Nigdzie nie jedziesz, wysiadaj, bierz taksówkę i wracaj do domu". Ja jej na to: „A gdyby ten facet zabił mojego brata, twojego syna? Jadę i już". Po dwóch sekundach usłyszałam: „Jedź".

– Masz brata? – pytam.

– Mam, śpi w pokoju obok.

– A Pawlosa znałaś wcześniej?

– Nie.

Na komendzie studentki opowiedziały, co widziały. Później zaprowadzono je do małego pokoju. W rzędzie pod ścianą stało czterech mężczyzn. Wskazały Rupakiasa, choć nogi się pod nimi uginały. Powiedziano im, że mają iść na górę i czekać. Chwilę później on też wszedł po schodach – sam, niestrzeżony, bez kajdanek, minął je, jak gdyby nigdy nic. Po godzinie pokazano im narzędzie zbrodni: zakrwawiony nóż.

●

Panajotis Fisas:

– Jestem ojcem zamordowanego Pawlosa Fisasa i emerytowanym stoczniowcem. Mój syn był bezrobotny, pracował dorywczo, gdy trafiło się jakieś zlecenie ze stoczni. W tamten wtorek grał Olimpiakos. Zwykle razem oglądamy mecze, ale akurat wtedy nie mogłem. Wszystkie kawiarnie i bary były pełne, tylko w Korali znalazł się wolny stolik. Nie miałem pojęcia, że to knajpa faszystów. Gdybym wiedział, nie pozwoliłbym mu tam pójść. Pięć minut po północy zadzwonił do mnie mój brat i mówi: „Biegnij na Tsaldarisa, dźgnęli chłopaka". Pobiegłem. Na miejscu panowało poruszenie. Słyszałem syreny. Dziewczyna Pawlosa, Chryssa, siedziała na chodniku i trzymała jego głowę na kolanie. Nie ruszał się i miał oczy wywrócone do środka. Od razu pomyślałem o Złotym Świcie, bo wiedziałem, że jego piosenki denerwowały faszystów. On śpiewał przeciwko nim. Nie krwawił mocno. Jego rany wyglądały bardziej jak zadrapania. Nie wiedziałem, że to była profesjonalna robota. Zawołałem go po imieniu dwa lub trzy razy, żeby sprawdzić, czy zareaguje. Wtedy podszedł do nas policjant i powiedział: „Odsuńcie

się, karetka przyjechała”. Chryssa spojrzała na niego i powiedziała: „Ty chuju, teraz się zjawiasz? Teraz?! Wołaliśmy cię od dawna!”. Odpowiedział: „Proszę pani, ja dopiero przyjechałem na miejsce zdarzenia”. A Chryssa na to: „Nieprawda, już wcześniej cię tu widziałam”. Wsiadłem w samochód i pojechałem za karetką do szpitala w dzielnicy Nikea. Kierowca nie włączył syreny. Gdy dotarliśmy do szpitala, zapytałem go o stan Pawlosa, ale nie chciał odpowiedzieć. Po chwili zjawił się doktor i mówi: umarł. Zapytałem go, czy to dlatego, że karetka przyjechała na miejsce tak późno. Odpowiedział: „Nie. Gdyby go dźgnęli przed szpitalem i tak nie miałby szans. To była profesjonalna robota”. Pomyślałem: Synu, co mam powiedzieć twojej matce?

Magda Fisa: – Ostatni raz widzieliśmy się o 17.30. Pawlos i Chryssa szli do kolegi na kawę, a później zamierzali razem z innymi obejrzeć mecz w jakimś klubie. Zwykle Pawlos oglądał mecze z ojcem, tego dnia tak się nie stało. Ja poszłam do córki, nocowałam u niej i plan był taki, że z Pawlosem zobaczymy się nazajutrz rano, gdy wrócę do domu. O drugiej w nocy zadzwonił telefon. Od razu wiedziałam, że stało się coś strasznego. Mój mąż powiedział, że Pawlos jest ranny, jest w szpitalu i pyta o mnie. Wiedziałam, że jest źle, ale nie pomyślałam nawet, że mój syn może nie żyć. Zapytałam męża: „To co? Koniec? Już się nażyliśmy?”. Nie odpowiedział. Powoli zaczynało do mnie docierać najgorsze. Mój zięć zawiózł mnie do szpitala. Przed wejściem było dużo ludzi, nasi krewni, przyjaciele. Wbiegłam do środka i znalazłam dwoje lekarzy. Pani doktor płakała, ale nie chciała mi powiedzieć dlaczego. W nerwach zaczęłam zrywać zasłonę, za którą leżał Pawlos. Dostałam tabletkę na uspokojenie i drugi lekarz wszystko mi wytłumaczył. Powiedział, że Pawlos nie żyje. Zapytałam,

jak to możliwe. Dźgnęli go w serce ludzie Złotego Świtu – odpowiedział i dodał, że policja złapała już mordercę. Powiedział też, że rany były zadane w taki sposób, że nie było szans, by moje dziecko uratować. Profesjonalna robota. O 17.30 rozmawialiśmy, a o trzeciej nad ranem mój syn leżał martwy w szpitalnej kostnicy. Wyglądał, jakby zasnął. Był aniołem. Próbowałam go ogrzać… Nie bał się. Ci, którzy myślicie, że udało wam się mojego chłopca nastraszyć, mylicie się. Powtarzam wam – on się nie bał!

●

Już dwunasta, a sąd rozpatrzył dopiero sześć spraw. Sprawa Aleksa Lazarisa jest czternasta. Wygląda na to, że spędzimy w Efetijo jeszcze dobrych parę godzin oraz że być może wyrok dziś wcale nie zapadnie. Aleks jest obolały, jego matka zmęczona, ale Zerwasowi w to graj – ewentualne odroczenie to co najmniej kilka dodatkowych miesięcy wolności, idealny prezent na zimowe święta i spokojne wejście w nowy rok. Czekamy.

Wciąż jest tłoczno, przy oknie gromadzą się palacze. Wałęsam się po korytarzach, czytam wokandy i ogłoszenia na tablicach. Jedno przykuwa moją uwagę. Zapowiada wydarzenie, które odbyło się kilka dni wcześniej – coroczną konferencję Stowarzyszenia Sędziów i Prokuratorów. Tym razem gościem specjalnym był sędzia z Krakowa, ze stowarzyszenia Iustitia. W internecie odnajduję jego półgodzinne wystąpienie. O czym mówił polski sędzia? O tym, że jest bardzo źle, bo polski rząd podkopuje fundamenty państwa prawa, zaburza trójpodział władzy, naciska na sędziów i próbuje nimi sterować, w biały dzień, krok po kroku zamienia demokrację

w autorytaryzm. Gdzie o tym wszystkim mówił? Dokładnie w tej samej reprezentacyjnej sali Efetijo, w której ważą się losy greckiej demokracji, gdzie trwa test na jej zahartowanie i wydolność, czyli wielki proces przeciwko złocistym – *megali diki*.

Podchodzę do Dimitrisa Psarasa, przedstawiam się, składam hołd żywej legendzie greckiego dziennikarstwa śledczego. Nikt nie wie o Złotym Świcie tyle, co on – nawet sam Michaloliakos mógł zapomnieć, co wyczyniał w latach siedemdziesiątych, osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku – a Psaras pamięta. Od dawna utrudnia mu życie, pisze książki na temat wodza i jego organizacji. Gdy przyszła jego kolej, by zeznawać w *megali diki*, przez trzy dni przedstawiał nieznane wcześniej dowody na przestępczą działalność złocistych. Sprawę Aleksa monitoruje od początku, pisze o niej dla dziennika, w którym pracuje, „Efimerida ton Syntakton", dlatego dziś także jest w sądzie. Wysoki, z gęstymi siwymi włosami i pokaźną siwą brodą – wygląda jak święty mikołaj z reklamy, tylko że po cywilnemu. Umawiamy się, że wkrótce odwiedzę go w redakcji.

●

Aleks Lazaris prawie zginął wczesnym popołudniem w piątek 31 marca 2017 roku – ponad trzy lata po zamordowaniu Fisasa. Rankiem tego dnia dziesięciu mężczyzn ubranych w ciemne kurtki, dżinsy i rękawiczki, w motocyklowych kaskach na głowach, nadbiegło zza rogu wprost przed biurowiec przy ruchliwej ulicy Śródziemnomorza 131 w dzielnicy Ambelokipi, w pilnie strzeżonym sąsiedztwie szkoły policyjnej i kilku ministerstw. Na ścianie

przeszklonego budynku, którego szyby zaczęli rozbijać kijami bejsbolowymi, wisiał wielki baner z meandrem i napisem „Złoty Świt". Mieli też ze sobą gaśnicę, za pomocą której uszkodzili metalową kurtynę zabezpieczającą drzwi wejściowe.

Złociści wynajęli biurowiec kilka miesięcy po tym, jak latem 2012 roku po raz pierwszy weszli do parlamentu i dostali z budżetu dotacje na działalność. Uzbroili go jak twierdzę i urządzili w nim kwaterę główną. W środku biło serce organizacji, a konkretnie na piątym piętrze, bo tam umościł się sam *archigos*, lider i założyciel Złotego Świtu – niski, w okularach, o skrzeczącym, nieprzyjemnym dla ucha głosie Nikos Michaloliakos. Gdy siedział w skórzanym, nabitym guzikami, eleganckim fotelu z oparciem typu chesterfield (odcień burgundowy), przy biurku udającym antyk, z okna widział pobliską siedzibę Ministerstwa Porządku Publicznego i Ministerstwa Sprawiedliwości. Pozwolenia na wstęp na najwyższą kondygnację udzielał osobiście. Dostawali je wyłącznie najbardziej zaufane persony: członkowie Biura Politycznego partii, żona Eleni, córka Urania, wybrani goście. Na niższych piętrach mieściły się sala konferencyjna, redakcja partyjnej gazety, pokoje spotkań i studio radiowe (Urania nadawała stąd cotygodniową audycję), a na parterze, poza stróżówką, działał partyjny sklep – dla sympatyków, ale przede wszystkim dla członków. Jeśli shopping, to tylko tam: porządne buty, spodnie moro, T-shirty z faszystowskimi nadrukami, bluzy z kapturem, czapeczki, flagi. Wszystko z Pakistanu. A poza tym także chińskiej produkcji kubki z meandrem, termosy z krzyżem celtyckim, długopisy, breloki, płyty zespołu Pogrom, publikowane własnym sumptem książki autorstwa lidera oraz dzieła takich twórców jak Hitler, Goebbels czy Degrelle.

Cały ten asortyment – potłuczony, zdeformowany, wymieszany z kawałkami szkła, pokryty pianą z gaśnicy – leży na ziemi. Ale to nie koniec ataku. Mężczyźni w kaskach demolują budkę policyjną przed budynkiem, młotkami uderzają w domofon, dzwonek i czujniki alarmowe, przez małą dziurę, którą udaje im się wykuć, wrzucają do środka biurowca race, przewracają i kopią zaparkowane obok skutery. A po chwili już ich nie ma. Znikają za rogiem. Szybka, sprawna robota. Nie zostawili śladów, odcisków palców, na nagraniach z kamer przemysłowych nie da się ich rozpoznać – ot, rośli, zamaskowani, ubrani w codzienne ubrania. Policja nie będzie w stanie ich namierzyć nawet wtedy, gdy kilka dni później – 10 kwietnia – wrzucą do sieci filmik z nagrania. Data jest nieprzypadkowa. Na filmie tłumaczą, że Pawlos Fisas obchodziłby tego dnia trzydzieste ósme urodziny. Ale nie obchodzi, bo od czterech lat nie żyje. „Pawełku, gdziekolwiek jesteś, wszystkiego dobrego" – dodają. Film kończy się planszą z napisem „Drużyna Pawlosa Fisasa"[51].

Członkowie Drużyny Fisasa zdążyli zapaść się pod ziemię, kiedy na miejscu demolki zjawił się Zerwas. Kawałki szkła chrupały mu pod butami, gdy zaglądał do wnętrza sklepu i patrzył na zniszczenia. Przeklinał, podnosząc przewrócone motory i dzwoniąc do kolegów. Był wściekły, bo to on był szefem ochrony, to on odpowiadał za bezpieczeństwo „partyjnej" siedziby, to on miał podobne ataki udaremniać. On! A tymczasem ktoś się, kurwa, nie bał i rozjebał mu obiekt w biały dzień. Będzie zemsta, będzie kara, będzie, kurwa, nauczka! Znajdzie się winnego, choćby był niewinny, choćby był z przypadku.

Kandydat do kary wkrótce się napatoczy.

●

Chrystara, czyli Krzysiu, Krzysieńku – tak zdrobniale i pieszczotliwie zwracał się do Zerwasa wódz, gdy dzwonił ze służbowym poleceniem. Ufał mu. Zabierał na partyjne wiece, pozwalał stać obok, pozować do zdjęć, a czasami także przemawiać.

Zerwas zapisał się do partii w latach dziewięćdziesiątych. Był członkiem sześćdziesięcioosobowego Komitetu Centralnego. Pomagał szkolić nowych rekrutów – sprawdzał, czy pobiją na rozkaz imigranta, w czasie wyjazdowych obozów treningowych pomagał szlifować formę fizyczną, uczył, jak zadawać ciosy. Był partyjnym kandydatem w wyborach samorządowych i parlamentarnych. Nie zdobył mandatu, ale wódz Michaloliakos nagrodził go parlamentarną posadą – był opłacanym członkiem jego biura i szefem ochrony głównej siedziby partii, w praktyce więc cieciem lub portierem.

Razem z matką na tyłach partyjnego biurowca prowadził kawiarnię Bristol, gdzie odbywały się czasem spotkania członków i sympatyków Złotego Świtu. Gościem w Bristolu bywał między innymi Fotis Bellos, emerytowany policjant z mieszczącej się po sąsiedzku ateńskiej komendy głównej. Bellos zabierał Zerwasa i jego przyjaciela, rzecznika partii Ilijasa Kasidiarisa, na nieodległą strzelnicę, gdzie uczył ich skutecznej obsługi broni. Był wyborowym strzelcem – w 2018 roku tak celnie strzelał w uciekającego przed nim sąsiada, z którym się wcześniej pokłócił, że wystrzelał z niego życie.

Zerwas był członkiem brygady uderzeniowej dzielnicy Nikea – gdy padał rozkaz, wsiadał na motor i z kolegami jechał bić wroga, nieważne imigrant czy antyfaszysta.

Żonaty, dwoje dzieci.

●

Aleksis, student architektury wnętrz, pracował tego dnia nad projektem na zaliczenie. Obfotografował jeden stary budynek w okolicy – nieczynną piekarnię wojskową, schował aparat do plecaka i wczesnym popołudniem ruszył do domu. Mieszkał w dzielnicy Ambelokipi od kilku lat, przemierzał tę drogę setki razy. Idąc w górę ulicą Śródziemnomorza, mijał szkołę policyjną, ministerstwa, wreszcie siedzibę Złotego Świtu. Nie zwracał uwagi na niezbyt piękny budynek, na zwisające ze ścian banery z symbolami partii, z wizerunkiem wodza – nie ekscytował się polityką, nie należał do żadnej młodzieżówki, nie chodził na protesty. Ale oczywiście wiedział, z kim sąsiaduje, nie jest ignorantem. Poza tym słucha hip-hopu. Pawlos Fisas może nie był jego ulubionym artystą, ale cztery lata temu, gdy raper umierał od ciosów nożem, Aleks miał na playliście kilkanaście jego piosenek. W dniach tuż po śmierci Fisasa słuchał ich na okrągło.

Miał na sobie czarną bluzę z kapturem, dżinsy i trampki, w sfatygowanym plecaku aparat fotograficzny, telefon, klucze do mieszkania. Przydługie włosy, wąsy i broda były w modnym nieładzie. Może gdyby odwiedził wcześniej barbera albo, jak mówił później jego ojciec, gdyby włożył tego dnia garnitur… Nie wiedział o ataku na biuro złocistych, nie śledził newsów. Reporterzy zdążyli przyjechać i odjechać, policja rozwinęła taśmę, szukała świadków. Rozbite szkło zamieciono i wyrzucono do śmieci. Ktoś zmywał akurat chodnik, więc Aleks przystanął, by nie oberwać wodą ze szlaucha.

Faceci zgromadzeni przed siedzibą Złotego Świtu – sześciu, może siedmiu, łyse głowy, ciemne okulary – zatrzymali na nim spojrzenia. Oto on, oto ich kandydat na winnego.

I się zaczęło: zaczepne gesty, krzyki, groźby, co się, kurwa, gapisz? Jesteś Grekiem? Chcesz wpierdol? Aleks nie rozumie, dziwi się, pyta, o co chodzi. Jednocześnie powoli się cofa, a po chwili już biegnie. Ucieka. Ruszają za nim. Dwie przecznice dalej Aleks przystaje na sekundę, by złapać oddech, myśli, że ich zgubił, ale oto są, biegną w jego kierunku z obu stron ulicy, musieli się rozdzielić. Ciągle krzyczą, wołają go, chodź tu, kurwa, nie ruszaj się. Pierwszy dopada go Zerwas. Jest starszy od Aleksa prawie o dwadzieścia lat, większy i silniejszy. Nie sapie, wcale się nie zmęczył, bo w pościg za chłopakiem ruszył na swoim srebrnym motorze. Pierwsze uderzenie – z zaciśniętej pięści w nos, drugie – między oczy. Aleks upada, krwawi. Zerwas wybucha śmiechem, śmieje się, jakby usłyszał dobry żart, sadystycznie. Kopie leżącego chłopaka. Nie na oślep, celuje w głowę. Jeden kopniak, drugi, trzeci, czwarty. Dołącza do niego kolega, później jeszcze dwóch, może trzech, Aleks nie jest pewien, ilu ich było. Biją wszyscy. Czuje smak krwi cieknącej z nosa, pękniętych ust i dziąseł, spływającej po ścianie gardła, do tego rozdzierający ból w szczęce i z tyłu głowy. Przechodnie, na szczęście są przechodnie – krzyczą do bijących, żeby przestali.

– Co robicie? Chcecie go zabić? – pyta jakiś mężczyzna. Po słowie „zabić” ciosy ustają. Aleks z trudem się podnosi, rozumie, że nie może zostać na ziemi. Ledwo stoi, bo kręci mu się w głowie. Wtedy jeden z nich pyta z udawaną troską:

– Wszystko OK, mój ptaszku? Może coś cię boli?

– Nie OK! – odpowiada Aleksis.

– Nie OK? No to masz! – krzyczy tamten i znów zaczyna go okładać. Aleks znów upada i kuli się pod kopniakami, próbuje ochraniać obolałą głowę. Zerwas wyrywa mu plecak i rozkazuje: do biura! Razem z kolegami chwytają Aleksa za kaptur i ciągną po ziemi kilka metrów. Wtedy znów do akcji wkraczają przechodnie – w tym dzielna pielęgniarka ze szpitala Czerwonego Krzyża, do którego za chwilę trafi Aleks. Kobieta dzwoni po policję i po karetkę. Inni krzyczą, żeby tamci przestali, żeby dali chłopakowi żyć. Zerwas wsiada w końcu na motor i odjeżdża, jego koledzy odchodzą w stronę partyjnego biurowca.

Pielęgniarka pomaga skatowanemu, na wpół przytomnemu chłopakowi usiąść na chodniku, podaje mu wodę, by się napił i przemył zakrwawioną twarz. Zgadza się zadzwonić do jego matki. Aleks dyktuje numer, który zna na pamięć.

Maria Kaskarika odkłada telefon i pędzi jak na złamanie karku. Jest na miejscu przed karetką. Ludzie mówią jej, co się stało i kto jest winny, w relacjach powtarza się: Złoty Świt, złociści, Złoty Świt.

Wieczorem Zerwas zjawia się przed szpitalem, w którym leży Aleks. Przechadza się w tę i z powrotem. Rodzice chłopaka widzą go przez okno. To tak jakby mówił: „Proszę bardzo, wasz syn ledwo żyje, a ja chodzę sobie wolny. Rozumiecie, co to znaczy? Nie próbujcie iść na policję, nic wam to nie da”. To całkiem logiczne, że liczy na bezkarność – nie takie ataki uchodziły jego i jego kolegom na sucho. Jednak tym razem się myli. Już kilkanaście godzin później, w sobotni poranek, policja puka do drzwi domu Zerwasa i zaprasza na przesłuchanie. Rozpoznała go ofiara ataku oraz świadkowie, w tym jeden sąsiad, który całe zdarzenie obserwował z balkonu – zna Zerwasa i jego matkę, podał policji dokładny adres Bristolu. Opisał,

w co mężczyzna był ubrany. W tej samej niebieskiej bluzie, którą miał na sobie dzień wcześniej, Zerwas odjechał na komisariat.

Po aresztowaniu partyjnego kolegi kierownictwo Złotego Świtu wydało komunikat: „Zamiast aresztować terrorystów, którzy zdemolowali nasze biuro, zatrzymywani są niewinni ludzie. Dość propagandowych, medialnych kłamstw i zmyśleń przeciwko członkom Złotego Świtu. Potępiamy wszelką przemoc”[52].

Przez pierwszych kilka dni wódz liczy, że sprawa przycichnie i jeszcze da się jakoś Krzysieńka wybronić. To jego wierny żołnierz, sprawdzony w boju – teraz też zresztą zrobił to, co powinien. Musiał dobrze zapamiętać słowa lidera z kampanijnego przemówienia w ateńskim hotelu Crystal z 2012 roku: „Kto mija nasze partyjne biura, ucieka biegiem, a jeśli nie ma szczęścia, nawet nie zdąży się rozpędzić”[53].

Policja i prokuratura prowadzą śledztwo na pół gwizdka – uznają, że nie potrzebują zarekwirować Zerwasowi telefonu, nie interesuje ich, do kogo dzwonił lub pisał po ataku, nie żądają od Złotego Świtu, by przekazał nagrania z kamer zamontowanych na ścianach biurowca. O nagraniach z kamer sąsiedniego banku policjant, który obejrzał je w pojedynkę, mówi, że są bezużyteczne. Jednak adwokat Aleksa nie ma do nich dostępu.

Ale z pomocą przychodzą media. Sprawa jest głośna, a niektóre sekwencje zdarzeń niepokojąco rymują się z tragedią Fisasa sprzed czterech lat. Gazety informują o partyjnej działalności Zerwasa, o jego bliskich relacjach z wodzem, przyjaźni z rzecznikiem partii i innymi wysokiej rangi członkami organizacji, o tym, że zasiada w Komitecie Centralnym; publikują zdjęcia, na których widać

Zerwasa na wiecach i wyjazdach szkoleniowych oraz skan umowy o pracę w poselskim biurze wodza.

Dziennik „Efimerida ton Syntakton" Psarasa donosi, że w nocy, gdy zginął Pawlos Fisas, Zerwas we własnej osobie, jako znany członek organizacji, został wezwany na przesłuchanie. Kategorycznie zaprzeczył, by znał mordercę – Rupakiasa. Nic mu nie wiadomo, by morderca należał do Złotego Świtu. Oczywiście kłamał. Gazeta przytoczyła też zapis rozmowy między Zerwasem a Jorgosem Patelisem, szefem partyjnej komórki w dzielnicy Nikea, oskarżonym o współudział w zabiciu Fisasa. To Patelis esemesem skrzyknął członków brygady uderzeniowej, w tym przyszłego mordercę, i kazał, by natychmiast stawili się w lokalnej siedzibie partii. A po wszystkim przestraszony wydzwaniał po kolegach. Dwa dni po morderstwie bał się, że śledczy poznają treść tych rozmów. Z kolei wódz bał się, że Patelis pęknie i zacznie sypać, więc prawdopodobnie poprosił Zerwasa, by ten do niego zadzwonił i zapewnił, że sytuacja jest pod kontrolą. Obaj wiedzieli, że ich telefony mogą być na podsłuchu.

Zerwas: „Jak się mamy? Dobrze?".

Patelis: „Nie najgorzej".

Zerwas: „Masz jakieś newsy? Popytałem i myślę, że dajemy radę".

Patelis: „Tak myślisz?".

Zerwas: „Tak. Mówiła mi taka jedna, że to niemożliwe, by mieli zapisy rozmów, mają tylko, kto do kogo dzwonił w pierwszych piętnastu minutach po. Ale treści nie mają".

Patelis: „OK. Ale ja nic nie zrobiłem".

Zerwas: „Właśnie to ci mówię. Nic nie zrobiłeś i oni nic na ciebie nie mają. Zasypiemy ich później pozwami, bo bezprawnie podali

twoje nazwisko”.

Patelis: „No właśnie, zniszczyli mnie, pogrzebali mnie żywcem”.

Zerwas: „Nie smuć się. Będzie dobrze, zobaczysz. Nic nam się nie stanie. Rozmawiałem z wodzem, mówi, że poparcie nam spadło ledwie o pół procent”.

Patelis: „Co jeszcze mówił?”.

Zerwas: „Żartował. Mówił, Krzyniu, co, czekasz, aż ci powrzucają przez okna koktajle Mołotowa? Nie bój się, mówił, w sondażach ubyło nam tylko pół procent, bo ludzie teraz niechętnie przyznają, że by na nas zagłosowali. Ale zagłosują. Odzyskamy to poparcie z nawiązką”.

Patelis: „Oby, oby!”.

Zerwas: „Tak będzie, zobaczysz. Cała ta sytuacja tylko nas wzmocni. Jebać ich wszystkich i ostrożnie do przodu”.

Z medialnych doniesień wynika, że Aleksa skatował nie pierwszy lepszy złocisty, a jeden z najważniejszych i najbardziej zaufanych przybocznych wodza, zamieszany w największe afery, nie byle zbir, a wieloletni partyjny działacz i pracownik greckiego parlamentu, opłacany z publicznych pieniędzy. Jego alibi, które przedstawił w czasie śledztwa – wobec zeznań kolejnych naocznych świadków – to wykwit rozczarowująco marnej wyobraźni: „Mnie tam w ogóle nie było. Siedziałem w Bristolu i piłem kawę, co może potwierdzić moja matka. Poza tym nie mam takiej niebieskiej bluzy, jaką świadkowie mówią, że sprawca miał na sobie. Chyba nie jestem taki głupi, żeby bić dzieciaka blisko własnego domu i pracy, gdzie wszyscy mnie znają”[54].

Michaloliakos uznał, że lepiej będzie przynajmniej czasowo się odciąć, odwrócić, zawiesić komunikację. Rzecz jasna, Zerwas musiał

sobie znaleźć też nową robotę, bo wódz właśnie wysłał do marszałka parlamentu pismo z poleceniem rozwiązania umowy (od siebie marszałek dołoży nakaz zwrotu dwunastu pensji). Z mordercą Fisasa zrobili to samo, a przynajmniej próbowali – przekonywali, że prawie go nie znali, że nie mieli z nim wiele wspólnego, że nie działał w imieniu organizacji, że to „samotny wilk".

Gdy zeznaje w prokuraturze, Zerwas nie dostaje żadnego wsparcia. Przed wejściem byli dziennikarze i grupa demonstrujących antyfaszystów, ale nie było ani jednego członka partii. Żaden złocisty nie machał mu na do widzenia, gdy skuty w kajdanki odjeżdżał do aresztu. Usłyszał zarzuty: współudział w kradzieży i współudział w spowodowaniu ciężkiego uszczerbku na zdrowiu.

Proces ruszył na jesieni. Poszło szybko. Zerwas powtarzał, że nie ma niebieskiej bluzy, że w czasie ataku pił spokojnie kawę, że nie byłby przecież taki głupi. Ale zeznań świadków nie dało się podważyć. Wyrok: winny. Wymiar kary: siedem lat więzienia w zawieszeniu, dwa tysiące euro grzywny oraz obowiązek meldowania się na policji dwa razy w miesiącu, aż do prawomocnej decyzji sądu drugiej instancji. To Zerwas wniósł apelację. A nuż inny sędzia będzie bardziej współczujący i wymierzy łagodniejszą karę? Broniła go w końcu prawniczka, która ma też poważnych klientów w *megali diki*, niech sędzia wie, kto za nim stoi, że z niego nie jest byle szeregowy członek Złotego Świtu.

●

Dimitra Zorzu przez kilka godzin składała zeznania w siedzibie głównej ateńskiej policji. Do domu wróciła o dziesiątej rano. Po

bezsennej nocy była wyczerpana, a mimo to nie mogła spać, nie mogła jeść. Włączyła radio, które na okrągło nadawało sensacyjnego newsa: „Nie żyje Pawlos Fisas…". To nie tak – odpowiadała spikerowi. To nie miało nic wspólnego z kibolami. Fani Olimpiakosu ubrani w charakterystyczne koszulki dali dyla, jak tylko usłyszeli marszowy krok złocistych i ich bluzgi. Na własne oczy widziała, jak uciekają. Nie było po nich śladu, gdy złociści rzucili się z pięściami na tego biednego chłopaka i jego kumpli.

Nie – Dimitra znów tłumaczyła wydawcy radiowych informacji. Zabity nie nazywał się Fussas, tylko Fisas. Pawlos Fisas – tak jej powiedzieli na policji. Ale alternatywna wersja nazwiska będzie krążyła jeszcze kilkanaście godzin.

Telewizje też nadawały tylko o jednym. Siedząc na sofie, wpatrując się w ekran i reporterskie relacje na żywo, Dimitra widziała swój dom, Café Korali, ławkę przy przystanku autobusowym, do której wczoraj była przyklejona, z której nie mogła się podnieść. Widziała kwiaty w miejscu, w którym umierał jej sąsiad. Najpierw jeden mały bukiecik, później drugi. Róże, goździki. W informacjach w południe bukietów było już sześć, później dziesięć, później trzydzieści. Do tego znicze. Mieszkańcy ulicy Tsaldarisa mówili do kamer, co słyszeli w nocy, co myśleli, że to może po meczu zamieszki, trzydziestu ich było, czterdziestu, co czują – smutek, żal i złość. Znaliśmy chłopaka, znamy rodziców, dobra rodzina, Boże jedyny, co za tragedia! I ludzie, coraz więcej ludzi na ulicy i na chodniku, gdzie krew zabitego wsiąkła pomiędzy kafle. Coraz więcej ludzi na placu Syntagma przed parlamentem, coraz więcej w innych miastach. Ludzie się wkurwili i protestują przed lokalnymi biurami Złotego Świtu, bo media już podały nazwisko mordercy i jego polityczną afiliację. Oburzony jest

prezydent republiki – urodzony dziesięć lat przed wojną i pamiętający hitlerowską okupację. Oświadcza, że Grecja nie może oddać faszystom pola, ani milimetra[55]. Minister porządku publicznego Nikos Dendias odwołuje zagraniczną podróż i zapowiada, że rząd sprawdzi możliwości delegalizacji Złotego Świtu. To on wczesnym rankiem informował premiera Samarasa o morderstwie po tym, jak sam dostał telefon od szefa policji.

Złocistych i przemoc, jakiej się dopuścili, potępiają zgodnie wszystkie partie polityczne. Sam Złoty Świt też potępia – oficjalnie, głośno i wyraźnie, ustami rzecznika Kasidiarisa: „Potępiamy z całą mocą to, co się wydarzyło w Kieratsini. Nie mamy z tym nic wspólnego!”[56]. Ale nikt mu nie wierzy. W tym samym czasie kolega Kasidiarisa Janis Lagos dzwoni do podwładnych i każe im czyścić domy z nielegalnej broni, a po naradzie z *archigosem* instruuje członków swojej brygady uderzeniowej na ewentualność policyjnego przesłuchania: „Nie znasz Rupakiasa! Zrozumiano?! Nie znasz go!”. Mają się go wyrzekać dokładnie tak, jak się go wyrzekł przesłuchany wcześniej Zerwas. Nikt nie znał Rupakiasa poza jedną osobą – Jorgosem Dimu, którego wyznaczono na kozła ofiarnego. To ten złocisty, który w nocy stawił się na wezwanie, ale uznał, że koledzy bawią się w gang i wrócił do domu. Dimu miał wziąć winę na siebie – tak ustalili Michaloliakos, Lagos i spółka. Miał powiedzieć policji, że był w Kieratsini przez przypadek, zobaczył, że szykuje się bójka, i wezwał na pomoc Rupakiasa. Rzekomo tylko on do niego dzwonił, więc jest najsłabszym ogniwem. Dostanie partyjnego adwokata i najwyżej odsiedzi za kratami kilka lat, ale dzięki niemu partia przetrwa – taki był plan. Jeśli nie posłucha rozkazu Lagosa, to po nim. I po jego rodzinie!

Nie posłucha.

Lewica i antyfaszyści zwołali demonstracje, ale i bez zwoływania ludzie wyszliby na ulice. Tylko w Salonikach protestujących było sześć tysięcy. Wściekli, przemaszerowali przed lokalną siedzibę złocistych, obstawioną przez policję. Doszło do zamieszek, trzydzieści dwie osoby wylądowały na dołku. Na mniejszą skalę protesty odbywały się w Patrze, Joaninie, Larysie, Trikali, Wolos, Seres, Karditsy, Kozani, Koryncie, Nafplio, na Kos, Chios i w kilku miejscach na Krecie. Najtłumniej i najgłośniej było jednak w Kieratsini – kilkanaście tysięcy osób, idąc w górę i w dół ulicy Tsaldarisa (wkrótce Fisasa), skandowało hasła przeciwko złocistym. Płonęły śmietniki, w powietrzu latały kamienie i gumowe pociski. Policja zatrzymała sto trzydzieści osób.

Dimitra, choć po bezsennej nocy, nawet się tego dnia nie zdrzemnęła. Nie była w stanie. Po południu przyłączyła się do demonstracji. Ktoś poprowadził ją do matki zabitego Killah P.

– Magda mnie przytuliła, podziękowała, powiedziała, że z Pawlosem na pewno byśmy się polubili. Obie płakałyśmy.

Nazajutrz odbył się pogrzeb. Koledzy Pawlosa nieśli białą trumnę na lokalny cmentarz. Tysiące żałobników. Z telewizyjnym orędziem wystąpił premier Andonis Samaras, od dawna krytykowany za przymykanie oka na „wybryki" złocistych, przeciwnik podniesienia kar za przestępstwa na tle rasowym, naczelny grecki ksenofob: „Mój rząd nie pozwoli, by pogrobowcy Hitlera zatruwali nasze życie, popełniali zbrodnie, siali terror i podważali fundamenty państwa, które zrodziło demokrację".

Przez parlament przeszła burza, bo posłowie Złotego Świtu chcieli być na sali, gdy marszałek zarządzi minutę ciszy ku czci

zamordowanego muzyka. Posłowie się wściekli, a wnioskodawca wycofał propozycję. Kasidiaris udawał oburzonego: „Powtarzam, bo udajecie głupich – potępiliśmy morderstwo, nie mamy z nim nic wspólnego. Wasze zarzuty są niedorzeczne”[57]. Marszałek ogłosił w końcu minutę ciszy, gdy złociści spóźniali się z powrotem z przerwy. Przy okazji podkreślił: „Nie Fusas, tylko Fisas”. Chyba niepotrzebnie. Cała Grecja znała już poprawną wymowę nazwiska zabitego rapera.

●

W sali D100B prokurator przepytuje Albańczyka i jego greckiego teścia oskarżonych o przemyt narkotyków – to sprawa numer dwanaście. Do końca pracy sądu została tylko godzina, ale prawnik Aleksa liczy, że wystarczy czasu, że zdążymy – sprawa numer trzynaście może spaść z wokandy, bo ponoć świadkowie ugrzęźli w korku i raczej nie zdążą dojechać. Apelacja Zerwasa może się więc zacząć w każdej chwili.

Siadam w rzędzie za Aleksem i jego matką – ona szeptem opowiada kobiecie obok o powodach, dla których jest w sądzie, on wciąż jakby zamrożony, prawie nie rusza głową, patrzy wprost na sędziowski stół. Jest obolały i zmęczony, do tego dochodzi hałas, który potęguje migrenę.

Choć wolnych krzeseł jest sporo, dwaj koledzy Zerwasa, którzy wcześniej na korytarzu zagadywali go i z nim żartowali, wybierają miejsca po mojej lewej stronie i tuż za mną. Rośli faceci. Ten obok mnie szeroko rozkracza nogi, prawą rękę zakłada za oparcie i co rusz spogląda do tyłu. Dyskutuje z kolegą półsłówkami. Tamten za mną,

żeby go słyszeć, przybliża się, nachyla – przez co głowy nas trzech prawie się stykają. Czuję na sobie ich ciepłe oddechy.

Ten ich teatrzyk to marna improwizacja. W rzeczywistości nie mają sobie za wiele do powiedzenia, to dla mnie mają wiadomość. Chcą mnie zastraszyć. Po to szli wcześniej za mną na trzecie piętro do kiosku, choć wrócili bez kawy, po to chcieli korzystać z toalety w tym samym czasie, co ja. Po to siedzą teraz tam, gdzie siedzą. Nie wiedzą, kim jestem, ale od rana bacznie mnie obserwowali. Widzieli, jak wymieniałem numer telefonu z panią Kaskariką, jak rozmawiałem z Aleksem i, co najgorsze, jak witałem się z Dimitrisem Psarasem, ich zaprzysięgłym wrogiem. A skoro rozmawiałem z Psarasem – musieli rozkminiać koledzy Zerwasa – to pewnie też jestem dziennikarzem, a oni kolejnego pismaka nie potrzebują. Powinienem wiedzieć, że nie jestem mile widziany.

●

Oficjalna linia partii głosi, że media zawsze były jej przeciwne, nie traktowały jej na równi z innymi ugrupowaniami, szkalowały ją, jednocześnie kryjąc korupcyjne przewiny pozostałych ugrupowań. To sprytna taktyka, która stawia media w niewygodnej sytuacji i uruchamia groźny mechanizm: każe im się bronić przed zarzutami o dyskryminację, więc na dowód neutralności dają skarżącym jeszcze więcej czasu antenowego, zapraszają do komentowania, proszą o wywiady. W konsekwencji – w percepcji widzów – pozwalają, by Złoty Świt przesunął się do politycznego mainstreamu. Jego członkowie występują w takich samych garniturach i makijażu, siedzą obok polityków Pasoku, Syrizy i Nowej Demokracji, wyglądają

tak samo jak oni. Może krzyczą trochę głośniej, może są ciut bardziej zacietrzewieni i używają ciut bardziej dosadnego języka, ale czyż to nie dowodzi prawdziwej politycznej pasji? Czy nie oznacza, że są bliżej ludzi i lepiej znają ich realne problemy? Nie. Ale sprawiają takie wrażenie. Obecność neofaszystów w mediach wybiela ich, powoduje, że ich z natury antydemokratyczne poglądy i argumenty stają się lepiej słyszalne i uważane są za mniej skrajne niż wcześniej – jednocześnie nic ze swej skrajności nie tracąc.

Sam Zerwas nie był ulubieńcem greckich telewizji czy kolorowych magazynów – co innego jego przyjaciel Ilijas Kasidiaris, przystojniejszy od Krzysia, młody, dobrze zbudowany, miłośnik tango, z wielkim bicepsem i kaloryferem na brzuchu. Na zdjęciach, jakie paparazzi zrobili mu na plaży, widać także wytatuowaną na prawym ramieniu swastykę, ale to nie ona była tematem plotek, tylko nowa dziewczyna, z którą Kasidiaris pozował, piękna blondynka w kusym bikini – to Wula Papachristu, zdolna trójskoczkini, której Grecki Komitet Olimpijski zakazał startu na Igrzyskach w Londynie z powodu rasistowskiego żartu, jaki opublikowała na Twitterze. Pytany o tatuaż, Kasidiaris tłumaczył, że tylko głupcy nie wiedzą, że swastyka to symbol popularny w starożytnej Grecji i że robienie politycznej afery z tego, co ktoś ma na ramieniu, to dowód, że przeciwko Złotemu Świtowi toczona jest propagandowa kampania[58].

Rzecznik partii poczuł się niesprawiedliwie potraktowany także wtedy, gdy media „kłamliwie” opisywały atak na niego ze strony dwóch posłanek w telewizyjnym studiu. Było to w czerwcu 2012 roku, w czasie kampanii do powtórzonych wyborów parlamentarnych (w wyniku majowego głosowania nikomu nie udało się stworzyć koalicji rządowej, więc konieczna była powtórka).

Ledwie dzień wcześniej Kasidiaris był w świetnym humorze. Relaksował się w Bristolu, odpoczywając od kampanijnych trudów. Pili z Krzysiem piwo, żartowali, a gdy zobaczyli, że obok nich przechodzi znany lewicowy dziennikarz, dla jeszcze lepszej zabawy nawrzeszczeli na niego, naprzeklinali[59]. Nazajutrz wystrojony w garnitur Kasidiaris udał się do studia telewizji Antena. W programie na żywo krzyczał i przerywał innym gościom, rzucał wyzwiskami. „Twoja partia cofnie Grecję o pięćset lat!" – wypaliła w reakcji na jego zachowanie i wygłaszane argumenty kandydatka Syrizy Rena Duru. „Co?!" – oburzył się rzecznik partii, po czym chwycił szklankę i chlusnął Duru wodą w twarz. W obronę wzięła koleżankę Liana Kanelli z Greckiej Partii Komunistycznej. Pacnęła Kasidiarisa kartką papieru i powiedziała: „Wynocha". A ten jak się nie podniesie, jak nie spoliczkuje Kanelli raz, drugi, trzeci! Gospodarz programu na to: „*Ohi, ohi, ohi* – nie, nie, nie!". Kazał wyprowadzić polityka ze studia i zamknąć w garderobie. Kasidiaris wyważył drzwi i uciekł, rozmawiając przez telefon z wodzem.

Polityczna i medialna burza trwała kilka dni. Każda z partii skrytykowała skandaliczne zachowanie przyszłego posła – każda z wyjątkiem Złotego Świtu. Wódz wziął swojego ulubionego żołnierza w obronę i przekonywał, że to on padł ofiarą ataku, że Kanelli pierwsza rzuciła się z rękami na rzecznika partii. Ale – dodawał – media wolą tego nie pokazywać, wolą ich mieszać z błotem, jak robią to od lat[60]. Stowarzyszenie wydawców prasy wzywało, by za karę wykluczyć wszystkich kandydatów Złotego Świtu z dalszych kampanijnych debat, ale grecki odpowiednik Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji uznał, że byłoby to działanie niekonstytucyjne. I tak Kasidiaris już kilka dni później znów komentował polityczne

wydarzenia, a w powtórzonych wyborach bez problemu uzyskał poselski mandat. Proces ciągnął się trzy lata, wreszcie sąd oddalił powództwo ze względów proceduralnych. Ale wcześniej nie zgodził się wziąć pod uwagę dowodów na to, że telewizyjny atak rzecznika był ukartowany. Dokumenty przedstawił niezmordowany Dimitris Psaras, który tłumaczył, że co innego emocje i chwilowe uniesienie, a co innego premedytacja i celowe użycie przemocy – są na to inne paragrafy. Dziennikarz wygrzebał nagranie z 2011 roku, na którym wódz – dla Kasidiarisa nauczyciel i mistrz – zapowiadał przyszłe relacje z politycznymi wrogami: „Tak, będziemy ich policzkować, będziemy się z nich naśmiewać, będziemy ich wyzywać! Na oczach całej Grecji!". Psaras przedstawił też artykuły z partyjnej gazety Złoty Świt na temat rosyjskiego polityka Władimira Żyrinowskiego. Wódz odwiedził kolegę nacjonalistę w Moskwie, a po powrocie chwalił go za to, że jako argumentów nie waha się używać pięści, i za to, że podczas telewizyjnej rozmowy chlusnął wodą w twarz Borysa Niemcowa: „Żyrinowski nie mógł tolerować bycia obrażanym, nie mógł pozostać bierny"[61].

●

Sprawa numer trzynaście jednak się odbyła, świadkowie zdążyli. Za to na pozostałe procesy zabrakło czasu. Sędzia oznajmił, że nowy termin to połowa stycznia, czyli prawie równo za miesiąc. Zerwas musi czuć ulgę. Szybko znika z *Efetijo*, a razem z nim ulatniają się też jego koledzy – wyszli bez słowa, nawet się ze mną nie pożegnali. Aleks na marne przesiedział w sądzie pół dnia. Nie jest zły, chce tylko wrócić do domu i odpocząć.

●

Uliczne protesty po zabiciu Fisasa trwały ponad tydzień. Dziennikarze też nie znaleźli ważniejszych tematów. Minister Dendias, mając błogosławieństwo od premiera, wydał rozkaz przeszukania partyjnych biur. Policja znalazła w nich karabiny, pistolety, naboje, kije bejsbolowe, kastety – całe arsenały nielegalnej broni oraz komputery i twarde dyski z szokującymi nagraniami. Widzów wieczornych serwisów oburzają zdjęcia z górskich obozów treningowych, na których widać Rupakiasa i wielu innych członków partii w spodniach moro i glanach, robiących pompki, boksujących, hajlujących. To mundurowi mieli szkolić złocistych i pomagać im w organizowaniu paraarmii. Lecą policyjne głowy – co najmniej siedmiu wysokich rangą funkcjonariuszy „z powodów osobistych" podało się do dymisji.

Ruszyło dochodzenie kierowane przez policyjnych antyterrorystów mające ustalić, czy złociści współtworzą organizację przestępczą. To był prawdziwy przełom w myśleniu o Złotym Świcie, pokonanie mentalnej przeszkody. Do tej pory, gdy neofaszyści łamali prawo, a robili to od lat dziewięćdziesiątych regularnie, politycy i sędziowie rozkładali ręce i deklarowali bezradność: tworzą ugrupowanie, startują w wyborach, konstytucja nie pozwala delegalizować partii politycznych. Nic nie możemy im zrobić – powtarzali. Jednocześnie nie chcieli słuchać ekspertów od konstytucji, którzy mówili: owszem, ale… Owszem, nie ma sposobu, by złocistych formalnie rozwiązać, ale można wobec nich zastosować kodeks karny, a konkretnie artykuł 187, który zakazuje działania organizacjom przestępczym. Czyli

takim, które mają zwartą, hierarchiczną strukturę z wodzem na czele, działają przez długi czas, ich członkowie są zdyscyplinowani i karni, i w ramach organizacyjnej działalności popełniają czyny zabronione. Profesor Nikos Aliwizatos, emerytowany konstytucjonalista z ateńskiego uniwersytetu, opisywał taką możliwość w artykułach prasowych już na rok przed zabójstwem Fisasa, gdy nie było dnia, by media nie informowały o przemocy w wykonaniu złocistych, przede wszystkim o kolejnych pobitych imigrantach. Aliwizatos twierdził, że partia, która stosuje przemoc jako narzędzie do realizacji politycznych celów i jednocześnie cel sam w sobie, wplata przemoc we własną strukturę, nie jest partią, a organizacją kryminalistów. Jeśli odebrać jej przemoc, organizacja przestanie istnieć[62]. Profesor kończył swoje wywody wezwaniem do wahających się kolegów i koleżanek z wymiaru sprawiedliwości: odwagi![63].

Jako pierwszy na odwagę zdobył się polityk, choć po studiach prawniczych i ze specjalizacją z kryminologii – Nikos Dendias. Minister skompilował raport, w którym wymienił trzydzieści dwa przestępstwa, jakie w ostatnim czasie popełnili złociści. Wysłał go do prokuratorów z Sądu Najwyższego razem z listem, w którym napisał: „Wszystkie te czyny zabronione wydają się mieć związek z działalnością organizacji przestępczej. To coś więcej niż pojedyncze incydenty. Taka działalność podkopuje autorytet państwa prawa, narusza prawa człowieka i stwarza ryzyko dla zachowania porządku publicznego i bezpieczeństwa państwa”[64]. Przestępstwa ujęte w raporcie to między innymi zabicie Shahzeda Luqmana, skatowanie egipskich rybaków i związkowców z organizacji PAME. Prokuratura zgadza się przeanalizować je nie jako odosobnione, niepowiązane ze

sobą incydenty, a jako dzieło organizacji przestępczej, a więc pod kątem „partyjnego", złocistego mianownika.

Opozycja w osobie szefa lewicowej Syrizy i przyszłego premiera grzmi: „Nie mogliście działać szybciej? Dlaczego czekaliście na zbrodnię numer trzydzieści trzy?".

Na ścianie Akademii Ateńskiej ktoś wielkimi literami napisał czerwoną farbą w tym samym duchu: „Gdybyście reagowali na morderstwa imigrantów, Pawlos by żył!".

Dziesięć dni po zabiciu Fisasa, wczesnym rankiem, antyterroryści zapukali do drzwi wybranych złocistych. „*Archigos* jeszcze śpi" – powiedziała zaskoczona żona, Eleni Zarulia. Ale po chwili Michaloliakos był już gotowy do wyjścia. Kasidiaris, Panajotaros, Lagos i inni także nie stawiali oporu. Przed policyjną komendą główną czekały już na nich zastępy dziennikarzy, więc cała Grecja – zszokowana, bo niepamiętająca podobnych scen od upadku junty w 1974 roku – oglądała do śniadania zakajdankowanych posłów i partyjnych działaczy, w sumie ponad trzydzieści osób. Na widok kamer złociści stali się bardziej agresywni, krzyczeli, że oto padają ofiarą politycznego spisku, skandowali *zito i niki* – czyli grecki odpowiednik *Sieg heil*. W tym samym czasie policjanci przeszukiwali domy aresztowanych – u Michaloliakosa znaleźli dwa pistolety, amunicję, komplet srebrnych sztućców „ozdobionych" swastyką, *Mein Kampf* oraz czterdzieści trzy tysiące euro w gotówce. Zarekwirowali także komputer i pendrive. U Nikosa Pappasa, człowieka numer dwa w Złotym Świcie, najstarszego przyjaciela wodza, łupy były jeszcze ciekawsze i ważniejsze z punktu widzenia późniejszego procesu. W jego domu w Joaninie śledczy odkryli, poza nielegalnymi pistoletami i bagnetem, małe muzeum ku czci Hitlera:

wojskowe hełmy ze swastyką, nazistowskie książki i memorabilia, flagi i obrazy z insygniami SS, korespondencje z Degrellem i Leni Riefenstahl, zdjęcia sprzed grobu Mussoliniego, nagrania wideo, na których Pappas uczy małego chłopca nazistowskich piosenek i pozdrowień. Ale najcenniejsze było inne znalezisko: spisany odręcznie załącznik do pierwszego, sekretnego statutu partii z lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku. Dla złocistych to wielce kłopotliwy dokument, jest jak kamień u nogi tonącego, jak granat, który wybucha w dłoni. Załącznik razem ze statutem dowodzą, że Złoty Świt ma paramilitarną strukturę, a wszystkie decyzje, zgodnie z nazistowską zasadą *Führerprinzip*, podejmuje osobiście wódz. Zatem partia polityczna to tylko przebranie, paragrafy statutu opisują organizację przestępczą.

Kolejne dni przyniosły następne aresztowania – za kraty trafił między innymi oddany przyjaciel złocistych, były szef posterunku policji przy Ajios Pandelejmonas Tanassis Skaras. Oskarżono go o nadużywanie władzy, pranie brudnych pieniędzy, nielegalne posiadanie broni i narkotyków. Wkrótce dołączyła do niego dobra znajoma, specjalistka od karaluchów, „zaniepokojona mieszkanka" Ajios Pandelejmonas, uboga bezrobotna Temida Skordeli. W jej mieszkaniu policja znalazła wyciągi bankowe świadczące o oszczędnościach rzędu stu czterdziestu tysięcy euro, nielegalne płyty CD i DVD, podrabiane torebki markowych projektantów, a także dwa arkusze A4 z nazwiskami imigrantów mieszkających w okolicy, z ich dokładnymi adresami i rasą – nie wiadomo, czy Skordeli zamierzała ich pobić, czy zatrudnić do handlu nielegalnym towarem.

Dochodzenie w sprawie Złotego Świtu przejęły dwie doświadczone sędzie śledcze z ateńskiego sądu apelacyjnego[65]. Joana Klapa i Maria Dimitropulu dostały całodobową ochronę policji i nie rozmawiały z mediami. W ciszy analizowały materiały znalezione w komputerach zatrzymanych złocistych, treści podsłuchanych rozmów. Wniosły o odebranie immunitetów poselskich oskarżonym, przesłuchały sto pięćdziesięcioro świadków. W tym Dimitrę Zorzu.

– Tej nocy, gdy zginął Fisas, policjanci przesłuchiwali mnie pobieżnie. Miałam w pamięci zapisaną każdą klatkę, ale oni pytali mnie o ogólniki. Za to Klapa i Dimitropulu były genialne. Skupione, przygotowane, zadawały same mądre pytania. Gdy przyszło do rozpoznania człowieka, który przyjechał na miejsce zbrodni razem z Rupakiasem, zestresowałam się. Wiedziałam, że policja wciąż nie ustaliła, kto siedział w fotelu pasażera, media w ogóle o tej osobie nie wspominały. Rozumiałam, że moje wskazanie będzie ważne. „Ten?" – pytała sędzia Klapa, pokazując mi kolejne zdjęcia. „Nie" – odpowiadałam. Ten? Nie. Ten? Nie. Ten? Chyba tak? Tak! Wtedy ona uśmiechnięta odwraca się do koleżanki i powiedziała: „A jednak!". Powiedziały mi, że rozpoznałam Janisa Kazandzoglu. W samochodzie Rupakiasa policja znalazła jego telefon, klucze i dowód osobisty. „Dobra robota" – powiedziały mi na koniec.

Kazandzoglu trafił do aresztu.

Klapa i Dimitropulu zbierały dowody półtora roku, po czym napisały akt oskarżenia, który liczy sześćset dziewięćdziesiąt osiem stron. Przekazały go na ręce przydzielonego do sprawy prokuratora – Isidorosa Dogiakosa, a ten po lekturze zgłosił się do Rady Sędziowskiej Ateńskiego Sądu Apelacyjnego. Zgodnie z greckim prawem zasiadający w tym panelu sędziowie po wysłuchaniu

propozycji prokuratora mogą powiedzieć: „procedować” albo „nie procedować”. Dogiakos przekonywał, że zgromadzone w czasie śledztwa dowody nie pozostawiały wątpliwości – Złoty Świt to organizacja przestępcza, której istnienia zakazuje artykuł 187 kodeksu karnego. Żeby wykazać to w procesie, sąd powinien wspólnie zająć się trzema sprawami: zabiciem Pawlosa Fisasa, usiłowaniem zabicia egipskich rybaków i usiłowaniem zabicia związkowców z organizacji PAME. Rada odpowiedziała: procedować!

Proces ruszył w kwietniu 2015 roku. Na ławie oskarżonych zasiadło sześćdziesiąt dziewięć osób – wszyscy, którzy w Złotym Świcie cokolwiek znaczą.

●

Za kilka dni zimowe święta, cała Grecja kupuje *melomakarona* – skąpane w miodowym syropie ciastka z orzechami i cynamonem, z lekkim posmakiem pomarańczy. Aleks nie ma ochoty, pewnie przez tabletki, które stępiają mu apetyt.

Pani Kaskarika wyjmuje z komody teczkę z aktami sprawy i siada obok mnie na sofie.

– Zobacz – mówi, pokazując mi fotografie ze szpitala zrobione w dniu ataku. – Tylko po głowie go bili. Lekarz na izbie przyjęć powiedział Aleksowi, że miał cholerne szczęście. Jeszcze jeden cios lub dwa, lub uderzenie kilka milimetrów w inną stronę i byłoby po nim.

Na ciele Aleksa od szyi w dół nie było choćby siniaka, za to głowa wyglądała jak stara, szmaciana piłka: usta spuchnięte, jakby chciały pęknąć, tak samo miejsca pod oczami i nad oczami – same oczy

maleńkie, jakby schowane. Do tego płytsze i głębsze rany, zadrapania, zeschnięta krew. A na zdjęciach RTG ciąg dalszy: złamany nos, złamane prawie ramię, pęknięcie w odcinku szyjnym kręgosłupa.

– Jak bolało? Osiem na dziesięć. Do tego dziwne wibracje w obolałej głowie, strach przed hałasem. Nawet ruch na ulicy przed szpitalem, a później przed domem budził we mnie nieprzyjemny niepokój – wyjaśnia Aleks. Mówi wolno i cicho. Widzę, że problem sprawia mu nawet przełykanie śliny. – Miałem uszkodzone ucho wewnętrzne, problemy z błędnikiem. Po szpitalu i miesiącach leżenia w łóżku musiałem na nowo uczyć się chodzić. Każdy krok bolał jak cholera. A latem, gdy pojechaliśmy do Prewezy, bo stamtąd pochodzi ojciec, chciałem wykąpać się w morzu i okazało się, że nie pamiętam, jak się pływa. Ciągle mam też problemy z oddychaniem, codziennie łykam tabletki przeciwbólowe, bo głowa mi pęka. Są dni, że podniesienie palca przekracza moje możliwości. Wystarczy drobny hałas i cały się trzęsę, całe moje ciało drży.

– Fizjoterapia? – dopytuję.

– Musiałem przerwać, zabiegi były zbyt bolesne. Ćwiczę sam – o tyle, o ile – i chodzę na masaże.

– Co mówią lekarze?

– Że będzie OK i wrócę do pełni sił, ale potrzeba czasu. Mówią, żebym do tych dwóch i pół roku, które minęły, dodał jeszcze dwa lata. Tego się trzymam.

– Najlepszy etap życia poszedł na zmarnowanie – dorzuca matka Aleksa. – W tym czasie powinien był skończyć studia, znaleźć pracę i żyć. Żyć! Zamiast tego musi walczyć z PTSD.

– Psychiatra przepisał mi ostatnio antydepresanty, bo zacząłem słyszeć głosy, głosy należące do paru typów ze Złotego Świtu, przekleństwa i groźby. Na szczęście słyszę je coraz rzadziej. Najgorsze są dni jak dziś, gdy w sądzie musiałem patrzeć na Zerwasa albo gdy mijam go na ulicy. Już się tak kilka razy zdarzyło.

– Tego właśnie nie mogę zaakceptować – dodaje Kaskarika. – Że ten bandzior chodzi po dzielnicy jak gdyby nigdy nic. Każdego z nas może zaatakować, skoro zrobił to już raz, nie mając żadnych powodów. Przecież on go chciał zabić, nie przestraszyć, chciał go zabić. Zna się na tym, szkolił innych członków organizacji. Gdyby nie przechodnie…

– Oraz gdyby nie to, że akurat nie miał ze sobą noża – mówi Aleks. – Właśnie to, gdy się poznaliśmy, powiedziała mi pani Fisa. Przytuliła mnie i powiedziała: „Całe szczęście, chłopcze, że on nie miał przy sobie noża".

Na koniec spotkania mówię, że jedna rzecz nie daje mi spokoju. Na chwilę zanim Zerwas i spółka pobili Aleksa, gdy wyrzucali już w powietrze te kretyńskie pytania typu „chcesz wpierdol?", któryś z nich zapytał też, czy chłopak jest Grekiem. „Jesteś Grekiem?" W ich głowach już zapadła decyzja o pobiciu, już nadbiegali. Więc po co to pytanie? Dlaczego je zadali? Ani Aleks, ani jego matka nie znają odpowiedzi. Nie poświęcili tej kwestii zbyt wiele uwagi. Co innego ojciec Aleksa. Dimitris Lazaris, wzięty ateński architekt, napisał wiersz pod tytułem *O ataku na mego syna* i tuż po zdarzeniu opublikował go w internecie. Wiersz opowiada o głupiej nienawiści wobec siebie, która niekonfrontowana z czasem rozlewa się na innych i każe innych brać za podludzi. Kto uważa innych za gorszych, nie rozumie kategorii piękna, harmonii i dobroci. Taki ktoś, dokładnie

taki ktoś, pisze pan Lazaris, nie jest i nie może być Grekiem. Nawet jeśli myśli, że jest częścią greckiego narodu i go reprezentuje, myli się – jedyna wspólnota, do jakiej taki ktoś może należeć, to Złoty Świt[66].

IV

Zapamiętałem to tak:

Wujek z ciotką w pracy, ja w pokoju na drugim piętrze oglądam grecką telenowelę. Nagłe puk, puk – to Elektra.

Mówię, żeby weszła, to przecież jej pokój. Ale ona stoi w drzwiach, tylko na chwilę przyszła, tłumaczy, żeby mnie o coś poprosić.

– Twój tato przyjechał. Gdybyś mógł zostać tu na górze.

Myślałem, że kuzynka wdrapała się na drugie piętro, by zaproponować mi wycieczkę skuterem albo może chciała coś zabrać z szafy. A tu taka niespodzianka. Wcale nie chcę się widzieć z ojcem, nie zabiegam o to, choć mógłbym, przecież jesteśmy w tym samym mieście. Mógłbym wczoraj, tydzień temu, dwa tygodnie temu. Mógłbym wsiąść w autobus miejski, przesiąść się raz, zjechawszy do centrum Salonik z Filiro, i po godzinie mógłbym dzwonić do drzwi jego mieszkania – gdybym znał adres. Nie znam, ale zdobyć go – nic prostszego. Nie robię tego, nie zdobywam adresu, nie wsiadam w autobus. Przywykłem, że ojca w moim życiu nie ma, że są z nim same kłopoty. Nie ma go w moim życiu, ale nagle jest w tym samym co ja domu! Czuję, że serce mi się rozpędza.

– Przyjechał? Jest tu? Do mnie przyjechał?

– Nie. Był na cmentarzu, na grobie babci, i wpadli z Danusią na kawę.

– To może zejdę i chociaż się przywitam?

Tak chyba wypada. Tak trzeba. Tak już jest, że się syn z ojcem witają, jeśli są w jednym domu. Nawet jeśli o to nie zabiegali, jeśli dzieli ich morze żalu, to jakaś siła i tak ich do siebie ciągnie. Robię krok do przodu, już prawie wychodzę z pokoju, ale Elektra ani się ruszy.

– No właśnie gdybyś mógł nie schodzić. Wujek nie wie, że tu jesteś. A przez tę chorobę nie może się denerwować. Danusia mówi, że lepiej, żebyście się nie widzieli. Szybka kawa i już ich nie ma. OK?

– OK – zgadzam się i serce mi pęka.

Elektra uśmiecha się, cicho zamyka za sobą drzwi i schodzi na dół. Wyłączam telewizor i siadam na łóżku. Najchętniej bym się rozpłakał, ale nie mogę. Nie mogę – myślę – bo jest szansa, że jednak się spotkamy, że mnie zawołają na dół albo że to on wejdzie po schodach, żeby się ze mną spotkać. Skoro jest tak blisko, tylko dwa piętra niżej!

Może zauważy moje buty i zapyta: „Czyje to takie kajaki?”, wtedy mu powiedzą i wejdzie. Albo piłkę do kosza, którą sobie kupiłem – „Kto tu gra, przecież nie wy?”, wtedy mu powiedzą i wejdzie. Albo moje wyprane ciuchy na suszarce – „A czyje to, bo przecież nie Janisa?”, wtedy mu powiedzą i wejdzie. A może to ja powinienem iść do łazienki piętro niżej i spuścić wodę przy otwartych drzwiach. „A kto tam jest na górze?”, wtedy mu powiedzą i wejdzie. Albo udam, że do kogoś dzwonię, wyjdę na balkon, będę się głośno śmiał – „A co to za śmiechy?”, wtedy mu powiedzą i wejdzie. Gdyby tylko wiedział, na pewno by wszedł – tak sobie wtedy myślę.

Nie. One mu nie powiedzą. One mu nie powiedzą, bo mają pakt, bo uznały, że tak będzie lepiej, więc cokolwiek by się działo,

cokolwiek by zobaczył, cokolwiek usłyszał, cokolwiek wyczuł, one mu nie powiedzą. Skłamią, a nie powiedzą. Ja po prostu zejdę na dół, w dupie mam ich pakt. Zejdę i powiem: „Chciały cię oszukać".

Nie zejdę. Nie mam odwagi, nie wiem nawet, że mógłbym. Dowiem się wiele lat później, w trakcie terapii, uderzy mnie ta nagła myśl: przecież mogłeś zejść, nie byłeś pod kluczem. Co z tego, że powiedziałeś OK? Jebać OK! Miałeś prawo, miałeś potrzebę, nie musiałeś przestrzegać paktu, którego nie ustalałeś. Zszedłbyś, przywitał się, może spędzilibyście kilka chwil całkiem przyjemnie.

Puls mam wciąż szalony. Krążę między łóżkiem a oknem, choć z tego akurat okna niewiele widać – nie zobaczę, jak ojciec z Danką wychodzą, jak odjeżdżają, jak znikają. Ale może chociaż usłyszę.

Kiedy sobie wyobrażam, że jednak zszedłem, siedzę obok niego i popijam kawę – mam ochotę uciec. Ta rozmowa musiałaby być męcząca, trudna, zawstydzająca. Nie znam go prawie, prawie nic o nim nie wiem, nie ufam mu. Ale mimo dyskomfortu, chciałbym z nim w tym ogrodzie posiedzieć. I niechby za płotem przechodził ktoś znajomy: „Cześć Petro, jak się masz?". Ojciec by odpowiedział i musiałby mnie przedstawić jako swojego syna, musiałby powiedzieć: „A to jest mój syn, przyjechał z Polski". I ten ktoś zagadałby do mnie po grecku, a ja bym nie umiał odpowiedzieć i ojciec musiałby tłumaczyć. Albo gdyby z domu obok wyszła Katerina, bratowa wujka Janisa, która ojca zna od zawsze i kumplowała się z moją mamą, gdy wszyscy mieszkaliśmy w Grecji – też by w nas zobaczyła jakąś kosmiczną całość: ojciec i syn. Nikt nas wcześniej w takiej konstelacji nie oglądał, dla moich polskich przyjaciół mój ojciec nie istniał jeszcze bardziej niż dla mnie – ja przynajmniej wiedziałem, jak wygląda i że jestem do niego trochę

podobny: ciemniejsza skóra, usta, włosy, oni nie mieli w głowie żadnego obrazu pana Sturisa. No to niechby mnie teraz z nim zobaczyli, choćby ten jeden raz i tylko przez chwilę, niechby zobaczyli, że siedzimy ramię w ramię, krew z krwi, że on się mnie aktywnie wcale nie wyrzeka.

Na pożegnanie musiałaby pewnie paść jakaś deklaracja: „Zapraszamy do nas na obiad" albo „Pojedź z nami nad morze", „Wybierzmy się wszyscy do tawerny na *buzukia*". Bo przecież nie mógłby nie chcieć znów się ze mną spotkać, skoro jest okazja, skoro jestem na miejscu, skoro już zobaczył, jaki ze mnie zuch, jaki jestem świetny.

Gdyby tylko wiedział.

Mija pół godziny. Choć głównie siedzę, tętno mam jak przy sprincie – całe ciało w pogotowiu, bo a nuż, kto wie, może jednak, może za chwilę.

Mija godzina. Ile można pić jedną kawę? Zostali na drugą? Czy może już sobie pojechali, tylko ja o tym nie wiem? Czy Elektra wróci na górę, żeby mi powiedzieć: „OK, teren czysty, możesz zejść"?

– Wujek nie wie, że tu jesteś – mówiła godzinę temu. A więc ciotka nie tylko nie powiedziała bratu o bagnie, w którym z jego winy muszę się taplać, o „dezercji" i możliwym więzieniu, o urzędowych wyzwaniach, które zgotował byłej żonie – w ogóle mu nie wspomniała, że przyjechałem. Dlaczego? Z powodu choroby? Ale przecież jego alzheimer jeszcze się nawet porządnie nie zaczął, jeszcze nie zżarł mu pamięci ani orientacji. Przecież ojciec prowadzi jeszcze samochód. Ponoć miewa gorsze dni, ale miewa też lepsze, lepszych jeszcze było więcej niż gorszych. Profilaktyczne przemilczenie, żeby nie pobudzić alzheimera? A skąd ciotka wie, że

spotkanie ze mną może mu zaszkodzić? Lekarz odradzał? Są na to badania? Może by mu się wręcz dzięki mnie polepszyło?

Po półtorej godziny schodzę na dół. Przystaję co parę schodów i nasłuchuję. Cisza. Przez garaż wychodzę na ogród. Nie ma ani ojca z Danką, ani Elektry, ani jej skutera. Ciotka z wujkiem jeszcze nie wrócili z pracy. Milczą zmęczone upałem kanarki. Tylko nieopróżniona popielniczka na ogrodowym stole świadczy o niedawnych gościach. Wracam na górę, kładę się do łóżka i zasypiam.

INWAZJA, KTÓREJ NIE BYŁO

Było ich trzech. Młode chłopaczki, szesnaście lat, nie więcej, choć zapytani skłamali, że dwadzieścia. Śliczni: wielkie oczy, ciemna skóra, ani śladu zarostu, nawet zęby mieli niedorosłe, wciąż nie do końca skostniałe, żółto-kremowe. Niezbyt wysocy i szczupli. Za niedługo pewnie wystrzelą w górę i nabiorą mięśni. Nigdy nie zapomnę ich spojrzeń – przestraszonych, na granicy dzikości.

Zobaczyliśmy ich, gdy szli nieoświetlonym poboczem wzdłuż drogi E85, ciągnącej się od litewskiej Kłajpedy nad Bałtykiem aż po Aleksandropolis na wybrzeżu Morza Egejskiego. Zbliżali się do Orestiady, małego miasta przy granicy z Turcją na północno-wschodnim skrawku Grecji. Mokrzy, zmarznięci, szczękający zębami.

Kilka godzin wcześniej, gdy zaczęło się ściemniać, przepłynęli wpław wartką rzekę Ewros, szeroką na jakieś sto metrów i wciąż lodowato zimną, mimo że był marzec, wiosna powoli rozkładała się ze swoim kramem – dni bywały już zdradziecko ciepłe, wieczory i noce wilgotne i bezwstydnie chłodne. Wskoczyli do rzeki na jej tureckim brzegu, na ląd wyszli po stronie greckiej. Przetruchtali przez okoliczne pola, stawiając opór ciążącym ku ziemi mokrym zimowym kurtkom – biegli, żeby się rozgrzać i by jak najszybciej dostać się na trasę szybkiego ruchu. Liczyli, że ich ktoś podwiezie do Niemiec, albo na inny cud. Jakikolwiek.

Wypatrzyliśmy ich w ostatniej chwili, gdy mój francuski kolega Fabian, również reporter, zmieniał światła z krótkich na długie.

– Zatrzymaj się – poprosiłem w momencie, gdy wciskał hamulec. I tak nasze dwa życia na kilkanaście bardzo krótkich minut skrzyżowały się nagle z trzema innymi.

Wracaliśmy akurat z przejścia granicznego w Kastanies – małej, sennej, niezbyt ładnej i nieszczególnie ciekawej wioski leżącej prawie idealnie na trójstyku granic Grecji, Turcji i Bułgarii. Do niedawna, zanim Chińczycy otworzyli swoje fabryki na świat, wioska słynęła z produkcji mioteł. W okolicy działało dziesięć zakładów, skąd miotły trafiały do domów w całej Grecji. Dziś mieszkańcy Kastanies żyją z rolnictwa, z unijnych dotacji i wahań kursów walut – czasem wkładają do portfela liry i jadą do supermarketu w tureckim Karagac, cztery kilometry od szlabanu, a czasem biorą bułgarskie lewy i wyprawiają się po zapasy na zachód, do Generałowa. Pod koniec lutego 2020 roku o Kastanies dowiedziała się cała Europa, bo wioska niespodziewanie stała się epicentrum konfliktu.

Przyjeżdżaliśmy tam codziennie rano z bazy w Aleksandropolis, stolicy regionu, i wspinaliśmy się na nasyp kolejowy. My i inni dziennikarze – z kamerami, stojakami, mikrofonami, laptopami. W oddali widzieliśmy grecki i turecki posterunek, przedzielający je graniczny płot z drucianej siatki i świeżo zaorane pola naokoło. Tak wyglądała sceneria tej dziwnej (bo nie do końca było wiadomo, kto i o co się bił), transgranicznej bitwy – trwającej blisko dwa tygodnie i rozgrywanej etapami.

Kryzys wybuchł nagle, gdy po tureckiej stronie granicy zrobił się tłok i kilkanaście tysięcy osób szykowało się do przejścia na teren Grecji. Kolejni pospieszyli na wybrzeże i szukali przemytników, którzy

przewieźliby ich przez morze na jedną z pobliskich greckich wysp. Młodzi i starzy, zdrowi i chorzy, panie i panowie, chłopcy i dziewczynki, dziadki i babcie na wózkach inwalidzkich, maleństwa w spacerówkach. Ci ludzie – z Bliskiego Wschodu, Azji i Afryki – w większości żyli w Turcji od kilku lat i już raczej grzebali marzenia o przedostaniu się do Europy, gdzie żyli członkowie ich rodzin: brat, siostra, kuzynka, rodzice. Aż nagle usłyszeli w telewizji, że granica jest otwarta i że turecki rząd sponsoruje darmową podwózkę autobusami. No więc pakowali, co mieli, co zdążyli uskładać, i ruszali w drogę, by chwilę później przekonać się, że Grecy opuścili szlabany, że wściekli wyspiarze gotowi są blokować w portach przypływające pontony. Czuli się oszukani, zmanipulowani, wylewała się z nich złość, gorycz, może rozpacz. Prezydent Turcji Recep Erdoğan jednak kłamał, zwyczajnie kłamał, gdy mówił: „Idźcie, Europa na was czeka". Nie czekała. Oczywiście, że nie czekała. Co robić w tej sytuacji? Gdy już się zrezygnowało z wynajmowanego mieszkania, z marnej pracy, gdy się było kilkaset kilometrów bliżej celu, gdy Europę widać już było na horyzoncie? O, tam, za rzeką.

Przy szlabanie w tureckim Pazarkule przyjezdni ze Stambułu założyli koczowisko, spali pod gołym niebem, mokli, marzli, nie wiedzieli, co robić. Część koczujących, głównie młodzi mężczyźni, postanowiła siłą przedrzeć się na drugą stronę. Gdy Grecy krzyczeli do nich: „*Go back*, cofnijcie się, nie przejdziecie", odkrzykiwali: „*Peace, peace*", ale ich zachowanie było mało pokojowe: rzucali w kierunku greckich strażników kamienie, próbowali kopać rowy pod ogrodzeniem, wycinać w nim dziury, skakać przez drut kolczasty. Nieskutecznie. W odpowiedzi Grecy wystrzeliwali przez graniczny płot race, pociski z gazem łzawiącym, gumowe kule i strumienie wody

z armatek. Wtedy do akcji wkraczała trzecia strona – tureccy strażnicy, którzy robili dokładnie to samo, co Grecy. Chmury dymu i gazu unosiły się nad głowami zdezorientowanych ludzi, uwięzionych w beznadziejnym „pomiędzy". Taka to była bitwa. Atak, uspokojenie, atak, uspokojenie – tyle widzieliśmy z naszego nasypu. Momenty ciszy przerywały jęki zawodu, gwizdy i wrzaski.

Niektórzy zamiast czekania bez końca przy zamkniętym szlabanie z pomocą GPS-u w telefonach wyszukiwali ustronne miejsce wzdłuż dwustukilometrowej granicy i po cichu próbowali przejść lub przepłynąć na teren Grecji, czyli Unii Europejskiej. Większość z nich miała pecha – od razu trafiali w ręce policji, później do aresztu, wreszcie do specjalnego ośrodka, w którym mieli czekać na deportację. Jeśli przybyszów nie zatrzymywali policjanci, robili to inni samozwańczy strażnicy greckości i greckiej granicy – członkowie zakładanych *ad hoc* obywatelskich milicji (rolnicy, myśliwi, rybacy), którzy bez przerwy patrolowali brzegi rzeki. Zatrzymywali i wieźli na komendę.

Mało komu udawało się pokonać rzekę, nie wpaść w obywatelskie sieci i dostać na drogę prowadzącą do Aleksandropolis. Ci nastoletni chłopcy, których spotkaliśmy, można powiedzieć, mieli szczęście. Ciut więcej szczęścia niż większość. Raczej zbyt mało, by to cokolwiek znaczyło.

Choć w ciałach Europejczyków namnażał się już koronawirus (do Grecji pod koniec lutego 2020 roku przywlekli go turyści wracający z grupowej wycieczki do Izraela), kryzys na granicy grecko-tureckiej rozgrzewał europejskie media bardziej niż pandemia. Niepokoił, bo groził powtórką wydarzeń sprzed pięciu lat, gdy w ciągu kilku miesięcy z Turcji do Grecji przedostał się milion uchodźców

i imigrantów. Szli przez Kastanies, przeprawiali się przez rzekę Ewros, dopływali na pontonach na Kos, Lesbos i kilka innych wysp, by następnie przez Ateny lub Saloniki docierać do Idomeni na granicy z Macedonią Północną, rzut beretem od Lagkadii. Tam zaczynali kolejową lub pieszą odyseję, której celem był Zachód – docierali do Austrii, Niemiec lub Szwecji. Nie wiedzieli, że już sama tylko ich obecność na kontynencie, samo maszerowanie, daje im moc obalania rządów i wynoszenia do władzy skrajnych cyników, populistów, neofaszystów – a ci wyniesieni nigdy im za to nie podziękowali. Nie wiedzieli, że stali się zbiorowym europejskim straszydłem, ani że, jak twierdził pewien szeregowy poseł z Polski, roznoszą pasożyty i pierwotniaki, którymi planują przetrzebić goszczące ich europejskie narody.

Dlatego w Kastanies, na nasypie kolejowym z widokiem na rozwibrowaną granicę, panował ścisk. Codziennie zjawiali się wśród nas nowi dziennikarze, wysyłani przez kolejne greckie i zagraniczne redakcje. Przyjeżdżali oglądać powtórkę z „inwazji".

●

W 2015 roku najgłośniej krzyczeli Brytyjczycy. Być może to od nich się zaczęło. Jeszcze przed referendum w sprawie Brexitu angielscy turyści żalili się tabloidom, że coraz liczniejsi uchodźcy na greckich wyspach psują im wakacje. Nie przeszkadzało im, że w tym samym Morzu Śródziemnym całkiem niedawno – 18 kwietnia 2015 roku – utonęło blisko tysiąc sto osób, gdy na dno poszedł ich statek płynący z Libii na Lampedusę. Najpierw mówiło się o stu ofiarach, później o czterystu, później o ośmiuset, a po trzech latach doliczono się

trzystu kolejnych. Największa morska tragedia w Europie w czasach pokoju. Ale żałoba trwała krótko, po kilku tygodniach cała Europa przeszła w tryb wakacyjnego entuzjazmu.

Ci żywi przybysze – twierdzili Brytyjczycy – może i nie sprawiają kłopotów, ale są – są i utrudniają relaks: Grecja is *not fun anymore*, już nie jest tu fajnie. Rowerem nie przejedziesz, tylu ich jest, łażą w tę i z powrotem, obiadu nie zjesz w knajpie przy plaży, bo się gapią i człowiekowi musaka w gardle staje. *Enough is enough*, starczy. Za rok już tu nie wrócimy. Grupa turystów, zaalarmowana opowieściami z piekła, odwołała nawet rezerwacje wczasów na Kos i poprosiła biuro podróży o zwrot zaliczki.

Poleciałem wtedy na Kos, a radio i gazeta, które mnie wysłały, na bilet lotniczy w obie strony i pięć dni w trzygwiazdkowym hotelu wydały wielokrotnie mniej niż cena, jaką uchodźcy płacili za przeprawę dmuchanym pontonem z tureckiego brzegu na grecki.

Wynająłem rower, bo władze wyspy, zrywając z grecką antyrowerową tradycją, usłały stolicę wygodnymi ścieżkami dla turystów na rowerach. Żeby spotkać „najeźdźców", musiałem pojechać kilka kilometrów za miasto, z dala od plaż i restauracji – do nieczynnego hotelu Kapitan Eliasz. Była to rudera, jakich mało, bez drzwi i okien, bez prądu. Za toaletę robiło pobliskie ściernisko. Wokół przepełnionego budynku nadprogramowi goście rozbili namioty i pobudowali szałasy z dostępnego byle czego. Za zgodą mera Kos kierowano tu wszystkich kolejnych, którzy codziennie przypływali z Turcji. Była niedziela, więc czekali na poniedziałek – wtedy otworzy się komisariat policji, a oni będą mogli stanąć w kolejce do złożenia wniosku o azyl. Uda się nielicznym. Pozostali wrócą nazajutrz. Tylko wtedy mogą ich zobaczyć turyści – gdy idą na komendę, gdy

godzinami przed nią kwitną lub gdy kolorową karawaną, procesją barwną i liczną jak w Boże Ciało, wracają do hotelu za miastem. Ich gumowe klapki i japonki z pianki głośno szurają po dziurawym asfalcie. Tylko wtedy.

Podobne sceny rozgrywały się w tym samym czasie także na innych greckich wyspach leżących blisko Turcji – na Samos, Chios, Kalimnos, Leros czy Lesbos. Przybyszów było więcej niż kiedykolwiek wcześniej. Szło na rekord, ale mało kto przypuszczał wtedy, wczesnym latem, że to będzie rekord wszech czasów. Mało kto rozumiał też jego polityczne konsekwencje. Rządy Włoch i Grecji prosiły o pomoc, Bruksela mówiła: bądźmy solidarni, ale apele na niewiele się zdawały. O siłowym rozwiązaniu, angażującym Turcję, jeszcze się wtedy nie mówiło.

Lara była w Damaszku dziennikarką. Mohamed studiował w Kabulu matematykę. Inny Mohamed, Syryjczyk z Dary, prowadził własną praktykę adwokacką. Wszyscy młodzi, mówiący dobrym angielskim, zmęczeni. Starają się być mili, odpowiadają na moje pytania. Po chwili rozmowy uśmiechają się, a po kolejnej chwili pękają i wylewa się z nich wojenna trauma. Wciąż mam z tego dnia zapiski, czytam je czasem i pamiętam, kto im umarł – komu dzieci, komu brat, jak strasznie było płynąć przez morze.

Lara – filigranowa i blada, z burzą blond włosów – poprosiła o mój telefon. Może trafi do Polski? Wolała Niemcy, ale miała już tak wszystkiego dość i tak bardzo pragnęła spokoju, że nie chciała wybrzydzać.

Nie odezwała się. To chyba lepiej, bo polski rząd, kierujący blisko czterdziestomilionowym krajem, koniec końców, nie zgodził się przyjąć choćby jednej uchodźczej rodziny, choćby jednego uchodźcy,

choćby jednej uchodźczyni, choćby jednego uchodźczego dziecka, jednej uchodźczej sieroty. Co bym miał jej powiedzieć, gdyby zadzwoniła? Może coś takiego: Wiesz, Lara, nie przejmuj się, w badaniach wychodzi, że Polacy są lepsi niż polscy politycy, ponad połowa zgadza się na relokację uchodźców i chcieliby cię mieć za sąsiadkę.

Przez kolejne dni na Kos prowadziłem własne badania.

– Tak, tak, widzieliśmy. Tato mówił, że przyjeżdżają i zabierają tutejszym pracę – mówi starszy syn. Tato udaje, że fotografuje starożytne ruiny, i nie wdaje się w rozmowę. Przechodzi na drugą stronę ulicy.

– Nie zabierają. Zostają tu tylko na chwilę i płyną dalej – wyjaśniam.

– To są Turcy, tak? Skoro z Turcji? – pyta mama.

– Nie, mamo – wyjaśnia młodszy syn. – To są Syryjczycy. U nich jest wojna i uciekają. Ja to ich nawet podziwiam za odwagę. Chociaż to chyba bardziej desperacja.

– I co, oni w Grecji chcą znaleźć pracę? Przecież tu taki kryzys, takie bezrobocie.

– Może przyjmiemy ich w Polsce? – pytam.

– Uchodźcy, mówi pan. To przyjmijmy. Trzeba pomagać, a nie tylko czubek własnego nosa widzieć. Tylko czy u nas znajdą pracę? Może będą pracować na czarno i przez nich spadną pensje? Inne kraje też by ich przyjęły?

– Komisja Europejska chce, żeby wszystkie państwa przyjmowały.

– To jeśli proporcjonalnie, to ja się zgadzam, jak najbardziej.

– Ale nasz rząd mówi, że nie przyjmiemy. Dlaczego?

– No właśnie, dlaczego? – Starszy syn głośno myśli. – Może nas nie stać?

– Synu, nas jest trzydzieści osiem milionów. Jeśli nas nie stać, to jesteśmy dziadkowski kraj. Może się boimy, bo to inna religia?

– Mamo, a co ma religia do rzeczy? Przecież człowiek jest człowiekiem. – Młodszy syn marszczy czoło.

– Synku, dobrze wiesz, że dla mnie jest jeden Bóg, nieważne chrześcijański, muzułmański, czy jeszcze inny. Tylko się zastanawiam.

– Ci, co ich widzieliśmy przy policji – mówi starszy syn – to wie pan, mieli ciemniejszy kolor skóry, Bliski Wschód, oni inaczej niż my się ubierają, kobiety całe zakutane, panowie w szerokich spodniach. I Polak od razu się boi, że ona, ta kobieta, to pod sukienką chowa bombę.

●

– I pan tam do nich chodził, rozmawiał pan z nimi? I jak oni? Smutni, co?

– Smutni.

– Ja ich widziałam, wie pan, jak zwiedzaliśmy całą grupą miasto Kos. Stanęliśmy na promenadzie, niedaleko policji, i rezydentka z biura podróży, pani Kasia, powiedziała nam, że mamy się nie bać, jak będziemy obok nich przechodzić. Że oni ani nie żebrzą, ani nic, że są spokojni. I faktycznie. Przeszliśmy, minęliśmy ich i nic. Sobą byli zajęci. A później jak znów się zatrzymaliśmy i pani Kasia opowiadała o tym drzewie Hipokratesa, tym starym, wielkim platanie, to tam na ławce siedziała jedna kobieta i karmiła piersią

dziecko, chyba małą dziewczynkę. Jej synek, może ze cztery lata, podbiegł do mnie, wyciągnął rękę i się ze mną przywitał. Cały uśmiechnięty. Nie chciałam patrzeć na nich ze współczuciem, bo wie pan, jestem psychologiem, w MOPS-ie pracuję. Takich scen to ja się naoglądam, wiem, jak się zachować. Więc też się tylko uśmiechnęłam i poszłam dalej. Choć oczywiście bardzo im współczuję i uważam, że przechodzą gehennę.

– A gdyby mieli przyjechać do Polski i u nas dostać azyl? Chyba nie miałaby pani nic przeciwko?

– Ja wiem, tylu już mamy tych uchodźców z Ukrainy…

– Ilu tylu?

– Nie wiem. Ale chyba dużo. Ja telewizji nie oglądam, radia prawie nie słucham, więc do końca nie wiem. I nawet, wie pan, nie chcę wiedzieć. Już samo to mnie stresuje, że z panem o tym rozmawiam, a ja nie chcę się stresować. Chciałabym się na wakacjach odstresować. Jedno tylko mi się przypomniało, wie pan, skoro już o uchodźcach mowa. Mam taki powracający koszmar. Może dlatego, że mój ojciec był przesiedlany z Ukrainy. Więc śni mi się, że jadę pociągiem i nagle ktoś krzyczy: wojna! Niemcy znów atakują i znów są silniejsi. My przegrywamy i trzeba uciekać. Tylko dokąd? Skąd ja mam wiedzieć, czy wyskakiwać z tego pociągu i biec przed siebie, czy jechać dalej? Boże, jak ja się wtedy boję, jak ja tego snu nie lubię! Dlatego, wie pan, umiem się postawić w sytuacji tych ludzi.

●

– Trzeci rok jestem na Kos rezydentką. Wcześniej tego problemu nie było. Dopiero w tym roku. Choć, ja wiem, czy to problem? Dla tych

ludzi to na pewno potężny problem, to że muszą uciekać od wojny i nie wiedzą, czy nie zginą po drodze. Straszne. A dla nas w branży turystycznej to może też trochę problem. Bo brytyjskie gazety pisały, że uchodźcy szaleją na Kos, i ludzie kasowali rezerwacje. Niech pan nie pisze, że oni tu szaleją, bo nie szaleją. Są bardzo spokojni. Naprawdę. A jacy honorowi. Raz chciałam dać jednemu chłopakowi dziesięć euro, bo tak biednie wyglądał, tak mi się go szkoda zrobiło. Ale nie wziął. Pokiwał ręką, że nie chce. I prawie ich nie widać. Tyle co przed policją. Ja wszystkim moim grupom powtarzam, moim podopiecznym, żeby się nie bali, nie panikowali, bo nie ma czego. To są normalni ludzie, jak my, tylko że mają mniej szczęścia. O wiele mniej szczęścia. I moi turyści, jak ich widzą, tych uchodźców, to faktycznie dopiero do nich dociera rozmiar ludzkiego dramatu. Jak widzą te młode kobiety w ciąży albo ich matki, niedługo babcie, stare, zmęczone, takie smutne. Ale ci, co nie widzą, to się boją. Wie pan, ile ja telefonów dostaję, ile mejli z pytaniami, czy ci uchodźcy to aby HIV nie mają albo eboli, czy bezpiecznie na Kos przyjeżdżać?! Nie żartuję!

●

– Dzień dobry, słyszę, że państwo z Polski.

– Tak, dzień dobry, z Warszawy.

– Długo na Kos jesteście?

– Dwie godziny. Bo my wakacje w Turcji spędzamy, a ten Kos to wycieczka fakultatywna. Wieczorem wracamy.

– Ile płynęliście?

– Pół godzinki. Bo wykupiliśmy droższy rejs katamaranem. Dwadzieścia siedem euro.

– A wiecie, że prawie tę samą trasę pokonują nocami uchodźcy? Tylko że na pontonach, płacą po tysiąc dolarów i płyną trzy godziny.

– Boże, tysiąc dolarów?!

– Chyba ich widzieliśmy, kiedy wpływaliśmy do portu. Kilkanaście osób, mieli skute ręce i wokół nich policjanci. Mówiłem dziewczynom, że to imigranci.

– Uchodźcy – poprawiam.

– Miejscowi pewnie źli. Pewnie się boją, że pójdzie fama i turyści przestaną przyjeżdżać. Nie jest ci miło, jak co krok widzisz żebraka.

– A dlaczego ty od razu zakładasz, że oni żebrzą? Uciekają przed wojną, znaczy żebrzą? Przecież im nie o kasę chodzi, a o życie. Ja bym się najpierw zastanowiła, jak im pomóc, a nie że żebrzą. Żebrzą?

– Nie. Czekają, aż dostaną papier, żeby mogli płynąć dalej, do Aten, a stamtąd na północ Europy – wyjaśniam. – Jak im pomóc? Czy Polska też powinna się zaangażować?

– Polska? A dlaczego Polska? Unia nie umie sobie poradzić z problemem, to chce rozparcelować uchodźców między wszystkie kraje i myśli, że problem zniknie? Nie zniknie. Ja bym nie przyjmował. Mamy wystarczająco dużo sierot, samotnych matek i innych bezrobotnych, których musimy sponsorować. I to jest OK, ale dlaczego uprawiać sponsoring względem totalnie obcych?

– Mamy obowiązek pomóc, bo sami też możemy kiedyś znaleźć się w podobnej sytuacji. Nie możemy umywać rąk. Chrześcijanie czekają na naszą pomoc.

– Chrześcijanie?

– No tak, przecież oni są w Syrii prześladowani i muszą uciekać. A skoro jesteśmy krajem chrześcijańskim, to przyjmujmy chrześcijan. Jako matka dwójki małych dzieci wolałabym mieć u siebie chrześcijan aniżeli muzułmanów. Muzułmanie się źle kojarzą. Nie są pokojowi, nie lubią naszej wiary. Nie pasują do nas, poza tym stoją za zamachami. Jako matka…

– Boże! Ten, że żebracy, ta, że muzułmanie równa się terroryści! Czy wy siebie słyszycie? Elka, wiara tu nie ma nic do rzeczy! Czy ty się, Elka, w ogóle zastanowiłaś, gdzie ty spędzasz wakacje, w jakim kraju? Nie w chrześcijańskiej Grecji, bo tu przyjechałaś tylko na chwilę, na parę godzin. W muzułmańskiej Turcji spokojnie sobie odpoczywasz już od tygodnia. Sama wybierałaś. I jakoś żyjesz. I jakoś nikt nic nie zrobił tobie, ani twoim dzieciom!

●

– Beata.

– Jagoda.

– Małgosia. Z Krakowa jesteśmy. Nasi mężowie, o tam, siedzą w kawiarni z animatorką. Frape piją, bo gorąco, a my sobie biżuterię oglądamy. Tak, oczywiście, że widziałyśmy uchodźców, przed komisariatem była ich cała grupa.

– Codziennie ich widzimy w drodze na plażę. Wie pan, nam to się serce kroi i płakać nam się chce. Co oni mają za straszny los! Wojna i śmierć.

– Najgorsze, że my też ich nie chcemy. My, Polacy. A jeszcze niedawno sami uciekaliśmy. Krótką mamy pamięć i zerową empatię.

Nasz rząd już dawno powinien był zadeklarować, że pomożemy Wstyd, że tego nie zrobił. A uważamy się za cywilizowanych.

– Czytały panie, że brytyjscy turyści, też cywilizowani, narzekają na uchodźców?

– My, krakowianki, coś możemy panu powiedzieć o brytyjskich turystach. Jak dzikusy się zachowują przed Sukiennicami. To ich by się chciało czasami przymusowo deportować.

●

Pół roku później, na początku grudnia 2015 roku, poleciałem na Lesbos – jedną z największych greckich wysp, położoną bardzo blisko Turcji. Grecja wciąż walczyła z kryzysem, a biedniejący Grecy walczyli z rządem. Akurat ważyły się losy przyszłorocznego budżetu, który miał być chudszy względem poprzedniego o blisko sześć miliardów euro – zapisano w nim między innymi kolejne obniżki emerytur i zapowiedź ekspresowej prywatyzacji państwowych firm. Ludzie się wściekli, bo wiedzieli, że prywatyzacja równa się masowym zwolnieniom, bezrobocie rekordowe podskoczy do superrekordowego, i już w połowie listopada wyszli na ulice w ramach strajku generalnego – dziesiątki tysięcy osób. Policja używała gazu łzawiącego i granatów hukowych, a protestujący w okolicach parlamentu rzucali koktajle Mołotowa. Politycy się nie przejęli, więc dwa tygodnie później – w czasie mojego pobytu na wyspie – ludzie zamierzali strajkować po raz drugi.

Pogoda była coraz gorsza, woda w morzu chłodniejsza, wiatry coraz silniejsze. Łodzie z uchodźcami wciąż przypływały, ale, podobnie jak na Kos, rzadziej niż latem i wczesną jesienią. Ludzie

wiedzieli, że wystarczy mocarniejsza fala i wywrotka gotowa, a wywrotka to koniec. Jednak najbardziej zdesperowani wciąż wsiadali do pontonów i zdezelowanych kutrów, bo bali się, że lada chwila przeprawy całkowicie ustaną – nie przez wichry na morzu, a z powodu wieloletniej umowy, jaką Unia Europejska kończyła właśnie negocjować z Turcją. Miała być skutecznym sposobem na zatrzymanie trwającej „inwazji". Jeden z punktów umowy zobowiązywał turecką straż przybrzeżną i policję do intensywniejszych kontroli własnego wybrzeża i zatrzymywania przemytników[67]. O tej umowie mówiło się już wcześniej, gdy Bruksela i Ankara ogłosiły wspólny plan działania. Dla przemytników był to wyraźny sygnał: do roboty, zanim nam zamkną morze.

To było w połowie października. Zatłoczyły się wtedy wąskie przesmyki między Turcją a wschodnim i północnym wybrzeżem Lesbos. Na wyspę docierało kilkanaście łódek dziennie, przywożąc tysiące pasażerów – głównie wojennych uchodźców z Syrii. Byle zdążyć przed umową!

Ale niektóre łodzie nie docierały, jak ta, która poszła na dno wczesnym popołudniem 28 października kilkaset metrów od brzegu wyspy. Spory rybacki kuter, stary i podgniły. Przemytnicy upakowali na jego pokładzie ponad trzysta osób – a pokład nie wytrzymał, rozpękł się, osunął ludziom spod nóg. Chwilę później statek zaczął tonąć, a pasażerowie znaleźli się w wodzie i dryfowali. Pospieszyli ku nim rybacy z najbliższej miejscowości Moliwos i grecka straż przybrzeżna. Hiszpańscy wolontariusze, którzy obserwowali morze przez lornetki, przerażeni dziwną ruchomą wyspą z pomarańczowych kamizelek ratunkowych, odpalili skutery wodne i także ruszyli na ratunek. Dowozili zmarzniętych rozbitków na nabrzeże, gdzie

wyspiarze i ratownicy czekali z kocami, rozcierali im nogi, ręce, klatki piersiowe, chwytali dzieci za nogi głową w dół, by wypłukać słoną wodę, która zalewała im płuca, a w tych, z których ulatywało życie, starali się je z powrotem wpompować. Dwieście siedemdziesiąt dwie osoby przeżyły katastrofę. Reszta utonęła. Morze jeszcze przez wiele dni wyrzucało na brzeg rozmiękczone, napuchnięte ciała. Wyspa zastygła w żałobie, burmistrz kazał wciągnąć na maszty czarne flagi i zorganizował ekumeniczną mszę w porcie w Mitylenie, w miejscu najbardziej ze wszystkich symbolicznym, bo przy pomniku Matki – przypominającym o innych uchodźcach, tych, którzy dotarli na Lesbos w latach dwudziestych minionego wieku, w czasach przymusowej wymiany ludności między Grecją a Turcją. Ich dzieci to dzisiejsi wyspiarscy staruszkowie.

W listopadzie śmierć nadal szalała wokół wyspy – wśród sztormów, codziennie i co noc. Jeszcze nie pochowano wszystkich spośród sześćdziesięciu październikowych rozbitków, a miejscowa kostnica i kontener z chłodziarką przywleczony na tyły budynku znów były przepełnione.

Patolog robił ciałom zdjęcia i pobierał próbki DNA, które następnie wysyłał do centralnego laboratorium w Atenach. Prokurator wystawiał akty zgonu i nakazywał, by nie czekać przepisowych czterdziestu dni na wypadek zgłoszenia się rodziny, tylko grzebać martwych już, jak najszybciej. Krewni najwyżej poproszą o ekshumację. Mufti szykował całuny w rozmiarach od XS, dla uchodźczych dzieci i niemowląt, przez kobiece M-ki, do XL dla rosłych mężczyzn.

Chowano ich w ciszy, bez żałobnych konduktów, zwróconych ku Mekce, na cmentarzu Ajios Pandelejmonas, na samym szczycie

najwyższego wzniesienia Mityleny, na obrzeżach oliwnego gaju, z widokiem na morze i brzegi nieodległej Turcji.

Patrzyłem na ich płytkie groby w pierwszą niedzielę grudnia, ciepłą, słoneczną, bezchmurną. Niepozorne kopce ze świeżej ziemi, a na nich źdźbła suchej trawy, kilka sztucznych, wyblakłych różyczek, kawałek marmuru z datą pochówku i napisem: „*agnostos andras*", czyli nieznany mężczyzna, albo „*agnosti gineka*" – nieznana kobieta; lat około trzydziestu, lat około dwudziestu, lat około pięćdziesięciu, lat około dziesięciu. I jeszcze data śmierci lub odnalezienia zwłok wyrzuconych na brzeg: 28.10.2015, 19.11.2015. I tyle.

W mieście rzeczywistość niespodziewanie normalniała. Zanosiło się na koniec uchodźczej odysei, bo umowa z Turkami nabierała kształtu. Po tym, jak oficjalnie weszła w życie w marcu 2016 roku, ruch na morzu na wiele miesięcy praktycznie ustał, ale już w grudniu poważnie zmalał. Prezydent Erdoğan wysłał na wybrzeże setki dodatkowych policjantów i żołnierzy, by rozbijali przemytnicze bandy i zatrzymywali uchodźców, zanim ruszą w rejs ku Grecji. Nie byli w stanie upilnować wszystkich, więc pojedyncze łodzie wciąż dopływały do brzegów Lesbos – jedna, dwie dziennie, ale już nie kilkanaście.

Na centralnym placu Safony, w pobliżu portu, nieliczni przybysze czekali na wieczorny prom do Aten. Suszyli wyprane ubrania na rozgrzanym chodniku i na cokole pomnika Matki, robili ostatnie selfie na tle spokojnej wody. Dwunastoletni chłopiec z Erytrei uśmiechnął się szeroko i powiedział: „*It's OK, it's OK*". Przypłynęli z ojcem z Turcji zaledwie dzień wcześniej – zdążyli się zarejestrować, dostać dokumenty, kupić bilety. Wszystko jak na razie jest OK. Za chwilę ruszą w dalszą drogę. Dokąd? Do *Sweden*.

Wszyscy oni za chwilę znikną. Myślałem o tym, co po nich zostanie, po tej kilkusettysięcznej fali, po „inwazji", po niedawnej trzydniowej żałobie. Sterty kamizelek ratunkowych, pety, plastikowe butelki po wodzie mineralnej. Oraz kości tych, którzy nie dopłynęli żywi. Nocne koszmary u tych, którzy widzieli umieranie, dużo wypitego alkoholu, płacz. A w pamięci ocalonych także wdzięczność wobec tych, którzy pomagali.

Zostałem na Lesbos cztery dni. W Polsce od ponad miesiąca działał już w tym czasie nowy rząd – władzę przejęli ludzie, którzy straszyli uchodźcami, powtarzali, że nie będą im pomagać, że uchodźcy roznoszą choroby, a uciekający przed wojną mężczyźni to tchórze. Jeździłem po wyspie i szukałem kontrnarracji do moich reportaży i radiowych materiałów, które słałem do Warszawy każdego ranka.

●

W Skala Sikamnias – malowniczej, leżącej na północnym wybrzeżu wyspy rybackiej wiosce ze stu pięćdziesięcioma stałymi mieszkańcami – spotkałem młodego lekarza z RPA. Mike był wolontariuszem i zawiadywał prowizorycznym szpitalem na kółkach, urządzonym w starym autobusie, który na Lesbos sprowadzili Adwentyści Dnia Siódmego. Zaparkowali go tuż przy plaży, żeby tym szybciej można było pomagać przybyszom. Wewnątrz prowizorycznej kliniki widziałem regały pełne leków i lekarskich przyrządów, materiałów opatrunkowych, koców i pampersów.

– Gdy przyjechałem tu sześć tygodni temu, zastałem chaos. Każdego dnia mieliśmy tu tysiące nowych uchodźców. Pontony docierały jeden za drugim, nawet sześćdziesiąt dziennie. Nieważne:

ranek czy środek nocy. Pracowaliśmy bez przerwy, a mieliśmy o wiele skromniejsze zasoby. Dary z całego świata były dopiero w drodze, podobnie wolontariusze. Teraz mamy wszystko, co najpotrzebniejsze, i ludzi, i sprzęt. Mamy nawet aparat do USG. Wiesz, co to znaczy dla tych biednych ciężarnych kobiet, po raz pierwszy usłyszeć bicie serca ich dziecka? W Iraku, w Syrii, w Turcji nie miały żadnej opieki, żadnych wizyt u ginekologa. Przychodzą do mnie prosto z pontonu, mokre, zapłakane, i proszą, by je zbadać, bo całą drogę przez morze nie czuły w brzuchu żadnych poruszeń.

Najwięcej ze wszystkiego – tłumaczył mi doktor Mike – jest skręconych kostek, bo uchodźcy po dotarciu do brzegu w pośpiechu wyskakiwali z łódek, potykali się, upadali, na płyciźnie nogi plątały im się między kamieniami. Częsta była też hipotermia – groźna szczególnie w przypadku dzieci i niemowląt. Nietrudno o nią, bo gdy słońce zajdzie, temperatura raptownie spada. Do tego silne wiatry i wilgoć od morza.

– Kilka dni temu badałem chłopca z Iranu. Talibowie chcieli go zabić, strzelali do niego. Kula przeszyła mu szczękę. Nie wiem, jakim cudem przeżył. Albo ta starsza Syryjka z wielką blizną od ucha do ucha – dżihadyści z Państwa Islamskiego próbowali poderżnąć jej gardło. I jeszcze trójka afgańskich sierot, dziewczyna i dwóch młodszych braci. Zawszone, ze świerzbem, poważnie niedożywione. Ich rodzice zginęli na wojnie, więc wujek w zamian za opiekę zmuszał je do prostytucji. Zanim dotarli tu, na Lesbos, uciekali kilka miesięcy. Sami.

Doktor Mike potwierdza, że w ostatnich dniach łodzi faktycznie przypływa coraz mniej.

– Wczoraj mieliśmy tylko dwie, dziś jedną. Koledzy, którzy obserwują morze przez lornetki, powiedzieli mi przed chwilą, że widzieli, jak turecka straż przybrzeżna zawróciła dwa pontony pełne ludzi. Problem w tym, że oni na pewno spróbują ponownie i jeszcze raz, do skutku, bo są zdesperowani. Chyba że Turcja faktycznie przykręci śrubę…

– Co wtedy?

– Bez uchodźców nasz pobyt tu nie ma sensu. Pewnie się spakujemy i pojedziemy tam, gdzie będziemy potrzebni. Może do Idomeni na granicy z Macedonią?

Dwie greckie starowinki z sąsiedniej wioski mówią, że byłoby szkoda. Obie mają blisko dziewięćdziesiąt lat i twarze pomarszczone jak dorodne rodzynki. Ubrane są na czarno, w sweterki i spódnice, tylko świecą nogami bladymi od kolan w dół, do granicy czarnych skarpetek. Wieloletnie wdowy, babcie i prababcie, uśmiechnięte, życzliwe. Przychodzą do doktora Mike'a niemal codziennie – zmierzyć ciśnienie, po maść na bolące dziąsła, dać osłuchać rzężące płuca. Ale także żeby pomóc.

– Byłoby szkoda – stwierdziła Maria. – Tak sobie ładnie tu wszystko zorganizowali. Tyle kłopotu zadali.

– Tyle kłopotu… – wtórowała Emilia.

– Ludzie przysyłają dary nawet z Ameryki.

– I mamy młodzież z całego świata, przyjeżdżają pomagać tym biedakom z łódek. Jak wyjadą, kto ich uratuje?

Kobiety miały zrozumienie i współczucie dla przybyszów, bo ich matki też były uchodźczyniami. Przypłynęły na Lesbos po pierwszej wojnie światowej, gdy władze Grecji i Turcji zarządziły wymianę ludności.

– Ten sam los ich spotyka.

– Ten sam.

Miesiąc później staruszki doświadczały niespodziewanej sławy – wszystko dzięki zdjęciu, na którym siedzą na ławce we trzy (tego dnia dołączyła do nich ich trzecia kuzynka), a Emilia trzyma na rękach uchodźcze niemowlę i karmi je z butelki, uspokaja, śpiewa kołysankę. Obok stoi młoda matka dziecka, Syryjka – ciągle w mokrych ubraniach, tyle co zeszła z łodzi, uśmiecha się, ale jeszcze chwilę wcześniej płakała z bezradności i wyczerpania, nie umiała sprawić, by głodne dziecko przestało kwilić. Zdjęcie-symbol, traktat w obrazku na temat współczucia, empatii, kobiecej i międzypokoleniowej solidarności, zwykłego ludzkiego dobra, wspólnoty uchodźczego doświadczenia. Tego samego roku Emilię zgłoszono do Pokojowej Nagrody Nobla (razem z młodym miejscowym rybakiem Stratisem Walamiosem, który wielokrotnie ratował z morza rozbitków albo dowoził na brzeg ciała tych, których nie zdążył uratować), a gdy w sierpniu 2020 roku na Lesbos przypłynęła nowa prezydentka Grecji Katerina Sakellaropulu, odwiedziła kobiety w ich wiosce i powiedziała: „Byliśmy z was tacy dumni! Jesteście babciami nie tylko dla własnych wnuków, ale dla nas wszystkich”.

Bez pochwał i bez specjalnej medialnej uwagi w Skala Sikamnias pracowały setki wolontariuszy, specjaliści od katastrof humanitarnych, ratownicy, strażacy, ale też zwykli niespecjaliści z potrzebą pomagania, z dużych i małych organizacji, z Grecji i niemal wszystkich europejskich krajów. Może paradoksalnie było to najbezpieczniejsze miejsce na świecie, najbezpieczniejsza wioska.

Z Polski przyjechała między innymi Natalia – ruda dwudziestolatka, która na miejscu trzymała się z anarchistami.

– Pomagam w kuchni polowej, rozdaję gorącą herbatę i zupę, żeby trochę rozgrzać uchodźców, gdy wysiadają z pontonów. Pomagam dzieciom i kobietom ściągać mokre ciuchy i zakładać suche, które przyszły do nas w darach. Mamy kurtki, swetry, ciepłe skarpetki i buty – opowiadała mi.

Te ostatnie przydawały się szczególnie często, bo uchodźcy, po dopłynięciu na północ wyspy, musieli iść na piechotę do obozu w Morii, na południu, na obrzeżach Mityleny. Sześćdziesiąt kilometrów po krętych górskich drogach. Lokalsi i turyści oferowali niektórym podwózkę, choć to wbrew greckiemu prawu – można dostać wysoki mandat.

Mnie w drogę na południe zabrała trójka wolontariuszy: lekarz z Izraela, pielęgniarka ze Szwajcarii i strażaczka z USA. Byli na Lesbos dziesięć dni. Pomogli, ile zdołali. Skoro nowych uchodźców brakuje, wrócili do siebie, do rodzin, do pracy. Polecieli do Aten nocnym rejsem.

●

Obóz w Morii pod koniec 2015 roku nie był jeszcze piekłem. Nie był europejskim wyrzutem sumienia. Pogorszenie przyszło niedługo później, ale w grudniu Moria, którą zobaczyłem, jeszcze nie przerażała.

Jednym z jej nadzorców był wtedy porucznik Andonis Gagarellis. Rozmawialiśmy na zewnątrz, na placyku między gabinetem lekarskim a kontenerem jednej z organizacji pomocowych. Przybysze stali

w krótkiej kolejce do podstawowych badań – w jednym rzędzie kobiety, w drugim mężczyźni. Dzieci biegały między rodzicami w tę i z powrotem. Miałem wrażenie porządku, niezłej organizacji, może nieco zbyt wolnego tempa, ale u ludzi, których widziałem w czasie godzinnego pobytu w obozie, nie dostrzegałem beznadziei. Gagarellis powiedział mi, że gdy kilka lat wcześniej wstępował do policji, marzył, że będzie ścigał handlarzy narkotyków, złodziei, może nawet morderców. Tymczasem dostał skierowanie na odcinek uchodźczy, ale nie narzeka, bo nudę wynagradza mu wdzięczność, którą widział w oczach przybyszów.

– Wdzięczność? – dopytałem zdziwiony.

– Wdzięczność. Ci ludzie często płaczą ze szczęścia, bo nareszcie są bezpieczni. Tak się uśmiechają, że aż miło. Gdy odbębniamy z nimi całą procedurę – ustalenie narodowości, wywiad, odciski palców, zdjęcie – dajemy im papier, który czasowo legalizuje ich pobyt, a dzięki niemu mogą iść dalej, do Niemiec czy Szwecji, gdzie chcą, gdzie ich przyjmą. Dla nich to jest jak przepustka do lepszego świata. Nie wiedzą, że czeka ich rozczarowanie. Gdy są u nas, są spokojni i radośni.

– Ale mieliście tu przecież zamieszki. Nie zawsze było różowo.

– To był jednorazowy incydent. Latem, gdy uchodźców było rekordowo wielu, jednego dnia prawie dziesięć tysięcy, choć pracowaliśmy bez przerwy i prawie nie spaliśmy, nie daliśmy rady obsłużyć tak wielkich tłumów. Ludzie musieli koczować przed obozem. Stracili cierpliwość i próbowali szturmować bramę. Ale szybko się uspokoili. Teraz uchodźców jest mniej, bez porównania z ostatnimi miesiącami. Ci, których widzisz, przypłynęli o poranku –

za godzinę wyjdą z obozu i jeśli będą mieli szczęście, jeszcze dziś wsiądą na prom do Aten.

Jeden dzień w obozie, kilka godzin zaledwie! Ci, którzy niedługo później zjawią się na Lesbos, nie będą mogli w to uwierzyć. Wyspa jest ta sama, ludzie ci sami, obóz w tym samym miejscu – ale zupełnie inny. Kiedy powstawał, miał pomieścić dwa, maksymalnie trzy tysiące osób. A gdy z „hot spotu" przemienił się w centrum detencyjne (zgodnie z umową Unia Europejska – Turcja, wchodzącą w życie w marcu 2016 roku), pomieścił siedem tysięcy osób, czasami osiem. Bo mimo umowy z Brukselą tureccy strażnicy nie zatrzymają wszystkich chcących przeprawić się na grecką stronę. Wielu zatrzymają, ale nie wszystkich. Jednego dnia dopłynie dziesięć osób, innego dwadzieścia, za tydzień znów dziesięć, i znów dwadzieścia. Moria będzie więc przyjmować coraz to nowych przybyszów, nie pozwalając na wyprowadzkę starym. Będzie pęcznieć i pęcznieć, i pęcznieć. Praktyczna konsekwencja będzie taka, że znikną krótkie kolejki. Nie zobaczysz miejsca, do którego w kolejce czekają trzy czy cztery osoby. Każda możliwa kolejka wydłuży się o kilkaset procent, o wiele metrów i o wiele minut. Najdłuższe i najgorsze będą kolejki po śniadanie, będą się formować już o trzeciej w nocy. Ci z końca śniadaniowej kolejki będą w niej kwitnąć i trzy godziny. A jeśli w międzyczasie zechcą skorzystać z przenośnej toalety – to nie ma, że wyskoczą na chwilę: zajmij mi, kolego, miejsce. Nie. Będą musieli stanąć w nowej kolejce, tracąc miejsce w starej, i będą czekać na wysikanie się razem z co najmniej siedemdziesięcioma osobami. Niech każda z nich przesiedzi w cuchnącej kabinie minutę, niech dwie… Tyle samo osób, co w obozie, będzie żyło poza nim, w gaju oliwnym naokoło obozowego ogrodzenia. W namiotach

i pseudonamiotach. Bez prysznicy, bez toalet, bez kuchni wydającej posiłki. Zimą, żeby się ogrzać, wytną stare, kilkusetletnie drzewa oliwne. Ich miejsce w kolejkach będzie na szarym końcu. Tak będą mijać godziny, dni, tygodnie, miesiące, a nawet lata. Moria stanie się więzieniem, albo może nawet gorzej, bo z więzienia to człowiek przynajmniej wie, kiedy wyjdzie. Moria będzie wielkim europejskim slumsem, a na wyjście ze slumsu nie ma kwitu, nie ma wyznaczonej daty. Bójki, gangi, depresje, samobójstwa, kradzieże, gwałty, prostytucja – ludzie w Morii nie będą wdzięczni. Będą wkurwieni, wiecznie źli lub wiecznie zrezygnowani. Wyprowadzka będzie niespodziewana, natychmiastowa i kompletna – we wrześniu 2020 roku wymusi ją nocny pożar, który pochłonie i obóz, i przyssaną do obozu namiotową prowizorkę.

Po wyjściu z Morii, która nie była jeszcze slumsem, pokręciłem się chwilę po okolicy. Kupiłem mrożoną kawę u niemrawego handlarza. Gdy zapytałem, czemu jest taki znudzony, opowiedział mi o rekordowym lecie, jak rozstawili z kolegami swoje mobilne kantyny, przetłumaczyli cenniki na arabski i sprzedawali koczującym kawy, herbaty, kanapki, słodycze. Mieli obroty z księżyca i zyski kosmiczne. Rok 2015 zapamiętają na długo.

– Było, minęło. Spóźniliśmy się – wzdychają Lena i Panajotis, młode małżeństwo. Swoją budę otworzyli ledwie dziesięć dni temu i na razie tylko na niej tracą. – Gdzie oni się wszyscy podziali? Mamy nadzieję, że przyjadą następni, inaczej będziemy musieli zamknąć biznes.

Zastój w interesie odczuwają też młode dziewczyny, które przed bramą „hot spotu” sprzedawały karty do telefonów z numerami i pakietem na internet. Wcześniej to był szalony hurt, opychały po

kilkaset sztuk dziennie. Dzisiaj biedny detal – dwadzieścia, maksymalnie trzydzieści.

Taksówkarze. Oni płaczą za uchodźcami najgłośniej. Za dziesięć euro wozili ich sprzed bramy obozu do portu w Mitylenie. Mieli po kilkanaście kursów dziennie. Do tego dochodzili dziennikarze i wolontariusze, których trzeba było zawieźć do hotelu lub odwieźć na lotnisko, politycy z Aten i z całej Europy. Zazwyczaj sezon na Lesbos kończy się z końcem lata, z wyjazdem ostatnich turystów – w tym roku trwa jakby w nieskończoność.

Taksówkarz, który wiózł mnie do Morii, chwalił się, że po latach marzeń kupił sobie nareszcie płaski telewizor na pół ściany – pięćdziesiąt cali. Ten, który mnie odwoził, dopiero co wrócił z Aten, gdzie wymienił swoją starą toyotę na wymarzonego mercedesa. Obaj mieli nosy na kwintę i zmartwienie w głosie. Czuli, że kończy się bonanza.

●

Nazajutrz Grecja stanęła. Wczesnym rankiem rozpoczął się strajk generalny, który miał potrwać całą dobę. Protestowali nauczyciele, lekarze, pielęgniarki, pocztowcy, pracownicy ateńskiego metra, dziennikarze, część marynarzy. Cała budżetówka miała wolne, także na Lesbos. Prywaciarze nie dołączyli do strajku, pracowali normalnie – jak właściciel firmy, która zimą oferowała wyspiarzom tanią wycieczkę do tureckiego Ayvalık. Wypływa się rano, robi zakupy na miejscowym bazarku, je się obiad i wraca się wczesnym wieczorem. Koszt podróży zwraca się już przy zakupie jednego wagonu

papierosów, a jeśli kupić dwa lub trzy, wychodzi się na plus. Po tureckiej stronie dużo tańsze są też ubrania, kosmetyki, sprzęt AGD.

Więc popłynęliśmy – ja i strajkujące urzędniczki. Chciałem przejść się wzdłuż wybrzeża, liczyłem, że spotkam przemytników, że uda mi się zadać im kilka pytań. Nic z tego. Mieszkańcy i dziennikarka lokalnej gazety powiedzieli, że spóźniłem się o kilka dni. Przemytnicze bandy opuściły miasto, bo do zaprzyjaźnionych miejscowych policjantów, niefrasobliwych, nieruchawych, chętnych, by za opłatą przymykać oczy na nielegalne przeprawy przez morze, dołączyli kolejni, z rozkazami z centrali, by działać tak, jak dyktowała umowa z Brukselą. Przemytnicy rozpierzchli się więc po okolicznych lasach i w ukryciu czekali na okazje, by odprawiać kolejne łodzie. Mieli więcej czasu, by uaktualniać strony na Facebooku, na których zachęcali do korzystania ze swoich usług. Straszyli, że nadciąga prawdziwa zima, niedługo popsuje się pogoda, ale na razie jest bezwietrznie, najwyżej dwa w skali Beauforta, można płynąć bez ryzyka, *inszallah*. Kto pierwszy, ten lepszy. No i że jest promocja – dziewięćset dolarów za osobę zamiast standardowych tysiąca pięciuset.

My za bilety w obie strony płaciliśmy piętnaście euro. Chwilę po tym, jak wyruszyliśmy z Lesbos i płynęliśmy w ciszy, popijając poranną kawę, na pokładzie katamaranu rozległ się krzyk, wzywanie Boga oraz Matki Boskiej nadaremno. To sąsiadka ze środkowego rzędu rzuciła się do okna. Wypatrzyła ponton pełen uchodźców, dryfujący w kierunku Lesbos. Blisko, może dziesięć metrów od nas. Myśmy się też rzucili. Przez kilkanaście sekund wymienialiśmy spojrzenia – my współczujące, oni przestraszone. Aż minęliśmy się w milczeniu. Do końca rejsu siedziałem jak wryty. Sparaliżowało

mnie to niespodziewane spotkanie na morzu – my w sprawnej łodzi, w komfortowych warunkach, z dobrymi życiami. Oni w kokonie z ryzyka i śmiertelnego niebezpieczeństwa, walczący o życie.

Wyraźnie poruszona krzykaczka przeżegnała się trzy razy, mamrocząc pod nosem. Wieczorem wracała na Lesbos z siatami pełnymi papierosów, kompletem satynowej pościeli, nowymi ręcznikami i dwiema parami butów – na tureckim targu najwidoczniej także mieli promocje. Sąsiad krzykaczki taszczył mikrofalówkę.

●

Ostatniego dnia umówiłem się na rozmowę z merem Lesbos. Przed jego biurem czekałem ja i dwóch młodych chłopaków. Nikolaos i Ewangelos – architekt i inżynier. Przyszli po wsparcie, bo mieli pomysł na to, jak pozbyć się kamizelek ratunkowych, które zostały po uchodźcach. Było ich na wyspie setki tysięcy, niektóre to nędzne podróbki, błyskawicznie nasiąkające wodą. W wolnych chwilach wolontariusze urządzają sprzątanie plaż – ładują kamizelki na paki wypożyczonych jeepów i zwożą w wyznaczone miejsca. Usypali z nich góry. Pomarańczowo-niebieskie hałdy.

Z kapoków – tłumaczył mi Ewangelos – można zrobić torby, plecaki, portfele, płaszcze przeciwdeszczowe, bransoletki. Z kolei poszycie pontonów da się przerobić na dachy dla uchodźczych namiotów.

Od mera potrzebowali oficjalnej zgody na korzystanie z odpadów oraz poletka, na którym będzie można je składować i czyścić.

– Do szycia chcemy zatrudnić samych uchodźców i bezrobotnych wyspiarzy, a gotowy towar wysyłać do sklepów w Atenach lub dystrybuować przez internet. Cała nadwyżka – mówił Nikolaos – szłaby na pomoc dla ofiar wojny. Jest tego tu co najmniej sześćdziesiąt ton. W niedługim czasie jesteśmy w stanie przerobić połowę, a przy dobrych wiatrach może całość. Sytuacja *win-win*.

Wychodząc ze spotkania, powiedzą mi, że mer obiecał pomóc.

Spiros Galinos – po sześćdziesiątce, siwe włosy, okulary, z przepalonym głosem. Widocznie zmęczony. Popularny wśród wyspiarzy, bezpartyjny, prawdziwy samorządowiec. Jeszcze przed operacją chorego serca i przed wizytą w Sztokholmie, gdzie razem z burmistrzynią Lampedusy odbierze nagrodę im. Olofa Palmego za pomoc uchodźcom.

Zdziwił się, gdy na dzień dobry zapytałem go o choroby zakaźne, jakie przywlekli na Lesbos uchodźcy.

– Jak to choroby? Żadnych chorób nie było – odpowiedział.

Wyjaśniłem, że pytam dla pewnego polskiego posła. Zdaniem mera, jeśli ktokolwiek roznosi choroby, to właśnie europejscy politycy. Zarażają ksenofobią, rasizmem i faszyzmem, bo wiedzą, że na strachu wyborców wiele mogą ugrać. On sam musi przyznać, że od początku uchodźczego kryzysu potrafił zachować zimną krew, rozwagę i racjonalne podejście. Podobnie mieszkańcy wyspy.

– Łatwo było o panikę, ale na szczęście udało się jej uniknąć. Zdaliśmy egzamin z humanitaryzmu.

– Może dla was ten egzamin był łatwiejszy, bo wiecie, że uchodźcy są u was tylko tranzytem? Wcale nie chcą zostawać na Lesbos ani

w Grecji. U nas mieliby się osiedlić na stałe i musielibyśmy na nich płacić.

– Nas też uchodźcy kosztują, i to sporo, dwadzieścia procent naszego rocznego budżetu. Zresztą nie chodzi o pieniądze. Gdyby Europa mogła uzgodnić długofalowy plan, który zakłada sprawiedliwy podział uchodźców między wszystkie kraje, w tym Polskę i cały wasz region, od razu bym ogłosił, że my przyjmiemy na wyspie nawet kilka tysięcy osób.

Jednak Unia Europejska ma problemy z planowaniem i działaniem. Przecież mer już wczesnym latem składał w Brukseli propozycje uporania się z kryzysem i wskazywał na kluczową rolę Turcji. A później ponaglał i prosił, czasami otwarcie krytykował – w tym gabinecie, siedząc za tym biurkiem, gościł polityków z całej Europy, europosłów, greckiego premiera i greckich ministrów, i błagał ich o pomoc. Jego pomysły podchwycono dopiero niedawno i dość przeinaczono, bo Galinos wcale nie uważa, że Ankara powinna dostawać unijne pieniądze za to, że walczy z przemytnikami na swoim terenie – to przecież jej obowiązek. Ale OK, nie będzie się czepiał, umowa to krok w dobrym kierunku.

– Uchodźców jest coraz mniej. Najważniejsze, żeby przestali ginąć na morzu. Kolejnych nie mielibyśmy nawet gdzie godnie pochować.

Po tym, jak cmentarz Ajios Pandelejmonas ostatecznie się zapchał, burmistrz Galinos dogadał się z mieszkańcami wioski Kato Tritos piętnaście kilometrów od stolicy i w ich gaju oliwnym zorganizował prowizoryczny cmentarz dla bezimiennych. Zawiadował nim młody Egipcjanin – nie prowadził firmy pogrzebowej, po prostu uznał, że to jego obowiązek.

Świeża trawa szybko zarastała tam kolejne groby i zasłaniała marmurowe tabliczki w rzędach po dziesięć lub dwanaście. W rogu poletka stała zaparkowana koparka, obok niej leżały wysłużone szpadle i łopaty.

●

W samolocie do Aleksandropolis – pod koniec lutego 2020 roku – było nas ledwie dziesięcioro (nie minie miesiąc, a koronawirus całkiem wstrzyma ruch lotniczy), w tym dwaj młodzi żołnierze, których rozmowę podsłuchałem na lotnisku w Atenach w oczekiwaniu na przesiadkę. Grecki premier kilka dni wcześniej zarządził wzmożoną ochronę granicy. Nad Ewros, by strzec kraju przed rzekomą „inwazją", ciągnęły policyjne i wojskowe posiłki z całego kraju – ze stolicy, ale także z jednostek na wyspach. Tysiące mundurowych.

– Żołnierz? – zapytał mój sąsiad z ławki chłopaka, który siedział naprzeciwko i sączył kawę na zimno. Ubrani byli po cywilnemu, w dżinsy i zwyczajne adidasy. Zdradzały ich tylko włosy ostrzyżone na zapałkę i plecaki w zielone moro. – Ja też. Po co oni nas tam wysyłają? Powiedzieli ci coś? Wiesz, na ile lecisz?

– Uchodźcy… Mam majtek na tydzień. Najwyżej sobie dokupię.

Dobrze utrafił. Po tygodniu, gdy sytuacja w Kastanies nieco się uspokoi, będziemy wracać do Aten tym samym samolotem.

Jeśli dzień jest bezchmurny, a wtedy był, z okna samolotu lecącego do Aleksandropolis najpierw widać górzystą Samotrakę, z płachtą śniegu na Fegari – najwyższym szczycie wyspy. Widok jest spektakularny, bo bardzo wyraźny – samolot lada moment wyląduje,

jest wystarczająco nisko, by można było dostrzec szare skalne załamania na wschodnim wybrzeżu i czerwone dachy oddalonych od siebie, pojedynczych domów. Później jest zakręt i wyspa zostaje w tyle. Wtedy szybko należy się przesiąść na fotel po drugiej stronie przejścia i przykleić nos do okna – bo oto wlewa się do morza Ewros, najdłuższa po Dunaju rzeka na Bałkanach. Szeroka, wartka, kręta i dzika, momentami śmiertelnie niebezpieczna. Jej delta tworzy skomplikowaną siatkę kanałów, pokrętnych cieków, minijezior, nigdy niewysychających kałuż i lagun, dużo tam wirów i ruchomych piasków, piaskowych wysp, podmokłych łąk ze słonoroślami, bagien, a ciut wyżej także żyzne pola i hojnie owocujące sady – przede wszystkim jabłkowe i aroniowe. Przetwory z nich to regionalna specjalność. Ewros obficie karmi florę, ale też faunę, a szczególnie ptaki – delta rzeki to ptasi raj. Na będących częścią parku narodowego mokradłach bywają flamingi, pelikany, czaple, czarne i białe bociany, orły bieliki. To dla nich z całego świata zlatują się tu zapaleni ornitolodzy. Zbliżając się do morza, rzeka krzywi się, wygina, wije się zakolami, a przez jej środek biegnie granica z Turcją, równie pokrętna.

Na lotnisku wsiedliśmy w autobus – i ja, i dwaj żołnierze, nie do końca zorientowani w sytuacji. Kwadrans później byliśmy już w portowym Aleksandropolis – mieście całkiem urokliwym, z dobrym uniwersytetem i porządnym szpitalem, jak większość greckich miast podupadłym nieco w kryzysie, ale, zdaje się, dzięki turystyce i krzyżującym się tu szlakom handlowym wychodzącym powoli na prostą.

Wysiadłem przy głównej ulicy, żołnierze pojechali dalej – zobaczymy się tydzień później. W drodze do hotelu zrobiłem sobie

selfie, stojąc plecami do salonu i-Repair – to jeden z sześciu, który uruchomił mój brat Nikos. Warsztaty są coraz bardziej popularne, bo kryzysowi Grecy wolą naprawiać sprzęt niż kupować nowy, a nawet jeśli nie wolą, to muszą. A odkąd wybuchła pandemia, wpadają do i-Repair także po to, by zdezynfekować smartfony w specjalnej maszynie. Gdy brał we franczyzę miejscowy i-Repair, Nikos myślał o studentach, średnio zamożnych tureckich i bułgarskich turystach oraz o swojej mamie – bo Elefterija tylko zimą mieszka w Atenach, resztę roku spędza w rodzinnej wiosce Karoti, niedaleko Didimoticho. Jest tutejsza, więc i Nikos jest tutejszy. Jako dziecko, gdy żyli jeszcze jego dziadkowie, spędzał u nich każde święta i każde wakacje – jeździł z kolegami pływać do pobliskiej Ewros. Choć powinien mówić Lagkadia, w odpowiedzi na irytujące *apo pu ise* – zawsze mówi: Karoti. Matczyzna, nie ojczyzna.

Wysłałem mu zdjęcie, poszedłem się rozpakować, a już godzinę później siedziałem w Kastro przy herbacie z sokiem aroniowym. Przyjechałem ze znajomym dziennikarzem z lokalnej telewizji Delta. Andonis zaprasza do studia miejscowych polityków i przedsiębiorców, zna wszystkich. Gdy zapytałem go o rolników, od razu wiedział, o kogo konkretnie mi chodzi i gdzie ich znajdziemy. Jemu też nie podobało się patriotyczne, albo raczej nacjonalistyczne wzmożenie, które czuć było w powietrzu, słychać w rozmowach ludzi, które buchało z mediów, a które tu – w centrum wydarzeń – materializowało się w postaci samozwańczych straży obywatelskich, groźnych paramilicji.

Kastro, czyli zamek – tak nazywa się kawiarnia wyglądająca jak tandetna, źle wyskalowana imitacja średniowiecznej twierdzy. Wokół niej wije się sztuczna fosa, mająca symbolizować pobliską rzekę,

a na betonowej, podświetlonej wieży, przyczepiona do wysokiego masztu powiewa biało-niebieska grecka flaga. Poniżej łopocze nieco mniejsza, żółta flaga greckiego kościoła. Obie są czymś więcej niż tylko flagami – krzyczą: uwaga, tu jest Grecja, kraj chrześcijański. Widać je z daleka także w środku nocy – z centralnego placu Feres, mieściny kilometr na lewo od kawiarni, oraz z miejsca kilometr na prawo, czyli przy rzece, gdzie Grecja się kończy, a zaczyna Turcja, kraj muzułmański.

Zwykle zbierają się tu zagraniczni ornitolodzy oraz okoliczni rolnicy i rybacy. W normalnych czasach, gdy Grecji nie grozi „inwazja nielegałów", gospodarze wpadają z żonami na kawę i plotki, tsipuro, słodki deser. Ale teraz czasy nie są normalne, są wyjątkowe, więc żony zostają w domach, a mężowie zjawiają się licznie co wieczór i ustalają logistykę. Żeby zatrzymać „inwazję", umówili się, że będą non-stop patrolować tereny wzdłuż rzeki. Przyjezdni policjanci i żołnierze są ważni, ale nikt nie zna tego trudnego terenu lepiej od miejscowych. Poza tym mają traktory, a do traktorów przymocowane mocne reflektory. Jak ustawią maszyny wzdłuż brzegu w długim rzędzie i włączą światła, noc przechodzi w dzień.

Patrzę na nich i widzę zatroskane miny, zmarszczone czoła; są poważni, skupieni i przejęci – męscy mężczyźni, jakby tylko oni mogli wypełnić specjalną misję, jakby warunki jej powodzenia taszczyli na własnych barach – straszny ciężar. Poważna sprawa.

Kostas Aleksandris zamawia to co ja. Mówi, że chętniej napiłby się piwa, ale nie może. Ma czterdzieści kilka lat, gładko ogoloną, przyjemną twarz. Siwiejący szatyn. Jest przewodniczącym związku rolników, dzwonią do niego ważni politycy z regionu i z Aten, musi zachować trzeźwość umysłu. Sympatyczny, uśmiechnięty, popularny,

co kto wejdzie do Kastro, to od drzwi woła: się masz Kosta, jak leci (*ja su Kosta, ti kanis*)? Właśnie skończył swoją wartę.

– Jest nas trzystu. Mamy listę z nazwiskami i numerami telefonów. Wiemy, kto ma gdzie pojechać i z kim. Rotujemy co osiem godzin. Zmęczony jestem, ale dumny. Tak, uważamy, że bronimy ojczyzny. Robimy to, bo to nasz obowiązek. Dla nas to normalka. Rodzice tak nas wychowali, na patriotów. Jak się mieszka blisko granicy, trzeba wiecznie być w pogotowiu. Bo to wiadomo, co Turcy wymyślą? Po drugiej stronie rzeki mamy przyjaciół, spotykamy się, żyjemy w pokoju. Ale jakiś niepokój zawsze w człowieku jest. Zresztą tym razem nie o Turków chodzi. Każdy z nas ma w domu strzelbę, albo pistolet. Wiemy, jak ich używać.

Dopytuję, czy tym razem już mu się zdarzyło. Waha się kilka sekund, wreszcie odpowiada:

– Nie. Ja broni na patrole nie noszę. Ale inni noszą i ja to rozumiem. Nigdy nie wiesz, kto nagle wyrośnie naprzeciwko ciebie.

Pierwszej nocy na patrolu jemu akurat wyrosła przed oczami grupa kilkorga „nielegałów", a wśród nich kobieta w zaawansowanej ciąży, o niezbyt ciemnej skórze, możliwe, że Syryjka. Ubrania miała suche, to znaczy, że rzekę przepłynęła na pontonie.

– Nie było wyjścia, trzeba ich było zapakować do samochodu i odwieźć na policję. Akurat tej kobiety żałuję, bo moja żona też jest w ciąży, niedługo rodzi. Przykra sprawa.

Mówię, że jak byłem w tej okolicy po raz pierwszy osiem lat temu, ludzie też przechodzili przez granicę. Palestyńczycy, Kurdowie, Afgańczycy, Irakijczycy, Kenijczycy. Nie tak wielu jak w 2015 roku, o nie, o wiele mniej niż teraz, ale przechodzili, przepływali. Niektórzy ginęli, choć myśleli, że rzeka jest bezpieczniejsza niż morze. Błąd:

Ewros też bywa zabójcza. Wypadali za burtę albo szli na dno z dziurawym pontonem. Ich ciała zahaczały później o rzeczne kamienie lub dryfujące gałęzie. Albo ginęli od starych zapomnianych min, którymi obsiane było pogranicze. Znajdywaliście – mówię – te ciała, wołaliście policję i muftiego z Didimoticho, który organizował bezimiennym przybyszom pogrzeby. Dla tych, którym się udawało, mieliście – nie wiem, jak pan – dużo empatii. Dużo więcej niż teraz. Nie świeciliście im po oczach reflektorami z waszych traktorów. Dawaliście im jedzenie, oferowaliście podwózkę na dworzec w Aleksandropolis, skąd pociągiem można wyruszyć w drogę do Salonik lub Aten. Wiem, bo raz się z nimi zabrałem, razem pokonaliśmy tę malowniczą trasę. Jednemu z nich pomagałem kupić bilet od niesympatycznej kasjerki.

– Ja też pomagałem – zapewnia Aleksandris. – Częstowałem ich chlebem, jabłkami z mojego sadu, podgrzewałem mleko dla maluchów, jednemu facetowi oddałem swoje buty, bo jego własne porwała rzeka. Ale wtedy to były dziesiątki osób, nie tysiące czy miliony, jak teraz. Zresztą może to pomaganie nie było wcale takie dobre. Pomagając, wysyłaliśmy mylny sygnał – że każdy może nielegalnie przekroczyć granicę, a i tak będzie witany jak zaproszony gość.

Mój rozmówca musi wracać do domu, do żony, ale zgadza się na kolejne spotkanie. Zabierze mnie ze sobą na patrol.

●

Schodzimy z nasypu i idziemy przed zamknięty szlaban naprzeciwko jedynej w Kastanies stacji benzynowej – to nasze centrum prasowe.

Jest tam już Andonis z kamerą, jego koleżanka z redakcji Olga, Fabian, z którym od kilku dni podróżuję na trasie Aleksandropolis–granica i z powrotem, jest Stefan z niemieckiego „Spiegla" i dziesiątki innych dziennikarzy. Przy stacji działa sklep, w którym można zamówić ciepłą kawę i podładować baterię w telefonie. Za chwilę zacznie się tu konferencja prasowa przedstawiciela Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, który właśnie wrócił z krótkiej wyprawy na pas ziemi niczyjej, z miejsca tuż przy granicznym płocie, a więc z epicentrum wydarzeń, dokąd my, dziennikarze, nie mamy dostępu.

– Jestem wstrząśnięty tym, co zobaczyłem – zaczyna Francesco Rocca. – Koczujące kobiety z małymi dziećmi, zmarznięte, głodne. Kilkaset zdesperowanych osób. Czy to przed nimi mamy się bronić, czy to przeciwko nim potrzebujemy tarczy?

„*Shield of Europe*" – takiego określenia użyła nowa szefowa Komisji Europejskiej, która dzień wcześniej była w regionie Ewros. Nie mogliśmy z nią porozmawiać, bo Ursula von der Leyen pogranicze obserwowała z wysokości, krążyła nad naszymi głowami w helikopterze razem z greckim premierem i szefem Rady Europejskiej. Cała trójka była mocno zatroskana nieodpowiedzialnym zachowaniem tureckiego prezydenta, który nagle postanowił złamać warunki podpisanej pięć lat temu umowy. Czyż nie dostał swoich trzech miliardów euro w zamian za uszczelnienie granicy? Dostał. Czy nie daliśmy mu trzech kolejnych, gdy ich zażądał? Daliśmy. Więc o co mu chodzi? Von der Leyen jest Niemką, wiedziała, że uchodźcy, których w 2015 roku przyjęła kanclerz Merkel, w większości dobrze sobie w Niemczech radzili, zdążyli nauczyć się niemieckiego i znaleźć pracę. Ale mimo to o powtórce z „inwazji" nie może być mowy.

Dlatego chwaliła greckiego premiera za to, że tak dzielnie broni unijnej twierdzy, że uczynił z Grecji europejską tarczę. Ogłosiła też, że Komisja wesprze go kwotą siedmiuset milionów euro, z czego połowa ma pójść na remonty granicznej infrastruktury.

– Grecja ma prawo strzec swoich granic – tłumaczył dalej wyraźnie przejęty Rocca. – A Turcja nie powinna używać ludzi do politycznych rozgrywek, ale w tym wszystkim musimy pamiętać o szacunku wobec drugiego człowieka. Słowa mają symboliczne znaczenie i ciężar. Musimy ich używać rozważnie, bo inaczej staną się pożywką dla ksenofobii i przemocy.

Trafił w sedno – pomyślałem. Bingo. Odkąd przyleciałem do Grecji kilka dni wcześniej, miałem dziwne wrażenie, jakby ktoś rozpylił ksenofobię w marcowym, wczesnowiosennym powietrzu. Na puszce dla niepoznaki napisano: patriotyzm, ale to, co się z niej wydobywało, było gęstsze i gorzej pachniało.

Hasztag #NiktSięNiePrzeciśnie najpierw królował na greckim Twitterze, po czym jako hasło-wytrych i bojowy okrzyk przeszedł do realu – słychać go było w sklepach, piekarniach, kawiarniach, na ulicach. Na jednym oddechu ze stwierdzeniami typu: „wystarczy", „więcej imigrantów nie pomieścimy".

Minęło niecałe pięć lat – myślałem, wspominając mój pobyt na Lesbos – i Grecy znów jako pierwsi w Europie muszą się wykazać, znów zdają egzamin z humanitaryzmu, jednak tym razem trudniejszy, na poziomie rozszerzonym, bo zmieniły się warunki. „Hot spoty", wcześniej działające na zasadzie: wchodzę, wypełniam kwity, wychodzę, dzięki, cześć, płynę do Aten, zmieniły się w obozy internowania, w praktyce slumsy – nieludzko przeludnione, pełne przemocy i beznadziei; wyspy, jak Lesbos czy Samos, z miejsca

chwilowego pobytu w ramach podróży na północ stały się więzieniami. Grecja może zapomnieć o pokojowym Noblu, teraz ma być tarczą.

Głównym rozpylającym był szef rządu, Kiriakos Mitsotakis, którego stryjecznym pradziadkiem był sam Elefterios Wenizelos (ośmiokrotny premier, uchodzący za budowniczego nowożytnej Grecji), którego ojciec stał na czele rządu w latach dziewięćdziesiątych zeszłego wieku, którego siostra szefowała greckiej dyplomacji, którego siostrzeniec jest merem Aten. Mitsotakis przejął władzę po wygranych wyborach latem 2019 roku. Uchodzi za umiarkowanego, ale ma w partii i w ministerstwach kilku skrajnie prawicowych twardogłowych, którym od dawna bliżej niż do Nowej Demokracji było do Złotego Świtu, część z nich roiła nawet o parlamentarnej koalicji z neofaszystami. By się nie zbuntowali, Mitsotakis musi ich dopieszczać, karmić ostrą, wojenną retoryką. Dlatego coś, co rozwijało się jako kolejna odsłona kryzysu migracyjnego, zaczął portretować jako poważne zagrożenie dla bezpieczeństwa kraju. Skoro jest zagrożenie, wyborcy powinni się bać. Niech się chwilę poboją, a wtedy szef rządu zapewni ich, że wie, jak naród obronić. Pomysł chwycił, bo mainstreamowe media stanęły murem za szefem rządu. Erdoğana greccy dziennikarze pogardliwie nazywali sułtanem, wieszczyli, że wysyłając do Europy islamskich imigrantów, turecki prezydent chce odbudować Imperium Osmańskie – Grecja ma być jego pierwszą ofiarą. Za to własnego premiera większość dziennikarzy chwaliła za hardość i zdecydowanie, gdy deklarował, że obroni granicę, nie zgodzi się na szantaż, a nawet wtedy gdy łamiąc międzynarodowe konwencje, postanowił, że na miesiąc zawiesza możliwość ubiegania się o azyl, albo gdy w kolejnych wywiadach

powtarzał i odmieniał przez przypadki, a w ślad za nim inni: „atak", „inwazja", „ojczyzna", „walka", „obrona", „honor", „interes narodowy", „duma", „zjednoczeni".

Gdy na granicy zaczynało się kotłować, premier poleciał do Aleksandropolis, by wzmocnić morale. W towarzystwie swoich najważniejszych ministrów, ubrany w dżinsy i sweter w odcieniu khaki, witany był nie jak polityk, a jak wojenny dowódca. „Nikt się nie przeciśnie" – powtarzał, a później, w czasie procesji główną ulicą miasta, zbierał kwiaty i podziękowania, rozdawał uśmiechy i zdobył się nawet na żart, którym wywołał chichot u otaczających go facetów: „Ewros nie upadnie, Ewros zawsze w pionie". Ewros w greckim to nazwa i rzeki, i regionu, i jest rodzaju męskiego, podczas gdy niemal wszystkie inne regiony kraju noszą nazwy w rodzaju żeńskim. Do tego, jeśli spojrzeć na mapę, wschodni skrawek Grecji ma lekko falliczny kształt. Zatem w pionie znaczy – w erekcji.

Z Aleksandropolis szef rządu pojechał do Feres niedaleko Kastro. Przywitał stojących na brzegu rzeki pograniczników, policjantów, wojskowych, rolników ze związku Aleksandrisa i dziękował im za oddaną służbę. Dziękował wszystkim po równo – przeszkolonym funkcjonariuszom i rolniczej paramilicji, samozwańczej straży obywatelskiej. Jeden z jej członków podziękował za podziękowania i zapewnił premiera, że „wszyscy tu są zjednoczeni, policja wojsko i my – działamy jak zaciśnięta pięść, strzeżemy granicy i naszych domów tak, żeby nikt się nie przecisnął"[68].

Śladami Mitsotakisa podążał w tych dniach także arcybiskup Aten i całej Grecji, zaznaczając żywotność sojuszu tronu i ołtarza. Hieronim II przyjechał do Ewros dzień po premierze:

– Serce naszego kraju bije w Kastanies. Dla ludzi za ogrodzeniem, którzy są ofiarami wojen, mamy współczucie, nie nienawidzimy ich, bywało przecież, że im pomagaliśmy. Ale teraz są wykorzystywani przez siły nam nieprzychylne. Ta granica w przeszłości spływała krwią, jest święta, dlatego musimy jej bronić i robimy to z dumą.

Hierarcha przemawiał do mieszkańców pogranicza i stojących w rzędzie żołnierzy – może byli wśród nich ci moi dwaj z samolotu.

●

Przez Kastanies co rusz przejeżdżają wojskowe transportery z kawałami blachy i zwojami drutu kolczastego na pace – strażnicy podnoszą dla nich szlaban. To po decyzji premiera, by umocnić i rozbudować ogrodzenie wzdłuż lądowych odcinków granicy. Jego pierwsze fragmenty – dwanaście kilometrów – powstały w 2012 roku. Lokalni policjanci już wtedy mówili mi, że płot to atrapa, bo choćby się ciągnął i na dwadzieścia kilometrów, to przybyszów nie zatrzyma. Zrobić pod nim podkop – nic prostszego, ominąć go i przekroczyć granicę na rzece, nie na lądzie – proszę bardzo. Jak ten Uzbek, o którym mówił mi kelner z tawerny w Kastanies. Szczęście szybko się od niego odwróciło, ale wszedł na teren Grecji niezauważony. Miał dość koczowania na granicy, więc sprawdził w Google'u, gdzie Ewros jest najpłytsza i najwęższa, i z łatwością ją przepłynął. W wiosce Marasia, nieco na północ od Kastanies, chciał w ukryciu przeczekać do zmroku. Wspiął się na wieżę ciśnień i skulił za metalowym rusztowaniem. Mieszkańcy szybko go jednak wypatrzyli i zawołali policję.

Znów jesteśmy na torach. Czekamy. Akurat po intensywnym wczesnym poranku przyszła faza uspokojenia. Wymiana „ognia" trwała wtedy dobre pół godziny. Powietrze wypełniło się białym dymem, w obie strony leciały granaty hukowe, pociski z gazem łzawiącym, a być może także ostre naboje. Tureckie media pisały później o blisko dwustu rannych i co najmniej dwóch zabitych. Grecki rząd zaprzeczał – twierdził, że to fake newsy, ale znajoma dziennikarka z Niemiec będąca w Pazarkule przyznała, gdy do niej zadzwoniłem, że widziała, jak karetki zabrały do najbliższego szpitala w Edirne co najmniej sześciu rannych mężczyzn. Słyszała też o jednej ofierze śmiertelnej, ale nie miała jak tej informacji zweryfikować.

Rozmawiam z koleżanką Andonisa z TV Delta. Nazywa się Olga, ma prawie trzydzieści lat, miły dla ucha głos i opadająco-wznoszącą intonację, typową dla telewizyjnych reporterów. Co dwie godziny musi wejść na antenę i nadać krótką relację, ale poza tym nie jest szczególnie zajęta. Siedzimy po turecku obok siebie, od rana wypiliśmy razem dwie kawy, zjedliśmy na pół kawałek spanakopity. Obejrzeliśmy w telefonach zdjęcia naszych rodzin.

– Olga, a ty się boisz? – zebrałem się na odwagę i zapytałem.

– Panikowałam dwa razy w życiu. Pierwszy raz pięć lat temu, jak prawie wylecieliśmy ze strefy euro i wszyscy myśleli, że zbankrutujemy. Nakupiłam ryżu i mąki, zamknęłam się w mieszkaniu i czekałam, aż nas pochłonie czarna dziura. A drugi raz jest teraz. Mój strach jest bardzo konkretny. Boję się wojny. I nasi żołnierze, i ich to tylko ludzie – komuś wreszcie mogą puścić nerwy, zacznie się prawdziwe strzelanie i nie będzie odwrotu. On nas może napaść w każdej chwili. Moim zdaniem jemu wcale nie chodzi o tych ludzi,

którzy tu się naparzają z naszą policją. On ma w dupie uchodźców i imigrantów. Jemu chodzi o nas, chce nas upokorzyć. Dlatego choć nie cierpię Nowej Demokracji i zawsze głosuję na lewicę, w tych dniach popieram Mitsotakisa. Nie sądziłam, że przyjdzie taki dzień, a jednak. Trudno to wytłumaczyć ludziom, którzy tu nie mieszkają, ale jak ma się sułtana za sąsiada, to strach jest realny. Widziałeś najnowszy sondaż?

Olga przesyła mi link. Dziewięćdziesiąt procent badanych popiera zamknięcie granicy, osiemdziesiąt trzy procent odczuwa z powodu kryzysu na granicy strach, a osiemdziesiąt jeden procent uznaje zaostrzenie polityki migracyjnej za właściwe (zawieszenie prawa azylowego, zapowiedź natychmiastowych deportacji, ograniczenie programów pomocowych dla uchodźców). W tym samym badaniu ankieterzy pytali też o koronawirusa. Choć chorowało już blisko dwadzieścia osób – zmartwionych było tylko czterdzieści jeden procent respondentów.

●

– O nie! – krzywi się Olga. – Tylko jego tu brakowało!

Na nasyp wchodzi Janis Lagos. Wielki, napakowany, w białej koszuli z podwiniętymi rękawami i rozpiętym kołnierzem. Na roboczo. Przez kieszonkę na piersi prześwituje banknot – dziesięć euro. Lagos jest niezrzeszonym europosłem, ale jest wśród oskrażonych w procesie Złotego Świtu – w *megali diki*. Był partyjną szychą. To on wydawał rozkazy brygadom uderzeniowym, które napadały na imigrantów i katowały ich do nieprzytomności. To jego człowiek we wrześniu 2013 roku zasztyletował Pawlosa Fisasa. Lagos chowa się

za immunitetem i ma nadzieję, że wywinie się z kary więzienia. Ze Złotego Świtu się wypisał, dawnych kolegów się wyparł, ale niedawno założył własną faszyzującą partię i liczy, że obecny kryzys pomoże mu wyjść z politycznego niebytu.

Olga na jego widok odwraca głowę. Siedzi na torach, jak siedziała, i nie zamierza się przesuwać, żeby ułatwić politykowi przejście. Reszta greckich dziennikarzy także odmawia włączenia kamer i mikrofonów, nie są zainteresowani jego oświadczeniem, ale ten i tak je wygłasza – do kilkorga zagranicznych, niezbyt zorientowanych reporterów:

– Chcemy Grecji dla Greków, Grecji chrześcijańskiej. O taką Grecję walczymy w ostatnich dniach. Wszyscy zjednoczeni: policja, wojsko i zwykli obywatele, którzy patrolują granicę. Dziękuję tym ostatnim, świetna robota. Oby tak dalej. Razem możemy zdziałać cuda.

Lagos nie był jedynym neofaszystą, który kręcił się tego dnia po okolicy. Metafora Grecji jako tarczy broniącej Europy przed „inwazją" zainspirowała także niemieckich i austriackich neonazistów z organizacji IBD (Identitäre Bewegung Deutschland). Podzielili się na dwie grupy. Pierwsza poleciała na Lesbos, ale nie spotkała się z serdecznym przyjęciem. Jednemu z przybyszów wyspiarski anarchista rozbił głowę. Gdy wściekły Niemiec jechał do szpitala, odgrażał się, że urządzi Grekom powtórkę z okupacyjnych pogromów. Druga grupa wylądowała na obrzeżach Kastanies. Panowie robili sobie zdjęcia z greckimi flagami, a na Twitterze pisali, że bronią Grecji i Europy.

●

Razem z Andonisem i Fabianem wracamy do Kastro. Droga, na której zwykle tłoczą się ciężarówki ciągnące z Turcji i Bułgarii, jest prawie pusta. Tiry zamiast kursować, czekają w kilometrowych kolejkach, aż Grecy podniosą szlabany. Fabian korzysta i rozpędza się wynajętą toyotą – jeździ jak tutejsi, czyli za szybko. Zaraził się grecką dezynwolturą po tym, jak kilka lat temu na stałe przeniósł się z Paryża do Aten. Jako freelancer opisuje Grecję Francuzom, Szwajcarom i Belgom. Niedawno wydał debiutancką książkę – polityczną biografię byłego premiera Aleksisa Tsiprasa. Prując po pustej ekspresówce, słuchamy jego ulubionych greckich hitów, ale o pełnej godzinie przełączamy na radiowe wiadomości.

Temat numer jeden: masowe demonstracje w Atenach, Salonikach, Patrze i na Krecie. Spikerka powiedziała, że choć Grecja szykuje się do lockdownu i politycy odradzali gromadzenie się na ulicach, na wezwanie antyfaszystów odpowiedziało kilkanaście tysięcy osób. Maszerujący wzywali do otwarcia granic, wpuszczenia uchodźców koczujących w Ewros i nieodpychania pontonów, które dopływały na wyspy. „To żadna inwazja, tym ludziom trzeba pomóc” – mówiła uczestniczka protestu, a w tle słychać było głośne skandowanie: „W mieście Solidarność dla wszystkich wystarczy miejsca”. „Gdzie jest Unia Europejska, gdzie solidarność krajów członkowskich? Czy nie mogą tych ludzi przyjąć u siebie? Wolą nam dawać pieniądze, żebyśmy zamykali granice i budowali obozy, które są jak więzienia!”

Nazajutrz to samo będą mi mówić ludzie w Aleksandropolis, bo tutejsi antyfaszyści także zorganizowali manifestację. Będzie mniej liczna niż w dużych miastach, ale może nawet ważniejsza, bo w bezpośrednim sąsiedztwie granicy atmosfera gęstniała szybciej, strach był realniejszy, czuło się go w kościach.

Temat numer dwa w wieczornym serwisie to rozmowa z kobietami z kilku przygranicznych miasteczek, które wzorem swoich mężów postanowiły wesprzeć dzielnych obrońców znad rzeki. Pieką pity i ciasta, robią kanapki, parzą w termosach kawę, herbatę, pakują do pudeł mydło w płynie, środki do dezynfekcji. Wieczorem rozdadzą to wszystko żołnierzom, policjantom i uczestnikom patroli: „Sytuacja jest wyjątkowa, więc każdy pomaga, jak może. My same nad rzekę nie pójdziemy, ale przynajmniej dobrze naszych panów nakarmimy".

Temat numer trzy: poseł rządzącej Nowej Demokracji proponuje, by uchodźców, którzy przecisną się przez granicę, wysyłać na bezludne wyspy. „Grecja ma ich bez liku. Świetnie się sprawdzą jako obozy dla nielegalnych imigrantów" – tłumaczył Konstantinos Bogdanos. Przyznawał, że temat jest niewygodny, otocza go tabu, ale właśnie nadarza się okazja, by je przełamać.

Skąd tabu? Gdy Grecy słyszą: obóz na bezludnej wyspie, od razu myślą: Makronisos. Nikt nie wie dokładnie, ile osób zabito na tym skrawku lądu niedaleko brzegów Attyki, między portem w Lawrio a wyspą Kea. Ofiarami byli ludzie lewicy, działacze antyhitlerowskiego ruchu oporu, członkowie Partii Komunistycznej i partyzanci walczący z oficjalną armią w trakcie wojny domowej. Gdy w 1949 roku wojna się skończyła, zwycięska prawica, mszcząc się na politycznych wrogach i ich rodzinach, wysyłała ich na Makronisos. Tortury były elementem porządku dnia – wyczerpująca, bezsensowna praca fizyczna, propagandowe komunikaty wygłaszane w kółko z głośników, głód, pragnienie. Krewni ofiar do dziś zniżają głos, gdy mają wymówić nazwę wyspy, boją się ją odwiedzić. Makronisos to rana, która się nie zabliźniła, synonim miejsca kaźni, niektórzy mówią: „greckie Dachau". Kilka lat temu popłynąłem tam,

by zobaczyć, co mogło czekać moją rodzinę, gdyby nie zdecydowała się na ucieczkę z Grecji. Mojej babci, której bracia walczyli w partyzantce, gdyby nie uciekła do Polski, gdyby nie została uchodźczynią, groziłby proces i jeśli wojskowy sędzia miałby lepszy dzień, wysłałby ją na Makronisos na dziesięć lat, jeśli wstałby lewą nogą – dodałby drugie dziesięć. To samo mój dziadek. Może pozwoliliby im wziąć ze sobą dzieci. Dobrze pamiętam tamten spacer po wyspie w upalne, sierpniowe popołudnie, ruiny dawnych zabudowań, które z powrotem pochłania natura w postaci nieprzyjaznych, kłujących krzaków, dojmujący brak drzew i pomnik przedstawiający więźnia obozu z ręką owiniętą drutem kolczastym.

Pomysł nie jest nowy, rząd premiera Mitsotakisa poważnie rozważał go już kilka miesięcy wcześniej – jako „plan B", gdyby się okazało, że sytuacja migracyjna znów się pogorszyła. W ramach planowania powstał nawet komputerowy projekt „obozu modelowego". Widać na nim prostokąty symbolizujące kantynę, plac zabaw, szkołę, kaplicę, wygodne kwatery dla obozowiczów i personelu, miejsce na zbiornik na wodę i gaz oraz na ekologiczną toaletę i kompostownik. Wszystko, rzecz jasna, ogrodzone. Schludne, przemyślane, funkcjonalne. Zaalarmowani dziennikarze gazety „Efimerida ton Syntakton" dokładnie przyjrzeli się zdjęciu i ustalili, że projekt nałożono na obraz bezludnej wyspy Lewita – między wyspami Amorgos a Leros. Zdziwiony burmistrz Leros, który zawiaduje także sąsiednią Lewitą, powiedział, że nikt z nim tej sprawy nie konsultował, sam zaś nie jest fanem pomysłu. Podkreślał, że na wyspie nie ma prądu, dostępu do wody, kanalizacji, a nawet portu z prawdziwego zdarzenia.

Dojechaliśmy do Kastro. W kawiarni ruch jak na jesieni, w szczycie przyjazdu ornitologów. Jedna zmiana rolników właśnie skończyła szychtę, druga rusza nad rzekę. Dołączają do nich lokalni myśliwi i rybacy – mają własne związki, jednak razem zawsze raźniej.

Kostas Aleksandris – szef związku rolników – miał mnie dziś zabrać na patrol, ale kręci, że nie może. Przeprasza, musi wracać do ciężarnej żony, bo ta narzeka, że sama siedzi w domu i się boi.

– A jutro? – pytam.

– Oj, jutro też nie bardzo. Robota, mam dużo roboty.

Podejrzewam, że jego nagłe wycofanie ma związek z historią, o której głośno było kilka godzin wcześniej: oto uczestnicy jednego z patroli poturbowali greckiego reportera, gdy ten próbował się wstawić za grupą zatrzymanych imigrantów. Ich też bili i wyśmiewali, kazali siedzieć po turecku na poboczu. Rolnicy byli uzbrojeni, strzelali w powietrze. Dziennikarza zwyzywali, zabrali mu smartfon, choć zapewniał, że nie filmuje. Posiniaczony trafił do szpitala. Temat podchwyciły też media w Atenach – gdy w telewizyjnym programie poseł lewicowej Syrizy krytykował rolnicze milicje obywatelskie i apelował, by pozwoliły działać profesjonalnym służbom, bo prędzej czy później dojdzie do tragedii, od kolegi z rządzącej Nowej Demokracji usłyszał, że jest zdrajcą, tak, zdrajcą, i przynosi wstyd wszystkim greckim posłom.

Pobity dziennikarz opisał w internecie, co go spotkało, i w Feres rozdzwoniły się telefony. Aleksandris musiał się tłumaczyć za kolegów, twierdził, że to nie mogli być członkowie jego związku, że z pewnością zawinili przyjezdni.

– Jacy przyjezdni? – pytam.

– Goście z sąsiednich miast, patrioci tacy jak my. Skrzykują się, zjeżdżają, chcą pomóc. Rozumiem to, ale nic tu po nich. Nie znają terenu. Dla nich to przygoda, zabawa w wojenkę, a dla nas poważna sprawa. Z nami na patrole jeździć nie będą.

Jedną z takich band spotkaliśmy z Andonisem i Fabianem jeszcze tego samego wieczora. Ponieważ plan wypadu nad rzekę z rolnikami nie wypalił, z Kastro poszliśmy na kolację do tawerny w centrum pobliskiego Feres. Zajęliśmy stolik w środku, oni w siedmiu siedzieli na zewnątrz. Z jedzeniem już się uporali, ale co rusz prosili o dodatkowy dzbanek wina i ouzo. Kelnerka powiedziała nam, że to goście z Komotini – miasta niecałe sto kilometrów na północny zachód. Ubrani byli w spodnie moro i wojskowe trepy, pijąc, wspominali służbę w armii. Jeden z nich, najgłośniejszy, najbardziej pijany, przez ramię miał przewieszony pas naboi. Strzelbę zawiesił na oparciu krzesła.

Podobni harcownicy przez kilka dni grasowali też w Orestiadzie, niedaleko Kastanies. Nie ma tam oficjalnego przejścia granicznego, ale miasto przytulone jest do brzegu Ewros. Droga wzdłuż rzeki to popularna trasa spacerowa, bez bagien, bez mokradeł. W 2012 roku spotkałem przy tamtejszym komisariacie dwóch uchodźców z Erytrei – mokrych, zziębniętych, głodnych. Kupiłem im trochę jedzenia i powiedziałem, którędy na Ateny. Nie mieli pojęcia, że do greckiej stolicy mają jeszcze tysiąc kilometrów. Nie wiem, jak się tam dostali i co się z nimi stało.

W ciągu ośmiu lat to najmłodsze miasto Grecji, założone przez uchodźców z tureckiego Edirne w 1923 roku, mocno się zmieniło. Spędziłem w nim kilka dni, a teraz ledwo je poznawałem. Na skutek liftingu agora Orestiady zyskała wyłączenie z ruchu samochodowego,

nową nawierzchnię, oświetlenie i fontannę; wokół niej otworzyły się nowe sklepy i restauracje. W cichej kawiarni na tyłach rynku spotkałem się ze Stawrosem, znajomym znajomego. Na manifestację w centrum miasta, którą zorganizowali komuniści i antifa, poszedł z żoną i małym dzieckiem.

– Nagle między ludzi wpadli jacyś pajace, było ich pięciu. Zaczęli krzyczeć „wstyd!", przeklinali, zabierali ludziom banery wzywające do solidarności z uchodźcami. To nie byli miejscowi, jestem pewien – Orestiada jest mała, każdy zna każdego. Zaczęła się szarpanina, a gdy wezwaliśmy policję, kolesie się ulotnili.

Ale przez kolejne dwa dni mężczyźni patrolowali miasto i jeździli dżipem wzdłuż rzeki – z grecką flagą przyczepioną do dachu. Stawros ma czterdzieści pięć lat. Urodził się, gdy upadała dyktatura czarnych pułkowników. Prosi, by po tej rozmowie nie dało się go zidentyfikować, bo po raz pierwszy w życiu się boi – że straci pracę albo że mu ktoś zrobi wjazd na chatę. Takiego napięcia nigdy wcześniej nie doświadczył. Żeby nie móc się swobodnie wypowiedzieć na polityczny temat? Uważać na słowa w robocie, w rozmowach ze znajomymi? Żeby musieć stosować autocenzurę? Żeby na imieninach ojca, zwolennika i wyborcy Nowej Demokracji, musieć gryźć się w język i zamiast o polityce rozmawiać o szaszłykach? Nigdy wcześniej. Mówi, że próbował komentować zajście w social mediach, tłumaczył, że obywatelskie milicje to przesada, skoro służby radzą sobie całkiem dobrze, że ludziom, którzy koczują parę kilometrów od naszych domów, trzeba jakoś pomóc.

– Inwazja? Jaka inwazja?, pytałem. Czy widzicie gdzieś czołgi? To jest kryzys humanitarny, nie wojna. Co przeczytałem w komentarzu?

Zdrajca!

Przyjaciel Stawrosa jest zawodowym żołnierzem. Poprzedniego wieczora miał wolne. Poszli do baru. Po kilku piwach żołnierz zaczął płakać – ze zmęczenia i bezradności. Powiedział, że dowódcy każą mu wystrzeliwać pociski z gazem, a on wie, że po drugiej stronie płotu są też kobiety i dzieci. Odebrał telefon, ale nawet gdy Stawros zapewnił mu pełną anonimowość, żołnierz nie zgodził się na spotkanie ze mną i rozmowę.

●

Kolejne starcia w Kastanies trwały od piątkowego wieczora, przez całą sobotę i pół niedzieli. Nad granicą znów unosiła się chmura białego dymu, w ruch szły armatki wodne. Imigranci i uchodźcy z pomocą tureckich pograniczników próbowali na wszelkie możliwe sposoby przedostać się na grecką stronę. Władze w Ankarze przysłały do Pazarkule tysiąc dodatkowych policjantów i pozwoliły użyć nowych pojazdów opancerzonych typu Ates – kupionych rok wcześniej, o ironio, za unijne pieniądze (w ramach umowy Bruksela–Turcja). Do jednego z nich Turcy przywiązali linę i próbowali zrobić wyrwę w płocie. Nie udało się.

Znów dzwonię do Julii, niemieckiej dziennikarki.

– Dziwna sprawa – mówi. – Zniknęły stąd setki osób, z którymi rozmawiałam ledwie kilka godzin temu. Wieczorem był tu improwizowany obóz, długie rzędy namiotów, dziś nie ma po tym śladu. Służby porządkowe zbierają śmieci.

Bo ta noc była przełomowa. Prezydent Erdoğan przebywał w Moskwie i przez sześć godzin negocjował z Władimirem Putinem

warunki zawieszenia broni w Syrii. Co ma Syria do Ewros? Okazało się, że turecki przywódca wysłał uchodźców nad rzekę, żeby szantażem przymusić Europę do poparcia swoich działań w syryjskiej prowincji Idlib. Jego żołnierze walczyli tam z żołnierzami syryjskiego dyktatora Baszszara al-Asada wspieranego przez Putina. Po tym, jak pod koniec lutego wojska reżimowe zabiły trzydziestu trzech Turków, Erdoğan zaostrzył kurs. Bał się, że jeśli straci kontrolę nad prowincją Idlib, do Turcji trafią kolejne miliony syryjskich uchodźców. Ale na rozmowach w Moskwie dostał zgodę na zatrzymanie walk. Już kilka godzin później kierowcy autobusów w Pazarkule odpalili silniki i krzyknęli do koczujących uchodźców: „Wsiadać! Grecy nie otworzą granicy, wracamy do Stambułu". Później się okaże, że wcale nie do Stambułu, tylko do leżącej tysiąc kilometrów na wschód od greckiej granicy Maltayi, gdzie zarządzano im przymusową koronawirusową kwarantannę. A po blisko trzech tygodniach przewieziono do ośrodków dla uchodźców w Izmirze lub Ankarze.

Najbardziej zrezygnowani od razu odjechali z Pazarkule, najbardziej wkurzeni walczyli przy płocie, najbardziej zdesperowani szukali zielonych przejść przez rzekę. Jak ten Uzbek złapany na wieży ciśnień w greckiej wiosce Marasia.

Albo jak ci trzej chłopcy, których spotkaliśmy z Fabianem na ciemnym poboczu drogi do Orestiady. Zatrzymaliśmy się i wyszliśmy z samochodu. Podbiegli do nas, dziękując, choć wcale nie mieli za co. Mówili mieszanką angielskiego i francuskiego. Byli z Maroka i byli bardzo głodni. Czy mamy może coś do jedzenia? – pytali. Zapłacą. Daliśmy im owoce i kanapki. Czy moglibyśmy ich podwieźć? Zapłacą. Mówiąc to, jeden z nich wyjął spod czapki dwadzieścia euro. „*Germany, yes, Germany, Allemagne*". Telefony, tak, mają,

zabezpieczyli na przeprawę przez rzekę, ale lekko zamokły. Może jak przeschną, to znów zaczną działać? Wymieniliśmy kartki z numerami – na próżno. Nigdy nie odbiorą i nie oddzwonią. Ciuchy im też zamokły: kurtki, czapki, dżinsy i buty – cali byli mokrzy i zmarznięci, a zstępująca noc dodatkowo niosła ochłodzenie. Powtarzali swoje imiona kilka razy, ale wyleciały mi z pamięci. Nie spytaliśmy o powody, dla których opuścili Maroko, nie uważaliśmy, by miało to w tej chwili znaczenie. Minął nas jeden policyjny samochód, a po chwili drugi. Nie zatrzymały się, ale zrozumieliśmy, że to nie przypadek, że zaraz będą tu z powrotem.

Co jeszcze możemy im powiedzieć, co zrobić, jak im pomóc? – poganiałem własne myśli. Żałowaliśmy, że nie mamy suchych ubrań na zmianę, że nie mamy żadnych magicznych mocy.

Gdy policyjna furgonetka stanęła po drugiej stronie drogi, chłopcy od razu skoczyli za barierki i pobiegli w las. Mieli jakieś dziesięć sekund przewagi. Niewiele. Policjanci nawet na nas nie spojrzeli, włączyli latarki i ruszyli w pogoń. Odjechaliśmy i zawróciliśmy kilkaset metrów później, przy pierwszej możliwej okazji. Z drugiej strony zdążyły w tym czasie nadjechać policyjne posiłki. Teren był rozświetlony, kilku kolejnych policjantów dołączyło do poszukiwań. Pojechaliśmy kilometr dalej i znów nawrotka. Kręciliśmy się tak dobre pół godziny. Wreszcie odjechaliśmy do Aleksandropolis.

Nie dowiemy się, co było potem. Czy policjanci złapali nastolatków? Czy umieścili ich w ośrodku detencyjnym? Niektórych z trzystu czterdziestu ośmiu aresztowanych między 29 lutego a 11 marca Grecy trzymali przez noc w okolicznych szopach, nieoznakowanych gospodarstwach, po czym, zabrawszy im telefony, wsadzali do pontonów, zdarzało się, że bili, aż w końcu eskortowali na turecką

stronę. Ludzie powtarzali, że są uchodźcami, że Konwencja Genewska, że mają prawo złożyć wniosek o azyl. Na próżno.

Może do teraz czekają na deportację? Albo może wrócili jakoś do Maroka?

●

Mój czas nad rzeką Ewros dobiegał końca. Podobnie jak „inwazja", której nie było. Na whatsappową grupę dostałem ostatnią wiadomość z biura prasowego greckiego rządu: „Noc przy granicy przebiegła spokojnie. Służby nikogo nie aresztowały".

W planach miałem jeszcze tylko dwie rozmowy, a później lot powrotny do Aten. Dwaj żołnierze, którzy na misji zdążyli się zakumplować, usiądą razem w pierwszym rzędzie. Bezchmurne niebo pozwoli pożegnać deltę z wysokości i zachwycić się Samotraką.

Janis Laskarakis ma sześćdziesiąt kilka lat, siwe włosy, okulary w cienkich, metalowych oprawkach, głos wieloletniego palacza. Jest redaktorem naczelnym lokalnej gazety „Gnomi". Na rozmowę umówiliśmy się podczas manifestacji w centrum Aleksandropolis. Było tam z nami ze sto pięćdziesiąt osób, które domagały się wsparcia dla uchodźców na granicy oraz tego, by grecki rząd przestał eskalować napięcie.

– Wkurzony jestem – mówi mi Laskarakis, gdy usiedliśmy przy kawie. – To, co robi premier, jest kompletnie nieodpowiedzialne.

– Dlaczego?

– Bo pogłębia podziały, zamyka nas w dwóch zwalczających się obozach. Boję się, że jak ten obecny kryzys chwilowo przeminie, obudzimy się w jeszcze bardziej skłóconym społeczeństwie,

z nowymi, powykręcanymi definicjami najważniejszych słów. Nikt nie będzie wiedział, co znaczy solidarność, wolność wypowiedzi, ani czym naprawdę jest zdrada.

Laskarakis pokazuje mi tekst, który napisał do swojej gazety i którym wywołał burzę. „W naszym regionie dzieją się niewiarygodne historie. Przez Ewros przetacza się huragan nacjonalizmu i ksenofobii. Ludzie chwytają za karabiny i udają, że bronią ojczyzny przed atakiem. To jest szaleństwo. Musimy z tym skończyć" – napisał.

Krytyka, wyzwiska i groźby pojawiły się natychmiast i szły w dziesiątki. Facet, który kilka dni wcześniej, stojąc na brzegu rzeki, odbierał pochwały od premiera i mówił o zaciśniętej pięści, pisał teraz, że mój rozmówca to element antygrecki, być może żydowski, że pije whisky w domowym zaciszu, gdy prawdziwi patrioci nie śpią po nocach i marzną, patrolując granicę. Ktoś inny napisał jeszcze dosadniej: „Zdrajca! Każdy zdrajca zasługuje na śmierć". Laskarakis zna autora fejsbukowego komentarza i zamierza spotkać się z nim w sądzie, już złożył doniesienie do prokuratury.

– Mam wrażenie, że w ostatnich dniach z jednej Grecji powstały dwie: kraj patriotów, z którego mnie wyrzucono, i kraj zdrajców, który rzekomo współtworzę. To jest szkodliwe i groźne.

●

Ostatni raz zaglądam do Kastro. Kostas Aleksandris ze związku rolników woła mnie do swojego stolika.

– Słyszałem, że Polska przyśle nam do pomocy stu policjantów i pograniczników. W wiadomościach mówili. Fajnie, dzięki, ale wiesz,

że to nie rozwiąże problemu? Gdyby nie wy, moglibyśmy wszystkich „nielegałów” przepuszczać przez Grecję. Bo oni nie chcą u nas zostać – ani tu, ani na Lesbos, ani w Atenach. Ale wy powiedzieliście, że ich nie przyjmiecie. I ja to też rozumiem. Chcesz poznać moją teorię? Uważam, że sposób jest jeden i aż się dziwię, że nikt wcześniej na to nie wpadł. Wymyśliłem, że moglibyśmy wybudować dla tych wszystkich ludzi całkiem nowe miasta. Teren się znajdzie, Europa jest duża. Nowe, wygodne miasta, z dala od naszych, odgrodzone.

– Takie getta? – dopytuję.

– Getta?

●

Kilka miesięcy później spotkam się z ateńskim profesorem Dimitrisem Christopulosem, ekspertem od migracji i praw człowieka – będziemy rozmawiać o „greckości” i dotyczących jej społecznych i prawnych przemianach, ale wrócimy też do tematu niezaistniałej inwazji.

– Jeśli Erdoğan znów otworzy granice i powie ludziom: droga wolna? – pytam.

– Ludzie muszą mieć możliwość ubiegania się o azyl, dlatego granica musi być otwarta. Otwarta, ale i kontrolowana. Powinniśmy ją otworzyć już teraz, bez czekania na następny ruch tureckiego prezydenta. Będziemy mieć nad nim moralną przewagę, będziemy mogli mu powiedzieć: nie możesz traktować uchodźców jak marionetek. My nie możemy ich tak traktować. Bo to jest nieludzkie, niebezpieczne i głupie. I najważniejsze – nie możemy pozwalać, by jeden dureń z drugim chwytali za broń, udawali, że są policjantami

czy żołnierzami i bronią granicy. Za takie akcje tym żałosnym bojówkarzom należy się więzienie.

– Jeśli Grecja otworzy granicę, a część unijnych krajów, w tym Polska, znów nie zgodzi się na relokacje i kwoty uchodźcze?

– Pięć lat temu byłem w Łodzi na Igrzyskach Wolności. To było na chwilę przed wyborami. Pytałem znajomych, co jest głównym tematem kampanii. Okazało się, że imigranci. Ale nie dlatego, że Polska faktycznie miała z nimi problem, bo ich przecież w Polsce prawie nie było. Chodziło o obraz imigranta, o naszkicowane przez polityków straszliwe wyobrażenie obcego. Tak wtedy, jak i teraz to jest kwestia czysto polityczna. Wiem, że polski rząd nie akceptuje kwot uchodźczych, solidarnego pomagania uchodźcom, ale to jeszcze nie powód, bym ja akceptował, że mój rząd działa jak buldog, jak unijna tarcza. Jeśli my zachowamy się, jak trzeba, wy będziecie mieli dylemat – będziecie musieli rozważyć, co zrobić, co jest dobre, moralne, właściwe. Dlaczego mamy was z tego zwalniać? Nie zgadzam się, by Grecja wykonywała brudną robotę za innych, by zabijała ludzi na granicach po to, żeby innym w Europie było miło i przyjemnie, komfortowo, żeby nie musieli mierzyć się ze zjawiskiem migracji, żeby umywali ręce albo żeby nam za to dziękowali. Na razie mój rząd, niestety, tak właśnie postępuje. Bycie tarczą czy buldogiem oznacza, że traktujemy ludzi po drugiej stronie granicy nieludzko. Jeśli odmawiamy człowieczeństwa Irakijczykom czy Afgańczykom, za chwilę może się okazać, że odmawiamy go też innym, nawet naszym własnym rodakom, z którymi nie zgadzamy się politycznie. To niebezpieczna spirala. Tak było w czasie wojny domowej – reżim robił z ludzi wrogów i wysyłał ich na wygnanie na bezludne wyspy, izolował ich i torturował. W przyszłości możemy

patrzeć na nasze dzisiejsze działania i wstydzić się za nie, tak samo jak wstydzimy się za Makronisos. Historia niczego nas nie uczy. Gdybyśmy odrabiali lekcję z historii, jako ludzkość bylibyśmy w zupełnie innym, lepszym miejscu.

Ze szkołą i urzędami poszło całkiem gładko. Mamie udało się załatwić konieczne dokumenty w trzy tygodnie. Była tego cała sterta: świadectwa z każdej klasy, od zerówki do końca liceum, dla pewności także dyplomy z kilku szkolnych konkursów. Pismo ze świetlicy, że taki a taki uczęszczał przed lekcjami i po lekcjach i że z racji niskich zarobków samotnej matki kwalifikował się do darmowych obiadów. Do tego zaświadczenie o zameldowaniu w mieszkaniu przy ulicy Samorządowej i osobne o tym, że od momentu zameldowania nie było wymeldowania. Dwa takie pisma od urzędu miasta i dwa od urzędu gminy – bo zanim niewielkie osiedle przy Samorządowej przyłączono do miasta Chojnowa, cztery bloki stanowiły część wioski Piotrowice, a więc część gminy Chojnów. Że przypisano mi taki a taki numer PESEL, że taki a taki numer paszportu. Że figuruję w spisie wyborców. Miejski Ośrodek Pomocy Społecznej potwierdził, że wypłacał mamie dodatek na dzieci, spośród których jedno to ja. Ośrodek Zdrowia – że mam u nich kartę od 1985 roku. Policja, że jestem niekarany. Wojskowa Komenda Uzupełnień, że odroczyła mi służbę na czas studiów.

Wszystko to, spakowane do wielkiej koperty, pognało do Warszawy. Tłumacz przysięgły, pan Cirmirakis, zgodził się zająć sprawą

priorytetowo, ale ile mu zajmie robota, to nie wiedział i nie umiał przewidzieć. Trzeba czekać – powiedział mojej mamie do słuchawki.

●

Raz na tydzień po śniadaniu schodziłem na główny plac Filiro, kupowałem bilet na autobus i jechałem do centrum Salonik. Próbowałem podsłuchiwać współpasażerów, ale rozpoznawałem jedynie melodię języka i pojedyncze słowa. To całe ich gadanie było jak litania z tajemnych zaklęć. Moja mama musiała mieć podobne wrażenie, gdy mieszkała w Salonikach przez dwa lata z kawałkiem na początku lat osiemdziesiątych. Dorabiała sprzątaniem kamienic, do których musiała dojeżdżać autobusem. Słyszała te same rozmowy i tak samo ich nie rozumiała.

Ojciec ją bił, dlatego uciekła z nami do Polski.

Wysiadałem między dzielnicami Neapoli a Sykies, czyli w okolicy, w której kiedyś mieszkaliśmy – niezbyt urokliwej, niczym się niewyróżniającej. Jedyny plus – ciszej tam było niż na kolejnych odcinkach mojej włóczęgi. Szedłem w kierunku bizantyjskiego zamku Eptapirgo, skąd ładnie widać położony poniżej port, a później do samego portu. Dochodziłem do końca promenady i wracałem. W gorące dni wiatr znad morza przynosił orzeźwienie, ale często także nieznośny rybi smród. Z imponującego placu Arystotelesa, gdzie zachodziłem, by w kiosku z zagraniczną prasą kupić polskie gazety, skręcałem w boczne, ocienione uliczki. Portowe smrody przegrywały tam z zapachami przypraw na bazarach. Pieprz, cynamon, oregano, mięta i jeszcze dziesiątki innych, a do tego oliwki w marynacie, a więc i ocet oraz słodko pachnąca chałwa.

Znajdowałem tanią kawiarnię, zamawiałem frape i czytałem. A potem szedłem na skrzyżowanie dwóch dużych dróg, skąd zgarniali mnie wracający z pracy ciotka z wujkiem.

Nie podobała mi się ta Grecja – gorąca i wilgotna jednocześnie, głośna, zamazana literami, których wtedy jeszcze nie znałem, pełna nieoswojonych, drażniących zapachów, zatłoczona i zakorkowana. Ciotka tłumaczyła, że sposobem na korki ma być metro, którego budowę zaczęto jeszcze w latach osiemdziesiątych zeszłego wieku. Ale zamiast nowoczesnych stacji i ruchomych schodów prowadzących do wnętrza ziemi, jak w Atenach, z okna samochodu widziałem jedynie wielką dziurę, nazywaną przez miejscowych „dziurą Kuwelasa", od nazwiska dawnego burmistrza. Na jego polecenie w centrum miasta wykonano wykop, który straszył później przez całe dekady, bo okazało się, że na budowę metra brakuje pieniędzy. A gdy pieniądze się znalazły, zmieniono trasę metra i zaczęto kopać tunele w innym miejscu.

Jednym z tych, który pracował – albo: nie pracował przy nie-budowie salonickiego metra – był mój daleki kuzyn, operator koparki. Co miesiąc słyszał, że już-już prace będą wznawiane, już-już, lada moment będzie mógł odpalić silnik i wreszcie zarobi coś więcej niż gołe postojowe. Potrzebował forsy, bo jego brat żenił się pod koniec września. Cała rodzina dostała zaproszenia. Szykowała się wielka impreza na ponad trzysta osób. Matka pana młodego to kuzynka mojego ojca, a więc i ciotki Sułtany. Dzwoniły do siebie prawie codziennie, co kilka dni wpadały na kawę – albo kuzynka do domu na Filiro, albo ciotka do kuzynki w jej mieszkaniu bliżej centrum. Wieczorami ciotka zdawała relację wujkowi, wtedy i ja się przysłuchiwałem: młodzi mają już mieszkanie i meble, za które

zapłacili jedni i drudzy rodzice, sprzęty kupili sami i rat będą mieć dwieście pięćdziesiąt euro miesięcznie, niedużo. Suknia gotowa, garnitur też. Sala wynajęta od ponad roku, menu ustalone, zespół umówiony, zaproszenia rozesłane. Dla mnie kartonika zabrakło, ale skoro jestem i raczej do dnia wesela nie wyjadę z powrotem do Polski, to „oczywiście serdecznie zapraszamy”!

– A czy ojciec też będzie? – zapytałem ciotkę.

– Nie wiedzą. Dana mówi, że zależy, jak się będzie czuł. Zdecydują w sobotę rano.

– A jeśli będzie miał dobry dzień i pójdą, i ja tam będę?

– Będzie dobrze. Dana już mu powiedziała, że jesteś u mnie i o zamieszaniu z wojskiem. Przyjął to spokojnie.

– Czyli wie, że tu jestem? A od kiedy wie?

– Dokładnie to nie pamiętam, ale wie.

Ciotka zrobiła smutną minę. Nie wiedziała, co powiedzieć. Kolejny raz wstydziła się za brata.

ZACHÓD SŁOŃCA NA SANTORINI

Negros Tou Moria:

– „E, Olisadebe! Siemasz, Olisadebe!” Wyobrażasz sobie? Tak na mnie czasem wołają. Wystarczy, że wyjadę z Aten. A najgorzej jest na wyspach, ludzie patrzą tam na mnie jak na dziwadło. Pojechałem niedawno na Lefkadę na krótkie wakacje. Słońce, luz, imprezy na plaży do rana, ale była też sytuacja, że kolesie gapią się i gapią, w końcu mówię do nich: „Co jest chłopaki? Co tam, wszystko spoko?”. Dziwią się, że nawijam po grecku i bez akcentu, że czarny, a umie pojechać slangiem. Człowieku, ja znam slang, o którym ci *motherfuckers* nie mają pojęcia – język dawnych muzykantów, twórców rebetiko. W podstawówce jeszcze byłem, jak mi stary kupił komputer z funkcją TV i w jednym programie puszczali te zakazane piosenki. Wasilis Tsitsanis i jego *Zachmurzona niedziela* albo Markos Wamwakaris – wow! Usłyszałem ich i myślałem, że się przekręcę. Oni zmienili moje życie. Skombinowałem sobie kasety i puszczałem ich piosenki na okrętkę, a później słuchałem też kolejnych twórców, w tym Kazantzidisa. Człowieku, rebetiko to był pierwszy hip-hop na świecie! Mieli własne bity, rymy, poruszali trudne, polityczne tematy, krytykowali władzę, mieli własny styl grania na buzuki, klarnecie, skrzypcach czy mandolinie, własny styl śpiewania, własną modę. Byli renegatami, odszczepieńcami. Byli jak my, hip-hopowcy. Jeden

śpiewał, że mu ktoś ukradł haszysz, inny, że wczoraj się nawalił, a jego dziewczyna poszła w tany z jego przyjacielem, albo że jak masz forsę, to jesteś dla ludzi pan, a jak nie masz, to się od ciebie odwracają. I do tego ten ich slang, który ja dzisiaj wkładam do własnych utworów! Kumple mnie później pytają, co znaczy to albo to. Na przykład *vegera* – zapytaj jakiegoś Greka, czy zna to słowo. Mało kto zna. A *vegera* to rozmowa z nasiadówą. Więc ja znam grecki lepiej niż większość Greków, lepiej niż ci kolesie, co mnie zaczepiają i rzucają we mnie nazwiskami czarnoskórych piłkarzy, którzy kiedyś grali w greckich klubach. Czujesz to? Myślą: czarny w Grecji? Pewnie piłkarz! Ewentualnie koszykarz, jak Janis Andetokunmbo. Głupki, nawet nie wiedzą, że Emanuel Olisadebe jest Polakiem!

●

Polakiem jest też Jakub Maciejewski, choć jak sam mówi: częściowo, niekoniecznie, nie zawsze i nie na zawsze. Mama z Krosna, tato z Włocławka. Zanim wyjechali do Grecji w latach osiemdziesiątych zeszłego wieku – a wraz z nimi tysiące Polaków – żyli w Poznaniu i do Poznania czasami wracają. Mieszkają na Sepolii, robotniczej, spokojnej dzielnicy na północy Aten, jednej z tych, które do niedawna niczym się nie wyróżniały, z nikim szczególnym nie kojarzyły. Jej nazwa wzięła się ze zbitki słów *exo poli*, co znaczy „poza miastem”, a więc był to teren ledwo przed wiekiem wchłonięty w obszar stolicy. Bez starożytnych ruin, bez bizantyjskich kościołów, znanych restauracji, muzeów, bez turystów. Za to z dostępem do metra. Dzielnica jest tak mało spektakularna, że nie znaleziono nic,

co by ją pozytywnie symbolizowało i nadawało się na nazwę stacji. Więc przystanek nazywa się po prostu: Sepolia. Przed kryzysem Sepolia była bardziej kolorowa i wielokulturowa, ale gigantyczne bezrobocie wygoniło wielu imigrantów na Zachód Europy. Ubyło w dzielnicy Polaków, ubyło Rosjan, Albańczyków, Afgańczyków i Pakistańczyków. Dziesięć lat temu rodzice Jakuba też rozważali wyjazd, bo czasy naszły parszywe, a życie nie czeka. Musieliby zabrać dzieci z greckich szkół, dzieci i siebie rozwieść z greckimi przyjaciółmi, po dwudziestu latach po raz drugi się wykorzenić, bez gwarancji, że w innym klimacie warunki wegetacji będą znośniejsze. Radzili i radzili, w końcu uznali, że zostają.

Kim byłby dziś Jakub, gdyby jednak wyjechali?

Ma dwadzieścia jeden lat, właśnie wrócił z wakacji na Lesbos, gdzie rodzice kolegi mają dom. Spotykamy się w kawiarni przy metrze Sepolia. Jakowos, bo tak brzmi grecka wersja jego imienia, studiuje informatykę na ateńskim uniwersytecie. Do dyplomu ma jeszcze dwa lata, ale nie wyklucza, że pouczy się dłużej, do doktoratu. A później?

– Rozmawiam o tym z kumplami i jesteśmy dziwnie zgodni, że nie chcemy wyjeżdżać. Z takim zawodem moglibyśmy pracować wszędzie i to za dobre pieniądze, ale my wolimy Grecję i grecki luz. Grecy są otwarci, lubią się bawić, a nie tylko pracować. Bo zabawa też jest w życiu ważna. Pójść do tawerny, najeść się, napić dobrego wina, posłuchać muzyki, zatańczyć – gdzie indziej ludzie nie mają na to czasu, bez przerwy za czymś gonią, a w Grecji owszem. Nawet jak jest kryzys i nie masz forsy. Ten sposób na życie przechodzi ze starszych na młodszych – moje pokolenie też widzi w tym wartość, my też urządzamy sobie takie wieczory.

– My?

– Tak, my. My. Czuję się Grekiem. Jestem Grekiem i jestem Polakiem. Raz myślę po grecku, raz po polsku, a czasami w obu językach jednocześnie, misz-masz. W domu obowiązuje polski, poza domem grecki. Ta podwójność mi nie przeszkadza, bo żyję w niej od zawsze. Dzięki niej od małego znam dwa języki, dwa kraje, różne zwyczaje, różne kuchnie. Jak mnie pytają *apo pu ise*, mówię, że z Polski, i wtedy przychodzi zdziwienie, że mój grecki jest taki dobry, taki naturalny.

Dobry grecki to prezent od rodziców, którzy wysłali syna do greckiej szkoły, nie do polskiej, choć mieli taką możliwość. Polska edukacja była tylko uzupełnieniem. W piątkowe popołudnia Kuba jadł szybki obiad (czasem pierogi, czasem fakies, czyli zupę z soczewicy), a później jechał metrem na drugi koniec Aten i w szkole imienia Zygmunta Mineyki w dzielnicy Holargos siedział do wieczora. Przed snem czytał w *Pustyni i w puszczy* oraz *Pana Tadeusza*. A w poniedziałek rano znów biegł do greckiego *sholijo* i zaczynał dzień wspólną, obowiązkową prawosławną modlitwą na przyszkolnym boisku. Do tego był prymusem. Na koniec każdego półrocza to albo on, albo taka jedna Konstantina mieli średnią ocen najwyższą w całej szkole. On, dziecko polskich imigrantów! Niespodziewana nagroda przyszła pod koniec liceum, kiedy Kuba został wytypowany do stypendium Fundacji Onasisa.

– To ciekawe, że sam Onasis też był w Grecji uchodźcą, bo on się przecież urodził w Smyrnie, dzisiejszym tureckim Izmirze. Do Grecji przyjechał dopiero jako młody chłopak, a został jednym z najsłynniejszych Greków na świecie. W każdym razie ktoś ze szkoły zadzwonił do moich rodziców i powiedział, że Fundacja wymyśliła stypendium dla dzieci imigrantów, które chodzą do greckich szkół

i zamierzają w Grecji studiować. Czy zgadzają się, by zgłosić moją kandydaturę? Okazało się, że chodzi o program, który Fundacja realizuje razem z braćmi Andetokunmbo. Wtedy znała ich już cała Grecja, byli sławni, szczególnie Janis, który grał w NBA.

Kuba nie jest wielkim fanem koszykówki, rozgrywek NBA nie ogląda. Z powodu różnicy czasu pokazują je w telewizji późną nocą, a on wtedy właśnie jest najbardziej produktywny i albo się uczy, albo programuje. Ale chłopaków znał z opowieści, kilka razy widział ich także w pokoju nauczycielskim, gdy wpadali w odwiedziny. Bo najstarsi z czwórki, Janis i Tanasis, uczyli się w tej samej szkole co Kuba i byli z tej samej dzielnicy. Ich rodzice, imigranci z Nigerii, przyjechali do Aten na początku lat dziewięćdziesiątych. Ojciec był pomocnikiem elektryka, mama opiekunką dla dzieci z bogatych greckich rodzin. W domu bywało różnie: biednie albo bardzo biednie. Pusta lodówka, eksmisja za niezapłacony czynsz, jedna para trampek do podziału między dwóch braci. Nastoletni chłopcy, by pomóc rodzicom, handlowali na ulicy podrabianymi torebkami, płytami CD i okularami przeciwsłonecznymi. A w wolnych chwilach na boisku przy ruchliwej ulicy grywali w koszykówkę. Janisa wypatrzył tam łowca talentów, zachwycił się zwinnym wielkoludem (wzrost: dwa metry jedenaście centymetrów) i otoczył profesjonalną opieką. Chłopak grał jak z nut i w 2013 roku, gdy miał niespełna dziewiętnaście lat upomniała się o niego najlepsza na świecie koszykarska liga. Zaproszenie do NBA dowodziło, że jednak istnieje dobra bogini sprawiedliwości, jakaś sympatyczna Temida, jakaś Astraja, które nagradzają wysiłek i talent nawet u biedoty. Ale chwilę później pojawił się problem natury ludzkiej i przyziemnej – Janis nie poleci do USA, bo jest bezpaństwowcem i nie posiada żadnego

paszportu. W Grecji się urodził, wychował, skończył szkoły, mówi po grecku, gra w greckim klubie, na Sepolii wszyscy już go znają i dobrze mu życzą, wierzą, że będzie podporą greckiej drużyny narodowej, ale według greckiego prawa nie jest Grekiem! Nie ma obywatelstwa, nie ma dowodu, ani paszportu, nie może podróżować za granicę. Z pomocą przyszła Nigeria oraz Hiszpania, oferując mu obywatelstwo. Obie oferty były poważne – ta z Madrytu wiązała się z propozycją gry w jednej z hiszpańskich drużyn – i głośno dyskutowane w mediach, a dla Greków mocno zawstydzające. Koszykarscy lobbyści i spece od PR-u przekonali premiera, że warto się zlitować i sprezentować zdolnym sportowcom obywatelstwo. Andonis Samaras zaprosił więc Janisa wraz z rodzicami i dziennikarzami do siedziby rządu. Był uśmiechnięty, gościnny i wylewny: „Dziękuję za to, że przynosisz honor naszym narodowym barwom. Wszyscy jesteśmy wzruszeni, wiedząc, jak od dzieciństwa ciężko musiałeś pracować. Dla wielu jesteś przykładem. Dajesz nam dużo szczęścia i cała Grecja trzyma za ciebie kciuki”[69].

Na odchodnym premier podarował Janisowi posrebrzaną ikonę Matki Bożej – by go strzegła, gdy wyjedzie za granicę. Janis podziękował, odwdzięczył się czapeczką z daszkiem i emblematem jego przyszłej drużyny, Milwaukee Bucks, spakował walizki i odleciał do Wisconsin (gdzie ściągnął później resztę rodziny). Podpisał kontrakt na sto milionów dolarów.

– Chodź, pokażę ci mural przedstawiający Janisa – mówi Kuba. – Powstał niedawno, obok boiska, na którym gra lokalna drużyna Tritonas. On też tu grał jako junior i nadal grywa, gdy przyjeżdża do Aten na urlop. Organizuje wtedy turnieje dla okolicznych dzieciaków.

●

Negros Tou Moria:

– W Ghanie byłem tylko raz. I czułem się jak przybłęda. Tam są moje korzenie, ale ja prawie nic o Ghanie nie wiem. Ojciec przyjechał do Grecji trzydzieści lat temu. Przez Turcję się dostał. Ściągnął mamę, a ja urodziłem się rok później w Atenach, w Ambelokipi. Ateny to mój dom, Grecja to mój dom. Nie Ghana. Poznałem wujków i ciotki, rodzinę mam przewielką, ale będąc tam, nic szczególnego nie poczułem. W moich utworach czasami słychać Ghanę i generalnie Afrykę, bo mnie inspirują afrykańskie rytmy, tak samo jak mnie inspiruje rebetiko i Bob Marley. Moja głowa jest grecka, mój mózg działa po grecku i moim językiem jest grecki. Są w Atenach hip-hopowcy z imigranckich rodzin, z historią podobną do mojej, którzy znają grecki, ale rapują po angielsku. Ja bym tak nie mógł, dla mnie tylko grecki ma odpowiedni rytm. Z mamą rozmawiamy w pidżyn English, czyli angielskim uproszczonym – chyba że się na mnie wkurzy, to przechodzi na akan i przeklina też w akan, ale wtedy mało co rozumiem[70]. Jak się urodziłem, dała mi ghańskie imię, Kevin, a na prawosławnym chrzcie dorzuciła też greckie, Spiros. Może jestem pierwszym czarnoskórym Spirosem! Wielu Grekom to się nie mieści w głowie. Powiedzmy, że zamawiam taksówkę. Na jakie imię? Spiros. OK, cztery minuty. Czekam, czekam, wreszcie jest, poznaję po marce albo po rejestracji. Już się szykuję, żeby wsiadać, a koleś nawet nie zwolni, przejeżdża obok, mija mnie, jakbym był powietrzem. Myślę sobie: kurwa, znowu! Muszę biec za tą taksówką i łapać ją w locie. Później taki kierowca przeprasza, głupio mu, ale mówię tylko – jedź, człowieku, nie chce mi się z tobą

gadać. O własnej rodzinie też nie mam co marzyć. Myślisz, że jakaś Greczynka za mnie wyjdzie? Nawet jakby się taka odważna znalazła, miałbym sobie serwować w pakiecie z nią całą familię? „Czarny w moim domu?!" Jedna moja eks była super i jej rodzina też, porządnie mnie traktowali – choć nie wiem, czy dalej byliby tacy mili, gdybym wspomniał o małżeństwie. W każdym razie nie czułem z ich strony żadnej dyskryminacji i to było bardzo dziwne, więc mówię im jednego razu: „Słuchajcie, jeśli mnie nie lubicie, bo jestem czarny, przyznajcie to, powiedzcie mi w twarz", a oni na to: „*What the fuck?!* O czym ty gadasz, odbiło ci?". I było mi strasznie głupio, co za wstyd, ale takie miałem wcześniejsze doświadczenia, taką, powiedzmy, traumę. Rodzice poprzedniej dziewczyny też byli serdeczni, ale jak raz dla żartu powiedziałem do matki: chyba się z twoją córką ożenię, ona od razu: „*Yo, yo, yo*, kolego. Póki co możesz z nią robić co chcesz, bawcie się, młodzi, ale jak przyjdzie czas, ona wyjdzie za Greka. Słyszysz? Za Greka!". Czyli, kurwa, za białego. To się działo niedawno – lata 2011–2014, kurwa, najgorsze w moim życiu. Rządziła prawica, rządził Samaras. Było przejebane, być w Grecji czarnym albo generalnie imigrantem. To jasne przecież, że czarny równa się imigrant. Nie ma czarnych Greków. Nie ma czarnych Spirosów. Imigranci byli najgorsi, cały kryzys to była ich wina, wszystko, co złe, to była ich wina. Pamiętam, jak w szkole czytaliśmy *Odyseję*, fragmenty o zasadach gościnności. Prawdziwy Grek powinien przyjąć gościa do domu, dać mu jeść, dać mu wina, pozwolić mu się umyć, przespać i dopiero później może go zapytać, kim jest i czego chce. Nasza gościnność, słynna grecka *filoxenia*, to dla nas powód do dumy, wszystkim opowiadamy, jacy to jesteśmy gościnni, ale to *bullshit*. Kto dzisiaj zaprasza do domu imigranta?

Człowieku, Grecy patrzą na nich i myślą: ty brudasie, wynocha, a później każą im się tłoczyć w obozach, w gettach, i udają zaskoczonych, gdy kolesie stają się agresywni. Jak zamkniesz razem trzydziestu *motherfuckers* w jednym obozie, nie ma cudów, będzie z tego przemoc. Samaras, gdy był premierem, dał rozkaz, żeby imigrantów zamykać w pierdlu. I zaczęły się łapanki. Ludzie bez papierów od razu szli do pudła, ja miałem więcej szczęścia, bo miałem kartę pobytu, *adia paramonis*. Ale i tak policja codziennie mnie zatrzymywała. Kiedy mówię codziennie, myślę codziennie. *Every-fucking-day!* Poniedziałek, wtorek, środa, czwartek, piątek, sobota, niedziela. Czasami dwa razy dziennie. Nie wiedziałem, czy spotkam się z dziewczyną, co zjem na obiad, czy uda mi się nagrać kawałek, nad którym pracowałem, czy koncert będzie udany, ale jedno było wtedy w moim życiu pewne – codzienna policyjna kontrola. Grecja to nie Ameryka, rasizm nie jest aż tak silny, nie ma tu takiego szaleństwa, jak tam, nie zrobili nam na razie George'a Floyda, ale dyskryminacja jest mega! Podchodzą, zatrzymują, „poproszę dokumenty". „A kim jesteś? A co tu robisz? Po co przyjechałeś do Grecji? Grek? Przestań! Że się tu urodziłeś, to nic nie znaczy. Urodziłeś się w Grecji, ale nadal jesteś czarny, nie jesteś Grekiem". *Every-fucking-day!* Tak wyglądały cztery lata mojego życia.

●

Szczyt hipokryzji – tak o wielkopańskim geście premiera Samarasa wobec braci Andetokunmbo mówili politycy opozycji i aktywiści z NGO-sów działających na rzecz praw imigrantów i uchodźców. Krytykowali szefa rządu, bo uważali, że podarował braciom greckie

obywatelstwo nie dlatego, że im się należało, ale dlatego, że byli sławni. Liczył, że dzięki nim ociepli sobie wizerunek i że spadnie na niego nieco celebryckiego splendoru. Ale zamiast świecić światłem odbitym, premier wyprodukował nieznośny PR-owy smrodek. Jak mało kto nie nadawał się do roli świętego mikołaja z workiem pełnym greckich paszportów. Ludzie widzieli w nim ksenofoba, pamiętali jego ostry antyimigrancki język, że mówił „nielegał" (*lathrometanastis*) zamiast imigrant (*metanastis*), że ze słowa uchodźca (*prosfigas*) prawie całkowicie zrezygnował; pamiętali jego zdjęcia na tle płotu granicznego w Ewros i zachwyty nad rzekomą skutecznością ogrodzenia w zatrzymywaniu niechcianych przybyszów dybiących na grecką gościnność, grecki socjal i greckie miejsca pracy; pamiętali, że to on stał za koszmarną operacją o kryptonimie „Zeus gościnny", która polegała na czyszczeniu greckich ulic z imigrantów i uchodźców. Na jego rozkaz policjanci urządzili profilowanie rasowe – wyłapywali wszystkich, którzy nie wyglądali na Greków, niezależnie od tego, czy przekroczyli grecką granicę tydzień wcześniej, czy jak Negros Tou Moria w Grecji się urodzili i żyli ponad dwadzieścia lat. Wyciągali ludzi z autobusów, pukali do ich domów, wynajmowanych pokoi, wypraszali ze sklepów. Od wszystkich niegrekonormatywnych żądali papierów, a jeśli ci nie mogli ich natychmiast okazać, byli zabierani na dołek. W ciągu pierwszych siedmiu miesięcy operacji do aresztu trafiło osiemdziesiąt pięć tysięcy osób, z czego, jak się wkrótce okazało, ludzie bez pozwolenia na pobyt stanowili jedynie sześć procent[71]. Ludzie pamiętali, że w czasie gdy bojówkarze ze Złotego Świtu masakrowali imigrantów na ulicach największych miast, zachowując pełną bezkarność, Samaras zablokował zaostrzenie kar za przestępstwa na tle

rasistowskim i ksenofobicznym. Pamiętali w końcu, że był zdecydowanym przeciwnikiem zmian w prawie, które regulowałyby to, kto może zostać Grekiem, kogo można włączyć do narodu, komu grecki paszport się należy, a komu nie. Mówił, że nowe przepisy będą magnesem dla „nielegałów".

Debata na ten temat toczyła się w Grecji od 2010 roku. Toczyła się dość niemrawo i nad wyraz spokojnie – a to dlatego, że co innego ogniskowało uwagę ludzi. Oto na skutek kolosalnego kryzysu gospodarczego, który uderzył na jesieni tego samego roku, Grekom i Greczynkom walił się świat, jaki dotąd znali. Byli oszołomieni, zajmowało ich przede wszystkim ich własne ekspresowe „biednienie", wizja bezrobocia i bankructwa kraju. Gdyby nie to, że kryzys był jak uderzenie obuchem w głowę, projekt ustawy o nabywaniu obywatelstwa i warunkach naturalizacji byłby tematem numer jeden i wywołałby nie jedno polityczno-społeczne trzęsienie ziemi, a całą ich serię. Greckie władze nie zajmowały się tym tematem niemal od czasów rewolucji 1821 roku (obowiązujące rozwiązania różniły się tylko nieznacznie od tych zapisanych w okołorewolucyjnych konstytucjach), uznawały go za tabu, za niebezpieczny i wybuchowy. Nie nadawały obcym obywatelstwa, co najwyżej je odbierały. „Greckości" odmawiano więc między innymi stu tysiącom uchodźców, którzy po wojnie domowej zakończonej w 1949 roku znaleźli się poza ojczyzną, na przykład w Polsce, jak Sturisowie, albo słynnej aktorce Melinie Mercouri czy genialnemu kompozytorowi Mikisowi Theodorakisowi, którzy walczyli z rządzącą w latach 1967–1974 juntą czarnych pułkowników.

Obywatelski projekt ustawy przygotowała Grecka Liga Praw Człowieka. Zakładał on między innymi, że obywatelstwo

automatycznie będzie nadawane tym imigranckim dzieciom, których rodzice legalnie przebywają w Grecji co najmniej pięć lat lub jeśli dziecko ukończyło co najmniej sześć klas edukacji w greckich szkołach (sześć klas podstawówki i trzy klasy gimnazjum, albo trzy gimnazjum i trzy liceum, albo liceum i studia wyższe). Z kolei do naturalizacji potrzeba udowodnić co najmniej siedem lat nieprzerwanego zamieszkiwania pod greckim adresem i uiścić opłatę wynoszącą siedemset euro. Nowe przepisy uchodziły za umiarkowanie liberalne i nie budziły wielkiego sprzeciwu. Tylko Złoty Świt uważał, że może coś ugrać, gardłując o rozwadnianiu greckiej krwi. Członkowie partii wdarli się więc na poświęconą ustawie konferencję naukową i krzyczeli o zdradzie narodowej. „»Wstydźcie się« »Grecja dla Greków«, »Grekiem trzeba się urodzić«, tego typu hasła" – wspominał konstytucjonalista, prof. Nikos Aliwizatos, który w 2010 roku przewodniczył spotkaniu. O jego przebiegu opowiedział siedem lat później, zeznając w sądzie w czasie „wielkiego procesu". – „Ilijas Panagiotaros podszedł do mnie, chwycił za ramię i mówi: wiem, że jesteś Żydem, naprawdę nazywasz się Lavi. Przyznaj się!".

Jeszcze tego samego wieczora neofaszyści zamieścili na swojej stronie internetowej relację z rozróby. Więcej incydentów nie odnotowano, a i ten nie był szczególnie głośny czy porażający. W tej sytuacji lewicowy rząd premiera Jorgosa Papandreu – a konkretnie minister spraw wewnętrznych Janis Ragusis – nie miał większych problemów, by przeprowadzić ustawę przez parlament. Przełomowa Regulacja nr 3838/2010, zwana też „prawem Ragusisa", weszła w życie. Od tej pory Grekiem można było zostać, „greckość" nie brała się już tylko z urodzenia. Kilkadziesiąt tysięcy imigranckich dzieci, a wśród nich bracia Andetokunmbo, Negros Tou Moria czy

Kuba Maciejewski, zyskiwało szansę na szybkie „upaństwowienie". Bez tego, bez oficjalnego dowodu na „greckość", nie mogły się ubiegać o państwowe posady, nie miały praw wyborczych, szans na kredyt czy wynajęcie mieszkania. Były gorszym sortem.

Jednak niedługo później, już po zmianie rządu z lewicowego na prawicowy, gdy premiera Papandreu zastąpił premier Samaras, do akcji wkroczyła Rada Stanu (najwyższy rangą sąd administracyjny) i orzekła, że reforma grozi dekompozycją narodu i utratą suwerenności. Bo oto nowi Grecy, niekoniecznie biali, niekoniecznie chrześcijanie, pochodzący nie wiadomo skąd, z Afryki, Azji, dzikich części Europy, wraz z obywatelstwem nabywaliby prawo do udziału w wyborach! „Przyznawanie greckiego obywatelstwa musi być obwarowane konkretnymi regulacjami, które nie będą negowały zapisanego w konstytucji narodowego charakteru państwa. Ani zamieszkiwanie rodziców na terenie Grecji, ani ukończenie kilku klas greckiej szkoły nie oznacza, że ci ludzie zintegrują się z greckim społeczeństwem i że będą podzielać nasze wartości" – napisali sędziowie rady Stanu w uzasadnieniu swojej decyzji[72].

Rada zawiesiła ustawę, a premier Samaras nakazał urzędom, by natychmiast zastosowały się do tej decyzji i wstrzymały wszystkie trwające postępowania. Nakazał, a chwilę później, uśmiechnięty od ucha do ucha, robił sobie zdjęcia z Janisem Andetokunmbo – sławnym koszykarzem, którego uczynił Grekiem jednym swoim koślawym podpisem.

●

– To tylko dowodzi, że najważniejsza w określaniu, kto może być Grekiem, a kto nie może, jest polityka – tłumaczy mi profesor Dimitris Christopulos, politolog, działacz na rzecz ochrony praw człowieka, ekspert od migracji i kwestii obywatelstwa, odważny komentator greckiej polityki – ten od Igrzysk Wolności i koncepcji buldoga. Mieszka na obrzeżach robotniczej dzielnicy Ambelokipi, niezbyt wygodnej dla pieszych, bo mocno pofałdowanej, usianej stromymi pagórkami, u stóp wysokiego na ponad trzysta metrów pasma górskiego Turkowunia (gdzie kiedyś mieścił się turecki cmentarz) – na czwartym piętrze kamienicy, z tarasem, który zasługuje na bramki i drogie bilety wstępu, bo taki się z niego rozpościera oszałamiający widok na połowę Aten. Jest upalnie, ale na tarasie wieje orzeźwiający wicherek. Profesor przygotowuje dla nas frape, gdy opowiadam mu o niezwykłym artyście, greckim hip-hopowcu o nigeryjskich korzeniach.

– Jak się nazywa? Negros Tou Moria? Nie, nie znam. Hip-hop to nie moje klimaty.

– Negros Tou Moria? Naprawdę?! Rozmawiałeś z nim? – dopytuje piętnastoletnia córka profesora, akurat weszła do kuchni i nalewała sobie do szklanki wodę. – Pochodzi z naszej dzielnicy. Mam go właśnie na słuchawkach! On jest cool!

– A pan? – pyta mnie profesor. – Pan jest z Polski, ale korzenie ma pan greckie?

– Częściowo. Mama była Polką, ojciec Grekiem.

– Pewnie z rodziny wojennych uchodźców? Niech zgadnę, pochodzili z północy? Na północ od Salonik?

– Zgadza się.

– Wioska?

– Lagkadia.

– Wołosi?

– Tak jest – odpowiadam z lekkim uśmiechem. – Czyli zaczęliśmy tradycyjnie, od rytuału *apo pu ise*. Wie pan, Grecy zadziwiająco często pytają mnie o ojca. Mówią, że skoro był Grekiem, to i ja automatycznie jestem Grekiem.

– To ciekawe, bo przecież pana ojciec przez pewien czas Grekiem nie był, formalnie rzecz biorąc. Greckie władze odebrały jemu i wszystkim wojennym uchodźcom obywatelstwo, robiąc z nich bezpaństwowców. Ci ludzie dopiero po powrocie do Grecji na nowo zostali włączeni do narodu. Właśnie o tym mówię: tą sferą zawsze rządzi polityka. Kwestie narodowościowe, kulturowe, rasowe, krew, religia, wspólni przodkowie, tak, wszystko to jest ważne, ale nie tak ważne jak doraźna polityka. Politycy mogą swobodnie nadawać i odbierać obywatelstwo, w zależności od tego, jaką narrację wypromują. Tak było i w latach dwudziestych zeszłego wieku, i w każdej kolejnej dekadzie. Tak jest też dziś.

Profesor był jednym ze współautorów „prawa Ragusisa", dobrze pamięta przyjęcie ustawy i jej zablokowanie przez Radę Stanu.

– Zaważyła polityka. Wygrało przekonanie, że najważniejsze jest kryterium krwi i genetycznej przynależności do narodu. Ale ludzie uważają inaczej. My, Grecy, nie mamy fioła na punkcie krwi, jesteśmy całkiem pragmatyczni, jeśli przestajemy słuchać polityków, którzy celowo komplikują te kwestie. Gdy przestają to robić, okazuje się, że społeczeństwo jest bardziej otwarte na zmiany niż władza. Tak było i w tym przypadku, bo przecież ledwie dwa lata po decyzji Rady Stanu udało nam się z sukcesem dokończyć reformę.

A to dlatego, że znów zmienił się rząd – Nowa Demokracja Andonisa Samarasa przegrała wybory w 2015 roku, a władzę przejęła lewicowa Syriza. Premierem został Aleksis Tsipras, który już w exposé ogłosił, że kwestia nabywania obywatelstwa to dla niego priorytet i że szybko zaproponuje systemowe rozwiązania, które ułatwią życie imigranckim dzieciom.

To było wczesną wiosną – wtedy jeszcze nic nie zapowiadało, że pojawią się nowe, pilniejsze priorytety, że reformę trzeba będzie wprowadzać w warunkach społeczno-politycznego chaosu. Oto bowiem okazało się, że do Grecji przybywa rekordowo wielu imigrantów – docierają na wyspy lub przepływają przez graniczną rzekę Ewros, by możliwie jak najszybciej kontynuować marsz na północ kontynentu. Grecję traktują jako kraj tranzytowy, ale i tak wymagają zainteresowania, opieki, prawnych i logistycznych rozwiązań na niespotykaną dotąd skalę. Do tego dochodził poważny kryzys na innym froncie. Oto premier Tsipras zarządził referendum w sprawie kolejnego memorandum, będące de facto plebiscytem w sprawie europejskiej przyszłości kraju. Ludzie znów śnili koszmary o Grexicie, powrocie do drachmy i bankructwie kraju, robili zapasy ryżu i mąki. Jednak mimo tych kolosalnych utrudnień machina państwowa się nie zacięła i prace nad nowym prawem szły zgodnie z planem. Ustawa Syrizy, z grubsza opierająca się na rozwiązaniach z 2010 roku i stwarzająca system, który corocznie „produkuje” około dwudziestu pięciu tysięcy „nowych” Greków i Greczynek, dostała zadziwiająco szerokie poparcie. W lipcu, gdy przyszło do głosowania, poparł ją rząd oraz cała demokratyczna opozycja, czyli wszystkie ugrupowania poza Złotym Świtem, którego członkowie znów wieszczyli rychły koniec cywilizacji greckiego człowieka.

– Koledzy z konserwatywnej Nowej Demokracji gratulowali nam tej ustawy, bo wiedzieli, że sprawę trzeba uporządkować – tłumaczy Christopulos. – Sami podobnych rozwiązań by nie zaproponowali, ale teraz nie ważą się ich tknąć. To kolejny dowód na to, że problem jest czysto polityczny. Tylko neofaszyści nie są w stanie przyznać, że czarnoskóry Janis Andetokunmbo jest Grekiem, choć ma nigeryjskich rodziców. Reszta społeczeństwa nie ma z tym problemu. Ludzie są z niego dumni. Niejedna grecka matka chciałaby go za zięcia. Dziś nie rasizm jest naszym największym problemem, a nacjonalizm. Wszędzie widzimy wrogów: w Turcji, w Macedonii Północnej. Ale to już inny temat.

●

Negros Tou Moria:

– Na Ambelokipi mieszkało dużo imigrantów, więc miałem w klasie dzieciaki z całego świata, w tym sporo takich czarnych jak ja. Ale niezależnie skąd byliśmy, uczyliśmy się wszyscy po grecku. Starożytność średnio mnie interesowała. Nauczycielka jakoś nie wspominała, że Partenon budowali czarni niewolnicy. O antyku wiem niewiele, za to rewolucję mam w małym palcu. Niech mnie ktoś przepyta. Wiem więcej niż przeciętny Grek o bitwach i sojuszach, o tym, kto kogo popierał, a z kim się nie zgadzał. Na wakacje na Lefkadzie wziąłem do czytania pamiętniki Kolokotronisa, które dyktował pod koniec życia. O nim też się dowiedziałem w szkole. Słuchałem o nim jak oczarowany. Był moim superbohaterem, moim supermanem, odważny i uparty *motherfucker*, bił się jak dziki. Kiedy zaczęła się rewolucja w 1821 roku, on miał już pięćdziesiąt lat

i dlatego ludzie wołali na niego Starzec z Morii, *Jeros tou Moria*. Ja po prostu zamieniłem starca na czarnucha i tak powstał mój pseudonim: Negros Tou Moria. Na jego cześć kupiłem sobie tradycyjny strój greckich wojowników: marszczoną spódnicę, czyli *fustanellę*, rajtuzy i *tsaruchia*, buty z pomponami. Tak się kiedyś nosił Koloktronis i inni rewolucjoniści, a teraz tak się noszą *ewzoni*, czyli prezydencka straż, ci co paradują przed grobem nieznanego żołnierza. I ja. Parę razy się w to ubrałem, to nie jest strój na co dzień, za dużo znaczy, za duży mam do niego szacunek – raz, gdy nagrywaliśmy wideoklip i trzy razy na dużych koncertach. Trochę go zresztą podrasowałem. Zabrałem go do Ghany i poprosiłem ciotkę, by doszyła parę afrykańskich akcentów. I ten outfit, i moje teksty to często prowokacja wobec moich rodaków, zachęta, żeby się nad sobą zastanowili. W komentarzach w internecie czasami ktoś napisze, że czarny nie pasuje do tego stroju, ale mam to w dupie. Jestem Grekiem, ta spódnica to także mój symbol. Jedna hipsterska firma odzieżowa zaprosiła mnie do współpracy i teraz można kupić skarpetki z moją podobizną – czarny, wąsaty facet w tradycyjnej *fustanelli*. Albo *komboloi* – zawsze mam te paciorki ze sobą. Po pierwsze mnie relaksują, po drugie są arcygreckie, robią ze mnie jeszcze większego Greka.

●

Kolorowy mural z wizerunkiem koszykarza Janisa Andetokunmbo jest potężny – zajmuje całą ścianę ośmiopiętrowego bloku przy jednej z głównych ulic Sepolii. Drugie przedstawienie lokalnego celebryty jest tuż obok, na betonowym podłożu boiska do koszykówki. Ma

formę graffiti i miejscami jest już mocno wytarte, bo lokalni gracze ścierają farbę , szurając podeszwami. Oba obrazy są dobrze widoczne, na ich odsłonięcie zjeżdżały się telewizje. Stały się atrakcją turystyczną mało atrakcyjnej dzielnicy, ale przede wszystkim ilustracją fantastycznego mitu, który ma szansę potrwać dłużej niż koszykarska kariera braci. Sepolia, która wcześniej chorowała na brak charakteru, karmi się dziś tą historią i hoduje na niej lokalną dumę, poczucie wspólnoty, dzielnicowej, klasowej, grecko-imigranckiej zażyłości.

– Świetna sprawa z tym stypendium – mówi Kuba, oprowadzając mnie po Sepolii. – Choć nie wiem, czy jestem idealnym kandydatem, bo cel stypendium to ja już dawno spełniłem. O moją integrację z Grecją nikt nie musi się martwić, nie trzeba mnie w żaden sposób do „greckości" przekonywać, ja i bez stypendium zapuściłem w Grecji korzenie.

Ze wszystkich kandydatów, których do programu Fundacji Onassisa zgłosiły szkoły, specjalne jury wybrało dwie osoby: Kubę i jego rówieśniczkę z Sepolii, z pochodzenia Egipcjankę. Nazywa się Katerina Ampntel Saient i studiuje rosyjski oraz literatury słowiańskie. Oboje się nadawali, bo zgodnie z założeniami programu są dziećmi imigrantów, dobrze się uczą, żyją i zamierzają żyć w Grecji, mimo że nie posiadają greckiego obywatelstwa. Nie urodzili się Grekami, ale mogą nimi zostać. Jak bracia Andetokunmbo, którym spodobała się idea stypendium i firmują je własnym nazwiskiem. Janis był zbyt zajęty w Milwaukee, dlatego na sesję zdjęciową z Kubą i Kateriną przyjechał Tanasis.

– Był przemiły, wcale nie gwiazdorzył. Z bagażnika samochodu wyciągnął głośnik i puszczał muzykę, żebyśmy się odstresowali. Dali

nam wszystkim czarne T-shirty i wyszły z tej sesji fajne zdjęcia. A później poszliśmy we trójkę na suwlaki.

Żeby utrzymać stypendium przez całe studia, Kuba musi mieć przyzwoite stopnie i zdawać wszystkie egzaminy w pierwszej sesji. Nie ma z tym żadnych problemów. Dzięki przelewom z Fundacji nie potrzebuje dorywczej pracy i kupił sobie naprawdę dobrego laptopa.

●

Margarita, czyli Gosia, o swoje stypendium sądzi się już kilka lat. Studiowała stosunki międzynarodowe na ateńskim uniwersytecie. Wcześniej skończyła grecką podstawówkę, greckie gimnazjum i liceum oraz, podobnie jak Kuba, polską szkołę imienia Mineyki w trybie uzupełniającym. Polscy rodzice, polski dom, tyle że w Grecji.

Na drugim roku studiów za wysoką średnią Margaricie należało się stypendium naukowe.

– Tysiąc euro plus dyplom. Bardzo się ucieszyłam, gdy opublikowali listę najlepszych studentów. Znajomi przysyłali mi gratulacje, ale gdy kilka dni później poszłam do dziekanatu, usłyszałam, że jednak się nie kwalifikuję, bo nie jestem Greczynką. To był jedyny raz, gdy miałam do czynienia z dyskryminacją. Uznałam, że to niesprawiedliwe, że ciężko na to wyróżnienie pracowałam i że nie odpuszczę.

Margarita poszła do Ministerstwa Nauki, gdzie zbyli ją kilkoma paragrafami, więc o pomoc poprosiła rzecznika praw obywatelskich. Rzecznik wziął jej stronę, zgodził się, że decyzja uniwersytetu łamie unijne regulacje, i wysmarował na ten temat długą opinię prawną. Dokument został dołączony do pozwu. Proces w sądzie

administracyjnym trwa już pięć lat. W grę wchodzą więc także odsetki.

W międzyczasie Margarita skończyła studia, odbyła zagraniczne praktyki i zatrudniła się w Generation 2.0 – organizacji pozarządowej, która wspiera imigrantów i uchodźców w walce o ich prawa, a konkretnie pomaga ubiegać się o greckie obywatelstwo i często towarzyszy w długiej, żmudnej i kosztownej procedurze.

– Na papierze przepisy wyglądają całkiem dobrze, ale ale problemem często jest biurokracja i braki kadrowe. Jedne urzędy potrafią rozpatrywać wnioski o nadanie obywatelstwa lub o naturalizację w kilka miesięcy, inne potrzebują kilku lat. W tym czasie imigranci nie mają pełni praw, nie są odpowiednio chronieni, nie mogą głosować czy ubiegać się o państwowe posady. Sprawdzamy, dlaczego tak się dzieje, co można poprawić, zgłaszamy do władz pomysły na poprawę sytuacji. Ja sama czekałam na grecki dowód w sumie dwa i pół roku. Czekałam i czekałam, aż jednego dnia decyzja po prostu przyszła pocztą. Pamiętam nerwowe otwieranie koperty.

Urzędowe dłużyzny to nie wszystko. Wyzwaniem dla dorosłych imigrantów wnioskujących o naturalizację często bywa obowiązkowy egzamin z „greckości", który ma pokazać stopień integracji z greckim społeczeństwem. Sprawdzana jest wiedza historyczna, polityczna, znajomość języka, kultury i generalnie greckich realiów.

– W teorii egzaminy odbywają się dwa razy do roku, ale w praktyce bywało, że członkowie komisji danego dnia nie przychodzili do pracy. Nie było kworum i trzeba było ustalać nową datę. Albo potrafili zapytać, gdzie w Grecji można obejrzeć najładniejszy, najbardziej

spektakularny zachód słońca. Jeśli człowiek odpowiadał inaczej niż: „na Santorini”, oblewał.

Lekarstwem na podobne patologie ma być odejście od egzaminu ustnego i zastąpienie go testem – aplikujący będą musieli odpowiedzieć na trzydzieści pytań wylosowanych z puli trzystu.

– Czekamy na rozporządzenie ministerstwa w tej sprawie. Miało być gotowe już pół roku temu.

●

Negros Tou Moria:

– Greckie obywatelstwo? Nie mam. Mogę mieć, mogę złożyć wniosek i na pewno bym dostał. Ale jakoś nie potrafię się przemóc. Gdybym miał zdawać egzamin, zdałbym bez problemu, bo dobrze znam Grecję, naprawdę dobrze. I grecki też znam lepiej niż jakikolwiek inny język. Albo gdyby mi mieli zliczać lata nauki w greckich szkołach, to łapię się, *no problem*. Ale nie mogę. Co zbliża się deadline na złożenie aplikacji, to mi coś wyskakuje i nawalam. Nie wiem dlaczego. Może to przez to nękanie? Napsuli mi krwi, a nagle chcą, żebym składał papiery? *Fuck it!* Pewnie to w końcu zrobię, ale i bez kwitów dobrze wiem, kim się czuję, kim jestem. Kocham Grecję, ale trudniej mi kochać Greków. Zawsze mnie rozczarowują.

●

Kuba Maciejewski:

– Negros Tou Moria? Pewnie, że go słucham! Od paru lat słucham tylko hip-hopu. On jest teraz bardzo popularny. Śpiewa o swojej dzielnicy, o tym jak to jest być Grekiem i czuć się w Grecji obcym. Ma świetny grecki, a jednocześnie bardzo niegrecką, egzotyczną barwę głosu. Widziałem zdjęcie, na którym był przebrany za Kolokotronisa!

●

Negros Tou Moria:

– Marmury Elgina? To dla nas bardzo ważne, żebyśmy je odzyskali. Nie kumam, dlaczego Brytole nadal je u siebie trzymają. Oddajcie je wreszcie! Niech wszyscy oddadzą wszystkim wszystko, co zrabowali!

●

Kuba Maciejewski:

– Uważam tak jak większość Greków. Już samo ich wywiezienie z Grecji było złe. Mamy dla nich supermuzeum, do którego zawsze zabieram gości z Polski, mamy świetnych specjalistów. Marmury powinny wrócić, bo są częścią naszej kultury.

SZEŚĆ LAT NA BEZDECHU

Magda Fisa przyjechała do Efetijo przed czasem. Z Kieratsini to kawał drogi, drugi koniec miasta. Jak zwykle ubrana jest cała na czarno: czarny żakiet, czarna bluzka, czarne spodnie i buty. Włosy też ma czarne, gęste, jak to u Greczynek, przetykane pojedynczymi siwymi nitkami, długie do ramion, lekko kręcone, z niesymetryczną, niesforną grzywką. Wchodzi do blaszanego kontenera, w którym odbywa się kontrola bezpieczeństwa, przepuszcza przez skaner czarną skórzaną torebkę i już jest na dziedzińcu. Wita ją chłód bijący z marmurowej posadzki, wzmacniany delikatnym przeciągiem. Zebrani przed wejściem do sądu gaszą papierosy, odkładają kubki z kawą na zimno i od razu ruszają w jej kierunku: *kalimera*, *kalimera*, buziak w policzek, uśmiech na dzień dobry, uścisk dłoni. Taką ma aurę ta zbolała matka, taką moc niewątpliwą, taki magiczny potencjał. Ona, zwyczajna krawcowa z biednej, robotniczej dzielnicy. Blada, ze smutnymi oczami, z wąskimi ustami. Z jej twarzy czytam zmęczenie, ale i skupienie, determinację, złość, ból, w żadnym wypadku bezradność. Zdarza się, że obcy podchodzą do niej na ulicy, przytulają, dziękują, że jest taka dzielna. Ja dzielna? – dziwi się wtedy Magda. Matka, która straciła ukochanego syna i nie może wyjść z żałoby, stała się symbolem siły, determinacji, walki o sprawiedliwość, sprawiedliwej zemsty, „matką wszystkich Greków”.

Ale dla niej, jak mówi w wywiadach, wszystko to jest nieważne. Bo gdy umierał Pawlos, jej życie stanęło.

Wśród witających się na dziedzińcu są dziennikarze – poza operatorami kamer, bo ci na wniosek oskarżonych złocistych od początku *megali diki* nie mają wstępu na salę rozpraw, podobnie jak radiowcy, którzy chcieliby rejestrować przebieg procesu na dyktafonie. Są prawnicy, aktywiści, antyfaszyści, przyjaciele i znajomi Pawlosa, kilkoro studentów prawa, członkowie Golden Dawn Watch. Dużo ludzi, więcej niż zwykle. Bo oto 18 grudnia 2019 roku, dokładnie siedemdziesiąt pięć miesięcy od zabicia Fisasa, wielki proces członków Złotego Świtu wchodzi w decydującą fazę. Dwa, trzy miesiące i poznamy wyrok – mówi się na dziedzińcu, jednak ta kalkulacja nie uwzględnia koronawirusa: pandemia pozamyka greckie sądy i spowolni końcówkę procesu o kilka miesięcy. Ale o tym dowiemy się dopiero za chwilę. Na razie myślimy, że koniec jest bliski. Stąd tłok, poruszenie i podniecenie. Oraz lekki niepokój, bo dziś swoje podsumowanie i propozycję wyroku przedstawi kontrowersyjna prokuratorka Adamantia Ikonomu. Nie bardzo wiadomo, czego można się po niej spodziewać, bo z jednej strony ciężar dowodów przeciwko złocistym jest tak wielki, że aż przygniatający, ale z drugiej prokuratorce zdarzały się naprawdę dziwne pytania, sugerujące, że jej sympatie leżą raczej po stronie oskarżonych.

Ja też podchodzę do Magdy Fisa. Rozmawiamy chwilę, umawiamy się na wywiad tego samego dnia wieczorem. Mam przyjechać do Kieratsini.

●

Od początku było wiadomo, że szykuje się proces wielki, może największy w najnowszej historii Grecji. Pierwszy od czasów Norymbergi, kiedy na ławie oskarżonych zasiadają tak liczni naziści – najpierw sześćdziesiąt dziewięć osób, ostatecznie sześćdziesiąt osiem, bo jeden z oskarżonych zmarł wkrótce po tym, jak prokuratura ogłosiła zarzuty – najróżniejsze, bo od nielegalnego posiadania broni i zastraszania, przez brutalne pobicia, próby zabójstwa, współudział w morderstwie, morderstwo, po wspólny dla prawie wszystkich złocistych zarzut kierowania organizacją przestępczą i wstąpienia w jej szeregi. Sam akt oskarżenia liczył blisko siedemset stron, a pliki z dowodami zgromadzonymi w czasie śledztwa i prezentowane w sądzie ważyły w sumie ponad dwa terabajty. To więcej niż w setkach procesów razem wziętych. Zdjęcia, filmy, podsłuchane rozmowy, zeznania ofiar i świadków – żeby to wszystko przejrzeć, potrzeba pięciu tygodni bez choćby jednej krótkiej przerwy. Sąd zbierał się już trzysta dziewięćdziesiąt dziewięć razy. Okrągłe, czterechsetne posiedzenie zaplanowane jest właśnie na dzień, gdy ma przemawiać prokuratorka. Do ogłoszenia wyroku potrzebne będą kolejne pięćdziesiąt cztery posiedzenia.

Magda Fisa prawie zawsze była na sali – najpierw w kobiecym skrzydle więzienia Korydallos, niedaleko Kieratsini, gdzie jedno z pomieszczeń przystosowano do potrzeb procesu, i później w Efetijo, dokąd w końcu proces przeniesiono. Powtarzała, że jest to winna Pawlosowi. Cicha i skupiona, blisko czterysta razy przechodziła przez sądowe drzwi i siadała w tylnych rzędach. Nie komentowała. Tylko kilka razy puściły jej nerwy. Pierwszy raz, gdy w październiku 2015 roku kończyła składać zeznania. Dzień wcześniej w sądzie

wystąpił jej mąż, ojciec Pawlosa. Magda wiedziała już, czego może się spodziewać. Miała zapuchnięte oczy – widać to na zdjęciach. Gdy były robione, oskarżeni siedzący za nią zasłaniali dłońmi twarze lub chowali głowy między kolana. Ze wstydu. Wtedy jeszcze, na samym początku procesu, zdarzało im się przychodzić na kolejne rozprawy, później przestali i zjawiali się tylko wówczas, gdy sami mieli odpowiadać na pytania. Byli już wtedy na wolności, bo według greckiego prawa tymczasowe aresztowanie nie może trwać dłużej niż osiemnaście miesięcy. Tylko wobec Rupakiasa zarządzono areszt domowy.

Jako pierwsza pytania Magdzie Fisa zadawała przewodnicząca trzyosobowego składu sędziowskiego Maria Lepenioti.

Lepenioti: – Gdzie został dźgnięty pani syn?

Fisa: – W serce.

Lepenioti: – Skąd pani to wie?

Fisa: – Od lekarza. Proszę mnie nie zmuszać, bym te rany opisywała. To były śmiertelne ciosy. Pawlos umarł na miejscu, w cztery minuty. To bardzo ważne.

Lepenioti: – Dlaczego ważne?

Fisa: – Bo zdążył wskazać mordercę. Gdy na miejscu zjawili się policjanci i na nic nie reagowali, Pawlos podciągnął koszulkę i pokazując rany, powiedział: „Dokąd idziesz? Dźgnąłeś mnie i teraz sobie idziesz?”. Gdy na miejsce przybyli kolejni policjanci, morderca z powrotem wsiadł do samochodu, a wcześniej wyrzucił nóż. Któraś z policjantek to zobaczyła i powiedziała: „Ej, tylko nie na noże, mówiliśmy, że nie na noże”.

Lepenioti: – Kiedy to powiedziała?

Fisa: – Gdy zło już się wydarzyło.

Lepenioti: – Co to według pani oznacza?

Fisa: – Że Złoty Świt i policja to jedno.

Lepenioti: – Czy pani syn znał Rupakiasa?

Fisa: – Nie.

Lepenioti: – Czy doszło między nimi do jakiejś kłótni?

Fisa: – Nie. Nie było żadnej kłótni. Rupakias – nie, nie chcę wypowiadać jego nazwiska. Morderca podszedł do niego, objął go i zabił.

Lepenioti: – Dlaczego Rupakias go zaatakował?

Fisa: – Bo taki dostał rozkaz od swojej organizacji oraz dlatego, że jest wyćwiczonym mordercą. Angos zadzwonił z Café Korali do Kazandzoglu – obaj byli członkami lokalnej partyjnej komórki w dzielnicy Nikea. Kazandzoglu poinformował Patelisa, szefa dzielnicowej komórki, który natychmiast dał znać Lagosowi i wysłał esemesa do członków batalionu, żeby się stawili do biura.

Lepenioti: – Jaki związek ma Rupakias ze Złotym Świtem?

Fisa: – Morderca był skarbnikiem partyjnej komórki w Nikea.

Lepenioti: – A Patelis?

Fisa: – Jeden z morderców, szef pięcioosobowej partyjnej komórki.

Lepenioti: – Lagos?

Fisa: – Lagos kontroluje. Jeśli pozostali nie dostaną zgody od Lagosa, nic się nie dzieje, nie mogą niczego zrobić.

Lepenioti: – Jaki mogli mieć motyw?

Fisa: – Ich celem jest władza. Niszczą wszystko, co staje im na przeszkodzie. Tak już mają. „Zarżniemy wszystko, co się rusza” – tak przecież mówi Patelis na filmie, który widziałam. Mówi to do pozostałych członków organizacji: „Wszystko, co się rusza, będzie zarżnięte”. Czy nie tak właśnie było z Luqmanem? [Młodym

Pakistańczykiem, który zginął z rąk złocistych w styczniu 2013 roku – D.S.]. Dokładnie tak! Luqmana też zabili. Oni są wyszkolonymi mordercami.

Prokuratorka Adamantia Ikonomu: – Czy wie pani, co złociści usłyszeli w lokalnym biurze, gdy zebrali się wezwani esemesem?

Fisa: – Że mają zabić.

Ikonomu: – Skąd pani to wie? Wnioskuje pani po tym, co się wydarzyło?

Fisa: – Tak.

Ikonomu: – Czy pani syn był wytypowany do zabójstwa, czy wcześniej dostawał groźby?

Fisa: – Nie wiem, czy mu grozili, nie sądzę. Był znany z powodu swoich piosenek.

Ikonomu: – Czy w Café Korali doszło do kłótni?

Fisa: – Chryssa, dziewczyna Pawlosa, powiedziała mi, że żadnej kłótni nie było. Chodziło o nienawiść. Ci ludzie żywią się nienawiścią. Mój syn wyglądał im na wroga. Wyobrażam sobie, że powiedzieli mu: „Jak śmiesz tu przychodzić". Gdy Pawlos i reszta uciekali, złociści krzyczeli za nimi, że ich zajebią. Ale oni przecież nie wiedzieli, że to miejsce to nora faszystów.

Obrońca rodziny Fisasów Andreas Tzelis: – Czy wie pani, co mówił Rupakias, gdy został aresztowany?

Fisa: – Policjant, który go zatrzymał, powiedział mi, że morderca twierdził, że jest jednym z nich. „Jesteś policjantem?" – dopytał go. „Nie, jestem ze Złotego Świtu" – odpowiedział. Na komendzie zachowywał się, jakby był u siebie, rzucał dowcipami.

Tzelis: – Co dokładnie pani widziała na filmiku znalezionym na twardym dysku Patelisa? W kontekście metod działania brygad

uderzeniowych?

Fisa: – Widziałam, jak Patelis instruuje innych członków organizacji w sprawie ataku, który zamierzali przeprowadzić. Działo się to w partyjnym biurze. Co dokładnie powiedział? „Jesteśmy Złoty Świt, działamy na rozkaz. Robimy, co nam każą. Jeśli dostaniemy »OK«, możemy działać. Wszystko, co się rusza, będzie zarżnięte". Tak też było z morderstwem mojego syna. To na rozkaz Patelisa zebrała się brygada uderzeniowa, z kolei Patelis instrukcje dostał od Lagosa[73].

Tzelis: – A Lagos od kogo dostaje rozkazy?

Fisa: – Wszyscy dostają rozkazy od samego lidera.

Tzelis: – Dlaczego od lidera?

Fisa: – Taką mają hierarchię. Od dwóch lat nie robię nic innego, niczym się nie zajmuję, tylko czytam o mordercach mojego syna. Czytam i zbieram informacje. Lider wydaje rozkazy, które później są przekazywane osobom na niższych szczeblach hierarchii.

Tzelis: – Proszę wyjaśnić, dlaczego Pawlos nie uciekł.

Fisa: – Nie było możliwości, żeby uciekł. Miał uciekać z własnej dzielnicy? Poza tym były z nimi dziewczyny, nie mógłby ich zostawić samych.

Tzelis: – Czy po śmierci Pawlosa dostawała pani groźby?

Fisa: – Oczywiście! Cały czas dostaję. Nie minęło nawet pięćdziesiąt dni od morderstwa, a brygada uderzeniowa złocistych zrobiła sobie rajd przed pomnikiem Pawlosa. Zmuszali przechodniów, by brali od nich ulotki i ich partyjną gazetę. Później zbezcześcili pomnik i przejechali na motorach pod oknami naszego domu. Chcieli nam pokazać, kim są, nie wahają się nas zastraszać. Wszyscy dostają groźby – nawet nasi prawnicy.

Prawniczka rodziny Fisa Wioleta Kugiatsu: – Proszę nam opowiedzieć o Pawlosie.

Fisa: – Był słodkim, kochanym dzieckiem i wyrósł na dojrzałego mężczyznę z własnymi ideałami. Tworzył muzykę, pisał piosenki i wierzył w to, co śpiewa. Pomagał bezdomnym. Pomagał innym. Był czysty. Był wolnym duchem. Jego idee były jego jedyną bronią.

Kugiatsu: – Czy w jego piosenkach zdarzały się niepokojące teksty?

Fisa: – Hasła i zawołania antyfaszystowskie czy antyrasistowskie.

Kugiatsu: – Czy dlatego Złoty Świt wziął go na celownik?

Fisa: – Tak. Oni celują we wszystko, co jest im obce, co jest ich przeciwieństwem.

Prawnik rodziny Fisa Takis Zotos: – Jakie było pani zdanie na temat Złotego Świtu przed zabiciem pani syna?

Fisa: – Że to organizacja przestępcza. Ale nie w takim znaczeniu, w jakim nam przyszło doświadczyć ich działalności. Oni po prostu weszli do mojego domu, do mojej dzielnicy i zabili moje dziecko, ot tak.

●

Gdy Magda Fisa zeznawała, prawnicy oskarżonych, wśród których byli między innymi starszy brat Nikosa Michaloliakosa i jego dwaj synowie, bez przerwy szeptali i komentowali. Fisa zwróciła się do nich z prośbą, by tego nie robili, bo jej to przeszkadza, kręci jej się od tego w głowie. Jej mąż, któremu dzień wcześniej obrońcy złocistych też przeszkadzali, krzyknął z galerii, że ich szepty i żarty są celowe: „Chcą cię zmylić!”. To będzie ich stała taktyka: zmylić, przestraszyć, wykpić, wyśmiać.

Gdy zeznawał Abuzeid Embarak, Egipcjanin skatowany przez złocistych latem 2012 roku, krótko po wyborczym sukcesie Złotego Świtu, sędzia Lepenioti musiała dyscyplinować prawników oskarżonych wyjątkowo często. Od pobicia, które Lagos z dumą i radością komentował słowami „zarżnęliśmy ich", minęły lata, a Embarak nadal boleśnie odczuwał jego skutki. Kilkanaście połamanych kości już się zrosło, jednak problemy z koncentracją nie zniknęły (to od obrzęku mózgu), podobnie jak silne bóle kręgosłupa. Odpowiadając na pytania z pomocą tłumacza, mówił, że wciąż czeka na drugą operację połamanej szczęki. Był inwalidą – co dostawał pracę, to ją tracił, bo nie miał sił. Ciężko mu było ustać na nogach dłużej niż godzinę, uginały się pod nim kolana. Słysząc to, prawnicy złocistych śmiali się tak głośno, że sędzia musiała ich uciszać. Zarzucali mężczyźnie, że kłamie, że opłaca go George Soros, że nie mógł aż tak bardzo ucierpieć, skoro po ataku zdołał spłodzić dwoje dzieci.

Lepenioti: – Proszę o spokój. To nie jest teatr!

Prawniczka złocistych: – Ale proszę powiedzieć, dlaczego zdecydował się pan na kolejne dzieci, skoro twierdzi pan, że z powodu pobicia znalazł się w trudnej sytuacji finansowej.

Tanasis Kambajannis, obrońca Embaraka i pozostałych egipskich rybaków: – Sprzeciw, wysoki sądzie! To jest zuchwałość morderców!

Prawniczka: – Sam jesteś zuchwały!

Znów fala okrzyków i znów interwencja sędzi.

Obrońca złocistych: – Jak długo był pan bity?

Embarak: – Dwie, trzy minuty.

Obrońca: – Twierdzi pan, że dostał setki ciosów. To by znaczyło, że spadało na pana pięć uderzeń na sekundę. Jak to możliwe?

Embarak: – Nie jeden mnie bił, a wielu.

Obrońca: – Wcześniej pan mówił, że w tamtym okresie znał pan jedynie pięć słów po grecku. Dziś mówi pan, że znał pan piętnaście.

Embarak: – Znałem podstawowe zwroty: dzień dobry, dziękuję, do widzenia.

Obrońca: – Nie jest pan zbyt dokładny w swoich zeznaniach. Czy chodzi panu o odszkodowanie?

Embarak: – Chodzi mi o sprawiedliwość.

Obrońca: – Byłby tu pan dzisiaj, gdyby wcześniej dostał pieniądze?

Embarak: – Nigdy nie zaakceptowałbym żadnych pieniędzy.

Gdy dzień później zeznawał kolega Abuzeida – ofiara tego samego napadu – prawnikom nie było do śmiechu. Zapytany, czy wśród obecnych na sali oskarżonych rozpoznaje sprawców napaści, mężczyzna odpowiedział twierdząco, po czym odwrócił się w ich stronę i zaczął ich kolejno wskazywać palcem. Dzieliło ich nie więcej niż dwa metry. Zdjęcie z tej chwili następnego dnia obiegło gazety. W nagłówkach powtarzało się słowo „odważny".

Także Dimitra Zorzu, która na własne oczy widziała morderstwo Pawlosa Fisasa, opowiadała mi, że wobec niej prawnicy byli równie chamscy. Zeznawała dwa tygodnie po rodzicach zabitego muzyka:

– Gdy przyszłam do sądu, trzęsłam się ze strachu. Całą noc nie spałam. Zanim zaczęła się rozprawa, wypaliłam na dziedzińcu z pół paczki papierosów. – Dzięki wsparciu brata i byłego chłopaka zebrała się w sobie i gdy sędzia Lepenioti ruszyła z serią pytań, Dimitra była skupiona. Odpowiadała krótko i konkretnie, choć ciągle słyszała szepty prawników złocistych. Mówili o niej „kłamczucha", „ślepa, niczego nie mogła widzieć, bo nosi denka od butelek zamiast okularów", „głupia dziewucha". Później to oni zadawali pytania,

a Dimitra omijała ich wzrokiem, odpowiadała, patrząc na skład sędziowski. – Chyba ich to irytowało, bo zaczęli podchodzić coraz bliżej – ich twarze były tuż obok mojej. Nie zważałam na to jednak, gdybym miała zareagować, musiałbym ich wszystkich opluć. Gdy sędzia zapytała mnie o wspólnika Rupakiasa, odwróciłam się i powiedziałam, że to Janis Kazandzoglu, ten, który siedzi w pierwszym rzędzie, drugie krzesło po prawej. Sędzia poprosiła, żeby wstał. Wstał i od razu do mnie z mordą: „Naprawdę myślisz, że to ja?". Powiedziałam, że tak, a on na to: „Chodź na zewnątrz, pokażę ci, co naprawdę pamiętasz z tamtej nocy". – Na sali zrobił się harmider, więc sędzia Lepenioti ogłosiła przerwę. Dimitra płakała, miała atak paniki. Na korytarzu podeszli do niej dziennikarze i tłumaczyli, że jeśli zgodzi się na zrobienie kilku zdjęć i upublicznienie wizerunku, będzie bezpieczniejsza. – Zgodziłam się. Wróciłam do domu wykończona i zobaczyłam, że na Facebooku mam pełno wiadomości od faszystów, oczywiście z pogróżkami. Zrobiłam zdjęcia tych wiadomości, wydrukowałam i pokazałam nazajutrz w sądzie, ale nikt szczególnie się nie przejął. Drugiego dnia prawnicy też ciągle coś szeptali za moimi plecami, śmiali się, ale jakimś cudem w ogóle się tym nie przejęłam. Czułam, że jestem silniejsza, miałam w sobie więcej spokoju.

Groźby ze strony złocistych nie ustały – Dimitra przez pół roku dostawała głuche telefony. Codziennie w samo południe.

– Czasami odbierałam i słyszałam tylko w tle włączony telewizor. Nikt się nie odzywał. Myślę, że to był Rupakias, bo telefony zaczęły się dokładnie tego dnia, gdy został zwolniony z aresztu i trafił z powrotem do domu.

●

Po kilku godzinach pytań Magda Fisa poprosiła o przerwę, bo źle się poczuła. Wyszła na dziedziniec, usiadła na ławce, wypaliła papierosa. Coś się w niej kumulowało, zaczynało bulgotać. To nie była złość, tylko coś innego, silniejszego. Po dziesięciu minutach wróciła na salę. Gdy skończyła składać zeznania i schodziła z miejsca dla świadków, rzuciła w Rupakiasa butelkę z wodą mineralną, sycząc: „Masz mnie pamiętać!". Mężczyzna skulił się w sobie. Niski, w obcisłych dżinsach i za ciasnej koszuli w kratkę. Czarne, krótkie włosy. Nie takiego widać go na zdjęciach, które razem z innymi dowodami prezentowano w dalszej fazie procesu – od lutego 2018 roku do marca 2019. Lider Złotego Świtu Nikos Michaloliakos po zabiciu Fisasa próbował się od Rupakiasa dystansować. Mówił, że go nie znał, że to zwykły sympatyk partii, zwykły wyborca. Widywano go w partyjnym biurze? A bo to jego jednego widziano? Partia ma siedemdziesiąt biur, obok których codziennie przechodzą setki ludzi.

Ale z partyjnych fotografii, które znaleziono na twardych dyskach zarekwirowanych komputerów, wyłania się inny obraz – oddanego członka organizacji, może nawet fanatycznego wyznawcy[74].

Oto Rupakias maszeruje chodnikiem obok Jorgosa Patelisa, szefa partyjnej komórki w dzielnicy Nikea. Obaj mają na sobie strój charakterystyczny dla członków brygady uderzeniowej: czarno-szare spodnie moro, czarna bluza z kapturem i białym meandrem na piersi.

Oto „zwykły sympatyk" pozuje do portretowego zdjęcia w szarym T-shircie, a w dłoniach skrzyżowanych na piersiach trzyma dwa pistolety.

Oto „zwykły wyborca” rozdaje biednym Grekom jedzenie podczas partyjnej akcji w Pireusie.

Oto podczas obozu szkoleniowego na Peloponezie stoi na wielkim kamieniu nad brzegiem rzeki Nedy i hajluje. W tle wiszą dwie wielkie flagi: czerwona z meandrem i czarna z krzyżem celtyckim.

Oto Rupakias bez koszulki, w bokserskich rękawicach podczas sparingu z umięśnionym trenerem. Uczestnicy wyjazdowego obozu latem 2013 roku odbywali szkolenia z narodowego socjalizmu, sztuk walki i obsługi broni. Na koniec starsi, w tym Rupakias i Patelis, stojąc nocą wokół płonącego meandra i trzymając pochodnie, odbierali przysięgę od młodych rekrutów:

> Przysięgam, że nie postawię życia wyżej niż wolności.
> Wodza nie opuszczę ani żywy, ani martwy.
> Uszanuję wrogów, którzy polegną w bitwie.
> A gdy walka się skończy, każdego sojusznika będę wielbił jak brata.
> Ale wszystkich tych, którzy woleli zdradzić, bezlitośnie ukarzę.
> Przysięgam chronić świętego płomienia mojej rasy.
> Oświecać nim i prowadzić przez chaos wieków[75].

Oto odpala dwie pomarańczowe świece dymne przed pomnikiem Leonidasa, legendarnego wodza z okresu walk przeciwko Persom. W ramach tej partyjnej imprezy pięćdziesięcioro złocistych z Nikei wybrało się do Sparty, by moralnie wesprzeć miejscowych działaczy. Po happeningu przed pomnikiem i głośnym spacerze przez centrum miasta zgromadzili się w partyjnym biurze. Są z tego spotkania zdjęcia oraz filmy, na których widać przemawiających Rupakiasa, Patelisa i Kazandzoglu.

Rupakias: „Na ciągłej wojnie przeciwko skorumpowanemu systemowi politycznemu wybraliśmy drogę trudną i wyboistą. Ale wszyscy dobrze wiemy, że złocistym człowiek się nie rodzi, ani nie zostaje. Złocistym człowiek umiera. *Zito i niki* – Niech żyje zwycięstwo!”.

Patelis: „Wszyscy musimy pamiętać o priorytetach. Organizacja jest najważniejsza. Musimy być zdyscyplinowani i musimy działać zgodnie z poleceniami naszego wodza. Bo on wystawił własną pierś, by zbawić nasze dusze, nasze dzieci, a przede wszystkim, by zbawić naszą Grecję. Ci z nas, którzy nie są w stanie trzymać dyscypliny, nie są złocistymi, należą gdzie indziej. Damy im specjalną lekcję, gdy przyjdzie odpowiednia pora. Myślę, że ten moment jest blisko. Oczywiście to zależy od rozkazów naszego lidera. Nigdy nie działamy sami”.

Kazandzoglu: „Przyjechaliśmy tu, by lepiej poznać lokalną komórkę, by lepiej poznać teren. Tak będziemy działać wszędzie w ramach procesu, który wyznaczył nasz lider Nikos Michaloliakos. Jestem głęboko poruszony wielkością tego człowieka, naszego wodza, który walczył na ulicach, kiedy to nie było tak łatwe jak teraz. Niech żyje Nikos Michaloliakos!”[76].

Gdy przyszła jej kolej, siostra Rupakiasa Chrysula zeznała, że jej brat jest spokojnym człowiekiem, skupionym na żonie i dwójce dorosłych już dzieci. Nie lubi się kłócić, nie jest spięty. Pomagał jej w prowadzeniu dwóch sklepów rybnych, a zimą pracował jako kierowca rozwożący olej opałowy. Są ze sobą blisko i często rozmawiają, choć od morderstwa trochę rzadziej. Według jej wiedzy Jorgos był jedynie zwykłym wyborcą i sympatykiem Złotego Świtu, nie pełnił w organizacji ważniejszych funkcji. Ona sama też na

złocistych głosowała, bo podobnie jak jej bratu imponowała jej troska złocistych o najbiedniejszych Greków. Czasami brała udział w wyjazdowych spotkaniach Złotego Świtu – między innymi w Meligalas i Sparcie, przed pomnikiem Leonidasa – z szacunku dla poległych trzystu wojowników legendarnego dowódcy. W nocy, kiedy zginął Fisas, brat zadzwonił do niej i powiedział, że brał udział w bójce i jest na komendzie. Poprosił, by mu dowiozła wodę i papierosy, a później, żeby mu znalazła obrońcę. Chrysula pojechała na policję, ale zobaczyła tam tłum ludzi i się przestraszyła. Nie weszła do środka. Tak, nissan almera, którym jeździł jej brat, należał do niej. Ona sama używała drugiego samochodu. Tak, nóż, którym Jorgos zabił Fisasa, także był jej własnością. W obu samochodach zawsze trzymała noże, żeby móc sprawdzić zawartość styropianowych pudeł, w których dowożono jej ryby. Nic jej nie wiadomo, by Jorgos szkolił się w obsłudze broni. Nóż? Kroił nożami chleb i mięso, nie wiedział, jak dźgać nimi ludzi[77]. Choć przyznał się do winy, ona wciąż nie może uwierzyć, że jej brat zabił człowieka.

Sam Rupakias pojawił się w Efetijo dopiero po czterech latach trwania procesu. Odpowiadał na pytania jako jeden z ostatnich. Tego dnia Magda Fisa za namową męża została w domu. Panajotis Fisas bał się, że żona nie wytrzyma, gdy morderca będzie wygadywał bzdury, i znów czymś w niego rzuci. On z kolei udał się do sądu z jednym z przyjaciół Pawlosa oraz z Dimitrą Zorzu – razem przyjechali z Kieratsini. Z ich trójki tylko ojciec zabitego muzyka zdołał wejść na salę, taki panował tłok. Wszystkie miejsca były zajęte, przy czym co najmniej jedną trzecią foteli obsiedli policjanci. Ich koledzy szczelnie otoczyli także sam budynek sądu, bo

spodziewali się zamieszek. Na dziedzińcu Efetijo kłębił się tłum dziennikarzy.

Lepenioti: – Proszę opowiedzieć o pana związkach ze Złotym Świtem[78].

Rupakias: – Po raz pierwszy poszedłem do lokalnego biura partii latem dwa tysiące dwunastego roku, to było bardzo blisko mojego domu w dzielnicy Nikea, kilka ulic dalej.

Lepenioti: – Kto kierował biurem?

Rupakias: – Pan Patelis.

Lepenioti: – Jak często przychodził pan do biura?

Rupakias: – Początkowo niezbyt często. Byłem zwykłym zwolennikiem. Żeby się zapisać, trzeba było zapłacić dwadzieścia euro. Nie zapisaliśmy się ani ja, ani moja żona, która chodziła ze mną.

Lepenioti: – Z czasem zaczął pan bywać w biurze częściej?

Rupakias: – Tak. Brałem udział w rozdawaniu jedzenia i ubrań. Przychodziłem, kiedy mnie potrzebowali. Później zrobili mnie pomocnikiem księgowego, bo faktyczny księgowy mieszkał daleko, w Glifadzie, i miał też regularną pracę.

Lepenioti: – Czy wygłaszał pan przemówienia?

Rupakias: – Nie. A jeśli ma sędzia na myśli Spartę, to nie uważam, żeby to była przemowa. To było powitanie. Patelis mi zaproponował: „Chodź, powiesz parę słów jako księgowy”. A ja mu na to: „Ale, co mam powiedzieć?”.

Lepenioti: – Pamięta pan, co powiedział?

Rupakias: – Że robimy tour po wszystkich lokalnych oddziałach partii, a później to kontrowersyjne zdanie, że człowiek nie rodzi się złocistym, ani nim nie zostaje, złocistym jedynie może umrzeć.

Lepenioti: – Co pan przez to rozumiał?

Rupakias: –Tak tylko powiedziałem. Słyszałem, jak to mówił jeden z posłów.

Lepenioti: – Brał pan udział w innych spotkaniach wyjazdowych?

Rupakias: – Tak. Byłem w Termopilach, na wyspie Imia, w Meligalas. Więcej nie pamiętam.

Lepenioti: – W obozie?

Rupakias: – Tak, w sierpniu dwa tysiące trzynastego roku nad Nedą.

Lepenioti: – Dużo was tam było?

Rupakias: – Z piętnaście osób. Zabrałem ze sobą syna. Gdy dojechaliśmy, zobaczyłem, że namioty były już rozbite, a w jednym z nich leżały cztery pistolety. Pytam Patelisa: „Hej, dupku, a to skąd się tu wzięło?”. Odpowiedział, że ktoś przywiózł. To była broń na pociski gumowe. Robili sobie z nią zdjęcia.

Lepenioti: – Czy przyjmował pan przysięgę od nowych członków partii?

Rupakias: – Tak.

Lepenioti: – Czy pamięta pan, na co składana była ta przysięga?

Rupakias: – To były bzdury. Nie mam zielonego pojęcia.

Lepenioti: – Jak kończyła się ta ceremonia? Pozdrowieniem?

Rupakias: – Tak. Starożytnym pozdrowieniem, o którym mówi się, że posługiwał się nim też Hitler. Rzymianie tak się pozdrawiali, nie tylko starożytni Grecy. I owszem, hitlerowcy także, ale oni nie byli dla nas inspiracją.

Do tego momentu Rupakias pozował na pewnego siebie, kilka razy silił się na dowcip i odpowiadał w sposób prowokacyjny. Nie wykazał skruchy, nie skorzystał z okazji, by publicznie przeprosić rodziców

Fisasa. Jednak podczas kolejnej rundy pytań, które dotyczyły przebiegu morderstwa – stracił pewność siebie i łatwo się irytował. Z jego odpowiedzi wynika, że działał w obronie koniecznej – twierdził, że gdy zjawił się na miejscu, Pawlos od razu ruszył w jego kierunku, prowokował go i szykował się do bójki. Oskarżony – jak mówił – ledwo zdążył chwycić za nóż i otworzyć drzwi samochodu.

Lepenioti: – Czy Fisas, który rzekomo na pana nacierał, miał w ręce kij bejsbolowy albo nóż? Czy zrobił coś, co pana przestraszyło?

Rupakias: – Nie był uzbrojony, ale miał obok siebie trzech kolegów. Nigdy wcześniej nie byłem w podobnej sytuacji, nie wiedziałem, jak się zachować. Przestraszyłem się, bo zobaczyłem, że on zrobił już dwa lub trzy kroki w moim kierunku. Powtarzał: „O co chodzi, o co chodzi?". Co miałem zrobić? Wyszedłem, a Fisas od razu się na mnie rzucił i zaczął mnie okładać pięściami.

Lepenioti: – Fisas rzucił się na pana? Gdzie dokładnie pana bił, w które części ciała?

Rupakias: – Celował w głowę, dlatego podniosłem ręce, o tak, żeby zasłonić twarz. Byłem lekko zgięty i wtedy zadałem ciosy. Pierwszy, drugi, trzeci.

Lepenioti: – Cóż, badał pana lekarz, miał pan obdukcję. Wie pan, jaki był jej wynik? Jakiego wyrażenia użył lekarz, który ją przeprowadził?

Rupakias: – Nie. Nie wiem. On mnie wziął do łazienki, chwycił za głowę i mówi: „Tu nad brwią masz siniaka, a tu niżej, pod okiem, małe zadrapanie". Ale zorientowałem się, że niczego takiego nie zapisał w raporcie. Moja siostra nawet powiedziała: „Dlaczego do cholery nie wzięliśmy własnego medyka?".

Lepenioti: – Co miała na myśli?

Rupakias: – Prywatnego specjalistę, któremu moglibyśmy zlecić obdukcję.

Lepenioti: – Gdzie zadał pan pierwszy cios?

Rupakias: – W nogę.

Lepenioti: – Kiedy człowiek nie ma zamiaru zabić, wybiera taką część ciała, której zranienie nie będzie tragiczne w skutkach. Chce zadać ranę, która osłabi przeciwnika. Jeden cios, jedno dźgnięcie z pewnością wystarczyłoby, by osłabić Fisasa. Dlaczego wykonał pan kolejny cios?

Rupakias: – Mówiłem już. Nigdy nie miałem do czynienia z policją, nie byłem w podobnej sytuacji. Myślałem tylko o tym, żeby wyrwać się z rąk tego człowieka.

Lepenioti: – Chciał się pan wyrwać z rąk mężczyzny, który zdaniem lekarza specjalisty ani razu pana nie uderzył? Pan zranił go w udo, osłabił go pan. Dlaczego pan na tym nie poprzestał, dlaczego zadał pan kolejne ciosy, jeśli pana celem nie było zabić?

Rupakias: – Tłumaczyłem. Nie chciałem go nawet zranić.

Lepenioti: – Jeśli nie chciał go pan zranić, to po co było brać nóż?

Rupakias: – To była pierwsza decyzja.

Lepenioti: – Kolejne dwa ciosy w płuca i serce doprowadziły do śmierci.

Rupakias: – Byłem zgięty, a on był większy i silniejszy. Nie wiem, co ten lekarz nawypisywał. Fisas się na mnie rzucił, a ja straciłem głowę.

Lepenioti: – Tak, ale celować w serce?

Rupakias: – To było zwykłe zabójstwo.

Lepenioti: – Nie może pan tak mówić. Proszę nie stosować wyrażenia „zwykłe zabójstwo”.

Rupakias: – Dobrze, przepraszam. To było zabójstwo, które miało wątek polityczny, politycy zostali wmieszani i zwykłe zabójstwo zamieniło się w wielką historię.

Lepenioti: – Czy to cokolwiek zmienia w kwestii zabójstwa?

Rupakias: – Nie.

Lepenioti: – Dlaczego miał pan nóż w samochodzie?

Rupakias: – Kupiliśmy ten nóż za dwa euro od Pakistańczyka. W sumie mieliśmy trzy. I używaliśmy ich z siostrą do cięcia folii w styropianowych opakowaniach.

Lepenioti: – Czy Fisas umarł od razu, czy żył jeszcze kilka minut?

Rupakias: – Żył. Stał.

Lepenioti: – Czy coś mówił?

Rupakias: – Wydaje mi się, że jego kolega powiedział: „On to zrobił", wskazując na mnie. Wtedy policjant poprosił mnie o prawo jazdy.

Lepenioti: – Policjant zjawił się na miejscu i zażądał od pana prawa jazdy, nie poszedł ratować ofiary?

Rupakias: – Policjantów było czworo. Jeden z nich poprosił o moje prawo jazdy i zapytał, czy nóż należy do mnie. W tym całym zamieszaniu powiedziałem, że nie. Później wsadził mnie do policyjnego samochodu. Nie założył mi kajdanek, nie odebrał telefonu. Pojechaliśmy na komendę.

Sędzia ogłosiła półgodzinną przerwę dla ostudzenia emocji. Fraza o zwykłym zabójstwie rozjuszyła lewą połowę sali – po prawej siedzieli oskarżeni, sympatycy złocistych i ich prawnicy, wyjątkowo poważni, skupieni i spokojni. Po lewej antyfaszyści, dziennikarze, krewni i przyjaciele Fisasa, skatowanych związkowców z PAME,

egipskich rybaków oraz obrońcy wszystkich skarżących. Pierwsza na dziedziniec wybiegła Chrysa Papadopulu, prawniczka Magdy Fisa.

– „Zwykłe zabójstwo”, powiedział, że to było „zwykłe zabójstwo” i że Pawlos pierwszy go zaatakował!

– Kłamca! Kłamca! – skandowali ludzie zgromadzeni przed sądem. Nie mieli nasłuchu na to, co działo się w sali. Musieli czekać na relacje albo śledzić w mediach społecznościowych wpisy aktywistów z Golden Dawn Watch. Młodzi prawnicy, wolontariusze, dwoili się i troili, by notować przebieg obrad jak najszybciej i jak najdokładniej, ale zawsze konieczna była redakcja, więc wpisy pojawiały się z lekkim opóźnieniem.

– Z morderstwa mojego syna chce zrobić „zwykłe zabójstwo” – powiedział poruszony Panajotis Fisas do dziennikarzy, którzy poprosili go o komentarz. – Kłamie w co drugim zdaniu. Nie wiem, dlaczego to robi. Może chce kryć zleceniodawców.

Dimitra Zorzu była wściekła. Ona jedna z ludzi na dziedzińcu widziała dokładnie, co naprawdę się stało, że Pawlos nie atakował Rupakiasa, nie miał powodu; że tamten ruszył na niego niesprowokowany, niczym niezagrożony. Dobrze pamięta premedytację mordercy. Wysiadł z samochodu, trzymając nóż. Inni złociści się rozstąpili, jakby chcieli zrobić Rupakiasowi miejsce do zaplanowanego działania, a wtedy on, bez straty choćby sekundy, bez namysłu zaczął dźgać pobitego chłopaka.

– Nie wytrzymałam, nerwy mi puściły i znowu dostałam ataku paniki – opowiadała mi Dimitra. – Zaczęłam płakać i krzyczeć: „To nieprawda, nieprawda. Widziałam co innego. Wiem, co widziałam! Nie wierzcie temu kłamcy!”. A co ze wspólnikiem Kazandzoglu? Nie ma go w bajkach Rupakiasa, a przecież ja wiem, że on siedział obok

niego, przyjechał z nim na miejsce zbrodni. Zaczęłam się domagać, by strażnicy wpuścili mnie na salę. Krzyczałam, że to moje prawo, jestem świadkiem! I tak jak wcześniej nie chcieli mnie wpuścić, bo nie było wolnych miejsc, tak teraz pozwolili mi wejść. Weszłam i usiadłam tak, żeby Kazandzoglu dobrze mnie widział. On i obrońcy złocistych od razu mnie zauważyli. To dziwne, ale w ogóle się nie bałam. Może wściekłość dodała mi odwagi. Za to Kazandzoglu zbladł na mój widok. Nie żartuję. Widziałam, jak oblewa go strach, i zachciało mi się śmiać! Gdy zeznawałam, próbował mnie zastraszyć, a teraz sam bał się jak dziecko! Rozumiał, że moja obecność przypomina wszystkim, jak było naprawdę, że to, co widziałyśmy z moją przyjaciółką Paraskewi, rozwala ich narrację zbudowaną na kłamstwach. Co zrobił? Zapytał, czy może wyjść do łazienki. Wyszedł i nie wrócił do końca posiedzenia! Miałam tego dnia wielką satysfakcję! O to mi dokładnie chodziło, żeby im pokazać, że my już się nie boimy, za to oni powinni!

Miejsce po lewej stronie galerii zajmował tego dnia także gość specjalny. Na proces przyjechał z Pakistanu. To Hadim Hussein, ojciec Shahzeda Luqmana, którego złociści zabili w styczniu 2013 roku, osiem miesięcy przed Fisasem. Shahzed jechał rowerem do pracy przy rozładunku pomarańczy. Dorwali go dwaj faszyści i zadźgali. Bez powodu. Jego rodzice już wcześniej byli w Atenach. Członkowie Związku Pakistańczyków w Grecji Javeda Aslama zrzucili się na ich bilety lotnicze, gdy w osobnym procesie sądzeni byli mordercy ich syna. Hadim Hussein i Sugran Bibi, jego żona, poznali wtedy Magdę i Panajotisa Fisasów, razem z nimi płakali przed pomnikiem Pawlosa w Kieratsini. Mordercy Luqmana dostali dożywocie, w procesie apelacyjnym zamienione jednak na

dwadzieścia jeden lat więzienia. W uzasadnieniu wyroku napisano, że motywem morderców była nienawiść rasowa – drażnił ich ciemniejszy kolor skóry Shahzeda. Hadim Hussein nie był w stanie tego pojąć. Sam ma skórę jeszcze ciemniejszą niż syn, do tego nosi tradycyjny pakistański strój – szarawary i długą koszulę, a na głowie ma turban. Musi razić „rasę panów" swoim wyglądem, swoją obecnością w sądzie. Żeby kogoś wypatrzeć w wyższych rzędach nie najlepiej oświetlonej amfiteatralnej sali, trzeba się wysilić, ale jego widać od razu, dzięki długiej, siwej brodzie i czerwonemu turbanowi. Cichy, spokojny człowiek. Wrócił do Aten i przyszedł do Efetijo, bo w *megali diki* sądzeni są także mordercy jego syna – tym razem za wstąpienie do organizacji przestępczej.

Po przerwie, gdy Hussein, Panajotis Fisas, Dimitra i cała reszta byli z powrotem na sali, Rupakias zaczął od przeprosin. Trudno ocenić na ile szczerych. Czy zmusili go prawnicy pozostałych oskarżonych, w tym brat samego *archigosa*? Oni pewnie bardziej niż on rozumieli, że cała Grecja usłyszy w wieczornych informacjach o „zwykłym zabójstwie". Usłyszy i się oburzy. Co innego, gdyby ofiarą „zwykłego zabójstwa" znów padł jakiś imigrant, ale tym razem chodziło przecież o Greka.

Rupakias: – Czy mogę coś powiedzieć? Miałem chwilę, żeby zastanowić się nad wyrażeniem, jakiego użyłem, „zwykłe zabójstwo". Miałem na myśli co innego. „Zwykłe" to złe słowo. Chodziło mi o to, że dodano temu zabójstwu wymiar polityczny. Wiele razy powtarzałem, że żałuję tego, co zrobiłem. Chciałbym móc cofnąć czas. To było tragiczne, tragiczne morderstwo.

Lepenioti: – Gdy przyjechał pan na komendę, zadzwonił pan do żony, siostry i Patelisa. Dlaczego chciał pan rozmawiać właśnie

z nim?

Rupakias: – Pierwszy raz znalazłem się w tego typu sytuacji, nigdy wcześniej nie byłem na komendzie głównej. Pomyślałem, że pewnie będę potrzebował adwokata.

Lepenioti: – O pomoc w sprawie adwokata poprosił pan siostrę.

Rupakias: – Dopiero podczas drugiej rozmowy. Wcześniej, gdy do niej dzwoniłem, jeszcze spała. Ale wiedziałem, że niedługo się obudzi, bo jeździ na targ rybny bardzo wcześnie.

Lepenioti: – Dlaczego postanowił pan zadzwonić do Patelisa?

Rupakias: – Ponieważ uznałem, że jako lider komórki partyjnej zna wielu ludzi, dużo osób przewija się przez biuro, że będzie znał kogoś, kto może mi pomóc. Gdy do niego zadzwoniłem, powiedziałem: „Powiedz Lagosowi, żeby mi przysłał prawnika".

Lepenioti: – Dlaczego chciał pan pomocy od Lagosa? Dlaczego najpierw zadzwonił pan do Patelisa i poprosił go, by się skontaktował z posłem Lagosem, który rzekomo nie miał z tą sprawą nic wspólnego? Przecież już wcześniej zlecił pan siostrze znalezienie obrońcy.

Rupakias: – Rozumiem, co pani mówi. Nie pamiętam. Dzwoniłem do Patelisa, do mojej siostry. Patelis znał ludzi, znał posłów.

Lepenioti: – Ale dlaczego jakiś poseł miał się mieszać w to, że pan się z kimś pokłócił i dźgnął tę osobę?

Rupakias: – Ten incydent nie miał absolutnie nic wspólnego ze Złotym Świtem. Żadnego związku.

Lepenioti: – Ale pan właśnie na ten związek wskazuje.

Rupakias: – Dzwoniłem też do mojej siostry.

Lepenioti: – Co dokładnie powiedział pan Patelisowi przez telefon?

Rupakias: – Jorgo, mówię, to ja, Rupakias. Zraniłem faceta, dźgnąłem go. Jestem na komendzie. Nie znam procedury, czy możesz mi znaleźć prawnika? On na to: „Jest OK. Tylko cię sprawdzają". A ja mówię: nie rozumiesz, dźgnąłem kogoś.

Lepenioti: – A w kolejnych rozmowach?

Rupakias: – Chciałem, żeby skontaktował się z Lagosem.

Lepenioti: – Co odpowiedział Patelis?

Rupakias: – „Zamknij się. Oddzwonię". Ale ponieważ długo nie oddzwaniał, ja znów do niego wykręciłem. I on mi mówi: „Nic nie mogę zrobić. Poderżnij sobie gardło".

Lepenioti: – Poderżnij sobie gardło?

Rupakias: – Tak. Znamy się odkąd zapisałem się do partii, bywałem u niego w domu, jedliśmy razem kolacje, piliśmy kawę. Myślałem, że może będzie w stanie mi pomóc.

Lepenioti: – Po takiej prośbie logika nakazywałaby powiedzieć: „Przykro mi, nie mam dla ciebie prawnika", a nie: „Poderżnij sobie gardło".

Rupakias: – Tak mi powiedział i uznałem, że to koniec, dlatego znów zadzwoniłem do siostry.

Gdy przyszła jego kolej, by złożyć wyjaśnienia, Jorgos Patelis z nerwów najpierw teatralnie zemdlał, osunął się z krzesła, został wywieziony na noszach i trafił do szpitala, a nazajutrz, już w lepszej kondycji, zupełnie inaczej przedstawił swoją znajomość z Rupakiasem. W jego opowieści nie było miejsca na wspólne domowe kolacje i kawy. Morderca Fisasa był w jego ocenie kimś w rodzaju chłopca na posyłki, zwykłym członkiem organizacji, zwykłym wyborcą, który czasem pomagał w logistyce. Dlatego mu

powiedział, żeby sobie poderżnął gardło, bo nie chciał mieć z nim – mordercą – nic wspólnego.

Patelis: – Rupakias myślał, że znam prawników, którzy mogliby mu pomóc, ale powiedziałem mu, że nie znam.

Lepenioti: – Dlaczego do pana dzwonił?

Patelis: – Bo wiedział, że jestem szefem partyjnej komórki.

Lepenioti: – Czy to, co zrobił, miało związek z działalnością partii?

Patelis: – Absolutnie nie. Doszło do wielkiej pomyłki. Esemes, którego wysłałem tamtej nocy, dotyczył rozdawania ulotek. Wzywałem chłopaków do biura, bo chciałem, żeby rozwieźli ulotki, ponieważ nazajutrz miał do nas przyjechać sam lider Michaloliakos. To nie był rozkaz do ataku na kogokolwiek. A teraz chce się ze mnie zrobić moralnego podżegacza. Wylądowaliśmy w więzieniu za coś, czego nie zrobiliśmy. Winny jest tylko Rupakias, reszta członków partii nie ma z tym nic wspólnego. A płacimy za to wszyscy. Ja sam mam małe dziecko. Nikt z nas nie chciał śmierci Fisasa. Nikt nie miał prawa odebrać mu życia. Moje sumienie jest czyste.

Choć był szefem partyjnej komórki i za swą pracę dostawał pensję wynoszącą osiemset euro miesięcznie, choć zwalniał ludzi i zatrudniał, rozdzielał obowiązki, wysyłał brygady uderzeniowe do ataków na partyjnych wrogów, choć wygłaszał mowy pochwalne na cześć wodza i ideologiczne pogadanki na temat nazizmu, w sądzie przedstawiał całą tę swą działalność jako niepoważną zabawę.

Obóz szkoleniowy?

Patelis: – Przepraszam, że się śmieję. Ale widziała sędzia zdjęcia znad Nedy, większość z nas to grubasy z wielkimi brzuchami. Nie byliśmy w stanie walczyć. Dla żartów udawaliśmy, że uczymy się boksować.

Flaga z meandrem?

Patelis: – Nie mam nic wspólnego z nazizmem. Ktoś przywiózł ją na obóz. Śmiałem się z niej.

Odbieranie przysięgi?

Patelis: – Takie żarty. Podobała nam się przysięga dawnych Ateńczyków i nic więcej.

Hajlowanie?

Patelis: – Przecież to greckie pozdrowienie. Metaksas[79] wykonywał ten gest. Inni też, w tym Hitler, ale dla mnie inspiracją byli starożytni Grecy.

Film, na którym mówi: „Wszystko, co się rusza, będzie zarżnięte”?

Patelis: – No tak, powiedziałem, ale to była figura retoryczna.

Na jednym z kolejnych posiedzeń sędzia Lepenioti wróciła do zachowania policjanta, który jako pierwszy znalazł się na miejscu zbrodni i zamiast próbować pomóc umierającemu Fisasowi, podszedł do Rupakiasa i poprosił go o prawo jazdy. Policjant nazywa się Anastasios Tsolakidis i tamtego wieczora dowodził ośmioosobowym oddziałem policji zmotoryzowanej DIAS. Gdy przybył do Kieratsini, zobaczył liczną grupę około czterdziestu mężczyzn ubranych w czarne koszulki, krzyczących, przeklinających, uzbrojonych w różne przedmioty. Jak twierdził – nie wiedział, że to byli złociści. Wszyscy jego podwładni już wcześniej zdążyli zeznać, że rozpoznali w napastnikach członków Złotego Świtu, on jeden nie rozpoznał.

Tsolakidis: – Zaczęli biec w naszą stronę, mijali nas, ale nie skandowali żadnych partyjnych okrzyków.

Lepenioti: – Czy zatrzymał pan chociaż jednego z nich?

Tsolakidis: – Biegliśmy za nimi, goniliśmy ich.

Lepenioti: – Nie mógł pan złapać choćby jednego z nich?

Tsolakidis: – To było niemożliwe.

Lepenioti: – Dlaczego? Mija was dwadzieścia osób, a wy nie możecie zatrzymać jednej?

Tsolakidis: – Szybko biegli.

Lepenioti: – A wy szliście wolno. Myśleliście, że zawrócą?

Tsolakidis: – Krzyczeliśmy: Policja!

Lepenioti: – Czy na kogoś to podziałało, ktoś się zatrzymał?

Tsolakidis: – Nie.

Lepenioti: – Zignorowali was?

Tsolakidis: – Jakby nas tam w ogóle nie było. Nie istnieliśmy dla nich.

Lepenioti: – Bał się pan?

Tsolakidis: – Nie. Ale działaliśmy w panice. Po drugiej stronie drogi, na chodniku widziałem bójkę, brały w niej udział cztery albo pięć osób. Pobiegłem tam szybko.

Lepenioti: – Dziwne, że żaden z was nie był w stanie zatrzymać choćby jednego z nich. Może jednak nie biegliście, tylko powoli szliście?

Tsolakidis: – Zobaczyłem wysokiego chłopaka, to był Fisas. Krzyczał, że został dźgnięty. I wskazywał sprawcę. Pozostali, którzy tam byli chwilę wcześniej, zdążyli się ulotnić.

Lepenioti: – Ich też nie złapaliście? Nikogo z nich?

Tsolakidis: – Uciekli i nie daliśmy rady ich zatrzymać. Zobaczyłem Rupakiasa w samochodzie, pobiegłem do niego z szybkością błyskawicy.

Ludzie na sądowej galerii parskają śmiechem w reakcji na opis sprawności ruchowej policjanta – od Rupakiasa dzieliło go przecież

ledwie kilka kroków. Sędzia Lepenioti apeluje o spokój i wyprasza z sali jedną osobę.

Tsolakidis: – Zapytałem go, co robi, a on odpowiedział, że nic. Był spokojny. Spojrzałem na Fisasa i on potwierdził, że to właśnie Rupakias go dźgnął. Więc znów mówię do niego: „Co zrobiłeś?". A on odpowiada: „Nic, ja tylko tędy przechodziłem". Poprosiłem go wtedy o prawo jazdy i dowód rejestracyjny. Był dziwnie spokojny, ludzie w takich sytuacjach się denerwują, mają przyspieszony puls, on nie miał. Pocą się, on się nie pocił.

Lepenioti: – Z perspektywy czasu, co mógł pan zrobić, żeby nie dopuścić do morderstwa?

Tsolakidis: – Zrobiliśmy, co mogliśmy. Wszystko działo się bardzo szybko.

Lepenioti: – Nie zapobiegliście morderstwu.

Tsolakidis: – To bardzo przykra sprawa, ale nasze działanie było wzorowe. Niczego bym w nim nie zmienił.

Lepenioti: – Wasze działanie nie zapobiegło tragedii. A o to w nim powinno chodzić. Było was ośmioro, a nie zatrzymaliście choćby jednego napastnika. Jak ludzie mają wam ufać? Czy mogą się czuć bezpiecznie?

Tsolakidis: – Tak.

Lepenioti: – Niby dlaczego? Aresztował pan człowieka siedzącego w samochodzie, którego wskazała panu ofiara napaści. Zrobił pan tylko tyle i nic więcej.

●

Po raz drugi butelka z wodą poszła w ruch, gdy w sądzie zeznawał Chrysowalantis Aleksopulos, były poseł Złotego Świtu. Wypisał się z partii zszokowany, jak twierdził, przemocą w wykonaniu partyjnych kolegów ekstremistów. List do marszałka parlamentu, w którym oświadczał, że kadencję dokończy jako poseł niezrzeszony, wysłał jednak dopiero w marcu 2014 roku, a więc pół roku po zabiciu Fisasa, ponad rok po zamordowaniu Luqmana, prawie trzy lata od antyimigranckich pogromów, gdy coraz głośniej mówiło się o tym, że cała parlamentarna reprezentacja złocistych może być oskarżona z paragrafu 187 kodeksu karnego o kierowanie organizacją przestępczą lub członkostwo w niej, i gdy do parlamentu wpłynął już wniosek o uchylenie immunitetu wszystkim osiemnaściorgu posłom. Zdradzeni koledzy nazwali go Judaszem i oszczercą, zapowiadali zemstę.

Lepenioti: – Zna pan zarzuty, jakie na panu ciążą. Co pan o nich myśli?

Aleksopulos: – Jestem niewinny, nie byłem w nic zaangażowany. Nic na mnie nie ma, nic a nic. Mam czystą kartotekę.

Do Złotego Świtu zapisał się, bo uważa się za patriotę i ciekawiły go artykuły w partyjnej gazecie. To z niej czerpał wiedzę na temat organizacji, nie ze znajomości z innymi członkami, nie z partyjnej działalności. Z gazety. Nie pamięta, czy czytał pean Kasidiarisa na cześć Hitlera zamieszczony z okazji rocznicy urodzin zbrodniarza. Nie pamięta, czy zna jego tekst o taktyce działań w parlamencie, zakładającej przemoc podobną do tej, jaką złociści uskuteczniali wobec imigrantów z Ajios Pandelejmonas.

Oskarżony nie uważa się za rasistę, a jedynie za patriotę. Mówi, że obchodzi go Grecja i greckie dzieci. Nie chińskie, nie pakistańskie,

tylko greckie.

Magda Fisa krzyczy z galerii: – Obchodzą was greckie dzieci? A jakoś moje dziecko zabiliście!

Lepenioti znów ogłasza przerwę. Fisa idzie na papierosa. W jednej ręce trzyma kubek z kawą, w drugiej butelkę z wodą. Gdy Aleksopulos wychodzi na dziedziniec, kobieta nie waha się ani sekundy. Nie wierzy w kłamstwa byłego posła, w jego sumienie i niewinność. Jest wobec nich bezradna. Dobrze wiedział, do jakiej organizacji należy. Wypisał się tylko dlatego, że bał się więzienia.

Butelka leci w kierunku byłego posła, trafia go w plecy. Aleksopulos nie reaguje. Po przerwie któryś z prawników złocistych poprosił o głos i opisał oburzające zdarzenie.

Lepenioti wytłumaczyła, że jeśli do incydentu doszło poza budynkiem sądu, ma związane ręce.

●

Były poseł Aleksopulos, choć rozłamowiec, występował w sądzie przede wszystkim jako jeden z sześćdziesięciu ośmiu oskarżonych. Potępił przemoc, którą przypisywał przedstawicielom partyjnych dołów, za to wziął w obronę i kolegę Kasidiarisa, i samego wodza. Pozostali rozłamowcy nie zostawili na nich suchej nitki. Ich zeznania pogrążyły partię.

Pierwszy wystąpił Ilijas Stawru, młody prawnik z niewielkiej Werii na północy Grecji. Studiował w Salonikach i tam nawiązał współpracę ze złocistymi w lutym 2005 roku. Roznosił ulotki i przychodził do biura słuchać wykładów. Członkiem partii został dopiero sześć lat później, po tym, jak złożył przysięgę – o świcie

w dniu przesilenia zimowego, stojąc na szczycie góry Falakro, patrząc na powiewający baner ze swastyką i śpiewając jedną z nazistowskich pieśni. Od tej pory jeździł na partyjne wiece i wygłaszał przemówienia.

Lepenioti: – Czy odnosił się pan w nich do przemocy?

Stawru: – Tak, do legalnej przemocy. Mówiłem, że trzeba obsiać granice minami, że trzeba dać rozkaz zatapiania imigranckich łodzi, że wszystko to zrobimy, jak przejmiemy władzę. My, czyli państwo. Państwo usankcjonuje przemoc w formie przepisów prawa. Ja sam nie musiałem brać udziału w aktach przemocy – jako prawnik wręcz nie mogłem i akurat ode mnie nikt tego nie oczekiwał. To była dla mnie wygodna pozycja.

Inteligentny i rzutki Stawru szybko zwrócił uwagę samego wodza, który zaoferował mu miejsce na partyjnych listach w wyborach do parlamentu w 2012 roku.

Lepenioti: – O czym mówił pan w czasie kampanii?

Stawru: – To były zwykłe polityczne przemówienia. Trwał kryzys gospodarczy, mówiłem, że jestem przeciwko pakietom pomocowym i cięciom, o imigrantach, że trzeba ich topić w morzu albo deportować, o narodowym socjalizmie, choć według partyjnej linii powinniśmy używać terminu nacjonalizm. Ale jeśli komuś się wymsknie, to nie dostanie po głowie.

Świadek nie zdobył mandatu, za to dostał pracę jako doradca jednego z nowych posłów: pisał mu przemówienia, odpowiadał na pytania wyborców, składał interpelacje. Był w centrum wydarzeń i, jak twierdził, powoli zaczynał rozumieć, z kim naprawdę ma do czynienia. W telewizji widział, co jego koledzy wyprawiają na placu Ajios Pandelejmonas, widział zdjęcia pobitych egipskich rybaków,

a kilka dni później od jednego z posłów usłyszał „spuściliśmy im wpierdol”, wypowiedziane radosnym tonem. Dziwiło go, że posłowie nie tylko nie potępiają aktów indywidualnej przemocy, ale im przyklaskują.

Stawru: – Zrozumiałem, że to nie są pojedyncze wybryki, że partyjna wierchuszka wie o nich i w nich uczestniczy.

Lepenioti: – Zrozumiał to pan po ośmiu latach?

Stawru: – Tak.

Lepenioti: – Co pan z tym zrobił?

Stawru: – Nie było tak, że jednego dnia się obudziłem i stwierdziłem: wypisuję się. Zacząłem się dystansować, odmawiałem wygłaszania przemówień. Ostatni raz przemawiałem w Anawyssos w maju dwa tysiące trzynastego roku.

Lepenioti: – O czym pan wtedy mówił?

Stawru: – O wyższości greckiej rasy względem innych, szczególnie względem Żydów. Typowe antysemickie wystąpienie. Mówiłem o tym, jak narodowy socjalizm ukrywa się pod płaszczykiem nacjonalizmu, i o imigrantach. Kilka dni później pojechałem do rodzinnego miasta, bo moja matka miała zawał. Koledzy się wtedy dziwili, mówili: „Stary, przecież to są idioci, debile, czemu się z nimi zadajesz?”. Uznałem, że jeśli nie wystąpię z partii, moja prawnicza kariera w Werii będzie zagrożona. Podjąłem decyzję i wysłałem list do wodza. Odpowiedziała mi jego córka Urania: „Nie przyjmujemy twojej rezygnacji”. Odebrałem matkę ze szpitala, znalazłem dla niej kobietę do opieki i pojechałem rozeznać się do Aten. Wtedy zaczęły się groźby: „To niemądre występować z partii”, „Uważaj, wypadki chodzą po ludziach”, „Ty chuju, jesteś skończony”. Koledzy

wydzwaniali do mojej chorej matki i żony, która była w ciąży, z przekleństwami i groźbami.

Lepenioti: – Jak by pan opisał ideologiczny charakter Złotego Świtu?

Stawru: – Narodowy socjalizm, czyli nazizm, bez cienia wątpliwości.

Lepenioti: – Co o tym świadczy?

Stawru: – Chociażby artykuły w ich prasie, szczególnie w starszych numerach partyjnej gazety – gdy na okładkę dali zdjęcie Rudolfa Hessa albo czaszkę dywizji pancernej SS Totenkopf.

Lepenioti: – Czy później partia odcinała się od inspiracji nazistowskich?

Stawru: – Nie. Żeby nie zniechęcać wyborców, ukrywała je – choć celowo niezbyt skutecznie. Na okładce gazety z dwa tysiące siódmego roku widzimy hajlujących ludzi. Ciągle słyszeliśmy antysemickie hasła z ust partyjnych działaczy, a sam Kasidiaris w parlamencie cytował *Protokoły Mędrców Syjonu*.

Lepenioti: – Co jeszcze wyczytał pan w partyjnych dokumentach?

Stawru: – Że naszym celem jest system jednopartyjny i obalenie parlamentaryzmu, że przemoc należy stosować, ale publicznie się do niej nie przyznawać.

Lepenioti: – Przemoc przeciwko komu?

Stawru: – Przeciwko naszym wrogom, przeciwko przedstawicielom innych ras i rasowym mieszańcom, przeciwko anarchistom. Tylko z Albańczykami nie mieliśmy problemu, bo złociści zaliczają ich do białej rasy.

Lepenioti: – Sprawa egipskich rybaków, pobicie związkowców z PAME, zabicie Fisasa. Co pan o tym wiedział?

Stawru: – Nic. Nie brałem w tych akcjach udziału. Ale sądzę, że nie wydarzyłyby się bez zgody z samej góry. W partii, która działa jak armia, nic się nie dzieje bez rozkazu albo zgody. Jeśli Michaloliakos mówi: „Bijcie!", będą bili.

Lepenioti: – Czy atakujący przechodzili szkolenia?

Stawru: – W partii nie mówiło się o brygadach uderzeniowych, tylko o dzielnicowych batalionach bezpieczeństwa, z Pireusu, z Nikei, Peramy. Oczywiście to tylko gra słów. Żeby zostać członkiem batalionu bezpieczeństwa, czyli brygady uderzeniowej, trzeba było godzić się na przemoc. Taki ktoś musi stawiać interes partii ponad własny, ponad możliwość konsekwencji karnych wobec własnej osoby. Oni są specjalnie dobierani pod tym właśnie kątem. Czy są szkoleni? Tak słyszałem, ale sam nie chciałem brać w tych szkoleniach udziału.

Lepenioti: – Co pan wie na temat relacji Złotego Świtu z kościołem?

Stawru: – Gdy zapisałem się do partii, dostałem książeczkę, w której było napisane, że narodowy socjalizm odrzuca chrześcijaństwo, nie pasuje nam idea nadstawiania drugiego policzka. W nazistowskich Niemczech też trzymano się z dala od Kościoła. Poseł Jermenis w jednej ze swych piosenek śpiewał: „Jebać Chrystusa, jebać prostytutkę Maryję, do licha ze zgniłym Kościołem", a później szedł na mszę, klękał i robił znak krzyża. Mieliśmy utrzymywać pozytywne relacje z ludźmi Kościoła, z metropolitami, którzy wyrażali wobec nas sympatię.

Lepenioti: – Hajlowanie?

Stawru: – Zawsze się tak pozdrawiają. Nowym tłumaczyli, że to gest wzięty od Metaksasa, ale Złoty Świt nie szanuje Metaksasa,

wychwalają go tylko dlatego, żeby zebrać głosy od prawicy. Naszą religią był narodowy socjalizm. Kiedy hajlowaliśmy, nie myśleliśmy o Metaksasie czy Arystotelesie, myśleliśmy o Hitlerze. W rocznicę jego urodzin wspólnie jedliśmy tort.

Lepenioti: – Jak opisałby pan pozycję lidera?

Stawru: – Najważniejsza osoba w partii. Osoba nadrzędna, która wszystkiemu nadaje bieg. Jest jak Führer w teorii Carla Schmidta – zawsze ma rację i jest źródłem prawa. Wódz jest nienaruszalny, a przez to nabiera wymiaru metafizycznego, on jest wyrazicielem woli narodu, jest narodem. Rudolf Hess mawiał, że partia to Hitler i że Niemcy to Hitler. U nas jest podobnie. Nie jest w naszych oczach liderem ktoś taki jak obecny premier Mitsotakis. Złoty Świt nie jest partią skrajnie prawicową, ani nawet neonazistowską. To partia nazistowska. Nie wstąpiłbym do niej, gdybym miał obawy, że jej charakter jest inny. Nikt nie protestował, gdy to mówiłem w czasie partyjnych wystąpień – nagrania z nich miesiącami wisiały na stronie złocistych. Ale gdy tylko wystąpiłem z partii, podawano te moje przemowy jako dowód na chorobę psychiczną. To oczywista próba zdyskredytowania mnie.

Gdy Stawru zeznawał, na sali rozpraw nie było nikogo z oskarżonych.

●

Dwa tygodnie później przyszła kolej na świadków koronnych – byłych partyjnych działaczy, którzy zgodzili się ujawnić niewygodne dla złocistych informacje w zamian za ochronę. Impulsem dla całej piątki było zabicie Pawlosa Fisasa. Gdy tylko śledztwo ruszyło,

jesienią 2013 roku, świadkowie dobrowolnie udali się do sędzi śledczych Klapy i Dimitropulu, przyznali, że byli członkami partii, że się z niej wypisali i teraz oferują cenne zeznania. Ich rewelacje znalazły się w akcie oskarżenia, dlatego prawnicy złocistych – zajmujący prawe skrzydło sali – dwoili się i troili, by nie dopuścić ich do udziału w procesie. Najpierw zastraszali. Twierdzili, że znają ich nazwiska i w każdej chwili mogą je ujawnić. Później oczerniali: świadek koronny A molestował własne dziecko, świadek B to narkomanka, świadek C jest chory psychicznie, świadek D jest niewiarygodny, bo ma na koncie wyrok i siedział w więzieniu, świadek E to była prostytutka[80]. Później twierdzili, że jeśli A, B, C, D i E mają zeznawać, to niech to zrobią osobiście w sądzie i niech Grecy poznają ich tożsamość. Niespodziewanie wsparła ich prokuratorka. Adamantia Ikonomu tłumaczyła, że „inni świadkowie nie byli zastraszani, choćby Elias Stawru – przecież sam przyznał, że odkąd odszedł ze Złotego Świtu, byli koledzy nie robili mu żadnych problemów, nie dręczyli jego rodziny". Było dokładnie odwrotnie – Stawru zeznał, że wielokrotnie był zastraszany, podobnie jego matka i żona. Prawnicy skarżących, ci z lewej strony sali, także chcieli fizycznej obecności świadków koronnych w Efetijo, ale pod warunkiem, że dostaną odpowiednią ochronę, a ich dane osobowe nie zostaną ujawnione. Tanasis Kambajannis, obrońca egipskich rybaków, podzielał obawy świadków co do możliwej zemsty, mówił, że dzika przemoc to składnik DNA złocistych, ale jednocześnie tłumaczył, że nie zgadza się, by byli członkowie partii, którzy sami mają na sumieniu różne przewiny, choć doznali oświecenia i działają teraz przeciwko neofaszystom, byli traktowani na równo z ofiarami złocistych[81]. Ostatecznie sędzia Lepenioti i jej dwoje pomocników

oddalili wniosek oskarżonych i Ikonomu i uznali, że A, B, C, D i E będą zeznawać z bezpiecznego miejsca poza sądem, przez łącze audio, a ich głosy będą zniekształcone. Wobec tego Kambajannis i reszta prawników z lewej strony sali oświadczyli, że rezygnują z możliwości zadawania pytań.

Świadek koronny A był przerażony. Choć siedział w bezpiecznym miejscu, słychać było jego łamiący się głos, momentami szloch. Jako jedyny przeprosił Magdę Fisa, która była tego dnia w sądzie i w skupieniu słuchała zeznań. Dodał, że poznał jej syna i że Pawlos był dżentelmenem. Przyznał też, że Złoty Świt od dawna miał go na celowniku.

Członkiem partii A był półtora roku. Brał udział w szkoleniach, które odbywały się w górach na terenie przylegającym do jednostki wojskowej. Ćwiczenia sprawnościowe i z użycia różnego rodzaju broni prowadził emerytowany pułkownik albo sam Ilijas Kasidiaris.

A: – Rupakias pozował na ważniaka, pchał się, żeby nas szkolić. Nie był zwyczajnym sympatykiem i nowicjuszem, jak reszta z nas na tamtym wyjeździe w górach Parnitha. Był funkcyjny, jak równy z równym rozmawiał z Patelisem. Szkolili nas z wytrzymałości, z odporności na ból.

Bywało, że A dostawał wiadomości z pilnym wezwaniem do stawienia się do akcji. Kilka razy się stawił i atakował imigrantów, głównie Pakistańczyków.

A: – Te ataki nigdy nie były przypadkowe. Były dokładnie zaplanowane. Czuwał nad tym Lagos, który z kolei odpowiadał przed Michaloliakosem. Nie podobała mi się ta taktyka nienawiści wobec imigrantów ani to, że w partyjnych biurach w Pireusie, Peramie i Nikei w kątach leżały noże, sztylety, kije bejsbolowe i inna broń.

Sam tylko Patelis miał na własność dwa rewolwery. Wystąpiłem z partii, bo nie chciałem zostać mordercą. Później były telefony z pogróżkami, więc dwa razy zmieniałem numer. Wreszcie musiałem się przeprowadzić.

Świadek B wstąpiła do partii wiosną 2012 roku, w środku brutalnej kampanii wyborczej i w epicentrum najpoważniejszego od dziesięcioleci kryzysu gospodarczego. Rząd – jakby w amoku, jakby siekierą – ciął pensje, emerytury, zasiłki, wydatki na szpitale czy szkoły. Ludzie biednieli z tygodnia na tydzień, z dnia na dzień. Od polityków słyszeli, że inaczej się nie da, inaczej państwo zbankrutuje. Tylko neofaszyści obiecywali, że zamienią ten burdel w porządek. B była zafascynowana. Na Facebooku zobaczyła wezwanie do udziału w kontrmarszu przeciwko zapowiedzianemu protestowi Pakistańczyków.

B: – Zebrało się tam dwieście, może trzysta osób, czekaliśmy kilka godzin, ale Pakistańczycy nigdy nie przyszli.

Tego samego dnia B poszła do lokalnego biura, zapłaciła dwadzieścia euro wpisowego, pokazała grecki dowód tożsamości i z rąk Patelisa dostała partyjną legitymację. Zaczęła wyjeżdżać na weekendowe szkolenia, pomagała organizować akcje rozdawania biednym Grekom makaronu i oliwy, robiła notatki na partyjnych masówkach. Z wykładu Janisa Lagosa wynotowała, że Holocaust nigdy się nie wydarzył i że partia ma plan wypędzenia z kraju wszystkich „podludzi". A gdy podczas innej pogadanki wytknęła Patelisowi nieścisłości w jego historycznym wywodzie, usłyszała, że ma podejść – podeszła, że ma się schylić – schyliła się, po czym dostała silnego kopniaka w żebra. Innym razem kazał jej przy wszystkich zrobić dwadzieścia pompek. B pamięta też, jak w jej

obecności Patelis kopnął ciężarną imigrantkę. Najbardziej Patelis rozczarował ją jednak tym, że ubrania zbierane niby to na potrzeby biednych Greków sprzedawał we współpracy z pakistańskimi handlarzami.

B chodziło głównie o Pakistańczyków. Nie lubiła ich i się ich bała. Nadal uważa, że kradną ludziom pracę i nie przestrzegają prawa – gwałcą, zabijają. Gdy w ramach partyjnej akcji jechała ich bić, zawsze miała przy sobie składany nóż i pistolet, choć zwykle wystarczały uderzenia metalowymi pałkami sprzedawane z pędzącego motoru albo kopniaki. B widziała, jak jej kolega kopie w głowę leżącego imigranta, jakby wykonywał rzuty karne – z rozbiegu i z wielką mocą. Wypisała się z partii, bo ataki na Pakistańczyków stały się zbyt brutalne nawet jak na jej standardy. Zasztyletowanie Shehzada Luqmana dało jej do myślenia. Ale przeważyło dopiero zamordowanie Fisasa. B nie mogła się pogodzić z tym, że jej partia zabiła Greka, nieimigranta. Była przekonana, że morderca nie działał z własnej woli. Według niej musiał dostać rozkaz od kogoś wyżej.

Dla świadka koronnego C narodowość imigranta nie miała znaczenia. Wystarczyło, że człowiek miał ciemniejszą skórę i automatycznie stawał się celem ataków. C brał udział w kilkudziesięciu pobiciach, pierwsze pamięta bardzo dokładnie.

C: – Poszliśmy nocą na plac Metaxurgio. Znaleźliśmy imigranta i gdy do niego podeszliśmy, uderzyłem go w twarz, a miałem na ręce kastet. Kumple się śmiali i mówili: dobra robota, młody, będą z ciebie ludzie.

C wstąpił do partii w wieku szesnastu lat. Niedługo później przeszedł obowiązkowe treningi oraz szkolenia z obsługi broni, w tym

pistoletów, ładunków wybuchowych i noży.

C: – Uczyli mnie, że żeby zabić, trzeba celować prosto w serce.

Następnie C został dopuszczony do bardziej wyrafinowanych operacji – do napadów nie na pojedyncze ofiary, ale na całe grupy. Na przykład na pracowników stacji benzynowej. Bojówkarze pobili zatrudnionych tam imigrantów, a greckiemu właścicielowi grozili, żeby pogonił tych Pakistańczyków, bo inaczej też dostanie wpierdol.

C nikomu nie powiedział, że się wypisuje. Po prostu przestał przychodzić na spotkania, zmienił numer telefonu, przeprowadził się do innej dzielnicy. Zniknął z radaru, bo panicznie bał się, że skończy jak zamordowany raper. Zeznał, że wzruszył go widok Magdy Fisa w żałobie. Przyznał też, że zna Rupakiasa, że gdy mężczyzna zapisał się do partii, był spokojnym, ciężko pracującym ojcem i mężem. Jednak w ciągu sześciu miesięcy zmienił się nie do poznania. C dodał, że Rupakias dobrze wiedział, kim jest Fisas, bo razem oglądali w internecie filmiki z jego koncertów i telewizyjne wywiady z nim. Oskarżony wiedział, kogo zabija.

D wstąpił do partii w 2006 roku. Często brał udział w atakach na partyjnych wrogów, a pomniejsze nawet sam prowokował, jak wówczas, gdy z kolegami pobili znanego w Kieratsini komunistę. W Koryncie pomagał polować na Pakistańczyków w operacji, którą dowodził były poseł Statis Bukuras. Bukuras tłumaczył młodym chłopcom, siedemnasto- i osiemnastolatkom, którzy również uczestniczyli w ataku, że skoro sparaliżowane państwo nie może deportować imigrantów, sami obywatele muszą utrudnić im życie. Złociści, w tym D, rzucili się w pogoń za grupą Pakistańczyków i spowodowali, że czterech z nich wpadło do morza. D zaświadcza, że przed śmiercią Fisasa jego nazwisko pojawiało się w rozmowach

w partyjnym biurze w dzielnicy Nikea – rozmawiali między innymi Patelis, Kazandzoglu i Rupakias. Zabicie rapera zdecydowało, że D wystąpił z partii. Więcej nawet – zdenazyfikował się i zaczął czytać zupełnie inne teksty, w tym pisma Lenina.

E pracowała w charakterze sekretarki w jednym z partyjnych biur, prowadziła księgę wejść i wyjść, odbierała telefony. Raz zadzwonił jeden z posłów i poprosił E, by przekazała Kasidiarisowi, że musi odwołać rzeźnickie szkolenie.

E: – Tak powiedział: rzeźnickie szkolenie. Chodziło o wyjazdowe lekcje z obsługi broni, w tym przede wszystkim noży. Słyszałam, że uczyli celować w tętnice.

Zanim stała się posiadaczką partyjnej legitymacji, E przeszła obowiązkowe szkolenie ideologiczne. Dostała do przeczytania stare numery gazety „Złoty Świt", *Mein Kampf* i kilka książek Michaloliakosa. Bicie imigrantów było uważane za obowiązek, więcej nawet – za rozkaz od samego wodza. E nie mogła liczyć na wyjątkowe traktowanie. W 2009 roku Kasidiaris kazał jej wziąć udział w ataku przeciwko imigrantom, którzy mieszkali na squacie niedaleko placu Omonia. Dał jej pałki, motocyklowe kaski i kilku młodych złocistych pod opiekę. Wywiązała się straszna awantura, w ruch poszły fragmenty zrywanej marmurowej posadzki i złociści musieli się wycofać.

E: – Rzucaliśmy w ich kierunku race, słyszałam straszne krzyki, widziałam krew. Imigranci zasłaniali dziury w oknach materacami.

To był dla niej początek końca. Od 2010 roku E stopniowo rezygnowała z partyjnej działalności, wymawiała się pracą. Do dziś boi się zemsty, boi się, że złociści połamią jej nogi, że ją zabiją.

E: – Od nich nie można się po prostu wypisać, od nich nie ma ucieczki.

●

Jakby tego było mało, z silnymi dowodami przeciwko oskarżonym wystąpił jeszcze jeden świadek, którego reputacji i wiarygodności złociści nie mogli podważyć, choć próbowali. Był nim dziennikarz Dimitris Psaras, nemezis Michaloliakosa. Przyjazny, z siwą brodą świętego mikołaja.

Kiedy poznaliśmy się w Efetijo w oczekiwaniu na rozprawę apelacyjną Aleksa Lazarisa, którego złocisty nazwiskiem Zerwas skatował wiosną 2017 roku, umówiliśmy się na rozmowę w redakcji gazety „Efimerida ton Syntakton". Dziennik powstał na gruzach „Elefterotypiji", która ukazywała się od upadku junty w połowie lat siedemdziesiątych, ale nie wytrzymała starcia z kryzysem gospodarczym i w 2012 roku zbankrutowała. „Efsyn" jest dziennikarską spółdzielnią – wszyscy pracownicy dostają takie samo wynagrodzenie, poza redaktorem naczelnym, który pensji nie pobiera. Redakcja mieści się w centrum Aten, przy ulicy Kolokotronisa. Z gabinetu na szóstym, najwyższym piętrze budynku jak na dłoni widać Akropol. Właśnie tam rozmawiamy. Psaras zamiast dwutlenku węgla wydycha spokój – jest skupiony, wyważony, mówi wolno, nie marnuje słów.

Na temat Złotego Świtu wydał trzy książki – ostatnia to biografia Michaloliakosa pod tytułem *Wódz*. Dziennikarz zna go jak mało kto, choć nigdy z nim nie rozmawiał. „Szkoda czasu na rozmowy

z nazistami” – odpowie w sądzie, gdy prawnicy złocistych zapytają go, dlaczego nie starał się o wywiady z oskarżonymi.

Z Michaloliakosem nigdy nie rozmawiał, ale raz, blisko pół wieku temu, prawie oberwał od niego kamieniem. Był rok 1973, na ateńskiej politechnice trwały protesty przeciwko juncie „czarnych pułkowników”, którzy sześć lat wcześniej przeprowadzili zamach stanu, niby to chcąc uniknąć rewolucji, czystek w armii i rządów lewicy. Gdy przejęli władzę, zawiesili konstytucję, zdelegalizowali partie polityczne, wprowadzili totalny obyczajowy, kulturowy i prawny zamordyzm. W 1973 roku Psaras uczestniczył w studenckim strajku okupacyjnym. Junta wysłała na kampus wojsko i policję. Mundurowi zamknęli studentów w kotle. Zginęło kilkanaście osób. Przyszły reporter, student architektury, zdołał uciec w ostatniej chwili, ale wcześniej obserwował, jak członkowie młodzieżówki skrajnie prawicowej Partii 4 Sierpnia (K4A, chwalącej przedwojennego, faszyzującego dyktatora Janisa Metaksasa) chowają się za policjantami i rzucają w stronę strajkujących kamienie. Wśród nich był młody Michaloliakos, student matematyki na ateńskim uniwersytecie[82]. Junta upadła rok później.

Minie piętnaście lat, zanim ścieżki młodego reportera, który porzucił wyuczony zawód i młodego polityka, który nigdy studiów nie ukończył, znów się skrzyżują. W tym czasie Psaras zakładał i prowadził magazyn reporterski „Scholiastis”, zaś Michaloliakos wziął się za terroryzm. Latem 1978 roku współorganizował serię zamachów bombowych – tylko jednej nocy Atenami wstrząsnęło aż trzynaście eksplozji. Głównym celem ataków były dwa kina: Elli i Rex, w których wyświetlano radzieckie filmy. Ponad trzydzieści osób zostało rannych, z czego trzy ciężko. Policja złapała dziewięciu

terrorystów, w tym Michaloliakosa. Przyszły *archigos* został skazany na trzynaście miesięcy więzienia, ale sąd apelacyjny zredukował wymiar kary do czterdziestu dni. Wkrótce Michaloliakos założył pismo „Nowy Świt", w którym publikował artykuły chwalące Hitlera, jego prawą rękę Rudolfa Hessa, teoretyka nazizmu Alfreda Rossenberga, nazistowskiego sędziego-kata Rolanda Freislera i belgijskiego kolaboranta, pułkownika w służbie SS Leona Degrelle'a. Felietonistą magazynu został przyjaciel Michaloliakosa, Christos Pappas z Joaniny. Jego ojciec był wojskowym i zaufanym człowiekiem jednego z liderów junty, pułkownika Papadopulosa. Z tym ostatnim Michaloliakos poznał się za kratami więzienia Korydallos, gdzie były dyktator trafił skazany na karę śmierci, zamienioną później na dożywocie. Młodzi neonaziści darzyli go wielkim szacunkiem nie tylko za antypaństwowy przewrót, jakiego dokonał, ale także za wcześniejsze „osiągnięcia" – w tym służbę w hitlerowskich Batalionach Bezpieczeństwa, które powołano w czasie okupacji Grecji. Członkowie Batalionów przysięgali wierność Hitlerowi. Ich zadaniem było konfiskowanie żywności na terenach wiejskich na potrzeby władz okupacyjnych i walka z lewicowym ruchem oporu. Byli siepaczami, którzy nie wahali się mordować cywilów podejrzewanych o współpracę z partyzantami. Z więzienia, wspomagany przez przyjaciół, w tym brata Michaloliakosa, Takisa, Papadopulos założył faszyzującą partię EPON. Takis Michaloliakos, który teraz, wraz z synami broni złocistych w procesie w Efetijo, w 1984 roku wychodził Nikosowi u dyktatora przywództwo partyjnej młodzieżówki. Rok później Michaloliakos zrezygnował z członkostwa w EPON-ie, który jego zdaniem stał się partią nazbyt „prożydowską". Wrócił do drukowania gazety i powołał do życia własną partię:

Ludowy Związek Złoty Świt, znaną jako Złoty Świt. W tamtych czasach złociści nie byli szczególnie aktywni, choć gdy w sierpniu 1987 roku Rudolf Hess popełnił w niemieckim więzieniu samobójstwo, zasypali centrum Aten ulotkami z napisem „Rudolf Hess – nieśmiertelny".

Pierwszy szczyt ich aktywności to początek lat dziewięćdziesiątych. W polityce dominował wtedy jeden temat – brak zgody na to, by powstający w wyniku rozkładu Jugosławii kraj u północnych granic Grecji odnosił się w nazwie do Macedonii. Na masowych demonstracjach Grecy skandowali „Macedonia jest grecka!". Podczas jednego z takich protestów w Atenach, w grudniu 1992 roku, złociści skatowali grupę anarchistów. Niecałe trzy lata później około stu Greków pojechało do Bośni, by wesprzeć Serbów – braci w ortodoksyjnej wierze w ich walce przeciwko muzułmańskim Bośniakom. Część z nich – do dziś nie wiadomo, jak liczna – to ówcześni sympatycy Złotego Świtu, a kilkoro to wręcz partyjni działacze. Mieli pomagać w ludobójstwie w Srebrenicy, czyli zabiciu ponad ośmiu tysięcy muzułmańskich chłopców i mężczyzn. Ratko Mladić, serbski generał, który dowodził masakrą, skazany na dożywocie za zbrodnie wojenne i zbrodnie przeciwko ludzkości, osobiście wydał rozkaz, by w ramach podziękowań wywiesić w Srebrenicy grecką flagę.

W 1988 roku do redakcji miesięcznika „Scholiastis" przyszła paczka pełna papierów. To Michaloliakos wysłał dokumenty, bo wcześniej przeczytał artykuł kolegi Psarasa na temat graffiti i pewnie był oburzony tym, że w tekście nie znalazła się choćby wzmianka o nazistowskich hasłach malowanych czerwoną farbą na ścianach ateńskich budynków czy rozrzucanych po mieście ulotkach. W paczce

znajdował się statut organizacji nazywającej się Złoty Świt i kilka numerów gazety o tej samej nazwie. Na redakcyjnym kolegium Psaras oznajmił, że nie zamierza odpowiadać nadawcy na łamach „Scholiastisa", bo nie chce dawać darmowej reklamy nazistom z marginalnej, nikogo nieobchodzącej partyjki. Michaloliakos w kolejnym numerze swojej gazety żalił się, że „Scholiastis" odmówił polemiki i publikacji tekstów, które ten wysłał do magazynu. Paczka zaległa w redakcyjnym archiwum. Prawie trzydzieści lat później Psaras przyniósł pożółkłe, wypłowiałe dokumenty do Efetijo i zaprezentował je jako koronny argument przeciwko złocistym.

Co można wyczytać w pierwszym partyjnym statucie Złotego Świtu?

Że celem partii jest oświecenie greckiego społeczeństwa w kwestiach narodowego socjalizmu i organizacja państwa w oparciu o narodowosocjalistyczne zasady.

Że władzę nadrzędną sprawuje lider. Lider przewodzi Radzie Centralnej, wybiera jej członków, może odrzucać jej decyzje. Jest nienaruszalny.

Że członkowie zajmują różne pozycje w partyjnej hierarchii, w zależności od stopnia ideologicznego wyrobienia.

Że członkami partii zgodnie z kryterium krwi mogą być wyłącznie arianie, osoby greckiego pochodzenia, które odbyły służbę wojskową w greckiej armii.

Że każdy członek po okresie próbnym jest żywym przekazicielem idei narodowego socjalizmu i prowadzi nieprzejednaną walkę na polu kulturowym, społecznym i politycznym o skuteczną promocję narodowosocjalistycznych idei.

Że w partii nie ma miejsca na demokratyczne sposoby prowadzenia polityki ani puste slogany typu prawa człowieka czy sprawiedliwość społeczna.

Wreszcie, że najważniejszą zasadą organizującą partię jest Zasada Wodzowska – *Führerprinzip*:

> Przywódca narodowosocjalistyczny jest wybrańcem, który pojawia się w awangardzie walki, jest ucieleśnieniem sekretnego głosu Krwi, tłumaczem ukrytych nadziei, najgłębszych pragnień i tajemnych szeptów zwykłych ludzi, cudownym oczyszczaczem życia. Jest przywódcą, którego oblicze odzwierciedla wszystkie cnoty ludowe i zjednoczoną wolę narodu. Przywódca narodowych socjalistów jest wybitnym przywódcą ludowym. Nie tylko dlatego, że inspiruje do działania, ale także dlatego, że ludzie są jedynym źródłem jego własnej inspiracji. Osobowości wszystkich jego towarzyszy znajdują odzwierciedlenie w jego wyjątkowej osobowości, a relacje między nimi są niezniszczalne.
>
> Tak jak tysiące dopływów, czerpiących z różnych źródeł, przyczyniają się do powstania wielkiego koryta rzeki i w nim się zbiegają, tak poszczególne siły ludowe, czerpiąc swą niezniszczalną żywotność ze swoich kulturowych korzeni, zbiegają się i przyczyniają się do stworzenia oblicza Wodza.
>
> Wierzymy w Zasadę Lidera jako podstawę legitymizacji państwa. Nie chcemy abstrakcyjnych zasad filozoficznych lub naukowych, pomieszanych i zniekształconych pojęć, chcemy, aby źródło legitymizacji naszego państwa było żywe, miało ciało i kości, by był nim Lider.

Fragmenty statutu Psaras opublikował w latach dziewięćdziesiątych w „Elefterotypiji”, a później także w jednej ze swych książek. Złociści nigdy nie protestowali, nie odżegnywali się od dokumentu, nie kwestionowali jego autentyczności. Często wręcz powoływali się na statut w artykułach w partyjnej gazecie. Zmienili front tuż po tym,

jak weszli do parlamentu latem 2012 roku. Już miesiąc później złożyli w Sądzie Najwyższym rzekomo jedyny i pierwszy statut Złotego Świtu. Nie musieli tego robić, prawo nie nakłada na partie takiego obowiązku, ale zdaniem Psarasa chcieli się w ten sposób odciąć od ewentualnych niewygodnych oskarżeń o „podskórny" nazizm, przestępczy i antypaństwowy w swej istocie charakter ugrupowania. Nowy statut częściowo pokrywa się ze starym, ale brakuje w nim choćby jednej wzmianki o Zasadzie Lidera – wycięto z niego całe długie paragrafy sławiące oblicze wodza oraz wszystkie co do jednego odniesienia do narodowego socjalizmu. Po śmierci Fisasa, gdy ruszyło śledztwo przeciwko członkom partii, złociści na wszelkie możliwe sposoby zarzekali się, że nie mają nic wspólnego z nazizmem – hajlowanie to tradycja Metaksasa, wcale nie są rasistami, mają przecież kolegów z Indii, koleżanki z Meksyku, a swastyka na ramieniu rzecznika partii to starożytny meander, trzeba być głupim, by tego nie rozumieć, tłumaczył sam Kasidiaris: „Co jeszcze mogę powiedzieć? Ludzie, jeśli ktoś nie potrafi rozpoznać w tym tatuażu typowo greckiego symbolu, to jest zwyczajnym idiotą"[83].

Udawanie, że nie przesiąkli nazistowskim smrodkiem, szło im marnie, bo dowodów świadczących przeciwko ich zapewnieniom było aż nadto, ale teraz dochodził najważniejszy, potwierdzający, że nazizm był nie tyle inspiracją dla Złotego Świtu, co jego fundamentem. Dlatego złociści wnioskowali o wyłączenie sekretnego statutu z materiału dowodowego, a gdy sędzia nie wyraziła zgody, podważali jego autentyczność. Celowo mylili go też z odręcznie napisanym załącznikiem do dokumentu, znalezionym w domu Christosa Pappasa w Joaninie.

Dziennikarzy na konferencji prasowej próbował w tej kwestii zwodzić między innymi Ilijas Kasidiaris: „Ten durny, idiotyczny dokument nie może być używany przeciwko nam. Rozumiecie to? Nagryzmolony świstek z rysunkiem jak z kreskówki. Na podstawie kartki papieru jesteśmy oskarżeni o stworzenie i prowadzenie organizacji przestępczej. Będę szczery – chce mi się śmiać, gdy tak nas wrabiają! Gdybyście zobaczyli ten dokument, nie uwierzylibyście, że to wszystko dzieje się na poważnie. To jest sądowe przestępstwo, jakiego Grecja dotąd nie widziała”[84].

Z kolei na jednym z pierwszych przesłuchań po zatrzymaniu w 2013 roku Nikos Michaloliakos przekonywał: „Oba te sfałszowane dokumenty dowodzą silnych przekonań narodowosocjalistycznych, które nie mają absolutnie nic wspólnego z ideologią, na której opiera się Złoty Świt, czyli z zasadami greckiego nacjonalizmu”[85].

Dimitris Psaras zeznawał w Efetijo przez trzy kolejne dni. Ani Michaloliakos, ani nikt z pozostałych oskarżonych nie przyszedł go posłuchać.

Lepenioti: – Kiedy zaczął pan pisać o Złotym Świcie?

Psaras: – W latach dziewięćdziesiatych. Wcześniej to było kółko wzajemnej adoracji, nie prowadzili żadnej działalności publicznej – nie było ich widać na ulicach. Zajmowali się swoją gazetą i treściami nazistowskimi, chcieli prowokować debatę z poważnymi dziennikarzami. W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym trzecim roku Michaloliakos obawiał się, że może paść ofiarą lewicowego rządu, i na chwilę uciekł do RPA.

Lepenioti: – Czy w tym czasie Złoty Świt nadal funkcjonował?

Psaras: – Nie. Nie ma Złotego Świtu bez Michaloliakosa. Michaloliakos równa się Złoty Świt. To wynika bezpośrednio z Zasady

Wodzowskiej.

Lepenioti: – Dlaczego w latach dziewięćdziesiątych złociści zwrócili Pana uwagę?

Psaras: – Bo stali się bardziej aktywni. Nie ograniczali się już tylko do smarowania na ścianach hitlerowskich sloganów czy studiowania *Mein Kampf*, zaczęli być widoczni. Zaczęli stopniowo atakować wszystkich, których uznawali za wrogów: lewicowców, anarchistów, coraz liczniejszych imigrantów, cały polityczny system. Oni nie wybierają na ofiary konkretnych osób, nie interesują ich znane osobowości, im wystarczy, że człowiek wygląda jak anarchista, że ma ciemniejszą skórę, więc może jest Pakistańczykiem, że jest spoza Grecji.

Lepenioti: – Czy od tamtego czasu widzi pan zmiany w ideologii Złotego Świtu?

Psaras: – Żadnych. Kiedy zginął Fisas, Michaloliakos powiedział: „Nie mamy nic wspólnego z narodowym socjalizmem", po czym zakończył przemówienie, krzycząc do swoich zwolenników: *Zito i niki*, co odpowiada niemieckiemu *Sieg heil*.

Lepenioti: – Twierdzi pan, że złociści popierają przemoc?

Psaras: – Nie potrafią uprawiać polityki, nie posługując się przemocą. Sam Michaloliakos mówił o tym podczas wystąpienia w Termopilach kilka tygodni po tym, jak wprowadził do parlamentu swoich posłów.

„Może i krzyczymy *Sieg heil*, może wykonujemy hitlerowski gest" – mówi Michaloliakos na filmie nagranym na wiecu w Termopilach, prostuje rękę i strzela nią w powietrze – „ale najważniejsze, że nasze ręce są czyste, nigdy niczego nie ukradły". Chwilę później przywódca Złotego Świtu dodaje, że jego i resztę posłów męczą parlamentarne

zasady, piją niewygodne buty, duszą krawaty. Ostrzega: „Oni jeszcze nie do końca rozumieją, że gdy przejmiemy władzę, nie będziemy mieć litości. Poznają, czym jest bitwa, jak tną bagnety, zrozumieją, kim jesteście wy tutaj zebrani, że to wy tworzycie nasze brygady uderzeniowe".

Lepenioti: – W dwa tysiące dwunastym roku napisał pan książkę o Złotym Świcie.

Psaras: – Tak, argumentuję w niej, że partia zbudowana jest w oparciu o Zasadę Wodza.

Lepenioti: – Zasadę Wodza?

Psaras: – To tłumaczenie niemieckiego wyrażenia *Führerprinzip*.

Lepenioti: – Kiedy ta zasada została sformułowana?

Psaras: – W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym siódmym roku. Rok później Złoty Świt przysłał mi statut partii, gdzie ta zasada jest dokładnie opisana.

Lepenioti: – Czy widział pan ten statut gdzieś indziej?

Psaras: – W ich własnej gazecie. Jednak w dwa tysiące dwunastym roku Złoty Świt złożył w Sądzie Najwyższym nowy statut, twierdząc, że to ich jedyna konstytucja. To nieprawda, wcześniej działali w oparciu o pierwszy statut.

Lepenioti: – Dlaczego twierdzą, że nowy statut jest jedynym?

Psaras: – To ich sposób na obronę, bo stary dokument dokładnie opisuje strukturę organizacji i zasadę wodzowską, a przez to obciąża Michaloliakosa.

Lepenioti: – Czy kiedykolwiek prosili pana o zwrot dokumentu?

Psaras: – Rok temu. Chcieli rzekomo poddać go analizie grafologicznej. Odmówiłem i dziś mam ten oryginalny statut przy sobie. Oto on, oto też oryginalna pieczęć partii.

Lepenioti: – Twierdzi pan, że w statucie zapisany jest podział partii na dwa skrzydła: polityczne i operacyjne?

Psaras: – Tak, ale one nie działają oddzielnie, według statutu mają to samo przywództwo. Określa się je mianem partyjnych rdzeni. Wykres objaśniający ten podział został znaleziony w domu Christosa Pappasa. Wynika z niego, że lider jest na górze, a poniżej partyjne rdzenie. Tych informacji na próżno szukać w nowym statucie. Pierwotny statut dokładnie określa pozycję lidera – *archigos* nie może się angażować w żadne ataki, w grupową przemoc. Musi pozostać nietknięty, bo jest ponad zwykłymi śmiertelnikami, jest ucieleśnieniem narodu. To naród wyniósł go do tej pozycji, podobnie jak wyniósł Hitlera. Można go przyrównać do Mesjasza. Lider jest z tyłu, wydaje polecenia i rozkazy. Akty przemocy w latach dziewięćdziesiątych, śmierć Fisasa, pobicie Aleksa Lazarisa przez Zerwasa – wszystko to nie są przypadkowe zdarzenia. Michaloliakos od dawna powtarza: „Nasz cel to atakować".

Lepenioti: – Czy pana zdaniem istniał rozkaz do ataku na egipskich rybaków, związkowców z PAME i w sprawie zabicia Fisasa?

Psaras: – Oczywiście. Każdy z tych ataków zaczął się od rozkazu samego wodza. Nic się nie dzieje bez jego rozkazu. Ktokolwiek działa bez jego umocowania, znika, nie ma dla niego miejsca. Każdy atak jest wcześniej zaplanowany, nawet te pomniejsze, jak spoliczkowanie posłanki Kaneli przez Kasidiarisa w telewizyjnym studiu. Po tym zdarzeniu Michaloliakos spotkał się ze złocistymi na wiecu i powiedział: „Myślicie, że na tym stracimy? W sondażach zyskaliśmy właśnie dwa punkty procentowe".

Lepenioti: – Czy opisywał pan zdarzenia z udziałem złocistych na placu Ajios Pandelejmonas?

Psaras: – Oczywiście. Także dlatego, że to moja okolica, od dawna tam mieszkam. Widziałem, jak złociści zamykają plac zabaw, żeby nie korzystali z niego imigranci, widziałem próbę spalenia Banglijczyków modlących się w meczecie, widziałem, jak terroryzowali miejscową ludność. Naprzeciwko kościoła działała kawiarnia, w której się zbierali.

Lepenioti: – Co pan wie o brygadach uderzeniowych?

Psaras: – Niemiecka nazwa brzmi *Sturmabteilungen*, na nich są wzorowane. Ich członkowie ubierają się w specyficzny sposób, w odzież przypominającą wojskowy mundur – po to, żeby budować poczucie wspólnotowości, ale także, żeby ofiarom trudniej było odróżnić, zidentyfikować sprawców ataków. Gdy wychodzą na ulicę, gdy maszerują, są jak wojsko. To defilada, nie balet. Teraz działanie brygad zawieszono, bo z badań wynika, że dla zwykłych ludzi brygady to dowód na przestępczy charakter partii.

Lepenioti: – Czy pana zdaniem Złoty Świt jest organizacją przestępczą?

Psaras: – Tak. Złoty Świt powstał jako organizacja przestępcza, która podaje się za partię polityczną. Partia to przykrywka. Oni nienawidzili tego partyjnego przebrania.

Lepenioti: – Kogo zalicza pan do członków organizacji przestępczej?

Psaras: – Lidera, członków Rady Politycznej, regionalnych zarządców, niektórych zwykłych działaczy. Rupakiasa też, bo pełnił funkcje w ramach komórki w dzielnicy Nikea. Z kolei wyborcy Złotego Świtu nie mają z organizacją przestępczą nic wspólnego.

●

Redakcja „Efsyn”, pokój z widokiem na Akropol.

– Skoro złociści nienawidzili partyjnego przebrania i bycia w parlamencie, co było ich faktycznym celem? – pytam Psarasa.

– Oni swoją obecność w parlamencie chcieli umiejętnie wykorzystać. Mieli immunitety, mieli dotacje z budżetu, mieli w końcu poczucie bezkarności. To był pierwszy krok. Nie hamowali się z uliczną przemocą. Bardzo się wtedy baliśmy, że sprowokują tymi atakami odpowiedź drugiej strony, między innymi anarchistów, lewicy. A im właśnie o to chodziło. Chcieli agresywnej odpowiedzi na terror brygad uderzeniowych, po to, by wywołać małą wojnę domową. Brat wodza, Takis Michaloliakos, którego widujesz w Efetijo, w latach siedemdziesiątych przebywał we Włoszech i przywiózł stamtąd opowieści o aktach ekstremalnej przemocy, zamachach bombowych, terrorze na ulicach.

Wszystko to miało służyć polaryzacji społeczeństwa, wywołaniu chaosu i siłowemu przejęciu władzy – ciągnie dalej dziennikarz. Michaloliakos jako krok numer dwa chciał wywołać mini wojnę domową, aby z udziałem generałów i innych przedstawicieli *deep state* – połączonych nieformalnymi więzami przedstawicieli resortów siłowych, Kościoła i wymiaru sprawiedliwości – przejąć władzę. To jego niespełnione marzenie od wczesnej młodości – przemocą przywrócić rządy autorytarne. W latach 2012–2013 złociści myśleli, że są blisko, dlatego tak często wtedy atakowali, stąd skatowanie związkowców z PAME czy kulminacja w postaci zamordowania Fisasa. Panajotaros chwilę wcześniej w rozmowie z BBC przyznał nawet: „Jesteśmy w stanie wojny domowej. Z jednej strony walczą nacjonaliści, z drugiej cały system polityczny, imigranci, lewacy,

internacjonaliści[86]". Do wojny nie doszło tylko dlatego, że zainterweniowało państwo.

– Czy powtórzyłbyś dziś równanie, którego użyłeś w sądzie: Michaloliakos równa się Złoty Świt? Czy jeśli wódz zostałby skazany i trafił do więzienia, Złoty Świt przetrwa?

– Nie przetrwa. Nie ma na to szans. Michaloliakos to samozwańczy grecki Führer, samodzielnie wszystkim kierował i za wszystko odpowiada. Większość działaczy oczywiście wiedziała, do jakiej organizacji należą, ale oni jedynie karnie wykonywali rozkazy swojego wodza. Dlatego dla mnie najważniejsze jest, by sąd uznał jego sprawczą rolę. Jeśli dojdzie do tego kara więzienia, Michaloliakos będzie skończony i Złoty Świt będzie skończony. Już teraz są w bardzo trudnej sytuacji – partia ma zamrożone dotacje z budżetu, nie ma za co działać, w ostatnich wyborach w 2019 roku zaliczyła sromotną porażkę i nie uzyskała choćby jednego mandatu. Jeśli jednak sąd by uznał, że Michaloliakos jest niewinny, złociści wciąż mogą się odbić.

Czy ktoś mógłby zająć jego miejsce?

– Jest Kasidiaris, który z powodzeniem mógłby stanąć na czele jakiejś skrajnie prawicowej partii. To sprawny polityk, czasami brzmi jak Orbán, Kaczyński lub Salvini. Ale on jest oportunistą, nie ideologiem. Więcej ideologów na miarę Michaloliakosa nie widać. Jest jeszcze jedna kwestia – oni w większości bardzo słabo wypadli w sądzie, zaprezentowali marne oblicze. Gdy zeznawali, nie wyglądali jak bezkarni macho, czy nietykalni herosi, na których pozowali wcześniej. Zaczęli sypać jeden drugiego, wyrzekać się nie tylko nazistowskich ideałów, ale nawet samego członkostwa w partii. Przychodzili do Efetijo z płaczącymi matkami, zarzekali się, że nie

chcieli nikogo skrzywdzić. Dlatego nie chcieli w sądzie telewizyjnych kamer i stałych relacji z kolejnych rozpraw.

●

Nikos Michaloliakos składał zeznania jako ostatni. Przed sądem trwała głośna demonstracja antyfaszystów, a sam budynek obstawiały liczne oddziały policji. Amfiteatr w Efetijo nie doświadczył podobnych tłumów. Lider złocistych wszedł bocznym wejściem, z dala omijając dziedziniec. Nieliczni oskarżeni i ich prawnicy natychmiast wstali, jakby na komendę, jakby odtwarzali scenę sprzed kilku lat, gdy podczas konferencji prasowej w ateńskim biurze Złotego Świtu zgromadzeni dziennikarze nagle usłyszeli ryk w wykonaniu jednego z przybocznych: „Idzie wódz. Wszyscy wstać, ale już. Baczność!". Część reporterów karnie wstała, część zgłaszała zastrzeżenia: to nie wojsko, to briefing polityka. „Komu się nie podoba, może wyjść"[87]. Tym razem ludzie zgromadzeni po drugiej stronie sali nie tylko nie wstali, ale zaczęli buczeć, rzucać pod adresem Michaloliakosa wyzwiska i podnosili w górę plakaty z napisem: „Nie ma co płakać, nie trzeba się bać!".

– Wysoki sądzie – zaczął lider złocistych – jestem niewinny stawianych mi zarzutów. Przez ćwierć wieku byłem ofiarą politycznych knowań i ataków. Po raz pierwszy w nowożytnej historii Grecji przywódca partii politycznej siedzi na ławie oskarżonych za coś, co zrobił nie on sam, a sympatyk jego ugrupowania. Nigdy nie byliśmy organizacją przestępczą. Naszą ideologią zawsze był nacjonalizm, nie nazizm. Aresztowanie mnie po zdarzeniu w Kieratsini było próbą kryminalizacji całego naszego ugrupowania.

Potraktowano mnie jak zwykłego przestępcę, z pogwałceniem wszelkich zasad prawnych i etycznych. Przyjechali po mnie zamaskowani policjanci z karabinami w ręku – jakby wyjęci z operacji aresztowania bin Ladena. To wszystko wyglądało jak hollywoodzki film, ale najdziwniejsza była w tym obecność telewizyjnych kamer – skąd niby telewizje wiedziały o tej tajnej operacji? Jej cel był polityczny.

Sędzia Lepenioti puściła żale oskarżonego mimo uszu. Jej pierwsze pytania dotyczyły tajnego statutu partii. Michaloliakos twierdził, że nic o nim nie wie i z pewnością nie jest jego autorem. Dowodził, że nie mógł go napisać, bo nie potrafi obsługiwać maszyny do pisania. Nigdy na maszynie nie pisał, rzekomo już w latach osiemdziesiątych posługiwał się komputerem. Na komputerze pisał na przykład artykuły do magazynu „Złoty Świt". Nie pamięta jednak, kto razem z nim współtworzył redakcję pisma i kto mógł być autorem wzmianki na temat statutu, jaka znalazła się w jednym z numerów. Na pytanie, dlaczego nie podważył autentyczności dokumentu, gdy jego fragmenty cytowały inne gazety, odpowiedział, że nie mieściło się to w zakresie jego obowiązków. Kolejna runda pytań dotyczyła zamordowania Fisasa. Sędzia chciała wiedzieć, kiedy Michaloliakos się o nim dowiedział.

Michaloliakos: – Od początku powtarzam, że następnego dnia, późnym rankiem.

Lepenioti: – Kto pana poinformował?

Michaloliakos: – Żona do mnie zadzwoniła, powiedziała mi, po czym od razu pojechałem do parlamentu.

Lepenioti: – Twierdzi pan, że późnym rankiem, a jest przecież świadek, którzy potwierdza, że pana telefon dzwonił całą noc.

Michaloliakos: – Ten człowiek nigdy nawet nie był w moim domu.

Lepenioti: – Nie rozmawiał pan z nim tamtej nocy?

Michaloliakos: – Absolutnie nie.

Lepenioti: – Janis Lagos dzwonił do pana około pierwszej w nocy, a pan do niego.

Michaloliakos: – Rozmawialiśmy o czymś zupełnie innym.

Lepenioti: – Gdy Lagos do pana dzwonił, już wiedział, co się stało z Fisasem.

Michaloliakos: – Nie wiem, co na to odpowiedzieć. Może mi nie powiedział, bo uznał, że to, co się stało, nie ma związku z partią? Bo faktycznie nie ma związku z partią.

Lepenioti: – Czego jeszcze dowiedział się pan tamtego dnia?

Michaloliakos: – Coś mówili mi koledzy w parlamencie, Panajotaros, ale nie pamiętam dokładnie. Wszyscy byliśmy skupieni na tym, by ratować partię, bo wiedzieliśmy, że jest na nas polityczne zlecenie. Współpracownik premiera Samarasa powiedział mi, że idą po nas, że będziemy zatrzymani.

Lepenioti: – Czy nadal podtrzymuje pan tę opinię, że partia nie ma ze sprawą nic wspólnego?

Michaloliakos: – Oczywiście. Partia nie ma z tą śmiercią żadnego związku.

Lepenioti: – To z czym to morderstwo ma związek?

Michaloliakos: – Z działaniem jednego człowieka, który zamordował innego.

Lepenioti: – Czy znał pan Rupakiasa?

Michaloliakos: – Nie. Ale on znał mnie. Mieliśmy sześć tysięcy członków, sto pięćdziesiąt tysięcy sympatyków. Jak mógłbym znać ich wszystkich?

Lepenioti: – Jak pan wyjaśni, że na miejscu zbrodni obecni byli członkowie partyjnej komórki z dzielnicy Nikea?

Michaloliakos: – Nie mam pojęcia. Pani powinna wiedzieć, pani z nimi tutaj rozmawiała. Ja sam nie dałem rady tego sprawdzić, bo wierzę, że partia nie powinna się w tę sprawę angażować. Ja w każdym razie nie miałem z nią nic wspólnego. Dla mnie ta sprawa jest jasna. Doszło do bójki i Rupakias zabił człowieka.

Lepenioti: – Ale to nie wyjaśnia obecności członków partii na miejscu zbrodni. Poza tym jeden z pana współoskarżonych twierdził, że nikt nie został z partii usunięty, ani Patelis, ani Kazandzoglu, ani nikt inny.

Michaloliakos: – Członkowie z komórki w Nikea zostali usunięci.

Lepenioti: – Mamy dowody na to, że Patelis pojawiał się na partyjnych wydarzeniach jeszcze w dwa tysiące osiemnastym roku. Wcale nie był usunięty lub zmarginalizowany.

Michaloliakos: – Był na wydarzeniu, na którym ja też byłem?

Lepenioti: – Tego nie powiedziałam.

Michaloliakos: – To sąd musi ustalić, czy on jest winny, czy nie. Według mojej wiedzy Patelis stracił pozycję pracownika naszego biura, a członkiem partii nigdy nie był.

Lepenioti: – W wywiadzie radiowym powiedział pan, że partia bierze polityczną odpowiedzialność za śmierć Fisasa. Proszę powiedzieć, co miał pan na myśli?

Michaloliakos: – Zaraz po morderstwie powiedziałem, że kategorycznie je potępiamy i że nie miało ono politycznej natury. Jedyny polityczny wymiar tego przestępstwa może być taki, że nasza partia ucierpi politycznie. Dziennikarz zapytał mnie, czy odpowiadamy za to morderstwo w rozumieniu kodeksu karnego.

Odpowiedziałem, że absolutnie nie. A później w rozmowie z innym dziennikarzem Hatzinikolau poczyniłem taką uwagę: „Jeśli chodzi o przestępstwo w Kieratsini, bierzemy za nie polityczną odpowiedzialność". To była figura retoryczna, bo jak niby moglibyśmy być obwiniani za przestępstwo, które popełnił nasz zwolennik? Więc nie wzięliśmy odpowiedzialności kryminalnej, a polityczną. Każda partia ponosi odpowiedzialność polityczną za czyny swoich wyborców.

Lepenioti: – Proszę raz jeszcze wyjaśnić, co miał pan na myśli, mówiąc o odpowiedzialności politycznej.

Michaloliakos: – Że politycznie zapłaciliśmy za to przestępstwo, ucierpieliśmy. Zostaliśmy oskarżeni. Ale powtarzam, że to jedynie figura retoryczna, nic więcej.

Lepenioti: – Proszę opowiedzieć o ideologii, jaką wyznają członkowie Złotego Świtu.

Michaloliakos: – Nacjonalizm. Setki tysięcy Greków uważa mnie za nacjonalistę i poczytuję to sobie za wielki honor. Nasza ideologia nie ma nic wspólnego z niemieckimi czy włoskimi wzorami, nie jest ich kopią.

Lepenioti: – Czy w przeszłości ideologią Złotego Świtu był narodowy socjalizm?

Michaloliakos: – Nie.

Lepenioti: – A nazistowskie symbole, nazistowskie pozdrowienia?

Michaloliakos: – Hajlowanie nie jest naszym oficjalnym pozdrowieniem.

Lepenioti: – Może nie jest oficjalnym pozdrowieniem, ale ma swoją tradycję, swoje historyczne obciążenie. Czy mówił pan o tym nowym

członkom, czy tłumaczył pan, że sam nie zamierza w ten sposób wymachiwać ręką?

Michaloliakos: – Na zdjęciach i filmach z setek naszych spotkań widać, że wcale tego pozdrowienia często nie używamy.

Lepenioti: – Niemniej na nagraniu z koncertu, na którym był pan obecny w dwa tysiące piątym roku, dokładnie widać hajlowanie. Wszyscy hajlowali, a w pomieszczeniu wisiały flagi SS.

Michaloliakos: – Czy to na pewno ja jestem na tym filmie? Nie przepadam za tego typu muzyką.

Lepenioti: – Proszę odtworzyć film.

Michaloliakos: – OK. Byłem na tym koncercie, ale nie lubię heavy metalu. Jeśli pofatygowałem się na ten występ, to po chwili wyszedłem.

Chodzi o koncert zorganizowany przez Złoty Świt, na którym występowali muzycy będący członkami organizacji oraz goście zaproszeni z Niemiec. Poza neonazistowskimi hitami uczestnicy koncertu – Michaloliakos, Kasidiaris, Panajotaros i kilkudziesięciu innych – hajlując, odśpiewali hymn Trzeciej Rzeszy. Wznosili toasty za białą rasę i poległych bohaterów – hitlerowskich żołnierzy, krzyczeli *Jude raus* i *Sieg heil*[88].

Zanim skończył swoje wystąpienie przed sądem, Michaloliakos wyraźnie zdystansował się od najbardziej kłopotliwych partyjnych kolegów. Próbując bronić siebie, jako tego, który nie był w stanie wszystkiego upilnować, który nie odpowiada za wszystkich działaczy, który nie decydował o wszystkim, który wszystkiego nie wiedział, wsypał Patelisa, Kazandzoglu, Pappasa i Lagosa (Lagos „zdradził" pierwszy, bo miesiąc wcześniej wypisał się ze Złotego Świtu i postanowił dokończyć kadencję w Europarlamencie jako poseł

niezrzeszony, a chwilę później założył własną skrajnie prawicową partię). Michaloliakos wszystkiemu uparcie zaprzeczał, negował wszystko, co mogłoby mu zaszkodzić – nie widział, nie słyszał, nie wiedział. Ponadto tłumaczył, że imigranci powinni zostać odesłani do swoich krajów, bo Grecja więcej ich nie pomieści, że nie pamięta, aby w swoich wystąpieniach publicznych w latach dziewięćdziesiątych skandował hasła, w których znajdowałyby się odniesienia do narodowego socjalizmu, że struktura partii nie jest wzorowana na wojsku, że dyscyplina nie jest wymagana, rozkazy nie są odgórnie koordynowane, żadnych szkoleń paramilitarnych nigdy nie było, a świadkowie koronni, którzy o nich opowiadali, zwyczajnie zmyślali. A Elias Stawru?

Michaloliakos: – Tak, znam go, jego matka poważnie chorowała, on się nią opiekował i praktycznie nie bywał w biurze. Nie zwolniliśmy go, żeby miał z czego żyć. A po zabójstwie Fisasa, kiedy ja byłem w areszcie, po mieście rozeszła się informacja, że takich jak on, współpracowników posłów, także czekają zarzuty. Wtedy Stawru opuścił partię, a żeby uwiarygodnić swoją rzekomą przemianę, pojechał nawet do Izraela. Nie wiem, być może rozpaczał pod Ścianą Płaczu.

Na sam koniec Michaloliakos dziękował rzeszom ludzi, którzy bez przerwy go wspierają, i żalił się, że jest ofiarą medialnego linczu:

– Gazety i kanały telewizyjne zamordowały mnie, powiesiły mnie, nie dając mi wcześniej prawa głosu – powiedział.

Gdy podniósł się z krzesła i ruszył w stronę bocznego wyjścia, jego zwolennicy zaczęli skandować znany partyjny okrzyk: „Krew, honor, Złoty Świt". Parę wyprostowanych rąk strzeliło w powietrze w charakterystyczny sposób. „Pawlos żyje, Pawlos żyje. Za kraty

z nazistami!” – odkrzykiwała miarowo druga strona. Gdyby nie policja rozdzielająca ludzi, doszłoby do bójki. Jedną z krzyczących była Magda Fisa, wyraźnie poruszona, zmęczona, obolała, zła. Rozmawiając z dziennikarzami na dziedzińcu, powtórzyła to, co od sześciu lat mówiła już wiele razy: że Michaloliakos także, nie tylko Rupakias, ma na rękach krew jej syna.

●

Pięć tygodni później zaczynała się ostatnia faza procesu. Miało ją otworzyć podsumowujące przemówienie prokuratorki Adamantii Ikonomu.

Usiadłem w sektorze dla dziennikarzy – kilka rzędów za Dimitrisem Psarasem i kilka poniżej Magdy Fisa. Po drugiej stronie sali nie było nikogo z sześćdziesięciu ośmiu oskarżonych, tylko ich prawnicy. Zwalisty brat wodza Takis Michaloliakos i jego dwaj synowie – jeden olbrzymi, ledwo mieszczący się w fotelu i drugi też duży, ale przy bracie wyglądający na chuchro. Wszyscy trzej żartowali sobie z koleżanką prawniczką, tą samą, którą dzień wcześniej widziałem przed salą D100B na drugim piętrze sądu, gdzie przyszła bronić innego swojego klienta Christosa Zerwasa, oprawcę młodego studenta architektury Aleksa Lazarisa.

Zanim oddała głos prokuratorce, sędzia Lepenioti zaczęła jak zawsze, jak trzysta dziewięćdziesiąt dziewięć razy wcześniej – od odczytania listy obecnych. Pierwszy w alfabetycznej kolejności był Janis Agos, a więc ten, który 17 września 2013 roku, po wizycie w siłowni i założeniu koszulki na lewą stronę, pijąc piwo w Café

Korali i oglądając mecz w ramach Ligi Mistrzów, zadzwonił do kolegi Kazandzoglu.

Prokuratorka Adamantia Ikonomu także zaczęła od zbrodni w Kieratsini.

– Rupakias wysiadł z samochodu i w tym momencie Pawlos Fisas ruszył w jego kierunku z pięściami. Oskarżony objął go i zadał mu trzy rany kłute nożem.

Rupakias był w samochodzie sam – ciągnęła. Inaczej zeznały jedynie świadek Karajanidu i świadek Zorzu. Dimitra Zorzu opisała go jako niskiego, Karajanidu jako wysokiego i chudego z krótkimi włosami. Obie jako współpasażera rozpoznały oskarżonego Kazandzoglu, ale Zorzu nie była pewna w stu procentach. Obie były jakieś trzydzieści metrów od miejsca zbrodni i zdaniem jednej z policjantek nie mogły dokładnie widzieć, co się działo. Według policji Rupakias był w samochodzie w pojedynkę. Kazandzoglu był w tej okolicy, ale nie siedział w samochodzie z Rupakiasem.

Rupakias był spokojny, celował w serce, a więc miał zamiar zabicia Fisasa. Jego twierdzeń, że działał w samoobronie, nie można potwierdzić. Lekarz, który przeprowadził obdukcję, nie widział na ciele Rupakiasa żadnych obrażeń, jednak policja twierdzi, że Fisas zaatakował oskarżonego.

Zdaniem policji morderstwo nie było skoordynowane. Funkcjonariusze twierdzą, że na miejscu zbrodni panował chaos. Nie wiedzieli nic, co wskazywałoby na to, że morderstwo było zaplanowane i zgodnie z planem przeprowadzone.

Żaden z przyjaciół Fisasa nie twierdził, że ofiara była na celowniku Złotego Świtu.

Świadkowie koronni w sposób niejednoznaczny mówią o tym, że Fisas był wytypowany na ofiarę. Niektórzy twierdzą, że nie był na celowniku, inni że owszem. Ci ostatni jednak nie wskazują na zleceniodawców. W ich wywodzie brakuje logiki.

Żadne z przedstawionych dowodów nie wskazują, by morderstwo było zaplanowane przez przywódców Złotego Świtu. Brakuje dowodów na to, że Nikos Michaloliakos wydał rozkaz Lagosowi lub Patelisowi. Z ich rozmów wynika co innego: że Michaloliakos chciał się jedynie dowiedzieć, co tamtej nocy zaszło. Poza wszystkim – czy partia Złoty Świt mogła cokolwiek zyskać na takiej sprawie? Logicznie rzecz biorąc, mogła tylko stracić. Dlaczego członkowie partii mieliby kogoś zabijać w miejscu, gdzie z powodu meczu piłkarskiego było dużo ludzi, zamiast zrobić to gdzieś w cichej uliczce? Takie zbrodnie popełnia się w ukryciu, przy małej liczbie świadków.

Złoty Świt potępił zabicie Pawlosa Fisasa, a sekretarz generalny partii Michaloliakos wziął na siebie odpowiedzialność polityczną, czyli przyznał, że partia zapłaciła polityczną cenę. Winny jest tylko Rupakias.

W sprawie egipskich rybaków – Abuzeid Embarak został skatowany, wydawało się, że jego życie było w niebezpieczeństwie. Z przedstawionych w trakcie procesu dowodów nie wynika, by sprawcy mieli zamiar zabicia Embaraka. Przestali go bić i uciekli natychmiast, gdy zobaczyli, że mężczyzna krwawi. Gdyby naprawdę chcieli go zabić, zostaliby i kontynuowali bicie, mimo wezwań o pomoc. – Z dowodów wnioskuję – ciągnęła prokurator – że sprawcy chcieli ofiarę zranić – nie zabić, dlatego proponuję zmienić

kwalifikację ich czynu na ciężkie uszkodzenie ciała [z usiłowania zabójstwa z premedytacją].

W sprawie działaczy związkowych PAME – nie ma dowodów, które potwierdzałyby zamiar zabicia ofiar. – Gdyby sprawcy naprawdę chcieli zabić swoje ofiary, zrobiliby to i nie przejmowaliby się tym, że nie mają czasu, albo tym, że obserwują ich ludzie na balkonach. Potrzebowali jedynie sekund, żeby zabić, a jednak tego nie zrobili. Proponuję zmianę kwalifikacji czynu na współudział w uszkodzeniu lub poważnym uszkodzeniu ciała [z usiłowania zabójstwa z premedytacją] – zakończyła Adamantia Ikonomu.

Dziennikarze, obok których siedziałem, i prawnicy poniżej – wszyscy kręcili głowami i powtarzali pod nosem: „niewiarygodne". Z kolei obrońcy oskarżonych byli wyjątkowo cicho, nie przerywali, nie sarkali – oni także nie wierzyli w to, co słyszeli. Nie przypuszczali, że prokuratorka Ikonomu sprawi im aż tak hojny prezent i zawnioskuje o umorzenie większości zarzutów.

Nagle Magda Fisa zerwała się z miejsca:

– Mam pytanie do pani prokurator i proszę o odpowiedź. Co z dowodami, z zeznaniami? Dziś mija dokładnie siedemdziesiąt pięć miesięcy od momentu, gdy złociści zabili mojego syna. Pani chce tych morderców puścić wolno. Zabija dziś pani Pawlosa po raz drugi.

Sędzia prosi o spokój, ogłasza przerwę. Wszyscy wychodzimy na dziedziniec. Palacze będą palić jednego za drugim. Po drodze rozmawiam z Dimitrisem Psarasem.

– Niewiarygodne! Ikonomu brzmi, jakby była obrończynią oskarżonych, a nie niezależnym prokuratorem. Jakby od prawie pięciu lat nie brała udziału w procesie, nie znała dowodów, jakby nie mieszkała w tym kraju.

Po przerwie prokuratorka jeszcze przez dobre dwie godziny dowodziła, że Złoty Świt nie jest organizacją przestępczą w rozumieniu artykułu 187 kodeku karnego: przestępstwa poszczególnych złocistych to ich indywidualne przewiny, które nie składają się na kryminalny dorobek partii; Złoty Świt nie ma struktury, jaką przypisuje się organizacji przestępczej, nie ma odpowiedniej hierarchii ani procesu decyzyjnego; nazistowskie odwołania i inspiracje złocistych nie są przedmiotem rozprawy, nie muszą prowadzić do popełniania czynów zakazanych; zamordowanie Shahzeda Luqmana nie miało ze Złotym Świtem nic wspólnego; pierwszy, tajemny statut to podejrzana sprawa, jest on mniej ważny niż ten obowiązujący, złożony w Sądzie Najwyższym.

Końcowe stanowisko Ikonomu było następujące: sąd powinien uniewinnić wszystkich oskarżonych o kierowanie organizacją przestępczą i wstąpienie w jej szeregi, a więc także osiemnaścioro byłych posłów, w tym również Nikosa Michaloliakosa.

●

Oburzenie na słowa Ikonomu ogarnęło całą Grecję. List protestacyjny podpisało sześciuset sześćdziesięciu raperów, antyfaszyści zorganizowali marsz i demonstrację, na których zjawili się też politycy największych partii. Dziennikarze przypominali, że prokuratorka już wcześniej zasłynęła dziwnym zachowaniem: pytała ofiary ataków, czy mogą dowieść, że to władze partii zlecały ich pobicie, a jeśli nie mogą, znaczy, że nie było zlecenia; podważała zeznania naocznych świadków; popierała prawników osób

oskarżonych, gdy domagali się, by ujawnić nazwiska świadków koronnych.

„Skandal!" – grzmiał w mediach Tanasis Kambajanis, obrońca egipskich rybaków. „Złoty Świt stanął przed sądem nie z powodu trzech indywidualnych przestępstw, za które odpowiadają ludzie z nim związani, ale dlatego, że był zorganizowany w oparciu o kryminalne mechanizmy i według nich działał: stworzył brygady uderzeniowe, odpowiednio szkolił ich członków, wydawał im rozkazy, utrzymywał ich w stałej gotowości do ataku. A wszystko to zgodnie z wolą wodza. Właśnie o tym przecież mówi artykuł 187 kodeksu karnego, z którego złociści są oskarżeni. Uniewinnienie ich, puszczenie ich wolno spowoduje, że brygady uderzeniowe znów wyjadą na nasze ulice, zobaczymy powtórkę z brutalnej przemocy, jaką oglądaliśmy w latach 2012–2013. Złoty Świt w prezencie dostanie też zaległe dotacje budżetowe. Osiem milionów euro! Co stanie się wtedy z ofiarami, które odważyły się przyjść do sądu i zeznawać, co ze świadkami, z dziennikarzami, którzy nie bali się monitorować działalności złocistych, co z nami – prawnikami, którzy przeciwko nim wystąpiliśmy, co z aktywistami-antyfaszystami? Dla nas wszystkich droga będzie tylko jedna. Nie wystarczy dla nas paszportów. Ale też nigdzie się nie wybieramy!"[89].

Na łamach dziennika „Kathimerini" głos zabrał też profesor Nikos Aliwizatos, jeden z najbardziej szanowanych konstytucjonalistów: „Argumenty pani prokurator są chybione, jej błędy niewybaczalne".

Gdy ponownie odwiedziłem go w redakcji gazety, Dimitris Psaras , był jak zwykle spokojny i wyważony. Nie stracił nadziei. Wytłumaczył mi, że sąd nie musi wziąć pod uwagę zdania Ikonomu. Jej stanowisko to jedynie niewiążąca propozycja.

– Dowody przeciwko oskarżonym porażają, można ich nie widzieć tylko wtedy, jeśli nie chce się ich widzieć. W przeszłości już tak bywało, co potwierdza, że skrajnie prawicowe poglądy zakorzeniły się w greckich instytucjach. W trudnych momentach neofaszyści zawsze mogli liczyć na pomoc Kościoła, wojska, policji lub wymiaru sprawiedliwości. Swoją mową końcową Ikonomu postawiła cały proces na głowie. Wiedzieliśmy, że ma sympatie prawicowe, ale nie sądziliśmy, że posunie się tak daleko. Jednak jest jeszcze nadzieja, że skład sędziowski nie odwróci oczu od zgromadzonych dowodów.

Magda Fisa była wstrząśnięta. Przeprosiła mnie i odwołała nasze umówione spotkanie w Kieratsini – nie byłaby w stanie rozmawiać. Ikonomu odbierała jej nadzieję na sprawiedliwość, na ulgę, na krok naprzód w żałobie, na oddech po sześciu latach życia na bezdechu.

NARODOWE MARMURY

– Gdybym została ministrą kultury… Daj mi chwilę. – Despina Kutsumba przełyka makaron z owocami morza, ponoć najlepszy na całej Eginie, poprawia się na tawernianym krześle i spogląda na morze, szykując się do odpowiedzi na moje pytanie, jak się okazało niezbyt kłopotliwe. Ucieszyłem się, że archeolożka, która od lat jest też aktywną polityczką lewicowej ANTARSYI, koalicji ugrupowań antykapitalistycznych, nie kryguje się i nie ukrywa politycznych ambicji.

– Wiem. Rozpętałabym międzynarodową archeologiczną burzę gradową. Zorganizowałabym kampanię pod tytułem „Powrót do domu", opowiadałabym, że nie tylko marmury Partenonu muszą wrócić tam, skąd je zabrał lord Elgin – dokładnie tam, czyli na ściany Partenonu, bo tam jest ich miejsce, nie w muzeum – ale też wszystkie inne zagrabione skarby, z wszystkich innych krajów, przez wszystkich innych kolonizatorów, „nabywców" czy zwyczajnych złodziei. Wszystko i zewsząd. To byłoby trzęsienie ziemi.

Kutsumba ma świadomość, że kampania zakończyłaby się totalną porażką, bo muzea w bogatych krajach podniosłyby larum, ale przy okazji musiałyby się wytłumaczyć z nieciekawej przeszłości, z podejrzanych „zakupów", z kontrowersyjnych zbiorów. Ale Grecy

mieliby przynajmniej sposobność, by podkreślić, do kogo te skarby należą, kto jest ich prawowitym właścicielem.

– Może to pusty gest, ale przynajmniej zachowalibyśmy godność. Nie musielibyśmy się prosić: pożyczcie nam, pożyczcie. Te niedawne błagania o pożyczkę były totalną kompromitacją.

Kutsumba ma na myśli pomysł greckiego premiera Kiriakosa Mitsotakisa, który ledwie kilka tygodni po tym, jak w lipcu 2019 roku objął rządy, w wywiadzie dla brytyjskiej gazety oświadczył, że Grecja chciałaby wypożyczyć od Brytyjczyków słynne marmury. Nie odzyskać na dobre, jak głosi oficjalna grecka linia, a właśnie wypożyczyć. Dodał, że zbliżająca się dwusetna rocznica wybuchu rewolucji z 1821 roku to ku temu świetna, symboliczna okazja. W Atenach zawrzało, a jedną z bijących w tarabany była właśnie Kutsumba.

– Prośba o wypożyczenie oznaczałaby, że oficjalnie uznajemy, że właścicielami marmurów są Brytyjczycy. Przecież pożycza się coś, co do nas nie należy, co jest własnością kogoś innego. Musielibyśmy podpisać umowę, w której stałoby to czarno na białym. A poza tym musielibyśmy te marmury Brytyjczykom zwrócić. Po miesiącu, dwóch, po roku. Wyobrażasz sobie, że kolejny raz opuszczają Grecję? To byłaby narodowa tragedia.

Archeolożka nie wierzy, że zagrabione skarby kiedykolwiek wrócą do Grecji, bo Brytyjczycy nigdy nie zgodzą się na ich zwrot. Są zbyt cenne. Ale właśnie dlatego, że są tak cenne, premier Mitsotakis upomniał się o nie u premiera Johnsona.

– Każdy grecki premier uważa, że jak ściągnie do kraju marmury Partenonu, ludzie będą na niego głosować w nieskończoność, że go ozłocą! Więc próbują, licząc może na cud.

Na propozycję Mitsotakisa odpowiedziała rzeczniczka Muzeum Brytyjskiego, informując, że Ateny nie przysłały żadnej oficjalnej prośby, ale jeśli taka się pojawi, będzie dokładnie rozważona – i doprecyzowała, że ewentualną decyzję podejmie nie brytyjski rząd, nie premier, do którego Mitsotakis zamierza się zwrócić, a samo Muzeum. Johnsonowi nic do tego – mówiła między wierszami rzeczniczka. Oczywiście szef greckiego rządu dobrze o tym wiedział, ale celowo zaadresował swoją medialną propozycję tak, a nie inaczej: Boris Johnson ukończył studia klasyczne, ponoć umie wyrecytować z pamięci sto pierwszych strof *Iliady*, kwestię marmurów Partenonu zna od dawna, bo jako student i prezydent stowarzyszenia Oxford Union zaprosił do debaty samą Melinę Mercouri. Aktorka i aktywistka, przeciwniczka junty czarnych pułkowników, pozbawiona przez nich greckiego obywatelstwa, gdy do Grecji wróciła demokracja, została pierwszą w historii kraju kobietą na stanowisku ministry kultury – był rok 1981, Kutsumba miała siedem lat – i od razu zaczęła wiercić Brytyjczykom dziurę w brzuchu, żeby oddali greckie marmury.

Podczas debaty w 1986 roku ministra Mercouri próbowała przekonać studentów, by opowiedzieli się po jej stronie w tym blisko dwustuletnim sporze, by symbolicznie – w zastępstwie brytyjskiego rządu – zgodzili się na zwrot zagrabionych skarbów.

Zaczęła od języka. Nie ma – mówiła – czegoś takiego, jak „marmury Elgina". Ten związek własności nie istnieje, zakłamuje rzeczywistość. Rzeźby oderwane z pomnika nie należą do odrywającego, a do pomnika. Dlatego powinno się mówić marmury Partenonu, nigdy „marmury Elgina" – przekonywała.

Później grecka ministra przypomniała, jak szkocki hrabia wszedł w posiadanie starożytnych dzieł sztuki. Thomas Bruce Elgin był brytyjskim ambasadorem na dworze tureckiego sułtana w czasach, gdy elity zachodniej Europy chorowały na archeomanię, a lekarstwa na tę przypadłość szukały w podróżach śladami starożytnych mistrzów. Francuscy, brytyjscy, niemieccy dżentelmeni, bo byli to głównie mężczyźni, chcieli się napatrzeć, nazachwycać, ale często także nachapać – jak grabieżca Sparty Fourmont, jak Cockerell, który ogołocił świątynię Afai na Eginie, czy jak Marie-Gabriel-Florent-Auguste de Choiseul-Gouffier, który zapoczątkował rozbiórkę Partenonu. Francuz najpierw zasłynął jako autor poczytnego reportażu z młodzieńczej podróży po Imperium Osmańskim, a później jako ambasador w Konstantynopolu wystarał się u sułtana o zgodę, *firman*, na „przysposobienie" fragmentów starożytnych dzieł. Dzięki niemu wywiózł z Aten statek pełny skarbów, które później częściowo spieniężył. Najcenniejszy był dwumetrowy fryz z Partenonu, który dziś znajduje się w Luwrze. Gouffier planował wrócić po więcej, ale nie zdążył – na przeszkodzie stanęła mu Rewolucja. Z obawy przed gilotyną były ambasador uciekł do Rosji. Na wytyczoną przez niego ścieżkę kilka lat później wszedł Thomas Bruce. Szkocki dyplomata najpierw stosował łapówki – przekupywał strażników wojskowego garnizonu, który mieścił się na Akropolu, by móc swobodnie rozeznać się w terenie i tamtejszym bogactwie. Później, podobnie jak Gouffier, Elgin zdobył od sułtana *firman* – chociaż jego autentyczność jest dyskusyjna – i zainstalował na Akropolu brygadę malarzy, rysowników i techników: kupił im ołówki i miarki, ale też dłuta, piły i liny. W wersji historii, którą w Oksfordzie przytoczyła Melina Mercouri, lord Elgin początkowo zamierzał jedynie

pobrać pomiary świątynnych rzeźb, by móc sporządzić ich wierne kopie na potrzeby wiejskiej rezydencji w Szkocji – ku uciesze młodej małżonki. Dlaczego zamiast kopiowania postawił na grabież i wywózkę, tego się nie dowiemy. Być może, jak niektórzy jego poprzednicy, chciał się zwyczajnie dorobić, być może działał z pobudek patriotycznych w brytyjsko-francuskiej batalii o kulturową dominację, być może liczył, że wyeksponowane w Londynie dzieła ateńskich mistrzów znajdą liczniejszych amatorów niż wśród bywalców Akropolu i przyczynią się do rozwoju nauki i sztuki. Być może myślał, że to dla nich jedyny ratunek – niewywiezione, z pewnością zostałyby rozkradzione lub kompletnie zniszczone przez barbarzyńskich tubylców, tak Turków, jak i Greków, którzy nie rozumieją ich historycznej i artystycznej wartości. A może chodziło o połączenie tych wszystkich motywów. W każdym razie dał rozkaz zatrudnionym rzemieślnikom: nie kopiujemy, a zdejmujemy, pakujemy na statek i wywozimy.

Akropol, gdzie dokonywał się ten proceder, w niczym nie przypominał dzisiejszego – nie był wtedy jeszcze dla Greków „Świętą Skałą", nie prowadziły nań wygodne ścieżki, daleko mu było do dzisiejszej sterylności, pod stopami wciąż była ziemia, kilka metrów ziemi, a nie, jak dziś, lita skała, po której ślizgają się sandały. Pobojowisko i gruzowisko. To samo tyczyło się Partenonu – daleko mu było wyglądem do dzisiejszej rekonstrukcji, jeszcze dalej do pierwotnej świetności. Najpierw w VI wieku zbezcześcili go chrześcijanie, organizując w nim katedrę – wykuli nowe drzwi, przeorientowali układ świątyni na potrzeby ołtarza, co bardziej pogańskie i obsceniczne w ich rozumieniu rzeźby potraktowali dłutem. Blisko tysiąc lat później do destrukcji – choć na mniejszą

skalę – dołożyli się Osmanie, przemianowując katedrę na meczet: z renesansowej dobudówki w postaci wieży zrobili minaret, a co im nie pasowało w środku świątyni, pobielali wapnem lub zamalowywali. Największymi niszczycielami byli jednak walczący przeciwko Turkom Wenecjanie. Był rok 1687 – Partenon stał już na Akropolu długo ponad dwa tysiące lat, chwilowo w charakterze składnicy prochu, a szwedzki hrabia na czele weneckiego oddziału nie zawahał się go ostrzelać gradem kilkuset bomb. Wybuch był potężny – kosztował życie około trzystu kobiet i dzieci ukrywających się wewnątrz świątyni i spowodował, że środek budowli się zawalił. Runęło blisko trzydzieści kolumn. Skrzydła zachodnie i wschodnie, które przetrwały eksplozję, wyglądały jak fragmenty dwóch osobnych budynków, a między nimi uformowała się sterta gruzu. Głównodowodzący weneckiej armii, późniejszy doża, generał Francesco Morosini, chciał sobie zrobić wojenny łup z tego, co ocalało na zachodnim tympanonie. Nieudolny grabieżca kazał swym ludziom zarekwirować rzeźby przedstawiające mityczny spór między Ateną a Posejdonem, ale ci, odłupując marmury, upuścili je na ziemię. Rzeźby roztrzaskały się na kawałki, a Morosini zaniechał ich wywózki, bo nie wydały mu się estetyczne.

Czy właśnie wtedy ucierpiał sam Posejdon? Do dziś przetrwał tylko jego boski korpus, chociaż podzielony na dwie części. Front, jakby odcięta nożem przednia część klatki piersiowej, znajduje się w Muzeum Akropolu i wzrusza mnie za każdym razem, gdy przed nim stoję i mu się przyglądam. Wielki bóg, wielki posąg – wysoki w oryginale na prawie trzy metry, wielkie, wyraźne mięśnie brzucha, widoczne fragmenty żeber, piersi. Grecy dosztukowali do niego za pomocą gipsu całą resztę, tworząc smutną hybrydę. Może to jedyny

sposób, by docenić piękno tego, co ocalało? Oryginalną „całą resztę” mają Anglicy: tył tułowia, a więc plecy, fragmenty umięśnionych ramion, delikatnie zarysowane obojczyki. Oraz marmurowe bebechy, niczym nieosłonięte, szorstkie, niekształtne – ot, kawał przeciętego kamienia. Jest w tym rozdzieleniu bożego korpusu na dwie części – dwa muzea, dwa miasta, dwa kraje – jakaś irytująca głupota, jakaś niesprawiedliwość.

Weneccy barbarzyńcy wkrótce wynieśli się z Akropolu i z Aten. Kontrolę nad wzgórzem odzyskali Turcy, którzy nieco tylko uprzątnęli teren, przerzucili gruz z wnętrza zburzonej świątyni na boki, a w ich miejsce postawili mały meczet[90]. Niczego nie restaurowali, nie kompletowali potłuczonych części. Leżą? Niech leżą. W konsekwencji fragmenty dzieł Fidiasza przeleżały na ziemi niemal niewzruszone ponad sto lat, aż w końcu pogrzebał w nich nieco francuski ambasador, a później, w 1801 roku, uwagę skupił na nich lord Elgin. Jego ludzie najpierw spakowali, co znaleźli na gruzowisku, by później móc zabrać się do górnej części budynku. Cięli, piłowali, obtłukiwali, roztrzaskiwali, wydzierali ze ścian co bardziej interesujące kawałki – bez uważności, bez cienia finezji, bez obaw, że zniszczą to, co rzekomo starają się ocalić. Naoczni świadkowie, przyjaciele i towarzysze szkockiego lorda, pisali o „druzgocącym spustoszeniu” i „bezdusznym barbarzyństwie”, „z oburzeniem potępiali i głęboko żałowali nieodwracalnych zniszczeń”[91]. Dziś greccy politycy i greckie media używają określeń z innego porządku: mówią o gwałcie, rozczłonkowaniu, dekapitacji, o ranach zadanych pomnikom i rzeźbom, o ranach, które wciąż nie mogą się zabliźnić, o stracie i żałobie. Jakby nie marmury opłakiwali, a zabitego krewnego. Kiedy ją o to zapytam, archeolożka doktor Eleni Stefanu wytłumaczy mi, że

to język traumy: Elgin zafundował Grekom zbiorową traumę – Elgin i greccy politycy, którzy do własnych celów wykorzystują ten historyczny fakt.

Dokładnie takiego języka używa mój brat Nikos. Jednej niedzieli mieliśmy się razem wybrać na Akropol. Nikos spędził w jego sąsiedztwie całe dzieciństwo, bo po przyjeździe z Polski do Grecji w połowie lat siedemdziesiątych jego mama Elefterija właśnie tam kupiła małe mieszkanie i żyje w nim w zimowe miesiące do dziś. Spacery, randki, imprezowe włóczęgi – wszystko to działo się wokół Akropolu. Teraz Nikos bywa w okolicy rzadziej, gdy jedzie odwiedzić matkę, ale na samym Akropolu nie był już dobrych kilka lat. Więc chętnie ze mną pojedzie. Po drodze z Glifady zapytałem, co sądzi o marmurach Partenonu.

– Oczywiście, że powinny do nas wrócić. Bez dwóch zdań. Wiesz, jak ten Elgin je potraktował? On je zniszczył, zgwałcił. Dlatego Brytyjczycy nie mają do nich żadnego prawa. Ich jedyny argument to silna pozycja międzynarodowa, myślą, że z takimi małymi krajami jak Grecja mogą robić, co chcą.

Brytyjski ambasador na początku XIX wieku wywiózł do Londynu piętnaście metop, pięćdziesiąt sześć płyt wydartych z fryzu, który pierwotnie okalał cały Partenon (sto dwadzieścia osiem metrów z oryginalnych stu sześćdziesięciu), siedemnaście rzeźb z tympanonów, a także jedną z sześciu kariatyd, które zdobiły sąsiadujący z Partenonem Erechtejon. W 1816 roku Elgin sprzedał swoją kolekcję brytyjskiemu państwu, bo wcześniej zadłużył się na jej transport i groziło mu, że zostanie bankrutem. Decyzję o kupnie starożytnych skarbów po intensywnej debacie podjęła specjalna komisja Izby Gmin. Posłowie dociekali, czy Elgin aby na pewno miał

pozwolenie na wywózkę, kto mu go udzielił, czy *firman* nie został w żaden sposób wymuszony. Chcieli wiedzieć, czy marmury są cokolwiek warte jako dzieła sztuki. Eksperci tłumaczyli im, że warte są fortunę, a dla państwowej propagandy są wręcz bezcenne. Dzięki nim Wielka Brytania będzie mogła odwoływać się do klasycznych korzeni i prezentować się jako kraj wysoce cywilizowany. *Deal* – odrzekli posłowie i zgodzili się zapłacić Elginowi połowę ceny, którą zaproponował. Wkrótce po tym marmury trafiły do Muzeum Brytyjskiego.

Tymczasem Grecy szybko zrozumieli, co utracili. Po rewolucji i utworzeniu państwa z bawarskim królem na czele, po przeniesieniu stolicy z Nafplio do Aten, uczynili Akropol elementem założycielskiego mitu narodowego, „Świętą Skałą" – dowodem na nieprzerwaną, kulturową i genetyczną ciągłość między nimi – współczesnymi Grekami a ich starożytnymi przodkami; symbolem dawnej greckiej chwały, ale też fundamentem Grecji nowożytnej. Do przyjęcia tej filozofii usilnie namawiali Greków niemieccy goście, którzy przybyli razem z królem Ottonem. Ich marzeniem było zrobić z Aten prawdziwe europejskie centrum intelektualne i artystyczne na miarę starożytnego wzorca. Dla Akropolu mieli dwa pomysły. Pierwszy zakładał, że na wzgórzu powstanie imponujący pałac królewski, nowy dom dla młodego króla. Jego brat Maksymilian zlecił przygotowanie szczegółowego projektu.

– Widziałam te plany! – mówi mi Kutsumba nad talerzem makaronu, robi przy tym wielkie oczy i teatralnie łapie się za głowę. – Oni naprawdę byli gotowi to zrobić. To by wszystko zmieniło. Wszystko potoczyłoby się inaczej.

Plany zakładały, że ruiny Partenonu zostają na miejscu i tworzą fragment pałacowego dziedzińca. Po namyśle Bawarczycy zrezygnowali jednak z drogiego, trudnego w wykonaniu i ekstrawaganckiego projektu na rzecz wizji być może jeszcze śmielszej. W środku ruin Partenonu, w miejscu, gdzie przeszło dwa tysiące lat wcześniej stał dwunastometrowy pomnik Ateny autorstwa Fidiasza, Bawarczycy ustawili królewski tron. Tylko na chwilę, na kilka godzin, w ramach państwowej uroczystości z udziałem króla. Otto wjechał na wzgórze na koniu, po czym zasiadł na tronie i wysłuchał przemówienia swojego rodaka Leo von Klenzego, wielkiego filhellena i wielkiego architekta, który wcześniej zaprojektował dla jego ojca, króla Bawarii Ludwika I, monachijską Gliptotekę (z marmurami zagrabionymi ze świątyni Afai na Eginie), a później także wnętrze rosyjskiego Ermitażu w Petersburgu. Von Klenze powitał młodego króla na Akropolu, przypomniał, że w przeszłości przechadzali się po tym wzgórzu między innymi Temistokles czy Perykles, i wyjaśnił, że oto zbliża się moment w dziejach magiczny, symbolicznego powrotu do klasycznego ideału: „Wnet zniknie wszelki spadek po barbarii, tak tu, jak i w całej Grecji, a to, co się ostało po chwalebnej przeszłości, ukaże się w nowym świetle, jako mocny fundament wspaniałej przyszłości”[92].

Doradca młodego króla zarządził, by z Akropolu usunąć wszelkie pozostałości po chrześcijańskiej katedrze, po późniejszym meczecie – wszystko, co było w jego mniemaniu naddatkiem wobec klasycznych budowli, ślady Bizancjum i „turkokracji”. Grecy chętnie przystali na ten pomysł. Zaczęło się sukcesywne gumkowanie kolosalnych fragmentów trudnej, niejednoznacznej, momentami dramatycznej historii wzgórza, celowe i świadome zakłamywanie jej, wielkie

narracyjne „porządki", które miały usunąć zabrudzenia i na nowo odkryć dawny ideał. Proces trwał ponad pół wieku i zostawił „Świętą Górę" w stanie zbliżonym do tego, jaki znamy dziś – kilka częściowo zniszczonych świątyń i lita skała.

W czasie krótkiego pobytu w Atenach w 1834 roku von Klenze zarządził też odbudowę Partenonu, ogołoconego przez Elgina ledwie kilkanaście lat wcześniej. Grecy ochoczo do niej przystąpili, ale szybko pojęli, że ich praca jest daremna, jeśli nie odzyskają wywiezionych marmurów. Pierwszą oficjalną prośbę o ich zwrot w 1842 roku – blisko sto pięćdziesiąt lat przed Meliną Mercouri i blisko sto dziewięćdziesiąt lat przed premierem Mitostakisem – wystosował do Brytyjczyków poprzednik Kutsumby, przewodniczący Stowarzyszenia Archeologów Greckich Aleksandros Ragawis[93]. Jego następca zrobił to samo w 1924 roku, a przed nim w medialne polemiki z brytyjskimi dziennikarzami wchodził w tej sprawie poeta Konstantinos Kawafis[94]. Żądania do Londynu słali także kolejni burmistrzowie Aten i rektorzy ateńskiej Akademii. Na próżno. Anglicy nie podejmowali dialogu.

„–Dziś mamy inną Anglię – kontynuowała oksfordzką przemowę Melina Mercouri. – Inaczej rozumiemy koncepcję imperium i kulturowych podbojów. Rządzi inna etyka. Ciekawi mnie, co o marmurach z Partenonu powiedzieliby członkowie podobnej komisji dziś. Zaryzykowałabym, że mieliby inne zdanie, nie zgodziliby się ze swoimi poprzednikami […] Chcąc poruszyć wasze sumienia, postawię kilka pytań: czy jeśli marmury były zagrabione bezprawnie, powinny nadal być przetrzymywane poza Grecją? Czy nawet jeśli ich zagrabieniu towarzyszył szczytny cel, dziś nie należy ich zwrócić? Czy ma znaczenie, że jeśli marmury zostaną w Londynie, dziewięćdziesiąt

pięć procent Greków nigdy nie zobaczy tego genialnego dzieła? Czy można sobie wyobrazić, że wolna Grecja pozwoliłaby na wywiezienie marmurów?”[95].

Na koniec wystąpienia grecka ministra zwróciła się do zasłuchanych studentów – w tym do przyszłego premiera Borisa Johnsona – z apelem: „Musicie zrozumieć, czym są dla nas te marmury. Są naszą dumą. Naszą ofiarą. Naszym najbardziej szlachetnym symbolem doskonałości. Są hołdem dla demokracji. Marmury z Partenonu to nasze marzenie i nasze imię. Są najczystszą esencją greckości. Opiekowaliście się nimi przez blisko dwieście lat najlepiej, jak umieliście i za to wam dziękujemy, ale teraz w imię sprawiedliwości i poczucia moralności: proszę, oddajcie je nam”[96].

Studenci bili brawo, Melina rozdawała szerokie uśmiechy, greckie gazety entuzjastycznie przedrukowały przemowę ministry, ale impas nie został przełamany, żaden zwrot w sprawie zwrotu nie nastąpił.

– Do tego Mercouri przestrzeliła, mówiąc, że Brytyjczycy dobrze się marmurami zaopiekowali – komentuje archeolożka Kutsumba i tłumaczy, że ona sama aż się zatrzęsła, gdy kilka lat temu zobaczyła skutki rzekomej opieki. Była wtedy przewodniczącą Stowarzyszenia Archeologów Greckich i pojechała do Londynu wraz z grupą znajomych, by przeprowadzić symboliczny protest przeciwko polityce oszczędności, jaką na Grecji chciała wymusić cała Europa. – To było w samym środku kryzysu gospodarczego, wszędzie ogłaszano cięcia i zwolnienia, z pracy wylatywali archeolodzy, ale także muzealni strażnicy, więc zdarzały się kradzieże, jak ta w Olimpii, na pewno o niej słyszałeś. Poszliśmy do Muzeum Brytyjskiego, do Galerii Duveena, i stojąc na tle marmurów z Partenonu, rozłożyliśmy transparenty z napisem „Nie mamy forsy,

nie płacimy”. Zostałam w galerii po proteście i miałam okazję dokładnie przyjrzeć się temu wszystkiemu, co Elgin wywiózł. Byłam wściekła! Samo pomieszczenie jest źle oświetlone, marmury nie mogą pracować ze słońcem ani z cieniem, a w zamyśle Fidiasza taka gra miała się stale odbywać. Ale najgorsze było to, że oni te nasze rzeźby zniszczyli, musieli je ścierać i szorować, pozbyli się w ten sposób wielu ważnych detali. Chciałam krzyczeć!

W 1986 roku Mercouri nie wiedziała być może o tym, co brytyjscy muzealnicy zrobili z kolekcją Elgina w 1938 roku. Od fundatora galerii Josepha Duveena dostali zlecenie, by przywrócić marmury do stanu idealnego, a więc usunąć z nich wszelkie zabrudzenia i patynę: mają być kremowo-białe, lśniące, gładkie, czyste. Jednak bogaty marszand – zresztą do dziś nie on jeden – miał mylne wyobrażenie o klasycznym pięknie, bo gdy starożytne rzeźby powstały, nie były białe, czyste i gładkie. Wręcz przeciwnie – aż kipiały od kolorów, od żółci, zieleni, błękitów i czerwieni tak intensywnych, że niemal kiczowatych. Białe stały się z czasem, gdy deszcze zmyły z nich barwniki.

Technicy, których opłacił Duveen, także nie byli odpowiednio wykształceni, nie znali metod konserwacji antycznych dzieł. Do oczyszczania i wybielania przystąpili za pomocą papieru ściernego, szczotek i szlifierek.

– Zniszczyli je po raz drugi! – oburza się Kutsumba. – Naprawdę byłam wtedy wściekła.

Proceder „czyszczenia” wyszedł na jaw, ale chwilę później wybuchła druga wojna światowa i sprawa przycichła. Po raz drugi skandal odżył dopiero pod koniec lat dziewięćdziesiątych XX wieku.

●

Kilka dni po rozmowie z Kutsumbą urządziłem sobie spacer po Akropolu. Uderzyła mnie cisza, której nigdy wcześniej w tym miejscu nie doświadczyłem. Nie było tłumów, do których przywykłem, byli za to marudni strażnicy, którzy nie pozwalali zbliżać się do budowli, kazali trzymać dystans i upominali, gdy człowiek zbaczał ze ściśle określonej, pandemicznej trasy, biegnącej tylko w jednym kierunku.

Pierwszy raz byłem tu szesnaście lat temu – gdy akurat spędzałem w Atenach całe lato i stażowałem w Polskiej Ambasadzie. Trwały Igrzyska Olimpijskie. Z powodu turystów trzeba było swoje odstać w kolejce po bilety wstępu. Czekałem godzinę, dobrze to pamiętam, bo Akropol mnie nie zachwycił i byłem na siebie zły: nie dość, że spłynąłem potem, to jeszcze zmarnowałem pół dnia, zamiast obejrzeć jakieś zawody. Stare Muzeum Akropolu było źle oświetlone i przeładowane, nie opowiadało żadnej historii. Rozczarowały mnie dźwigi i rusztowania rozstawione na wzgórzu, ale też sam Partenon, zaskakująco kruchy i biedny. Z oryginalnych metop i fragmentów fryzu zachowały się już tylko nieliczne, resztę zdjęto i przeniesiono do muzeum – z powodu smogu, który przez lata skutecznie podduszał starożytne rzeźby. Musiałem przekonać sam siebie, że oto patrzę na wielkie dzieło dawnych mistrzów, gdy w rzeczywistości patrzyłem na fuszerkę Nikolaosa Balanosa, greckiego architekta, który dowodził rekonstrukcją świątyń na Akropolu do lat trzydziestych XX wieku. Nawet moje niewprawne oko widziało, że coś jest nie tak, że fragmenty stawianych na nowo kolumn wzdłuż północnego i południowego skrzydła nie powinny się od siebie różnić, że sztukowano je byle jak. Podobnie marmurowe płyty –

trafiały nie tam, gdzie umieścił je Fidiasz, ale tam, gdzie umyślił sobie Balanos. Później doczytałem, że architekt źle dobrał też metalowe zaciski, mające łączyć fragmenty kamieni, przez co zdarzały się pęknięcia. Wszystko to trzeba było ponownie wymieniać, re-rekonstruować. Prace wstrzymała wojna.

Ale nawet w czasie wojennej okupacji na Akropolu rodziły się mity i mityczne postacie. Konstantinos Kukidis był na służbie, gdy 21 kwietnia 1941 roku żołnierze 2. Dywizji Pancernej Werhmachtu wjechali na „Świętą Górę". Młody ewzon w galowym mundurze – rajtuzy, *fustanella, tsaruchia* – usłyszał, że ma zdjąć z masztu grecką flagę, by zrobić miejsce dla wielkiej okupacyjnej swastyki. Zrobił to, po czym owinięty w biało-niebieski materiał rzucił się ze zbocza. W miejscu, gdzie znaleziono jego zwłoki, w 2000 roku władze Aten ustawiły pamiątkową marmurową tablicę – stoi do dziś, nieco tylko obtłuczona. Sęk w tym, że Kukidis nie istniał. Kilka lat temu burmistrz Aten oświadczył, że przeprowadził w tej sprawie dokładne śledztwo. Okazało się, że o dzielnym bohaterze greckiej wyobraźni nie ma choćby jednej wzmianki w wojskowych archiwach, nie opłakiwała go żadna rodzina, żadna matka, żadna wioska się do niego nie przyznała. Milczą o nim także niemieckie dokumenty. Naziści nie przejęli się niezaistniałym samobójstwem, rozgościli się na Akropolu, mieli zakaz niszczenia zabytków, ale już sikać na nie nikt im nie bronił. Z wojskowego baraku najbliżej było do Partenonu, który został główną latryną[97]. Tak jak planowali, Niemcy wciągnęli na piętnastometrowy maszt na „Świętej Skale" wielką flagę ze swastyką. To była niedziela – „pochmurna niedziela", jak twierdzi Wasilis Tsitsanis w tytule słynnej piosenki *Synnefiasmeni Kyriaki*, poetyckim lamencie nad utraconą wolnością. Miesiąc później dwaj

inni bohaterowie, tym razem niefikcyjni, weszli nocą na okupowane wzgórze i po trzech godzinach szarpaniny zerwali flagę. Wycięli z niej na pamiątkę dwa kawałki, resztę ukryli pod kamieniami. O poranku ateńczycy triumfowali, a Niemcy szaleli ze złości. Sprawców skazali zaocznie na karę śmierci, ale nigdy ich nie ujęli. Byli to Apostolos Santas, który pochodził z Patry, ale rodzinną wioskę miał na Lefkadzie, i Manolis Glezos, urodzony w wiosce Apirantos na wyspie Naksos. Ich rodziny przed wojną przeniosły się do Aten. Młodzi chłopcy studiowali i zaangażowali się w lewicowy ruch oporu. Santos zmarł w 2011 roku, Glezos przemawiał na jego pogrzebie. Sam żył prawie dekadę dłużej – zmarł w marcu 2020 roku, jako ostatni z wielkich narodowych bohaterów: partyzant, dziennikarz, inżynier, lewicowy polityk. Miał dziewięćdziesiąt siedem lat. Przed śmiercią zdążył pójść do Efetijo, gdzie trwał proces członków Złotego Świtu. Ciemne spodnie, dżinsowa koszula z krótkim rękawem, rozpięta pod szyją, gęsty, siwy wąs, laska. Wziął na bok Magdę Fisa i powiedział, że to dla niej przyszedł do sądu: „Jeśli tylko mogę ci pomóc, jakkolwiek, dzwoń!”. Pół Aten wyległoby na jego pogrzeb, ale z powodu pandemii w ceremonii, którą opłaciły władze miasta, udział wzięli tylko najbliżsi. Magda Fisa przekazała wdowie po Glezosie kopertę z liścikiem i poprosiła, by ją wrzucić do grobu. Rząd nakazał, by tego dnia opuścić flagę na Akropolu do połowy masztu.

Szesnaście lat po mojej pierwszej wizycie na wzgórzu patrzyłem na inny Partenon – nieco porządniej zre-rekonstruowany. Gdybym miał obok mojego brata Nikosa (koniec końców nie dotarł ze mną na Akropol, wypadło mu coś pilnego), zapytałbym go, czy pamięta, kiedy był tu po raz pierwszy. Może w ramach szkolnej wycieczki? Może nieco później? Jeśli Nikos odwiedził Akropol jeszcze w latach

siedemdziesiątych, miał szansę zobaczyć całokształt fuszerki Balanosa, ale też oryginalne kariatydy podpierające południowy portyk Erechtejonu – pięć z sześciu, bo jedną wywiózł do Londynu Elgin. W 1979 roku zabójczy smog zapędził kariatydy do muzeum. Zastąpiły je wierne kopie.

A na co patrzyła moja mama, gdy w nieodpowiednich butach – niskich szpilkach – wybrała się na Akropol na kilka miesięcy przed moim urodzeniem, wiosną 1983 roku? Ojciec został w hotelu. Czy widok ją zachwycił? Czy może bardziej zajmowały ją obolałe stopy? Nie dowiem się. Żyły na stopach miała jak ciepłownicze rury, trochę może szorstkie pięty, twarde paznokcie, które musiała przed obcięciem wymoczyć w ciepłej wodzie. Zdrowe stopy, takie, co to niejedno w życiu przeszły, co to się zdrowo nachodziły… W ostatnich godzinach pojawiły się problemy z krążeniem i krew coraz leniwiej zapuszczała się w okolice stóp. Podskórna czerwień ustępowała bladości. Siny marmur. Wiedzieliśmy, co to oznacza, i wiedzieliśmy, że nic już nie da się zrobić. Nic. Moja mama umierała od stóp.

W 1986 roku ruszył program kolejnej, wielkiej re-re-rekonstrukcji Partenonu, która trwa do dziś. Proces jest poważny, dogłębnie przemyślany, rozłożony na dekady, kosztowny, jest liftingiem, delikatną dermabrazją, botoksem i witaminową suplementacją jednocześnie. Jego cel – złożyć świątynię najwierniej, jak się da, najsprytniej, jak się da, tak, by każdą plombę można było wyjąć i wymienić, gdyby znalazł się oryginał, gdyby Brytyjczycy oryginały oddali. Na ścianach świątyni można dziś oglądać jedynie kopie – wszystkie oryginalne rzeźby będące w posiadaniu Greków zostały przeniesione do pobliskiego Muzeum Akropolu, które działa od 2009 roku. Jego huczne otwarcie było okazją do kolejnych wezwań

pod adresem Londynu: oddajcie nasze marmury, mamy dla nich lepsze miejsce niż wasza galeria Duveena, nowoczesne i ekskluzywne, mamy dla nich przestrzeń, światło, mamy dla nich greckie słońce. Krzyczącym znów odpowiedziała cisza. Dyrektor Muzeum Brytyjskiego, choć zaproszony, nie pojawił się na inauguracyjnym bankiecie. Obecni byli za to premierzy i prezydenci dziesięciu krajów i ponad dwudziestka ministrów kultury – wśród nich także polski minister. Gości powitał prezydent Karolos Papulias: „Partenon jest majestatycznym pomnikiem zbudowanym na cześć najważniejszych cnót, reprezentowanych przez kult bogini Ateny. Jest imponujący, ale chwali umiar. Dowodzi, że prostotę można spotkać z doskonałością. Dla nas, Greków, to coś więcej. To nasza tożsamość i nasza duma. Od dziś cały świat może podziwiać w tym muzeum rzeźby Partenonu. Niektórych brakuje. Nadszedł czas, by uleczyć rany pomnika poprzez zwrot tych marmurów, które do niego należą”[98].

Na niższych piętrach muzeum można zobaczyć archaiczne, przedklasyczne posągi i rzeźby oraz znaleziska z okresu rzymskiego, a także pięć dumnych kariatyd. Najważniejsze są jednak zbiory na najwyższym piętrze, w galerii partenońskiej. Twórcy stałej wystawy odtworzyli tam nijako układ samej świątyni i włożyli to, co ocalało i czego nie zabrał Elgin, w odpowiednie miejsca. Zaś między oryginalnymi rzeźbami zainstalowali gipsowe odlewy. Fryz okala całość konstrukcji, jak miał okalać, metopy nie wiszą względem siebie przypadkowo, jest tam też mój ulubiony, niekompletny tors Posejdona. Stojąc przed nim, wystarczy, że zerknę w lewo przez wielkie okna i widzę sam Partenon. Ale to sprytne rozwiązanie nie niweluje poczucia braku, a wręcz je umacnia. Widzimy, czego

w zbiorach muzeum brakuje, wiemy, dlaczego; wiemy, gdzie się znajdują brakujące fragmenty i chcemy, by wróciły, by wypełniły lukę.

– Tak działa brak, wywołuje emocje, produkuje nostalgię za całością, smutek, przygnębienie, rozczarowanie – wyjaśnia mi przy kawie doktor Eleni Stefanu, archeolożka z Hellenic Open University, muzealniczka i badaczka zajmująca się dziedzictwem kulturowym. – Do tego dochodzi język, którego używamy, mówiąc o zagrabionych marmurach i o tym, jak doszło do kradzieży: przez gwałt, przez zadanie głębokich ran, przez uśmiercenie. Starożytne rzeźby nabierają ludzkich cech, krwawią, krzyczą, ożywają, stają się zaginionym krewnym, członkiem greckiej rodziny. To wszystko składa się na naszą zbiorową kulturową traumę.

Traumę, która w dodatku stale się reprodukuje, bo jak mówi Stefanu, kolejne pokolenia karmione są tą samą opowieścią o złym lordzie, który ograbił dobrych Greków z ich największego skarbu – słyszą o tym w szkole, od polityków, czytają o tym w gazetach. Uczniowie na wycieczkach w Londynie urządzają w Muzeum Brytyjskim protesty, za co w kraju są oklaskiwani. Aktywiści zakładają komitety na rzecz zwrotu marmurów, apelują, by podpisywać petycje, by samemu słać do Brytyjczyków listy. Powstają o marmurach filmy, książki i piosenki. Jeśli coś jednoczy podzielone greckie społeczeństwo, to właśnie narodowa zgoda w kwestii marmurów.

– Skarby starożytności, choć same pochodzą przecież z ery przednarodowej, nabrały cech narodowych, stały się „greckie” i jako takie stale pomagają kształtować grecką tożsamość. Ich kradzież oznaczała ranę na tej tworzącej się tożsamości. Mówił o tym były

premier Samaras: że rzeźby, które są dziś w Muzeum, to coś więcej niż dzieła sztuki, to cząstki nas samych. Zaś dzieła, które wywiózł Elgin, to cząstki naszej greckiej duszy, dlatego ich nieobecność jest tak bolesna.

– Czy możemy sobie wyobrazić, że marmury wracają?

– Próbowałam wiele razy, ale nie starcza mi fantazji. Myślę, że w pierwszej fazie widzielibyśmy ludzi świętujących na ulicach, jak po wygranej w piłkarskich mistrzostwach: zwycięstwo, nareszcie uśmiechnął się do nas los, nareszcie dzieje się sprawiedliwość, wstajemy z kolan! Dostalibyśmy zastrzyk z narodowej dumy, ale co potem? Dumy wystarczyłoby na kilka miesięcy, może na rok. Co by się stało z naszą traumą? Z naszą grecką tożsamością?

●

Prosto z Akropolu poszedłem do jednej z pobliskich modnych kawiarnio-księgarni na spotkanie z Kateriną Kakuri. Jest aktorką i pisarką książek dla dzieci. Atenka z babki, prababki. Niecałe trzydzieści lat, długie ciemne włosy, atletyczna sylwetka – to zasługa jogi. Kakuri zdziwiła się, że chciałem z nią rozmawiać o performansie w Muzeum Brytyjskim, w którym odgrywała rolę kariatydy.

– Przecież już sześć lat minęło. Kawał czasu. Z drugiej strony ciągle dostaję wiadomości, telefony, podziękowania. W internecie można zobaczyć filmik z naszej akcji. Ludzie oglądają i piszą wzruszeni, dziękują. Ta kariatyda to jak na razie moja najlepsza rola.

Była jeszcze w szkole aktorskiej, gdy na zajęcia przyszli znany dyrygent Teodoros Orfanidis i jego żona, ceniona sopranistka Sonia Teodoridu. Zrobili casting na „grecką piękność” – sztuk pięć.

Dziewczyny musiały być wysokie, szczupłe, ale nie chude, musiały mieć gęste, długie włosy, duże oczy i jasną karnację.

– Chodziło im, jak tłumaczyli, o klasyczną urodę. I wybrali między innymi mnie. Później wyjaśnili, że nie przygotowują żadnej sztuki, tylko happening w Muzeum Brytyjskim. „Marmury Partenonu" – pomyślałam i od razu się zgodziłam. Ba, nawet zaoferowałam, że przygotuję dla nas wszystkich stroje.

Śnieżnobiałe suknie – *chitony* – Katerinie pomogła uszyć mama. Przewiązane w tali ukrytym paskiem, z rozciętymi rękawami i głębokim dekoltem, bogato plisowane.

– Moja nadal wisi w szafie. Nie zakładałam jej od tamtej pory, ale jakoś nie mogę się jej pozbyć.

Po kilku tygodniach przygotowań na dziedzińcu Muzeum Akropolu odbyła się próba generalna. Jednym z widzów był grecki prezydent. A kilka dni później cała ekipa odleciała do Londynu. Zameldowali się w hotelu i wcześnie poszli spać. Wstali o drugiej nad ranem, by zacząć charakteryzację.

– Miałyśmy delikatny makijaż i misternie upięte włosy, mocno polakierowane, a dodatkowo oprószyłyśmy je białym pudrem. Wyglądałyśmy pomnikowo.

Przedstawienie rozpoczęło się o dziesiątej rano. Sonia Teodoridu szła w środku, nie śpiewała, tylko nuciła i za pomocą krotali – odmiany kastanietów – wygrywała cicho rytm ich marszu. Performerki mijały kolejne sale muzeum. Idąc, rozglądały się na boki, sprawiały wrażenie, jakby czegoś lub kogoś szukały. Ruchy powolne i płynne, żadnych ostrych cięć, nagłych zwrotów. Szukały zaginionej siostry.

– Powinnam powiedzieć porwanej siostry, szóstej kariatydy. W końcu doszłyśmy do pomieszczenia, w którym uwięzili ją Brytyjczycy, z dala od pozostałych ukradzionych marmurów. Na samo wspomnienie mam ciarki.

Na zdjęciach z happeningu widać żywe kariatydy stojące wokół odnalezionej posągowej „siostry". Nie zdradzają wielkich emocji, ale Katerina twierdzi, że ledwo była w stanie je ukryć.

– To było mistyczne doświadczenie, bardzo głębokie. Miałam ochotę płakać, choć nie wiedziałam, ze szczęścia czy ze smutku. Czułam dumę z bycia Greczynką. Czułam, że jestem Greczynką – ze wszystkimi naszymi tradycjami, z całą historią, kulturą, z naszymi starożytnymi przodkami. Jedność. Kto nie jest Grekiem, nie będzie chyba umiał tego pojąć. A Ty rozumiesz? Ty może chociaż trochę rozumiesz. Chodzi o naszą tożsamość.

– Ale Brytyjczycy twierdzą, że to, co Elgin wywiózł z Akropolu, należy do wszystkich, do całej ludzkości, nie trzeba być Grekiem, by to docenić – powiedziałem, próbując uciec od odpowiedzi.

– Jeśli należy do wszystkich, to dlaczego oni trzymają to u siebie? Niech nam te marmury oddadzą. Oczywiście, że każdy może podziwiać i doceniać ich wartość. Ale nie każdy będzie czuł to, co my.

PSZCZOŁY I WILKI

Z zachodu, znad Wysp Jońskich, nadciągał nad Ateny cyklon Janos. Miał uderzyć w grecką stolicę akurat 18 września, w siódmą rocznicę zamordowania Pawlosa Fisasa. Było ryzyko, że mocarny żywioł utrudni symboliczne *mnimosino* – czyli wspomnienie zmarłego, że ludzie się przestraszą i nie przyjdą na rocznicowy marsz. Ale Janos okazał się kapryśny – po tym jak spustoszył Lefkadę i Kefalonię, jak sprowokował na obu wyspach błyskawiczne powodzie, jak przekonał morze, by wylało i zalało kawały nabrzeża, po tym, jak zapłodnił górskie potoki, które napęczniałe przelały się przez dom Reginy – szwagierki mojego brata Nikosa, siostry Wiwi – i jej męża, niszcząc kompletnie podłogi, zabierając meble i sprzęty, dewastując ogród, po tym, wszystkim, wbrew obliczeniom ekspertów, cyklon niespodziewanie zwolnił i osłabł. Nad Attykę dotarł dopiero nad ranem, gdy rocznicowe obchody dawno się skończyły. Marsz z Kieratsini do Pireusu był niezagrożony. Ludzie, którzy przyjechali specjalnie z całych Aten, uznali, że nie ma się czego bać.

Im, w przeciwieństwie do mnie, nie przeszkadzał wrześniowy upał, który nie odpuszczał wcześniej niż późnym wieczorem. W drodze do Kieratsini kisiłem się w przeładowanym autobusie, a później w metrze. Gorące powietrze na podziemnych stacjach stało, ani drgnęło, chyba że akurat wjeżdżał pociąg, wtedy przez krótką chwilę

żałośnie wirowało, opuszczając ciemny tunel – zbyt ciepłe i rozrzedzone, by przynieść ukojenie. Twarz ukrytą za maseczką zalewał mi szukający ujścia pot.

Było nas przy pomniku Fisasa kilka tysięcy spoconych, spory tłum. Z transparentami, rozkrzyczanymi gardłami, w papierosowym dymie – aktywiści, antyfaszyści, związkowcy, przyjaciele, rodzina, sąsiedzi rapera, dziennikarze.

Czas był wyjątkowy: proces sześćdziesięciu ośmiu złocistych, który ruszył blisko pięć i pół roku temu, był na finiszu. Wyrok miał być ogłoszony za kilkanaście dni. A masowy protest – poza tym, że rocznicowo cykliczny – miał być też sygnałem dla trójki sędziów, że patrzy na nich cała Grecja. Znamy dowody i wiemy, że sprawiedliwa decyzja może być tylko jedna – wszyscy winni!

Jeszcze chwila i ruszymy. Do pokonania mamy cztery kilometry – po rozgrzanym asfalcie, w wilgotnym upale.

W tłumie odnajduję znajome twarze.

Siwiejące włosy, charakterystyczne okulary z cienkimi metalowymi oprawkami – to Tanassis Kambajannis, znany adwokat i działacz antyfaszystowski. Przed wybuchem pandemii, która uziemiła proces na kilka miesięcy, Kambajannis wygłosił porażającą mowę końcową. Metodycznie rozbijał w pył argumenty drugiej strony i tłumaczył, dlaczego racji nie ma prokuratorka Ikonomu, która proponowała uniewinnienie wszystkich oskarżonych poza mordercą Rupakiasem. „Proces udowodnił, że mieliśmy do czynienia z przestępczym planem, który wymyślił sam Michaloliakos – mówił – dlatego miarą sprawiedliwości wobec ofiar nie jest ukaranie samych bezpośrednich sprawców ataków, ale skazanie »wodza«. On obmyślił plan działania i w oparciu o niego zbudował organizację, która ma nie tylko

komponent polityczny, ale też operacyjny, kryminalny, która ma odpowiednią hierarchię i opiera się na przemocy. Oczywiście sam nie mógłby swojego planu zrealizować – stąd bliscy współpracownicy: Lagos, Kasidiaris, Panajotaros, Papas, Jermenis. Ale bez Michaloliakosa nie byłoby nawet zbrodniczego planu. On jest jak niewidzialna ręka dyrygenta, która prowadzi zbrodniczą orkiestrę. On jest mózgiem organizacji. Założenie, że ktoś inny mógłby wydawać rozkazy, że można by się z wodza naśmiewać, że można by stworzyć brygady uderzeniowe pod jego nosem, ale bez jego wiedzy – kłóci się z rozumem. Sam Michaloliakos w tym sądzie powtarzał: »Można mnie winić za wiele rzeczy, ale nie za to, że jestem głupcem«".

Prawnik potrzebował aż trzech dni, by powiedzieć wszystko, co chciał. Morderstwo Fisasa opisał jako zbrodnię polityczną. Twierdził, że rapera nie zabił przypadkowy „samotny wilk", zabiła go organizacja przestępcza, która uznała go za wroga. Zagrożeniem dla złocistych była przede wszystkim wizja „greckości", jaką Killah P prezentował w swoich piosenkach, na przykład w utworze *Zoria*. Jego fragmenty Kambajannis cytował w sądzie:

Dobrze jest umrzeć w taki dzień jak dziś,
Z głową podniesioną dumnie, na widoku.
Nazywam się Pawlos Fisas. Jestem z Pireusu.
Jestem Grekiem. Cokolwiek to znaczy – wszystko poza flagą.
Ubrany na czarno potomek Achillesa i Kareskakisa.
Urodzony z dwoma ciężarami przytroczonymi do pleców.

– Dlaczego wybrał pan akurat ten utwór? – zapytałem prawnika, gdy trzy dni przed marszem odwiedziłem go w jego biurze w centrum Aten.

– Złociści próbowali udowodnić, że piosenki Pawlosa nie były polityczne, nie były antyfaszystowskie i dlatego on sam nie mógł być celem ich ataku. Ale ten właśnie utwór dowodzi czegoś przeciwnego. Pawlos był mocno zaangażowany w sprawy polityczne, choć nie obchodziły go partie, ruchy, młodzieżówki, tym podobne sprawy. Wystarczała mu jego muzyka i koncerty. Gdy rapował o „greckości", wyraźnie odrzucał kategorie biologiczne, które dla Złotego Świtu są najważniejsze. Krew, rasa, pochodzenie nie miały dla niego znaczenia. Nie interesował go nacjonalizm, ani puste symbole jak flaga, którą złociści bez przerwy wymachiwali i za którą się chowali.

– A skąd w piosence Achilles i Kareskakis?

– Chodzi o dwa rdzenie naszej historii: starożytność i nowożytność. Dla Pawlosa to historyczne dziedzictwo było ciężarem, komplikowało życie w teraźniejszości. Z kolei Złoty Świt bierze je na sztandary jako składowe swojej wersji nacjonalizmu, czyli de facto nazizmu. Gdy Pawlos wymieniał Kareskakisa, jednego z liderów rewolucji, odwoływał się też do własnej rodziny. Bo panieńskie nazwisko jego matki to właśnie Kareskakis. Kto inny wziąłby to za powód do dumy, do wywyższania się. I Pawlos, i Magda Fisa byli od tego jak najdalsi. Pawlos deprecjonował wszystko, co złociści uważali za ważne. Nie bał się o tym mówić publicznie, śpiewać o tym na koncertach. Był znany i coraz bardziej popularny, szczególnie w robotniczym Pireusie, którą to dzielnicę Złoty Świt chciał opanować. Był dla złocistych niebezpieczny.

Podobnie myśli koleżanka Kambajannisa, młoda prawniczka, Chryssa Papadopulu, która w *megali diki* reprezentowała Magdę Fisa, jej córkę Irini i męża Panajotisa.

– Pawlos odrzucał wielkie historyczne narracje, nie pasowały do jego wizji życia. Nie znałam go osobiście, ale mam wrażenie, że poznałam go w trakcie procesu. Dziwne uczucie – poznać kogoś po śmierci. Zaprzyjaźniłam się z jego rodziną, z jego przyjaciółmi, ciągle słucham jego piosenek. Mam wrażenie, że wiem, jaki był i co myślał. Odważny w działaniu i myśleniu, nie bał się iść własną drogą, wolny. Kochał swoich najbliższych, muzykę, którą tworzył, kochał występować na koncertach, kochał dzielnicę, w której się urodził i wychował. Gdy mój przełożony zaproponował mi, bym włączyła się do sprawy, byłam przerażona. Na pierwszym spotkaniu z Magdą w ogóle się nie odzywałam. Nie wiedziałam, co powiedzieć. Że mi przykro? Przecież to bez znaczenia, puste słowa. Ale z czasem zaczęłyśmy rozmawiać, wzajemnie się poznawać i stało się dla mnie jasne, dlaczego akurat Magda miała takiego syna i dlaczego Pawlos miał akurat taką matkę.

Papadopulu także przyszła na demonstrację do Kieratsini. Widziałem, jak przed startem marszu podeszła do Magdy Fisa. Kobiety zdjęły na chwilę maseczki i wbrew pandemicznym obostrzeniom przywitały się długim, serdecznym uściskiem. Ze mną prawniczka spotkała się w kawiarni na Eksarchii – niedaleko mieści się jej biuro. Przy mrożonym espresso opowiadała, że ona też ma problem z obowiązującą wizją „greckości", że dokładnie rozumie historyczny ciężar, o jakim Killah P rapował w *Zorii*.

– Gdy człowiek dorasta w Grecji, ciągle słyszy, że jako naród jesteśmy najlepsi, wyjątkowi, że Grecja zrodziła demokrację, że naszym bezpośrednim przodkiem był Sokrates. Ja sama pochodzę z północy, z Macedonii, i dobrze pamiętam lata dziewięćdziesiąte, wielką awanturę z naszymi sąsiadami, dla której paliwem była

„greckość” Aleksandra Wielkiego! Te wszystkie nacjonalistyczne hasła powtarzają ludzie, którzy nie mają pojęcia o filozofii czy historii. Słyszymy, że nie jesteśmy i nie możemy być rasistami, bo w naszym DNA jest gościnność. Widzę to nawet teraz w mojej pracy. Greckie sądy niezwykle rzadko orzekają, że przestępstwo mogło mieć rasistowskie, nienawistne podłoże. Gdyby takie wyroki były częstsze, byłaby to rysa na naszym obrazie siebie samych, powód do trudnej, niewygodnej refleksji. Grecka historia to ciężar, który dźwigamy na naszych barkach. Rozumiem go tak samo, jak Pawlos.

●

Ruszamy. Płyniemy ateńskimi ulicami z dzielnicy, w której Fisas całe życie mieszkał, ku morzu, do miejsca, które ukochał najbardziej – Pireusu.

Na czele idzie Magda Fisa. Czarne włosy, czarna bluzka, czarna torebka, czarne spodnie, czarne buty – jedynie wisiorek z napisem Pawlos ma złoty. Spocona, jak my wszyscy. Co jakiś czas zsuwa na brodę antywirusową maseczkę, by wypalić papierosa lub pociągnąć łyk kawy na zimno. Chwilę wcześniej płakała, gładząc i całując twarz syna wyrzeźbioną na pomniku. Na jej własnej twarzy widać skupienie i determinację, oczekiwanie.

„Jedyny możliwy wyrok: wszyscy winni” – baner z takim napisem trzyma Fisa.

Inne hasła, które słychać w ostatnich dniach w Grecji, które widać wysprejowane na ścianach budynków i płytach chodnikowych, na naklejkach w wagonach metra, na facebookowych nakładkach przy zdjęciach profilowych, które wykrzykują maszerujący, to Fisasowe:

„Nie ma co płakać, nie trzeba się bać!”, a także: „Z pszczołami czy z wilkami?”, „Pawlos żyje!”, „Nie dla faszyzmu!”, „Faszyści za kraty!”, „Nigdy więcej!” oraz nowe: „Nie są niewinni!”. To zawołanie to element szerszej kampanii, którą zorganizowali członkowie Golden Dawn Watch. Prawnicy i dziennikarze należący do tej nieformalnej inicjatywy jeżdżą po całym kraju, zwołują ludzi do księgarń, kawiarni, teatrów i na place, i przypominają, o co toczy się walka. Wziąłem udział w jednej z takich debat – na placu Awdi w dzielnicy Metaxurgio. Przemawiała tam między innymi dziennikarka stołecznego radia 9.84 Elefterija Kumandu, którą teraz widzę idącą w pochodzie kilkanaście metrów przede mną.

Poznaliśmy się parę miesięcy temu. Odwiedziłem ją w redakcji radia mieszczącej się w modnej dzielnicy Gazi. Portier, który mnie powitał, nawet nie wyciągnął z ust cygara, recepcjonistka ledwie zgasiła papierosa i rozganiała ręką dym, dzwoniąc po Elefteriję. Oboje łamali prawo i oboje nic sobie z tego nie robili. Zakaz palenia w miejscach publicznych wszedł w życie kilka tygodni wcześniej – tym razem na poważnie. Poprzednie zakazy sprawdzały się tylko na papierze, teraz rząd zapowiedział, że za papierosową dezynwolturę grozić będą wysokie grzywny. Nie wszyscy palacze uwierzyli.

Rozmawialiśmy wtedy o procesie, bo Elefterija od początku śledzi go uważnie, często bywała w sądzie, wielokrotnie zapraszała do swoich programów Magdę Fisa i innych świadków, prawników strony cywilnej, czy ekspertów, w tym Dimitrisa Psarasa. Jej radio i jego gazeta to jedyne media, które regularnie relacjonowały proces. Inne redakcje wysyłały do Efetijo swoich dziennikarzy tylko wówczas, gdy szykowała się awantura, bo zeznawać miał któryś ze znanych złocistych lub ważni świadkowie.

– Przed zabiciem Fisasa większość mediów pokazywała Złoty Świt jak każdą inną, normalną partię – tłumaczyła mi Elefterija. – Dziennikarzom szybko znudziło się pytanie złocistych o neonazistowskie inspiracje, o ich rasizm, o przemoc, którą stosowali, o ataki na imigrantów. Zamiast tego dostawaliśmy obrazki z kościoła, w którym ślub brał Panajotaros, albo wywiad z Uranią, córką Michaloliakosa, na temat jej nowej fryzury czy nowej diety, na której schudła kilka kilogramów. Wybielali ich, nie stawiali trudnych pytań. Bez mrugnięcia okiem kupowali bajki „zaniepokojonych mieszkańców", jak Temida Skordeli, nie sprawdzali, kim są i jakie są ich związki z partią. Przejrzeli na oczy dopiero, gdy zginął Pawlos. Wtedy lepiej zrozumieli, z kim mają do czynienia.

Ale relacje z procesu i tak pojawiały się w największych mediach sporadycznie. Problem miały głównie telewizje i radia, bo na wniosek złocistych sędzia nie dała zgody, by na salę wchodzili operatorzy kamer i radiowcy z włączonymi dyktafonami. Nie ma z procesu obrazków, nie ma dźwięków. Gdyby nie wolontariusze z Golden Dawn Watch – nie mielibyśmy też stenogramów.

Dlatego przemawiając do kilkudziesięciu osób, które siedziały przed nią na placu Awdi, jednocześnie walcząc z hałasem ulicy, muzyką z okolicznych kawiarni i szczekaniem kilku bezpańskich psów, Elefterija przypominała najważniejsze momenty i najważniejsze postacie całej sprawy.

– Pamiętajmy o policjancie, który aresztował Rupakiasa, a później odważnie zeznawał w sądzie. Nazywa się Dimitris Kuretzis i żyje dziś za granicą. Musiał wyjechać, bo złociści grozili jemu i jego rodzinie. Pamiętajmy o egipskich rybakach, których złociści pobili prawie na śmierć, a którzy odważyli się przyjść do Efetijo i wskazać

napastników. Pamiętajmy o pobitych związkowcach z PAME, o Dimitrze Zorzu, która widziała, jak Rupakias dźga Pawlosa nożem i mimo gróźb nie bała się o tym opowiedzieć. Pamiętajmy… – wymienia kolejne osoby, a na koniec mówi: – Wszyscy oni dokonali wyboru, dowiedli, że stoją po właściwej stronie historii. Teraz nasza kolej.

●

Dimitra Zorzu wrzuciła na Facebooka zdjęcie z marszu, znaczy że gdzieś tu jest. Rozglądam się, ale jej nie widzę – tłum coraz bardziej pęcznieje, po drodze dołączają do nas kolejne osoby.

Prawnik Tanasis Kambajannis w swojej mowie końcowej nazwał Zorzu pszczołą, czyli bohaterką: „Dimitra Zorzu i Paraskewi Karajanidu – dwie młode dziewczyny które na własne oczy widziały, co się stało w Kieratsini. Siedziały na ławce i rozmawiały o swoich sprawach, a chwilę później stały się świadkami najważniejszego w ostatnich latach politycznego morderstwa. I nie bały się zeznawać pod nazwiskiem. Podczas gdy wiele osób się bało – policji trudno było odnaleźć pozostałych naocznych świadków. One się nie wahały i jesteśmy im za to wdzięczni. Wysoki Sądzie, dla nas te dwie młode dziewczyny są powodem, dla którego możemy spać w nocy. Wypełniły swój obywatelski obowiązek. Tamtej okropnej, dzikiej nocy odezwały się nie tylko wilki – bo ci, którzy zabili Pawlosa Fisasa, działali jak wilki. Tamtej nocy, w osobach dwóch młodych studentek, objawił się nam również świat oparty na solidarności i wspólnocie, świat, w którym pomaga się nie tylko bratu, ale także obcemu człowiekowi, świat pszczół. Przed Wami, wysoki sądzie, wybór –

musicie zdecydować, czy wierzycie w zeznania tych dziewczyn, ale także musicie opowiedzieć się po którejś ze stron. Z kim jesteście: z pszczołami czy z wilkami?”.

Podczas naszej rozmowy zapytałem Kambajannisa o metaforę, której użył. Dlaczego pszczoły? Gdzieś wyczytał, że są zorganizowane, pracowite, mają poczucie obowiązku i odpowiedzialności za siebie i swoją społeczność. A wilki? O wilkach jako pierwszy mówił Michaloliakos, zżynając z Hitlera, który nosił pseudonim „Herr Wolf”. Lider Złotego Świtu powtarzał, że wilki czyszczą swoje gniazda. I on też wyczyści partyjne szeregi: „Nasze gniazdo pozostanie czyste – będzie w nim miejsce dla faszystów, nazistów, kryminalistów, nożowników, ale nie dla zdrajców i dwulicowych kłamców”. Z kolei w partyjnej gazecie w 2000 roku pisał tak: „Jesteśmy małą watahą cichych, czerwonookich wilków, która porusza się wśród stada wielkich, aroganckich bestii. Te bestie wierzą, że są wszechmocne, ale nie rozumieją, że my chcemy zatopić w ich tłustych szyjach nasze kły. Walczymy przeciwko nim od stuleci. Nasze ostatnie porażki były tak dotkliwe, że nasi wrogowie pozwolili sobie wierzyć w swoją absolutną dominację, która była na wyciągnięcie ręki. Ale zanim dostaną szansę wbić pazury w coś, co do nich nie należy, odetniemy im ręce, a potem głowy. To jest wojna totalna i bezlitosna. Nie ustaniemy, póki nie wyjdziemy z niej zwycięsko”.

Pszczoła Paraskewi Karajanidu niedługo po tym, jak złożyła w sądzie zeznania, wyjechała z Aten. Przeniosła się na wyspę Chios. Odcięła się, nie śledzi procesu, chce zapomnieć. Pszczoła Dimitra została w Kieratsini. Codziennie przechodzi obok Café Korali i pomnika Pawlosa. Czasem mija oskarżonych na ulicy.

Kiedy ją zapytałem, czy czytała przemowę Kambajannisa, powiedziała, że się przy niej popłakała, choć nie czuje się bohaterką. Dodała, że dużo myśli o Magdzie – wpadają czasem na siebie na ulicy. Magda zawsze zaprasza ją do siebie na kawę, a Dimitra za każdym razem odpowiada, że akurat nie może, że się gdzieś spieszy. Mówi, że kocha ją jak własną matkę, jednak nie potrafi się przemóc, by się z nią spotkać. Minęło siedem lat, ale to wszystko nadal jest zbyt świeże.

●

Zbliżamy się do Pireusu. My i setki policjantów uzbrojonych w karabiny i pałki. Mają na sobie kamizelki kuloodporne i hełmy. Towarzyszą nam krok w krok, jedni na pieszo, inni na motorach. Dyskretnie, bo idą i jadą nie naszą trasą, a wzdłuż równoległych ulic. Co chwila, co przecznica pojawiają się i znikają.

Podobne marsze trwają w tej chwili w Salonikach, Patrze, Joaninie, Wolos, Heraklionie i w Chanii. Planowane były również w innych miejscach, ale na drodze stanął cyklon Jason.

Przede mną idzie młody chłopak z wielkim tatuażem na łydce – obraz przedstawia mikrofon i twarz Fisasa. Pytam go, czy znał Pawlosa.

– Znałem jego muzykę. Chodziłem do liceum, gdy zginął. Był moim idolem.

●

Kambajannis: – Wysoki sądzie, Egipcjanin Abuzeid Embarak, którego reprezentuję, cudem przeżył atak ze strony złocistych. Początkowo był wobec nas wszystkich nieufny, bał się przychodzić do sądu. Podczas jednej z pierwszych rozmów powiedział, że zanim poznał nas, Greków, jego życie było o wiele łatwiejsze. – Wszyscy się roześmialiśmy i to pomogło przełamać lody. – Dziś, gdy proces dobiega końca, Abuzeid wie, że to nie Grecy próbowali go zabić. Nie grecki naród. Jego oprawcami byli członkowie rasistowskiej, nazistowskiej organizacji, uzbrojeni w fanatyzm i kije bejsbolowe. To także zasługa Magdy Fisa, która nie musiała przychodzić do sądu po tym, jak sprawa jej syna została wstępnie omówiona, ale zdecydowała inaczej, była tu codziennie, była tu wtedy, gdy Abuzeid zeznawał, wspierała go, obejmowała go. Kobieta, Greczynka, matka, ubrana na czarno z powodu żałoby po zabitym synu spowodowała, że nasz klient nie znienawidził Greków, dzięki niej zrozumiał, że podziały nie biegną wzdłuż linii narodowych.

Dokładnie w tych dniach w połowie stycznia 2020 roku, gdy Kambajannis wygłaszał powyższe słowa, niewielka lewicowa partia MeRA25, założona przez byłego ministra finansów Janisa Warufakisa, wpadła na pomysł, by Magda Fisa została pierwszą w historii Grecji prezydentką. Akurat trwała wyborcza procedura, ugrupowania zgłaszały swoich kandydatów, nad którymi później głosuje parlament. Zapytałem rzecznika partii MeRA25, dlaczego wskazali akurat matkę Pawlosa. W odpowiedzi przysłał krótkiego mejla: „Sukces Złotego Świtu oznaczał, że w Europie odżywa najgorsze zło, żerujące, jak dekady wcześniej, na skutkach kryzysu gospodarczego, czyli nędzy, niepewności jutra i narodowym upokorzeniu. Wybór osoby, która stanie na czele państwa, to okazja do zakopania

społecznych podziałów, do potępienia faszyzmu i autorytaryzmu. Uznaliśmy, że nikt nie nadaje się do tego lepiej niż Magda Fisa – kobieta, która stała się symbolem walki o godność i sprawiedliwość, która przeszła polityczną transformację i jak nikt potrafi jednoczyć".

Magda Fisa podziękowała w oświadczeniu za gest uznania, ale szybko rozwiała wątpliwości. Wytłumaczyła, że nigdy nie miała ambicji politycznych i że jedyne, na czym jej zależy, to doczekać końca procesu i sprawiedliwego wyroku.

●

Całe przemówienie Kambajannisa ukazało się niedawno w formie książki pod tytułem *Z pszczołami czy z wilkami?.* Trafiło do księgarń i na listy bestsellerów, a przerobione na sztukę – także na scenę jednego z ateńskich teatrów. Do tego doszły liczne recenzje, cytaty w mediach, wywiady – w ten sposób metafora o wilkach i pszczołach zaczęła żyć własnym życiem.

Kostis Papajoanu powiedział mi, że rozmawia o niej ze swoimi uczniami. Gdy się poznaliśmy dekadę temu, razem z innymi aktywistami monitorował antyimigranckie ataki w wykonaniu złocistych. Później został pełnomocnikiem rządu ds. praw człowieka i z sukcesem przeprowadził reformę legalizującą jednopłciowe związki partnerskie. Teraz jest publicystą i dorywczo uczy licealistów literatury. Jednego dnia czytał z uczniami *Myśli nawiedzające mnie na ruchliwych ulicach*, wiersz Wisławy Szymborskiej, który jest w kanonie lektur obowiązkowych. Rozmawiali o tym, jak niektórzy ludzie dostają od losu szansę, by swoim życiem i postawą wywrzeć

wpływ na innych i swoje otoczenie. Nauczycielowi wiersz noblistki skojarzył się z mową sądową Kambajannisa.

– W drugiej połowie lekcji przeczytaliśmy fragment o pszczołach i wilkach, o tych dwóch dzielnych dziewczynach, które mogłyby przecież uchodzić za zupełnie zwyczajne, normalne, młode studentki. A jednak decyzja o tym, że pójdą na policję, że nie posłuchają matki jednej z nich, która nalegała, by córka wróciła do domu i w nic się nie mieszała, decyzja, że złożą zeznania i pójdą do sądu, zmieniła ich życie, nadała mu dodatkową wartość. Żeby ich doświadczenie nabrało wagi, musiały o nim publicznie opowiedzieć. Nie wystarczyło, że były świadkami przemocy. Mam fajnych uczniów w tej klasie, czułem, że rozumieją to, co chcę im przekazać. Szymborska świetnie się do tego nadała.

Papajoanu mówił mi, że atmosfera w klasie była niesamowita, kilkoro uczniów prawie płakało.

– Może to ci, którzy słuchają piosenek Pawlosa? Rzadko zdarzają mi się tak wyjątkowe lekcje, kiedy czuć, że coś się zmienia w powietrzu i w myśleniu uczniów, że dotykamy jakiejś prawdy. Później namawiałem innych nauczycieli, by rozmawiali na swoich lekcjach o procesie, a znajomych uczących na wydziale prawa, by zabierali studentów do Efetijo, mówiłem im: Idźcie, pięćset metrów od was dzieje się historia.

●

Po prawie godzinnym marszu docieramy do Pireusu. Rozlewamy się po portowych bulwarach. Przez dobry kwadrans utrudniamy dojście do bram numer 8 i 9, skąd odpływają promy na pobliską Eginę

i odleglejsze Cyklady – na Santorini, Mykonos, Amorgos, a także na Samos i Ikarię. Zagraniczni turyści lekko się niecierpliwią. Jest już ciemno, ale wciąż gorąco. Wiatr znad morza przynosi ulgę – to zwykła bryza, nie oczekiwany cyklon.

Koniec pochodu. Aktywiści z megafonami mobilizują zebranych do ostatnich zawołań.

„Pawlos żyje!”

„Zdusimy nazistów!”

„Nie są niewinni!”

Słucham kolejnych wystąpień, licząc, że jako ostatnia głos zabierze Magda Fisa. Gdy rozmawiałem z nią przez chwilę parę dni wcześniej przed siedzibą sądu, mówiła, że czeka na wyrok, o niczym innymi nie myśli, ale jednocześnie wie, że 7 października będzie dniem jak każdy inny. Dla niej samej wraz z wyrokiem nic się nie zmieni, Pawlos nie wstanie z grobu. Ale nie o nią przecież chodzi – mówiła. Stawka jest o wiele większa.

W siódmą rocznicę śmierci syna Magda Fisa nie przemówiła. Stanęła jedynie twarzą do tłumu, podniosła prawą rękę i zacisnęła pięść.

●

W nocy zbudziła mnie ulewa – głośna i intensywna, ale krótka, ledwie kilkuminutowa. Tyle zostało z cyklonu. Deszcz oczyścił na chwilę gigantyczne, zakurzone miasto, zmył świeży brud z budynków, krawędzi ulic i przywiędłych kwiatów na rabatach, z chodnikowych akacji, z drzew pomarańczowych i limonkowych.

Regina, siostra Wiwi, zbiegła do nas, by opowiedzieć o nieszczęściu na Lefkadzie. Zadzwonili jej sąsiedzi i zrelacjonowali wydarzenia, co jak latało, co jak pływało, co zaginęło. Żywioł nie oszczędził rodzinnego domu jej męża Spirosa. Wszystko, co na parterze, nadaje się do wymiany. Ogród też przetrącony. Chcą tam jak najszybciej polecieć, żeby uratować, co się da, ale trwa przecież pandemia. Ryzykować lot zatłoczonym samolotem czy czekać, aż woda całkiem opadnie i jakimś cudem sama się gdzieś ulotni?

Ojciec wystroił się na wesele w ciemny garnitur, może granatowy. Prezentował się całkiem szykownie. Najwidoczniej miał lepszy dzień. Byłem od niego kilka centymetrów wyższy, nieco szczuplejszy. Za to wziąłem po nim oczy i zarys ust. Dobrze wyglądałem w eleganckiej, plisowanej koszuli w kolorze jasnego brązu, spodniach na kant i skórzanych mokasynach, które kupiłem sobie za pieniądze zarobione na budowie – znajomy wujka Janisa miał małą firmę i zaoferował mi fuchę przy montowaniu podwieszanego sufitu w nowo powstającej fabryce na przedmieściach Salonik. Przez kilka dni z rzędu wyginałem metalowe pręty i zamiatałem wielką halę na koniec dnia.

To była gorąca sobota. Wszyscy goście od razu pognali do kościoła w poszukiwaniu chłodu. Mnie jakoś się nie spieszyło, upał wyjątkowo mi nie doskwierał. Stałem na schodach i rozmawiałem z Christiną – żoną mojego kuzyna Andonisa, oboje specjalnie na wesele przyjechali z Larysy. Zza rogu wyszedł ojciec. Danka trzymała go pod rękę. Spojrzał na mnie i spuścił głowę. Widziałem jeszcze, że gniewnie zmarszczył czoło i przyspieszył kroku. Wchodził na kościelny dziedziniec, gapiąc się na swoje buty. Czułem, że jeśli nie zareaguję, wyminą mnie bez słowa.

– Dzień dobry – powiedziałem i wyciągnąłem rękę na powitanie. Może nawet lekko się uśmiechnąłem. Ojciec podniósł głowę i zobaczyłem, że jest wściekły. Nie zły, nie zirytowany. Był wściekły.

– Teraz?! Teraz mi mówisz dzień dobry?!

– Petro, spokojnie, Petro. – Dana próbowała uciszyć męża, żeby zapobiec kompromitacji.

– Teraz? Bo mnie widzisz, to mi mówisz dzień dobry?

Wciągnąłem ciepłe powietrze wielkim haustem i bezwiednie je w sobie zatrzymałem. Zastygłem, zamarzłem. Nie takiej jego reakcji się spodziewałem.

– Twoja matka… Twoja babcia… Nie… Ani razu…

Ojciec krzyczał. Zawstydzona Dana ciągnęła go za rękaw marynarki i powtarzała: „Petro, Petro!".

Nie wyglądał na chorego.

Czy ja śnię? Czy mój stary naprawdę ma czelność mieć do mnie o cokolwiek pretensje? To jego oburzone „teraz" brzmi nie jak faktyczne, jednostkowe „teraz" opisujące konkretny moment, w którym się znaleźliśmy, chwilę na kościelnym dziedzińcu, ale brzmi jak wszystkie tysiące „terazów", gdyśmy się nie wiedzieli, gdy do niego nie przyszedłem, gdy się z nim nie przywitałem. Nie trzy ostatnie miesiące, a prawie siedemnaście lat „terazów" – liczone od dnia, kiedy od niego uciekliśmy, odkąd go porzuciliśmy, upokorzyliśmy i zawstydziliśmy. Jego żona, którą katował, i jego dzieci – czteroletnie bliźniaki Ula i Paweł, i półtoraroczny ja. Cóż za wyrachowanie z naszej strony, tak po prostu uciec, jakaż niesprawiedliwość, jakaż niewdzięczność! To jego „teraz" znaczyło „za późno", znaczyło „nie podchodź", „nie odzywaj się do mnie", „nie chcę cię widzieć". Było skowytem.

Wszystkie wcześniejsze odrzucenia z jego strony wydarzały się zdalnie, na odległość, były ciche i nieme – po prostu znowu nie przyjechał na moje urodziny, znowu nie wysłał choćby kartki, nie zadzwonił, w żaden inny sposób nie wyraził zainteresowania. Teraz się okazuje, że to on czekał! Nie ja, nie bliźniaki – on! Czekał na gest, kartkę, sygnał, telefon, cokolwiek. Obrażony czekał na przeprosiny.

„Dobrze, że nie wyłysiał" – pamiętam, że pomyślałem. Stałem przed nim na bezdechu, obrzucany „terazami" i innymi pretensjami, i myślałem: „Całkiem niezłe włosy. Sześćdziesiątka na karku, a siwych tylko jedno pasemko. Tyle dobrego".

Kiedy ojciec skończył litanię, poszedł prosto do kościoła. Zniknął za wielkimi drzwiami. Ocknąłem się zapłakany – łzy spadały na moją nową koszulę. Podbiegła do mnie Christina, przytuliła, odprowadziła w zaciszny kąt. Czułem się ociężały, zmęczony, jakbym przebiegł półmaraton. Przecierałem oczy, żeby wytrzeć łzy. Ale kiedy wróciła mi ostrość widzenia i wziąłem kilka głębszych oddechów, poczułem ulgę. „Jestem wolny" – pomyślałem zaskoczony. Nie muszę z nim już rozmawiać, ani dziś, ani nigdy.

Po ślubnej mszy pojechaliśmy na wesele i bawiłem się, jakbym wcale nie był przed chwilą zbesztany, jakbym nie był uciekinierem, jakby mi nic nie groziło. Wiedziałem, że tłumacz z Warszawy odesłał papiery do Chojnowa, a mama nadała je już do Salonik. Poleconym, ekspresowym, priorytetem. Przyjdą nazajutrz. Czeka nas jeszcze jedna wycieczka do Edesy, ale to tylko formalność. Dostanę od greckiego wojska odroczenie – i to na dziesięć lat! Kupię bilet na powrotny autobus do Wrocławia, do Polski, do matczyzny! Wyjadę z końcem września i na granicy nikt się do mnie nie przyczepi, nie

wyświetlę się na czerwono w żadnym komputerowym systemie. Grecja mnie nie zatrzyma, nie aresztuje, nie przysposobi, nie usynowi. Nie ma nade mną władzy. To ja ustalę naszą relację. A ojciec niech sobie choruje. Niech go zjadają te jego głupie pretensje i żale. Alzheimer i z nimi sobie poradzi.

Na weselu siedzieliśmy do siebie plecami. Ja przy stole z młodymi, ojciec ze starymi. Gdybyśmy obaj próbowali wstać w tej samej chwili, nasze krzesła stuknęłyby się oparciami. Pomyślałem, że to akurat całkiem zabawne. Danka próbowała jeszcze organizować sprytną podmiankę, żeby mogli się z ojcem przenieść w mniej toksyczną okolicę, ale nie dała rady. Żaden z nas nie podjął próby dialogu. Nie zaproponował stuknięcia się kieliszkiem na zgodę. Teraz już naprawdę było za późno. O wiele za późno. Choć fizycznie byliśmy najbliżej siebie od lat, to jednak najdalej. Przez dobrych kilka godzin nie zderzyliśmy się oparciami, nie zamieniliśmy ani słowa. Raz tylko minęliśmy się bez mruknięcia w toalecie. Wtedy widziałem go po raz ostatni. Nie wiem nawet, kiedy pojechali do domu.

Ja zostałem prawie do rana. Gdy obserwując innych, zrozumiałem, o co chodzi z płatkami róż, które kelnerzy noszą na tacach zamiast jedzenia, nabrałem ich garść i wysypałem na włosy Christinie. Taki zwyczaj – pomagający wyrazić uznanie, wdzięczność (mój przypadek), uwielbienie, zachwyt, a nawet miłość.

Piłem wino i ouzo. Tańczyłem do greckich przebojów. To nic, że nie znałem kroków. Miałem tej nocy wiele do wytańczenia. Odważyłem się nawet, choć dość nieśmiało, na zeibekiko, które tańczy się w pojedynkę i które daje dużą choreograficzną swobodę. Znałem zeibekiko z telewizji, z biesiadnych niedzielnych programów, które oglądałem całe lato. Goście byli już pijani, już się wszyscy

zbieraliśmy do wyjścia, mało kto zwracał na mnie uwagę. Orkiestra pakowała instrumenty, dojadała zimne resztki z kolacji. Z głośników leciał Dimitris Mitropanos i jego *Roza*. Wykręciłem parę piruetów na sztywnych nogach, pobujałem rękami nad głową, pstryknąłem parę razy z palców, walnąłem otwartą dłonią w posadzkę.

Dziesięć dni później byłem w domu.

●

– Synku, dzwoniła ciocia Sułtana. Twój tato nie żyje.

Minęły cztery lata. Byłem na brytyjskiej wyspie Man leżącej na Morzu Irlandzkim. Byłem imigrantem. Byłem w pracy, w zimnej hali przetwórni owoców morza Carrick Bay Seafoods siedziałem przy metalowym stole i oprawiałem przegrzebki. Mama zadzwoniła do biura, kierownik zawołał mnie do telefonu.

Dostałem wolne na resztę dnia. Wróciłem do Port Erin, skąd przy dobrej pogodzie widać brzegi zachodniej Irlandii, i chodziłem po pustej plaży.

Pogrzeb, jak to w Grecji, odbył się nazajutrz. Z cmentarza na Filiro żałobnicy spacerem przeszli do domu ciotki Sułtany na prasopitę i kawę z ciastkami.

●

Dziesięć lat później poszedłem do greckiego konsulatu przy ulicy Górnośląskiej w Warszawie. Miałem ze sobą teczkę papierów, o które musiałem się wcześniej wystarać, a więc przejść dokładnie tę samą

drogę, którą dekadę wcześniej pokonała moja mama: chojnowska podstawówka, liceum, urząd miasta, urząd gminy, urząd stanu cywilnego, policja, wojskowa komenda uzupełnień, dziekanaty, zaświadczenia, świadectwa, dyplomy, tytuły. Miły urzędnik z konsulatu zgadzał się, gdy mówiłem, że większy sens miałoby użycie starych dokumentów, złożonych w Edesie, niż powtórne ich kolekcjonowanie, ale przepisy mówiły co innego. Pan Cirmirakis był zaskoczony, że musi tłumaczyć raz jeszcze to samo. Nadal mieszkał na Bielanach. Gdy do niego pojechałem, padał deszcz. Wszedłem do mieszkania i zdjąłem buty – powiedział, że mam je natychmiast założyć z powrotem. To jest grecki dom, a w greckim domu butów się nie ściąga. Zapytał, jak się ma mama, bo pamiętał ich dawne rozmowy. Mama już wtedy nie żyła. Uwinął się z robotą w dwa tygodnie.

– Na pewno chce pan to zrobić? – usłyszałem w konsulacie. – Teraz służba wojskowa to jest bułka z masłem. Trzy miesiące by to panu zajęło, może dwa. Może by pana wysłali na jakąś przyjemną wyspę. Odpocząłby pan.

– Nie, nie, dziękuję – odparłem.

– Szkoda. Może się pan jeszcze namyśli? Po co tak od razu wyrzekać się greckości?

– To nie tak. Ja się greckości nie wyrzekam.

– Rezygnuje pan z greckiego obywatelstwa.

– Dla mnie to tylko papier.

– Może jeszcze kiedyś się panu przyda. Wie pan, to są pana korzenie, pana rodzina, pana ojciec. Widzę, że pan z Lagkadii. Był pan w Lagkadii? Piękne okolice.

– Przepraszam pana, ale trochę się spieszę. Czyli od teraz już nie muszę się bać, że na granicy wyświetlę się na czerwono?

– Nie wyświetli się pan.

WYROKI

Aleksis Lazaris nareszcie odzyskał kontrolę nad nerwami szyjnymi. Już się nie buntują, pozwalają ruszać głową i na tak, i na nie, pozwalają się nawet rozglądać. W głowie już nie dudni – wynieśli się z niej złociści i zabrali ze sobą swoje groźby, swoje donośne, warczące głosy. Bóle się skurczyły. Sen, bywa, że trwa i całą noc. Latem, gdy znów odwiedził Prewezę, rodzinne strony ojca, Aleksis przypomniał sobie, jak się pływa i jak dużo radości daje mu woda. Wygłusza hałas, a hałas to nadal jego wróg. Najgorsze są głośne ulice – wciąż wywołują lęk i spięcie mięśni. Wiosną Aleksis nareszcie obronił dyplom i pomaga ojcu prowadzić rodzinną firmę, ale myśli, by niedługo wyjechać za granicę na dodatkowe studia. Poza tym zapisał się do KERFY, największej greckiej organizacji antyfaszystowskiej. Chodzi na spotkania, dyskusje, wiece.

Z wakacji wrócił opalony i wyraźnie wypoczęty. Uśmiecha się na mój widok i rozmawia z normalną prędkością. Tak, po trzech latach od pobicia odzyskał nad sobą panowanie. Wrócił mu apetyt i ochota na kawę. Obaj zamawiamy mrożone espresso.

– Widziałem go niedawno, wiesz kogo. Szedłem z kolegą, a on był po drugiej stronie ulicy i chyba nas nie zauważył. Nie wiem, co on teraz robi, może dalej prowadzi z matką kawiarnię.

Christos Zerwas niedawno stracił poprzednią posadę – już nie pilnuje partyjnego biura, bo Złoty Świt wyniósł się z ulicy Śródziemnomorza.

Wkrótce po tym, jak złociści zaliczyli bolesną wtopę, nie zdobywając ani jednego mandatu w wyborach do parlamentu w 2019 roku, w kasie organizacji zaświeciła pustka. Nie było dotacji, nie było składek ani procentów z poselskiej gaży. Kolejni członkowie ogłaszali, że się wypisują – z Lagosem i Kasidiarisem na czele. Ten ostatni próbował jeszcze negocjować. Chciał, żeby skompromitowany Michaloliakos ustąpił i namaścił go na nowego *archigosa*. W zamyśle miało to pozwolić na nowe otwarcie. Kasidiaris dzwonił do znajomych dziennikarzy i opowiadał, że wyborcza porażka to lekcja, z której wynika, że Złoty Świt powinien spuścić nieco z tonu i przesunąć się na pozycje nieco mniej ekstremalne. On sam jako nowy lider chętnie nawiązałby intensywniejszą współpracę z eurosceptykami pokroju Salviniego i politykami z Polski, Czech, Węgier i Słowacji, bo ich rządy zasługują na głośne pochwały. Michaloliakos odrzucił brutusową ofertę i oświadczył buńczucznie: „Dla naszych wrogów i tak zwanych przyjaciół mamy wiadomość – Złoty Świt jeszcze się nie skończył! Zrozumcie to wreszcie. Walka o nacjonalizm trwa. Wracamy tam, gdzie jesteśmy najsilniejsi: na ulice i place. *Zito i niki!*”[99].

Z powodu nagłej biedy Michaloliakos najpierw zarządził zamknięcie lokalnych oddziałów, a później także tych najważniejszych – w Pireusie, dzielnicy Nikea, w Salaminie. Najbardziej jednak zabolała go pewnie wyprowadzka z siedziby głównej, z luksusowego, przeszklonego biurowca, gdzie przez siedem lat zasiadał w wygodnym fotelu z oparciem typu chesterfield. Od rana do

wieczora wynajęte dostawczaki wywoziły stamtąd meble, transparenty i greckie flagi, segregatory, komputery i drukarki, a także gabloty z neonazistowskim badziewiem „made in China” ze sklepu, który mieścił się na parterze. Z internetu zniknęła partyjna strona internetowa, bo zabrakło pieniędzy na jej prowadzenie. Po kilku dniach została przywrócona, jednak w o wiele biedniejszej odsłonie – bez archiwum, bez większości filmów i zdjęć, wyczyszczona z wszelkich śladów po zdradzieckich rozłamowcach. Można było za to na niej zamówić noworoczny kalendarz z cytatem z Goebbelsa: „Powrócimy, a wtedy zadrży ziemia”. Z bocznej ściany budynku przy ulicy Śródziemnomorza zerwano wielki partyjny baner. Aleksis nadal tamtędy chodzi, to jego droga do domu.

– Choć boję się go mniej, Zerwasa, przyznam, że wolałbym go nie widywać. Ale nie wiem, czy to będzie możliwe.

Proces apelacyjny znów został przełożony, głównie z powodu pandemii. Ze stycznia na październik, później na listopad, wreszcie na koniec września 2021 roku.

– A pójdziesz do Efetijo na ogłoszenie wyroku w *megali diki*?

– Poszedłbym, naprawdę bym poszedł, ale czuję, że będzie zbyt wielki tłum i harmider. Nie dałbym rady. Obejrzę sobie w telewizji.

●

W dniu ogłoszenia wyroków, 7 października 2020 roku, pierwsi zjawili się przed sądem uzbrojeni policjanci. Było ich dwa tysiące. Szczelnie otoczyli budynek i ustawili przed nim kilkadziesiąt granatowych policyjnych suk – w równym rzędzie, jedna za drugą. Ludzie napływali z okolicy pobliskiej stacji metra, od strony wzgórza

Likawitos, z Eksarchii, z placu Wiktorii, zewsząd. O dziewiątej rano dało się jeszcze przejechać ulicą, przy której mieści się Efetijo, o dziesiątej tłum skutecznie zamknął ją dla samochodów i autobusów. Pięć tysięcy osób, dziesięć tysięcy, w końcu piętnaście tysięcy. W tym przedstawiciele wszystkich partii politycznych i dziesiątki dziennikarzy. Oraz marszowa muzyka z głośników – znane antyfaszystowskie pieśni.

Magda Fisa z mężem i córką z trudem przedzierali się przez to morze ludzi – witani oklaskami doszli w końcu na dziedziniec, gdzie znów było chłodniej, gdzie wiał lekki wiatr, a ludzi była ledwie garstka. Z powodu obostrzeń pandemicznych sala sądowa mogła być zapełniona tylko w dziesięciu procentach. Jedynie kilku oskarżonych zechciało przyjść do sądu i osobiście wysłuchać wyroku.

O godzinie jedenastej sędzia Maria Lepenioti usiadła w fotelu, otworzyła posiedzenie numer czterysta pięćdziesiąt dwa, przywitała się, zdjęła maseczkę, wyjaśniła, że to dlatego, że chce być dobrze słyszana, po czym od razu przeszła do rzeczy. Nie wygłosiła żadnego podsumowania, w którym za pomocą wielkich słów podkreślałaby podniosłość chwili, historyczną wagę decyzji i jej znaczenie dla greckiej demokracji. Była głosem nagiej sprawiedliwości.

Zaczęła od mordercy Pawlosa Fisasa:

– Sąd uznaje Jorgosa Rupakiasa winnym wszystkich zarzucanych mu czynów.

Sędzia czytała bez emfazy i bez przerw. Nie czekała, aż kolejne cząstkowe wyroki wydostaną się poza amfiteatralną salę, poza budynek i dotrą na ulicę. Jej słowa potrzebowały kilku minut, by pokonać ten niewielki dystans. Powtarzane do mikrofonu przez

mężczyznę prowadzącego manifestację na chodniku powodowały, że tłum co chwila eksplodował okrzykami radości.

Najgłośniejszy, najdłuższy i najszczerszy, jakby z jakiejś głębi, był okrzyk ostatni, gdy spiker powtórzył za Lepenioti:

– Sąd uznaje Złoty Świt za organizację przestępczą.

W czasie przerwy w odczytywaniu wyroku Magda Fisa wybiegła na zewnątrz i z rękami wyrzuconymi w górę, z zaciśniętymi pięściami, zapłakana, krzyczała:

– Zrobiłeś to, Pawlosie, zrobiłeś to! Wygraliśmy! Synu mój! Synu! Synu!

Echo niosło słowa zbolałej, triumfującej matki po całym dziedzińcu sądu apelacyjnego. Pod koniec dnia w rozmowie z dziennikarzami Fisa dodała, że sądowe zwycięstwo to jedynie etap w walce z faszyzmem, nie jej finisz: „Wygraliśmy bitwę. Dzięki Pawlosowi wiemy, że to możliwe. Ale musimy walczyć dalej, nie możemy zatrzymać się w pół drogi".

Grecja na krótką chwilę, na ledwie kilka dni zapomniała o pandemii i żyła tylko wyrokiem. Nie było ważniejszego tematu. Złociści opanowali wszystkie media. Wszędzie było widać ich wykrzywione w grymasie złości i zawodu twarze. Oblicza kryminalistów, którzy do niedawna udawali posłów, normalnych polityków, patriotów, „zaniepokojonych mieszkańców", dobroczyńców rozdających darmowe jedzenie, urządzających zbiórki krwi. Bez masek, bez garniturów, bez uśmiechów, bez widocznej w każdym ruchu pewności siebie i bez przekonania o bezkarności złociści weszli do szkół i na sale wykładowe, do biur, piekarni, kawiarni, do supermarketów. Weszli do greckich domów, do kuchni i salonów.

Przy niejednym stole, w trakcie niejednej kolacji wznoszono toasty za ich zniknięcie.

Radością po wyroku podzielił się grecki premier. Kiriakos Mitsotakis opublikował filmik trwający dwie minuty i dwadzieścia sekund. Zaczął od tego, że demokracja zwyciężyła, a później przez połowę nagrania przekonywał, że jego partia Nowa Demokracja nigdy, przenigdy nie miała ze złocistymi nic wspólnego, a ich działania zawsze potępiała. Jakby chciał wywołać w rodakach amnezję, sprawić, by zapomnieli, że konserwatyści – za czasów premiera Samarasa – na poważnie rozważali zaproszenie Złotego Świtu do wspólnych koalicyjnych rządów. W swoim oświadczeniu premier ani słowem nie wspomniał o Pawlosie Fisasie, o Shahzedzie Luqmanie, o egipskich rybakach czy skatowanych związkowcach.

W kolejnych dniach obrońcy skazanych złocistych przedstawiali okoliczności łagodzące: ten ma chorą matkę, z całej rodziny tylko on pracuje, ten jest honorowym dawcą krwi, ten dopiero co zapisał się na studia, ten ma małe dzieci, ten łożył na sieroty, ten ma nieposzlakowaną opinię, czystą kartotekę, jest głęboko wierzącym chrześcijaninem.

Prokuratorka Adamantia Ikonomu zaproponowała, by wszyscy skazani poza Rupakiasem mogli zaczekać na wynik ewentualnej apelacji na wolności. Bo gdy byli w areszcie, nie stwarzali problemów, bo wcześniej nie łamali prawa, bo nie ma zagrożenia, że uciekną. Sędzia poprosiła, by wpisać do protokołu, że Ikonomu przedstawia nieprawdziwe informacje – bo choćby sam Michaloliakos ma na koncie wyrok skazujący i więzienną odsiadkę. Lepenioti ponownie zignorowała zdanie prokuratorki i zarządziła, by główni skazani odsiedzieli wyroki w więzieniu.

Jorgos Rupakias – dożywocie plus czternaście lat za nielegalne posiadanie broni i wstąpienie do organizacji przestępczej.

Nikos Michaloliakos – 13 lat i 6 miesięcy.

Ilijas Kasidiaris – 13 lat i 6 miesięcy.

Janis Lagos – 13 lat i 8 miesięcy.

Ilijas Panajotaros – 13 lat i 6 miesięcy.

Jorgos Jermenis – 13 lat i 6 miesięcy.

Christos Pappas – 13 lat i 3 miesiące.

Jorgos Patelis – 10 lat i 2 miesiące.

Janis Kazandzoglu – 10 lat i 2 miesiące.

Janis Angos – 9 lat i 2 miesiące.

Anastasios Pantazis – 10 lat.

Eleni Zarulia – 6 lat w zawieszeniu po wpłaceniu kaucji.

Chrysowalantis Aleksopulos – 5 lat w zawieszeniu po wpłaceniu kaucji.

Czterej członkowie Złotego Świtu skazani za usiłowanie zabicia egipskich rybaków – po 7 lat każdy.

Trzej członkowie Złotego Świtu skazani za współudział w pobiciu związkowców z organizacji PAME: 3 lata, 3 lata, 6 lat.

W sumie sąd skazał 57 osób, uniewinnił 11, w tym Temidę Skordeli.

●

– Dlaczego akurat ona się wywinęła? – zapytałem Dimitrisa Psarasa.

– W jej sprawie dowodów było aż nadto, poza tym miała na koncie wcześniejsze wyroki.

– Nie znamy na razie uzasadnienia tej decyzji. Chętnie się dowiem, jakie sąd miał powody, ale pamiętajmy, że Skordeli nie grała pierwszych skrzypiec. Ten proces do złudzenia przypominał proces organizacji mafijnej. Gdy sądzona jest mafia, najważniejsi są bossowie. Nie da się odkryć wszystkiego, osądzić każde przestępstwo, skazać wszystkich, nawet jeśli mają bardzo dużo na sumieniu. Takie procesy trwałyby w nieskończoność. Ale jeśli skutecznie uderzy się w bossów, czyli w samo jądro organizacji, to można mówić o sukcesie. Mamy, naprawdę mamy powody do radości.

●

Policja szybko doprowadziła za kraty wszystkich skazanych. Wszystkich poza dwoma.

Christos Pappas, wicelider Złotego Świtu, partyjny ideolog i stary przyjaciel Michaloliakosa, rozpłynął się w powietrzu jeszcze przed ogłoszeniem wyroku. Policja przeszukała jego domy w Atenach i Joaninie, ale nie znalazła informacji, które pomogłyby zlokalizować zbiega. Służby sprawdziły kilka klasztorów na Peloponezie i górskie wioski na grecko-albańskim pograniczu, gdzie Pappas, wąsaty sześćdziesięciolatek, jest dobrze znany i skąd pochodzi jego rodzina. Według jednej z medialnych teorii mógł próbować uciec za granicę w przebraniu mnicha. Greckie władze powiadomiły Interpol i sprawdzają doniesienia o rzekomych kontaktach skazanego we Włoszech, Francji, Belgii i Polsce[100].

Z kolei Janis Lagos postanowi schować się za immunitetem europosła. Były osobisty ochroniarz Michaloliakosa rzutem na taśmę

próbował odwrócić bieg procesu. Przed ogłoszeniem wymiaru kary przyszedł do Efetijo ze swoim nowym prawnikiem, Kostasem Plewrisem, który wygłosił litanię oskarżeń: że skład sędziowski łamie zasadę domniemania niewinności, że jego klient jest sądzony za swoje idee, a nie czyny, że Lepenioti i reszta ulegają naciskom mediów i elit politycznych. Plewris zażądał, by proces ruszył na nowo, z innymi sędziami, zostać – jego zdaniem – może tylko prokuratorka Ikonomu, bo ona wykazała się odpowiednią postawą. Sędzia Lepenioti wysłuchała prawnika z uwagą, po czym oddaliła jego wniosek jako bezzasadny. Plewris to weteran greckiej skrajnej prawicy – polityk, pisarz i prawnik urodzony w 1939 roku. W połowie lat sześćdziesiątych zeszłego wieku założył faszyzującą Partię 4 Sierpnia (K4A), której członkiem przez pewien czas był też Nikos Michaloliakos. Później razem z synem Plewris działał w innej skrajnie prawicowej partii LAOS (syn porzucił ją w końcu na rzecz Nowej Demokracji, z ramienia której jest obecnie posłem). Zaprzysięgły antysemita, propagujący kłamstwo oświęcimskie, sam o sobie mówi: nazista, rasista, antydemokrata. W ostatnich latach zasłynął też skrajną homofobią. Siwy, chudy staruszek, opowiadający nieśmieszne dowcipy i anegdoty, te same od lat, z nostalgią wspominający juntę czarnych pułkowników, wydający własnym sumptem książki i broszury o żydowskim spisku (*Porozmawiajmy o Żydach*, *Cała prawda o Żydach*), jeżdżący po kraju i wygłaszający wykłady w obskurnych hotelach – o bitwie pod Salaminą, o Kapodistriasie, Metaksasie, Goebbelsie, starożytnych greckich filozofach i Aleksandrze Wielkim. Przez grecki mainstream traktowany jest jako kuriozum, żałosny polityczny dziaders, bez choćby minimalnego wpływu na politykę – nigdy nie zdobył żadnego

mandatu, nie piastował żadnej publicznej funkcji. Ale wśród zagorzałych nacjonalistów Plewris nadal cieszy się poważaniem i wiele wskazuje na to, że to właśnie on, osiemdziesięciodwulatek, roi sobie, że jest przyszłością greckiej skrajnej prawicy, że zostanie ojcem chrzestnym czegoś, co mogłoby wyrosnąć na gruzach po rozpadzie złocistych. To on pomógł Lagosowi – po tym, jak pod koniec 2019 roku wystąpił ze Złotego Świtu – założyć nowe ugrupowanie ELASYN, a na konferencji założycielskiej odważnie żartował z Michaloliakosa. To on – już po wyroku w *megali diki* – wezwał wszystkich, których Złoty Świt osierocił oraz kilka mikropartyjek dryfujących na obrzeżach obrzeży, by połączyli siły: „Świat nacjonalistów i patriotów nie stracił wszystkiego. Mamy reprezentację w parlamencie i europarlamencie, mamy dwa dzienniki i jeden tygodnik, mamy biura w całej Grecji. Musimy się zjednoczyć”[101]. Co z tego będzie?

Plewris obiecał też Lagosowi, że pociągnie za sznurki wśród znajomych włoskich faszystów i pomoże mu wybronić się przed utratą immunitetu w europarlamencie. Nie dotrzymał słowa. Procedura w Brukseli, zainicjowana na wniosek greckich władz, ciągnęła się siedem miesięcy – wreszcie w kwietniu 2021 roku europosłowie zagłosowali przeciwko nietykalności greckiego kolegi. Dzień później aresztowała go belgijska policja.

●

Ostatni numer gazety „Złoty Świt” ukazał się w dniu ogłoszenia wyroków. Wśród artykułów tylko dwa dotyczyły procesu. Michaloliakos tłumaczył w nich, że sądowa farsa to wynik spisku,

w którym uczestniczą wszyscy wrogowie jego partii, przede wszystkim politycy i media, „nareszcie zjednoczeni". Są na to dowody! – grzmiał. Pozostałe teksty traktują o pandemii, kryzysie finansowym, dwusetnej rocznicy wybuchu rewolucji 1821 roku i marmurach ukradzionych z Partenonu. W numerze nie ma choćby krótkiej notki „od redakcji", która zapowiadałaby, że wierni czytelnicy będą się być może musieli uzbroić w cierpliwość.

Michaloliakos i spółka do końca liczyli, że unikną więzienia.

●

„Gdy przyjeżdżała do nas latem, w ogóle nie chciała rozmawiać o procesie. Ale wiedzieliśmy, że podejmie dobrą decyzję" – powiedziała dziennikarzom kuzynka sędzi Lepenioti, Despina. „Cała wioska jest z niej dumna!"[102].

Wioska nazywa się Agia Paraskewi, ale zdarza się, że miejscowi używają starej wołoskiej nazwy Tzurtzia. Leży w Tesalii, niedaleko miasta Trikala, w południowym paśmie gór Pindos, na wysokości około tysiąca metrów. Według spisu powszechnego z 2011 roku mieszka w niej sześćdziesiąt dziewięć osób. Ojciec przyszłej sędzi wiele lat temu wyjechał za chlebem i trafił do Aten. Prowadził tam sklep spożywczy. Maria Lepenioti z rodziną wraca do Tzurtzii w każde wakacje, choćby na kilka dni.

VII SKĄD JESTEŚMY

Nikos miał dziewiętnaście lat, gdy do mieszkania na Kukaki, parę kroków od Akropolu, przyszło wezwanie do wojska – normalnie, w kopercie, na adres zameldowania, napisane w sposób jasny i zrozumiały, z wyjaśnieniem kary, jaka grozi młodemu poborowemu za niestawienie się. Chwilę wcześniej mój brat skończył liceum i popłynął na Paros, by kelnerowaniem zarobić na drobne wydatki w czasie służby. I pływa tam do dziś, prawie trzydzieści lat. To ich ukochana wyspa – jego i Wiwi. Są na Paros w każde wakacje, choćby na tydzień.

Nas też namówili i teraz jesteśmy tam wszyscy razem: Nikos, Wiwi, Anastasia i Bobica oraz ja z moim mężem Michałem i naszymi dziewczynkami: Nelą, lat osiem, i Julią, lat jedenaście. Michał to ich tato, a ja… gotuję ich ulubioną zupę porową i makaron z warzywami, czasami odbieram je ze szkoły, mam szkolną przepustkę. Pomagam im w zadaniach z polskiego, tłumaczę zasady pisowni „ż" i „rz", czasami czytam im na dobranoc, prostuję im włosy – a one wiążą moje w kucyki. Kilka lat temu – za namową ich mamy, która zawsze mieszka niedaleko nas i u której dziewczyny spędzają połowę czasu, nauczyłem Nelę jeździć na rowerze. Bała się, bidulka, ale tak ją uczyłem, że nie upadła ani razu! Z chorą Julą pojechałem do lekarza i apteki, a później słodziłem jej cukrem cierpki syrop – inaczej by nie

wypiła. Jakiś czasu temu kupiłem im globus, wytłumaczyłem oceany i kontynenty. Pokazywałem: o, tu jest Waszyngton, tu mieszkamy. A później, gdy przyszła kolej na przeprowadzkę: o, tu jest Bruksela. O, tu jest Grecja, Ateny, tu jest Paros, tu jesteśmy. Na święta i z okazji urodzin rysują mi w prezencie kartki tak piękne jak Michałowi. Nie potrzebują na mnie specjalnej nazwy, ja też nie – wystarczy im moje imię.

Z Pireusu przypłynęliśmy na Paros wielkim promem. Wynajęliśmy kwatery przy samej plaży na środkowym zachodzie wyspy i zamieniliśmy się w typowych turystów. Wspólnie jemy śniadania na tarasie z kwitnącą bugenwillą, przy niekończących się popisach cykad, razem leżakujemy, pijemy mrożoną kawę i schłodzoną Malaguzię – może najlepsze greckie wino dostępne w supermarkecie. Chodzimy na spacery w miejsca, gdzie rośnie dzikie oregano. Zrywamy je, żeby mieć na zimę. I pływamy w wodzie ciepłej jak przestudzona herbata, wśród ryb i małych krabów, między wielkimi kamieniami przykrytymi dywanem gęstej, zielonej trawy. Tak się dzieje szwagrowanie, ciotkowanie, wujkowanie i kuzynowanie – naturalna familiaryzacja. Po polsku, grecku i angielsku, taką egzotyczną mieszanką rozmawiamy. Wiwi jest zakochana w Michale, na którego woła Micho, Nelcia w Bobicy – najchętniej nie spuszczałaby jej z kolan, Julcia w mesmerycznej Anastasii. Ja i Nikos też zacieśniamy więzy. Jednego popołudnia na plaży zagraliśmy drewnianymi rakietkami mecz na śmierć i życie, jak młodszy brat ze starszym. Waliliśmy w tenisową piłkę tak zażarcie i z taką siłą, że obaj nabawiliśmy się odcisków. Zanim skończyliśmy pojedynek, odciski zdążyły pęknąć. Najpierw sączyła się z nich przezroczysta ropa, a później krew. Przemyliśmy rany słoną wodą, przez co piekły

nas jeszcze bardziej. Ale nie przestaliśmy. W końcu przegrałem w tie-breaku.

– Ci starsi bracia, niech ich cholera weźmie! – krzyknąłem, przybijając sobie z Nikosem piątkę poranionymi, zakrwawionymi dłońmi (on jest praworęczny, ja leworęczny). Wszyscy wybuchliśmy śmiechem.

Wieczorami Wiwi z Nikosem zabierają nas na jedzenie. Po drodze mijamy nieczynny kamieniołom, skąd starożytni czerpali szlachetny paryjski marmur – to w nim wykuta jest Wenus z Milo, wywieziona przez francuskiego podróżnika w XIX wieku i uwięziona w Luwrze, nim umocnione są mury ateńskiego Akropolu.

Są na Paros tawerny, które Nikos pamięta z tamtego pierwszego pobytu prawie trzydzieści lat temu. Serwują to, co wtedy – grecką klasykę, w połowie mięsną, w połowie wege, więc właściciele knajp nie muszą się na siłę umizgiwać do wybrednych zagranicznych turystów. Zamawiamy, jemy i opowieściami nadrabiamy stracone lata.

– Tamto kelnerowanie to była szkoła życia. Poza pracą musiałem sam sobie prać, prasować, gotować. Co nieco umiałem już z domu, bo od małego pomagałem mamie. Więc gdy mnie wzięli do wojska, wiedziałem, jak sobie poradzić.

Pierwsze dwa miesiące Nikos spędził w jednostce wojskowej w Dramie na północy Grecji, mniej więcej w połowie drogi między Salonikami a Aleksandropolis. Dostał mundur, wojskowe buty, odbył podstawowe szkolenia. Najwięcej było prac porządkowych i mycia garów. Koledzy uczyli się obierać ziemniaki, ścielić łóżka, niektórzy nawet butów nie umieli wypastować. Później była przysięga, na którą przyjechała mama Nikosa Elefterija i jego dziadek Nikolaos.

Spore przeżycie, tym większe, że przysiędze towarzyszyła parada wojskowa. Pełen dryl.

Zapytałem, czy pamięta, na co przysięgał.

– Na wierność konstytucji i innym prawom, w tym przepisom wojskowym. Że będę karny, posłuszny, że będę wykonywał rozkazy, że z oddaniem będę bronił greckiej flagi do ostatniej kropli krwi. Do ostatniej kropli krwi. I że tej flagi nigdy nie porzucę.

Po dwóch miesiącach młodzi żołnierze wsiedli na statek i odpłynęli do jednostki docelowej na wyspie Chios, niedaleko wybrzeży Turcji.

– Pobudka o szóstej rano. Śniadanie. Apel o siódmej. W czasie apelu podział obowiązków. Później gimnastyka, bieganie, ćwiczenia na strzelnicy. Mnie wytypowali do obsługi miniwyrzutni, którą się nosi na ramieniu. Miałbym z takiej strzelać w razie wojny.

Ale z Chios Nikos najbardziej zapamiętał przejmujący chłód. Zima była tak zimna, jak lato potrafi być upalne, do tego ze wschodu wiały silne wiatry i często padał śnieg. Nocna warta w takich warunkach? Można sobie wyobrazić. W barakach nie było centralnego ogrzewania, a ciepłej wody pod prysznicem wystarczało dla trzech pierwszych żołnierzy. Reszta albo myła się w zimnej wodzie, albo nie myła się wcale. Po ośmiu miesiącach nastąpił niespodziewany transfer. Bo oto na grecko-albańskim pograniczu, mimo zimy, zrobiło się gorąco. Od śmierci Hodży minęło kilka lat, nowe komunistyczne władze powoli próbowały reformować kraj i otwierać go na Europę, ale gospodarka była w ruinie. Chętnych do wyjazdu nie brakowało. Do końca lat osiemdziesiątych na teren Grecji nielegalnie przeprawiało się kilka, maksymalnie kilkanaście osób rocznie – tylko najbardziej szaleni albo najbardziej zdesperowani imigranci. Gdy Nikos znalazł się na pograniczu, w zorganizowanej naprędce

jednostce wojskowej w Kalpaki, niedaleko Joaniny, każdego dnia granicę przekraczało kilka tysięcy osób.

– Ci, którzy mieli wizy, albo powody, by starać się w Grecji o azyl, próbowali przechodzić przez legalne przejścia, ale cała reszta wybierała zielone granice, przez góry i lasy. Grecja nigdy wcześniej czegoś podobnego nie doświadczyła. To był naprawdę masowy ruch. Żeby ich zatrzymać, musieliśmy patrolować każdy kawałek granicy. Jeśli kogoś znaleźliśmy, odwoziliśmy go z powrotem do albańskich strażników. Jednej nocy doszło do strzelaniny. Imigranci kontra nasi oficerowie. To się działo na pobliskim wzgórzu, rzut beretem od jednostki, a ja akurat stałem na warcie. Bałem się, że dostanę w łeb zbłąkaną kulą, więc schowałem się za kolumną, która podtrzymywała daszek przed wejściem do budynku. I tak nie mogłem się stamtąd ruszyć. Stojąc za kolumną, przynajmniej byłem bezpieczny.

Premierem Grecji był wtedy Konstandinos Mitsotakis, ojciec obecnego szefa rządu, Mitsotakisa juniora. Senior był tak zaskoczony skalą albańskiego exodusu w kierunku greckiej granicy, że najpierw apelował do sąsiadów, by zostali w domach, a później zarządził masowe deportacje imigrantów.

– Kilka lat temu prowadziłem niewielką sieć pizzerii. W jednej z nich zatrudniłem Wiktora. Biedak trzynaście razy był zawracany z Grecji z powrotem do Albanii. Trzynaście razy! Na szczęście nie przeze mnie. Wreszcie mu się udało. Cały czas mieszka w Atenach, a jego dzieci są tak greckie, jak to tylko możliwe.

Na pograniczu Nikos spędził dwa miesiące. Dowódcy namawiali go, żeby został dłużej, ale jemu właśnie wybił równy rok służby i chciał jak najszybciej wrócić do cywila.

– Dwanaście miesięcy, ja bym tyle nie wytrzymał – powiedziałem z podziwem. – Ja bym tygodnia nie wytrzymał. Do tego na pewno musiałeś zgolić włosy na zapałkę. Tego też bym nie zniósł.

– Akurat włosów nie kazali mi ścinać. A ten rok zleciał całkiem szybko. Mam z tego czasu paru dobrych kumpli. Ale gdyby nie wy, ty i bliźniaki, gdyby nie to, że nasz ojciec miał więcej dzieci, a nie tylko mnie, musiałbym służyć dłużej – nie dwanaście, a osiemnaście miesięcy.

– Dostałeś od ojca taki fajny prezent? Szczęściarz z ciebie.

– Był w tamtych czasach przepis, który umożliwiał skrócenie służby najstarszemu synowi z wielodzietnej rodziny do dwunastu miesięcy. Fajnie, pomyślałem, bo nie uśmiechało mi się dodatkowe pół roku w mundurze. Swoje odsłużyłem. Więc za pośrednictwem ciotki Sułtany moja mama poprosiła ojca, by postarał się o odpowiedni dokument. Myślisz, że to zrobił? Nie kiwnął palcem. Nie wykonał ani jednego telefonu, nie napisał ani jednego podania. Może się bał, że jak gdzieś zaświadczy, że ma dzieci, i to nie jedno, a czwórkę, to mu się te dzieci z czasem dobiorą do portfela. Nawet w tej jednej jedynej sprawie mi nie pomógł. Na szczęście moja mama jest superzaradna i szybko załatwiła wszystkie papiery.

– Moja była taka sama. On widocznie miał słabość do silnych kobiet.

– Za Zosię! – zaproponował Nikos.

– Macie takie same nosy, podobne usta i robicie takie same miny – stwierdziła Wiwi, skanując mnie i Nikosa czujnym spojrzeniem.

– To cały spadek, jaki zostawił nam ojciec – rzuciłem z udawaną powagą. – Chyba że ukrył jeszcze jakieś niespodzianki w genach. Stawiam na alzheimera.

– Kochany tatuś! – powiedział Nikos. – Dziękujemy, że byłeś taki hojny.

– A może kiedyś razem tam pojedziecie, do Lagkadii? – zapytała Wiwi. – Rozejrzycie się, rozmówicie. Rodzina to jednak rodzina.

– Może – odpowiedzieliśmy jednocześnie, mimo że obaj wiedzieliśmy, że nie, nie pojedziemy.

Rodzina bez ojca to też rodzina. A wioskę można sobie wybrać. Skąd jesteś a kim jesteś – to nie to samo.

– A wiesz. – Nikos wyglądał przez chwilę, jakby przeżywał olśnienie. – Od tego gadania o wojsku przypomniała mi się jeszcze jedna historia. Nie uwierzysz! Ostatnia, obiecuję, i wcale nie chodzi o moje wojskowe przygody. Część rodziny mojej mamy nigdy nie wróciła do Grecji na stałe. Zostali w Polsce, a konkretnie to w Trójmieście. Jesteśmy z nimi w kontakcie, odwiedzamy się, jak tylko jest okazja. Raz na lato wpadł do nas Dimitris, kuzyn mamy, ale dużo od niej młodszy, prawie mój rówieśnik. Studiował wtedy na Akademii Morskiej w Gdyni. Kończył się wrzesień, już miał wracać do Polski, pojechał na lotnisko i co mu się przytrafiło? W czasie kontroli paszportowej wyświetlił się w systemie na czerwono. Jak ty wtedy na granicy grecko-bułgarskiej! I strażnik do niego: „Pan jest uciekinierem! Dzwonię na policję". Odwieźli Dimitrisa na komendę i nie chcieli słuchać żadnych tłumaczeń. Nie wypuścili go, powiedzieli, że będzie mógł wrócić, jak odbębni zaległą służbę. Odsłużył sześć miesięcy.

– Jeszcze raz za moją mamę! – zawołałem po kilku sekundach, po tym jak przez głowę przeleciała mi alternatywna wizja młodości. – Za ciotkę Sułtanę! Za greckiego strażnika z krzaczastymi brwiami! Za chojnowskie urzędniczki! I za tłumacza Cirmirakisa!

Po toaście zapadła cisza, którą po chwili przerwał Michał. Gdy Nikos opowiadał, on ciągle jadł. Właśnie skosztował pieczoną fetę w cieście filo, polaną miodem i posypaną prażonym sezamem. Zamknął oczy i bezwiednie podniósł się z krzesła. Patrzyliśmy na niego w zdziwieniu, gdy stał tak przez chwilę ze zwieszoną w tył głową i błogim uśmiechem, jak lunatyk, jakby przeżywał haj stulecia, intensywne, zmysłowe uniesienie, jakby miał zaraz odfrunąć. W końcu przełknął i usiadł – a raczej opadł.

Oniemiała Wiwi roześmiała się głośno i zaraźliwie.

– Micho, Micho, twoje zdrowie!

Przypisy

[1] O nieudanym małżeństwie moich rodziców i ucieczce mamy z Grecji więcej piszę w książce *Grecja. Gorzkie pomarańcze* (Wydawnictwo Poznańskie 2019). Opisuję w niej również wojenne i uchodźcze doświadczenia babci Marii oraz całej rodziny Sturisów.

[2] Ajios Pandelejmonas (gr. Άγιος Παντελεήμονας) – Święty Panteleon, święty Kościoła katolickiego i prawosławnego.

[3] Το χρυσαυγίτικο πογκρόμ τον Μάη του 2011 μετά τη δολοφονία του Μανώλη Καντάρη, jailgoldendawn.com, https://cutt.ly/3hOOLMY.

[4] Tamże.

[5] Wszystkie cytaty w tym fragmencie pochodzą z nagrania wideo z dnia protestu, do którego dotarła gazeta „Efimerida ton Syntakton": https://www.efsyn.gr/stiles/arheio/o-ios/25106_prepei-na-hythei-aima.

[6] Το χρυσαυγίτικο πογκρόμ τον Μάη του 2011 μετά τη δολοφονία του Μανώλη Καντάρη, jailgoldendawn,com; https://cutt.ly/3hOOLMY.

[7] *Hate in the streets. Xenophobic Violence in Greece*, raport Human Rights Watch: https://www.hrw.org/el/report/2012/07/10/256338.

[8] Tamże.

[9] Tamże.

[10] Το χρυσαυγίτικο πογκρόμ τον Μάη του 2011 μετά τη δολοφονία του Μανώλη Καντάρη, jailgoldendawn.com, https://cutt.ly/3hOOLMY; https://valtousx.gr/en/me-tin-anochi-tis-astynomias/.

[11] Το χρυσαυγίτικο πογκρόμ τον Μάη του 2011 μετά τη δολοφονία του Μανώλη Καντάρη, jailgoldendawn.com, https://cutt.ly/3hOOLMY.

[12] Γιάννης Μπασκάκης, *Βίντεο-ομολογία από τη Χ.Α.: «Εμείς οργανώσαμε το πογκρόμ»*, https://www.efsyn.gr/ellada/dikaiosyni/i-diki-tis-hrysis-aygis/165311_binteo-omologia-apo-ti-ha-emeis-organosame-pogkrom.

[13] *5 χρόνια από το ρατσιστικό πογκρόμ της Χρυσής Αυγής: δήλωση των Θ. Καμπαγιάννη και Κ. Σκαρμέα*, jailgoldendawn.com, https://tiny.pl/76dw5.

[14] K. Kalogirou, *Μας συκοφαντούν για το ξενοδοχείο στη Λιοσίων*, Iapopsi.gr, https://tiny.pl/76dl2.

[15] Th. Wjenis, *Hotel New Dream: Η φορολογική φωλίτσα του ζεύγους* Μιχαλολιάκου, Left.gr, https://left.gr/news/hotel-new-dream-i-forologiki-folitsa-toy-zeygoys-mihaloliakoy.

[16] Znam go, pojawił się w *Gorzkich pomarańczach*.

[17] Ημερα 385: «Την Αλλη Μερα Μου Λενε Καψανε Το Τζαμι Και Λεω, Α, Ωραια», Golden Dawn Watch, https://goldendawnwatch.org/?p=4965.

[18] *Hate in the streets. Xenophobic Violence in Greece*, raport Human Rights Watch: https://www.hrw.org/el/report/2012/07/10/256338.

[19] *Θέμις Σκορδέλη: η «πάμπτωχη» και η κατάνα της*, Kathimerini.gr, https://www.kathimerini.gr/life/people/71428/themis-skordeli-i-pamptochi-kai-i-katana-tis/.

[20] *Χρυσή Αυγή: Πώς έγινε η επίθεση κατά της Δημοκρατίας*, Tovima.gr, https://www.tovima.gr/2013/10/07/vimagazino/xrysi-aygi-pws-egine-i-epithesi-kata-tis-dimokratias/.

[21] Szczegółowo historię przyjazdu uchodźców z Grecji rozwijam w książce *Nowe Życie. Jak Polacy pomogli uchodźcom z Grecji* (W.A.B, 2017).

[22] H. Smith, *Athens 2004 Olympics: what happened after the athletes went home?*, The Guardian, https://www.theguardian.com/sport/2012/may/09/athens-2004-olympics-athletes-home.

[23] https://www.youtube.com/watch?v=1ATUYvlHFuk&ab_channel=Greece2021.

[24] Laskarina Bubulina – grecka bohaterka narodowa, uczestniczka rewolucji 1821 roku; zasłużona w walkach o odbicie z rąk osmańskich Nafplio i Monemwasii, stała na czele prywatnej floty. Pochodziła z wyspy Hydra.

[25] List otwarty: https://www.greece2021.gr/epistoli-proedrou.html.

[26] M. Biris, M. Karadamitsi-Adami, *Neoclassical Architecture in Greece*, Mellisa Publishing House, Athens 2004, s. 62.

[27] P.A., *A Sentimental Journey through Greece, 1771*, w: Roderick Beaton, *Greece. Biography of a Modern Nation*, University of Chicago Press, Chicago 2019, s. 31. Tłumaczenie własne autora.

[28] F.R. Chateubriand*, Podróż z Paryża do Jerozolimy*, PIW, Warszawa 1980, s. 1.

[29] S. Minta, *Lord Byron and Mavrocordatos*, w: Romanticism 12 (2), July 2006, https://www.researchgate.net/publication/33042395_Lord_Byron_and_Mavrokordatos.

[30] Tamże.

[31] C. Gordon, *Buntowniczki. Niezwykłe życie Mary Wollstoncraft i jej córki Mary Shelley*, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 2019, s. 375–376.

[32] M. Czajkowski, *Dziwne życia Polaków i Polek*, Lipsk 1865, s. 49.

[33] Tamże, s. 52.

[34] Δουκίσσης Πλακεντίας – stacja niebieskiej linii ateńskiego metra, na północnych obrzeżach miasta.

[35] *Φωτάκος (Φώτιος Χρυσανθόπουλος), Απομνημονεύματα περί της Ελληνικής Επαναστάσεως, Αγροτικές Συνεταιριστικές Εκδόσεις, Θεσσαλονίκη* 1977. Cytat za hasłem Άλωση της Τριπολιτσάς w Wikipedii.

[36] W. St. Clair, *That Greece Might Still Be Free: The Philhellenes in the War of Independence*, Oxford University Press, London 1972, s. 43.

[37] Nazywali się Janis Stratos i Teodoros Griwas.

[38] *Visit to Aegina by a delegation of the Committee "Greece 2021"*, Greece2021.gr, https://www.greece2021.gr/en/spotlight/91-spotlight/3487-visit-to-aegina-by-a-delegation-of-the-committee-greece-2021.html.

[39] *«Όλα άρχισαν από εδώ, όλα άρχισαν από την Αίγινα, την πρώτη πρωτεύουσα». Ο Μανώλης Κοττάκης παρουσιάζει τους στόχους της επιτροπής για τον εορτασμό των 200 χρόνων από την Ελληνική*, Aeginaportal.gr, Επανάσταση.https://www.aeginaportal.gr/eidiseis/kathimerina/28391-ola-arxisan-apo-edo-ola-arxisan-apo-tin-aigina-tin-proti-proteyousa-o-manolis-kottakis-parousiazei-tous-stoxous-tis-epitropis-gia-ton-eortasmo-ton-200-xronon-apo-tin-elliniki-epanastasi.html.

[40] *Culture minister quits over Olympia museum burglary*, France24.com, https://www.france24.com/en/20120217-greece-security-olympia-museum-theft-resignation-culture-minister-geroulanos.

[41] List z 10 kwietnia 1730 r., w: H. Omont, *Missions archéologiques françaises en Orient aux XVIIe et XVIIIe.*, PAris 1902, t. 1, s. 618–619, https://gallica.bnf.fr/ark:/12148/bpt6k6348332h/f650.item.

[42] I.M. Morris, *Liars, eccentrics and visionaries: early travellers to Sparta and the birth of Laconian archaeology*, British School at Athens Studies nr 16, 2009, s. 389.

[43] C.R. Cockerell, *Travels in Greece*, Anagnosis Publications, Athens, 2008. *Travels in Southern Europe and the Levant, 1810–17: The Journal of C.R. Cockerell RA*, 1903. https://www.greece-is.com/plunderers-diary-charles-cockerell-raids-aeginas-temple/.

[44] M. Diliberto, *The restoration of the Eginetes Frontons. Thorvaldsenian restoration or neoclassical restoration?* w: History of Art, no. 68, 04.2011, https://www.academia.edu/25832879/LA_RESTAURATION_DES_FRONTONS_EGINETES_Restauration_thorvaldsenienne_ou_restauration_n%C3%A9oclassique_.

[45] MFW – Międzynarodowy Fundusz Walutowy, organizacja, która wraz z Komisją Europejską i Europejskim Bankiem Centralnym składały się na tzw. „greckie pakiety pomocowe".

[46] Greckie słowo oznaczające rzekę, *potamos*, oraz nazwy własne rzek są w języku greckim rodzaju męskiego.

[47] E. Nowicka, *Ethnic Identity of Aromanians/Vlachs in the 21st Century*, w: Res Historica 41, 2016, s. 213.

[48] 12 września brygada uderzeniowa złocistych, licząca co najmniej trzydzieści osób, brutalnie pobiła dziewięciu członków związku zawodowego PAME. Rozkaz wydał Janis Lagos, atakiem kierował jego wierny siepacz Anastasios Pantazis. Pobicie było częścią planu, o jakim Lagos i Panajotaros dyskutowali z właścicielami firm przyjmujących zlecenia od miejscowej stoczni. Chodziło o utworzenie nowego związku zawodowego pod egidą Złotego Świtu.

[49] Y. Papadopoulos, *'I'm scared of Golden Dawn,' says defendant*, Ekathimerini.com, https://www.ekathimerini.com/196841/article/ekathimerini/community/im-scared-of-golden-dawn-says-defendant.

[50] Zeznania dziewczyny Pawlosa Fisasa: https://www.lifo.gr/now/greece/34843.

[51] *Ανάληψη ευθύνης για την επίθεση στα κεντρικά της Χρυσής Αυγής*, Athens.indymedia.org, https://athens.indymedia.org/post/1571657/.

[52] Komunikat biura prasowego Złotego Świtu: https://archive.fo/iqdsQ.

[53] Mówił o tym Baskakis, zeznając w sądzie – 4.07.2017, posiedzenie nr 168. Wideo: https://tiny.pl/74fgt.

[54] *Κάθειρξη 7 ετών με αναστολή σε χρυσαυγίτη για επίθεση σε φοιτητή*, Skai.gr, https://www.skai.gr/news/greece/katheirksi-7-eton-me-anastoli-se-xrysaygiti-gia-epithesi-se-foititi/amp.

[55] H. Smith, *Greece moves to ban far-right Golden Dawn party*, The Guardian, https://www.theguardian.com/world/2013/sep/18/greece-ban-golden-dawn-pavlos-fyssas.

[56] *Βουλή: Ομόφωνη καταδίκη της δολοφονίας του Παύλου Φύσσα*, Naftemporiki.gr, https://www.naftemporiki.gr/story/699940.

[57] *Βουλή: Κράτησαν ενός λεπτού σιγή στη μνήμη του Παύλου Φύσσα όταν έφυγε η Χρυσή Αυγή*, Protothema, https://www.protothema.gr/politics/article/312021/eisodos-proklisi-tis-hrusis-augis-sti-vouli-simera/.

[58] Oświadczenie Kasidiarisa: http://elnewsgr.blogspot.com/2013/08/blog-post_4099.html?utm_source=dlvr.it&utm_medium=facebook.

[59] Chodzi o Georgiosa Karamerosa – sytuację opisuje Lefteris Bidelas w dzienniku „Ethnos" 3.04.2017.

[60] *Ο βουλευτής Ηλίας Κασιδιάρης της Χρυσής Αυγής χαστούκισε τη Λιάνα Κανέλλη σε εκπομπή του Αντέννα*, Tovima.gr., https://www.tovima.gr/2012/06/07/politics/o-boyleytis-ilias-kasidiaris-tis-xrysis-aygis-xastoykise-ti-liana-kanelli-se-ekpompi-toy-antenna-video/.

[61] *Κασιδιάρης όπως Ζιρινόφσκι*, Efsyn.gr, https://www.efsyn.gr/politiki/18252_kasidiaris-opos-zirinofski; Borys Niemcow był rosyjskim politykiem, obrońcą praw człowieka i zagorzałym krytykiem Władimira

Putina. Został zastrzelony w Moskwie w 2015 roku. Za jego zabicie sąd skazał pięciu Czeczenów, jednak część rosyjskich opozycjonistów uważa, że odpowiedzialne są służby podległe prezydentowi.

[62] *Νίκος Αλιβιζάτος: «Ιστορική ευθύνη των δικαστών – Η κρίσιμη φράση είναι τα "τάγματα εφόδου"»*, JailGoldenDawn.com, https://tiny.pl/7vdfh.

[63] *Νίκος Αλιβιζάτος για Χρυσή Αυγή: Ηρθε η ώρα των δικαστών*, Parapolitiki.com, http://www.parapolitiki.com/2013/09/nikos-alibizatos-gia-xrysi-aygi-irthe-i-ora-ton-dikaston.html.

[64] D. Psaras, Η Χρυση Αυγη Μπροστα Στη Δικαιοσυνη, Rosa Luxemburg Stiftung, Ateny 2015, s. 16.

[65] Zeszyty Prawnicze, 3 (27) 2010, Biuro Analiz Sejmowych, s. 156–157. Zgodnie z greckim prawem przy przestępstwach ciężkich lub zbrodniach sędzia śledczy na wniosek prokuratury musi przeprowadzić dochodzenie, by ustalić wagę dowodów. Sędzia śledczy gromadzi informacje, przesłuchuje świadków i podejrzanych, zleca ekspertyzy, decyduje o areszcie tymczasowym itp. Po zakończeniu śledztwa przekazuje sprawę z powrotem do prokuratury, http://orka.sejm.gov.pl/WydBAS.nsf/0/1FFF54C0823F38F7C1257C0600466287/$file/Strony%20od%20ZP_3(27)2010–21.pdf.

[66] *Δήλωση Δημήτρη Λάζαρη (πατέρα 24χρονου σπουδαστή): "Για την επίθεση που δέχτηκε ο Αλέξης"*, JailGoldenDawn.com, https://linkd.pl/crfz.

[67] Jednym z pomysłodawców umowy i jej orędownikiem był ówczesny przewodniczący Rady Europejskiej Donald Tusk.

[68] *Εβρος: Αγρότες και οι κτηνοτρόφοι βοηθούν στρατό και αστυνομία στα σύνορα*, Kathimerini.gr, https://www.kathimerini.gr/society/1067339/evros-agrotes-kai-oi-ktinotrofoi-voithoyn-strato-kai-astynomia-sta-synora/.

[69] M. Arkouli, *Giannis Antetokounmpo Meets with PM Samaras*, Greekreporter.com, https://greece.greekreporter.com/2013/07/02/giannis-antetokounmpo-meets-with-pm-samaras/.

[70] Akan to jeden z najbardziej rozpowszechnionych języków w Ghanie, posiadający wiele odmian i dialektów. Językiem urzędowym jest angielski.

[71] *Migrants in Greece detained based on appearance: HRW*, Reuters.com, www.reuters.com/article/us-greece-migrants-police/migrants-in-greece-detained-based-on-appearance-hrw-idUSBRE95B0PK20130612.

[72] D. Christopulos, *An unexpected reform in the maelstrom of the crisis: Greek nationality in the times of the memoranda (2010 – 2015)*, w: Citizenship Studies, 04.2017.

[73] Na filmie, o którym mowa, Patelis instruuje członków brygady uderzeniowej dzielnicy Nikea: „Niektórzy z was dostaną wiadomość ze wskazówkami. Jeśli Lagos nie wyda zgody, nic się nie dzieje. Jeśli da nam OK, działamy. Nie jako złociści. Jak zwyczajni obywatele, przechodnie, którzy wybrali się na zakupy.

[74] https://www.efsyn.gr/slideshow/o-roypakias-sto-steno-pyrina-tis-nikaias, https://www.efsyn.gr/slideshow/o-roypakias-me-igetika-stelehi-kai-voyleytes-tis-

hrysis-aygis.

[75] *Ο δολοφόνος του Φύσσα ορκίζει τους νεοσύλλεκτους της Χ.Α.*, Efsyn.gr, https://www.efsyn.gr/ellada/dikaiosyni/i-diki-tis-hrysis-aygis/76415_ o-dolofonos-toy-fyssa-orkizei-toys-neosyllektoys.

[76] *Ο ειδικός ρόλος του Γιώργου Ρουπακιά στη Χρυσή Αυγή*, Efsyn,gr, https://www.efsyn.gr/ellada/dikaiosyni/i-diki-tis-hrysis-aygis/59468_o-eidikos-rolos-toy-giorgoy-roypakia-sti-hrysi-aygi.

[77] Day 75: Continuation Of Witness Testimony Of Kontonikolas, GoldenDawnWatch.org, https://goldendawnwatch.org/?p=2590&lang=en.

[78] *Ολόκληρη η απολογία Ρουπακιά: Περιέγραψε τη δολοφονία Φύσσα και έπεσε σε αντιφάσεις*, Tovima.org, https://www.tovima.gr/2019/07/18/society/olokliri-i-apologia-roupakia-i-sygklonistiki-perigrafi-tis-dolofonias-ta-psemata-kai-oi-antifaseis/.

[79] Joanis Metaksas (1871–1941) – prawicowy polityk, generał, który w 1936 roku przeprowadził zamach stanu i wprowadził w Grecji faszyzującą dyktaturę (stanął na jej czele jako premier).

[80] *Η Χρυσή Αυγή και οι προστατευόμενοι μάρτυρες: ένα σημείο χωρίς επιστροφή*, JailGoldenDawn.com, https://tiny.pl/7vkqz.

[81] *Απορρίφθηκε το αίτημα για αποκάλυψη προστατευόμενων μαρτύρων*, Efsyn.rg, https://www.efsyn.gr/ellada/dikaiosyni/i-diki-tis-hrysis-aygis/128000_aporrifthike-aitima-gia-apokalypsi-prostateyomenon.

[82] P. Strickland, *How a Greek reporter could help put neo-Nazis behind bars*, AlJazeera.com, https://www.aljazeera.com/features/2020/10/3/how-a-greek-reporter-could-help-put-neo-nazis-behind-bars?fbclid=IwAR0gI0QUfEL3n8bb7hhWHmM7T0vClGoyjfvv_0jvlL2xPraMgz1_bCv7_oA.

[83] Wypowiedź Kasidiarisa z nagrania na stronie Złotego Świtu z 5.08. 2012.

[84] Wypowiedź Kasidiarisa z konferencji prasowej 23.10.2013.

[85] D. Psaras, *Η Χρυσή Αυγη Μπροστά Στη Δικαιοσύνη*, 2014, s. 43.

[86] *Greece far-right party Golden Dawn: 'We are in civil war'*, BBC.com, https://www.bbc.com/news/av/world-europe-19983571.

[87] Film z konferencji: https://www.youtube.com/watch?v=UHY0tPTRadM&ab_channel=Radio9gr.

[88] *Χ.Α.: Ζήτω οι κατακτητές μας!*, Efsyn.gr, https://www.efsyn.gr/ellada/dikaiosyni/i-diki-tis-hrysis-aygis/12201_ha-zito-oi-kataktites-mas-video; *Η αληθινή πατρίδα της Χρυσής Αυγής*, Efsyn.gr, https://www.efsyn.gr/politiki/99819_i-alithini-patrida-tis-hrysis-aygis.

[89] *Η εισαγγελέας και η υπεράσπιση της Χρυσής Αυγής*, Efsyn.gr, https://www.efsyn.gr/stiles/apopseis/224013_i-eisaggeleas-kai-i-yperaspisi-tis-hrysis-aygis.

[90] Mary Beard, *Partenon*, Dom Wydawniczy Rebis, Poznań 2018, s. 82–93.

[91] Tamże, s. 98.

[92] Tamże, s. 105.

[93] https://www.culture.gov.gr/el/parthenonas/SitePages/view.aspx?iID=6
[94] *Κ.Π. Καβάφης: «Δώστε πίσω τα Μάρμαρα»*, Topontiki.gr, http://www.topontiki.gr/article/52346/k-p-kavafis-doste-piso-ta-marmara.
[95] Zapis przemowy Meliny Mercouri: http://www.parthenon.newmentor.net/speech.htm. Tłumaczenie własne autora.
[96] Tamże.
[97] https://www.vice.com/el/article/gyjnp3/oi-nazi-xrhsimopoioysan-ton-par8enwna-san-oyrhthrio.
[98] *Λαμπρά εγκαίνια για το Νέο Μουσείο της Ακρόπολης*, https://echedoros.blogspot.com/2009/06/blog-post_21.html.
[99] *Golden Dawn crashes out of Greek parliament*, Ekathimerini.com, https://www.ekathimerini.com/242321/article/ekathimerini/news/golden-dawncrashes-out-of-greek-parliament.
[100] *Χρήστος Παππάς: Στις έρευνες και η ΕΥΠ – Τον ψάχνουν στο εξωτερικό, σε μοναστήρια και σε χωριά*, Pagenews.gr, https://www.pagenews.gr/2020/11/01/ellada/xristos-papas-stis-ereunes-kai-i-eup-ton-psaxnoun-sto-eksoteriko-se-monastiria-kai-se-xoria/.
[101] *Καταφυγή στη θαλπωρή της Ν.Δ. αναζητούν τώρα οι ναζιστές*, Efsyn.gr, https://www.efsyn.gr/politiki/275230_katafygi-sti-thalpori-tis-nd-anazitoyn-tora-oi-nazistes.
[102] *Δίκη Χρυσής Αυγής – Συντοπίτες Μαρίας Λεπενιώτη: «Το περιμέναμε, μας έκανε περήφανους»*, Ethnos.gr, https://www.ethnos.gr/ellada/127599_diki-hrysis-aygis-syntopites-marias-lepenioti-perimename-mas-ekane-perifanoys.

Podziękowania

Zachód słońca na Santorini z pewnością zasługiwałby na surowsze oceny, gdyby nie wnikliwe oko i zdolności perswazyjne redaktora Adriana Stachowskiego, gdyby nie motywacja, cierpliwość i nieskończona życzliwość ze strony Michała, Julii i Nelii Safianik, gdyby nie serdeczność Daphne Karagianni z Golden Dawn Watch i potężna wiedza Dimitrisa Psarrasa, gdyby nie krytyczny zmysł moich przyjaciółek: Agnieszki, Ani, Gosi, Julii i Krystyny oraz gdyby nie gościnność Nikosa, Wiwi i Ani z ulicy Muz. Wszystkim Wam serdecznie dziękuję!

Ruiny Partenonu, który powstał w V wieku p.n.e. jako świątynia ku czci bogini Ateny. Część starożytnych zdobień Partenonu na początku XIX wieku wywiózł do Londynu szkocki hrabia Thomas Bruce.

Wikimedia commons/Phanatic

Thomas Bruce, hrabia Elgin, sprzedał bezcenne marmury zabrane z Partenonu państwu brytyjskiemu, a państwo przekazało je do Muzeum Brytyjskiego. Grecy do dziś walczą o ich zwrot.

Wikipedia Commons/Carole Raddato

Mural z wizerunkiem Pawlosa Fisasa na ścianie Politechniki Narodowej w Atenach.

Wikipedia commons/ Nagarjun Kandukuru

Magda Fisa, matka zamordowanego rapera Pawlosa Fisasa, Kieratsini.

Wassilios Aswestopoulos/NurPhoto/Getty Images

Pogrzeb Shahzeda Luqmana, zamordowanego przez członków Złotego Świtu w styczniu 2013 roku. Centrum Aten.

Guy Smallman/Getty Images

Imigranci i uchodźcy przy przejściu Kastanies–Pazarkule na granicy Grecji i Turcji. Race wystrzeliwane przez greckich strażników granicznych spadają po tureckiej stronie płotu. Marzec 2020 roku.

fot. Agnieszka Rostkowska

Próba przeprawy przez rzekę Ewros oddzielającą Turcję od Grecji.

Osman Orsal/Getty Images

Marsz w siódmą rocznicę zamordowania Pawlosa Fisasa. Kieratsini, 13 września 2020 roku.

Nikolas Kokovlis/NurPhoto/Getty Images

Ewzoni – żołnierze Gwardii Prezydenckiej w tradycyjnym stroju. Pełnią wartę przy Grobie Nieznanego Żołnierza u stóp greckiego parlamentu przy Placu Konstytucji.

DimaBerkut/istock

Zachód słońca na Santorini.

tiero/istock

Nikos Michaloliakos – winny kierowania organizacją przestępczą, skazany na 13 i pół roku więzienia.

Angelos Tzortzinis/AFP/East News

Magda Fisa z córką Irini i mężem Panajotisem po ogłoszeniu wyroku w procesie członków Złotego Świtu. Ateny, październik 2020 roku.

AP/Associated Press/East News